

Dziesięcioletni chłopiec wzywa adwokata,
by wyznać mu, że zamordował człowieka...
piętnaście lat temu.

Światowy bestseller autora PASAŻERA 23

SEBASTIAN FITZEK



OSTATNIE DZIECKO


AMBER

SEBASTIAN FITZEK

**OSTATNIE
DZIECKO**

**Przekład
TOMASZ BEREZIŃSKI**



Redaktor serii
Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna
Ryszard Turczyn

Korekta
Hanna Lachowska
Anna Raczyńska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce
© Anna Jurkowska/Shutterstock
© Charles Knox/Shutterstock
© Peter Dedeurwaerder/Shutterstock

Zdjęcie autora
© FinePic®, München

Tytuł oryginału
Das Kind

Powieść poprzednio wydana w Polsce pod tytułem
Śmierć ma 143 cm wzrostu

Copyright © 2008 by Verlagsgruppe Droemer Knaur GmbH & Co. KG,
Munich, Germany
www.sebastianfitzek.de.

The book has been negotiated through AVA international GmbH,
Germany (www.ava-international.de).

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6289-5

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

Moim rodzicom i Viktorowi Larenzowi

SPOTKANIE

Pijany i dziecko prawdę ci powie.

Mądrość życiowa

1

Kiedy Robert Stern zgadzał się na to niezwykle spotkanie, nie wiedział, że umawia się ze śmiercią. A tym bardziej nie miał pojęcia, że śmierć, która wkroczy w jego życie, będzie miała sto czterdzieści trzy centymetry wzrostu, na nogach trampki, a na dziecięcej buzi uśmiech.

– Nie, jeszcze jej tu nie ma. A mnie powoli odechciewa się czekania.

Stern patrzył zdenerwowany przez mokrą od deszczu przednią szybę swojej limuzyny na oddalony o blisko sto metrów budynek fabryczny bez okien i przeklinał swoją asystentkę. Zapomniała odwołać jego spotkanie z ojcem, który akurat czekał wściekły na drugiej linii.

– Niech pani zadzwoni do Cariny i dowie się, gdzie ona, do cholery, jest!

Stern nacisnął energicznie przycisk na skórzanej kierownicy i po subtelnym kliknięciu usłyszał w głośnikach kaszel swojego rodziciela. Siedemdziesięciodziewięciolatek kopał jak lokomotywa. Nawet teraz, korzystając z krótkiego oczekiwania na połączenie, przypalił sobie papierosa.

– Przepraszam, tato – powiedział Stern. – Wiem, mieliśmy dziś razem zjeść kolację, ale musimy niestety przełożyć to na niedzielę. Wezwano mnie na zupełnie nieoczekiwane spotkanie.

„Musisz przyjechać. Proszę. Nie wiem już, co robić”. Nigdy wcześniej głos Cariny nie brzmiał przez telefon tak bojaźliwie jak wtedy. Gdyby to było udawane, powinna dostać Oscara.

– Może ja też powinienem płacić ci pięćset euro za godzinę, żeby się z tobą spotkać – fuknął gniewnie ojciec.

Stern tylko westchnął. Odwiedzał go trzy razy w tygodniu, ale nie miało teraz najmniejszego sensu wspomnianie o tym. Ani setki wygranych procesów karnych, ani przegrane batalie w rozbitym małżeństwie nie zdołały go nauczyć, w jaki sposób zachować przewagę nad ojcem podczas sporów. Jak tylko zaczynał rozmawiać ze staruszką, od razu czuł się jak małe dziecko z kiepskimi ocenami na świadectwie, a nie jak czterdziestopięcioletni Robert Stern, współwłaściciel kancelarii Langendorf, Stern i Dankwitz, czołowy obrońca w Berlinie.

– Szczerze mówiąc, nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie teraz jestem – spróbował rozluźnić atmosferę. – Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, mógłbym powiedzieć, że gdzieś w Czeczenii. Nawet moja nawigacja z trudem mnie tu doprowadziła.

Włączył długie światła, oświetlając nimi fragmenty niewybrukowanego placu, na którym piętrzyły się poprzewracane stalowe dźwigary, sterty przerdzewiałych kabli i inne przemysłowe śmieci. Prawdopodobnie produkowano tu wcześniej farby i lakiery, jeśli dobrze interpretował stertę pustych blaszanych beczek. Leżące przed groźącym zawaleniem ceglany barak, którego komin już się zapadł, wyglądały jak rekwizyty z jakiegoś filmu o końcu świata.

– Mam nadzieję, że za jakiś czas twoja nawigacja znajdzie przynajmniej drogę do mojego grobu – wykaszał ojciec, a Stern zastanawiał się, czy takie zgorzknienie może być dziedziczne, bo jego zaczątki dostrzegał już u siebie. Od dziesięciu lat.

Od czasu Feliksa.

Przez koszarne wydarzenia tamtego dnia na oddziale dla noworodków bardzo upodobił się do ojca także fizycznie. Po prostu przedwcześnie się zestarzał. Kiedyś spędzał każdą wolną minutę na boisku do koszykówki, żeby popracować nad techniką rzutu. Dziś nie trafiał nawet do kosza w biurze, kiedy zza biurka rzucał opróżnioną puszką po napoju.

Większość osób, które nie znały go zbyt dobrze, mogła zmylić jego postawna, szczupła sylwetka i szerokie ramiona. W rzeczywistości idealnie skrojone garnitury ukrywały jego zwiotczałe już mięśnie, sińce pod oczami

tuszowała naturalnie śniada cera, a dzięki zręcznie przystrzyżonym ciemnym włosom nie było widać początków łysiny. Rano potrzebował teraz prawie godziny, aby pozbyć się z twarzy oznak zmęczenia, a kiedy wychodził z łazienki, coraz bardziej czuł się jak towar z ukrytymi wadami, jak podrasowany designerski mebel, którego niedoróbki uwidaczniają się dopiero wtedy, gdy ustawi się go w bezlitosnym górnym świetle mieszkania.

Rozległ się sygnał drugiego połączenia przychodzącego.

– Przepraszam, zaraz wrócimy do rozmowy. – Stern uciekł od dalszych wyrzutów ojca i odebrał telefon od sekretarki.

– Niech zgadnę. Carina odwołała spotkanie?

To byłoby w jej stylu. W pracy była godną zaufania, sumienną pielęgniarką, ale swoje prywatne zobowiązania realizowała tak samo jak życie miłosne: w sposób chaotyczny, zmienny i bez jakiegokolwiek koordynacji. Chociaż ich związek rozpadł się już trzy lata temu, po zaledwie kilku tygodniach trwania, nadal regularnie do siebie dzwonili i nawet spotykali się czasem na kawie. Jedno i drugie kończyło się z reguły kłótnią.

– Nie, niestety nie udało mi się dodzwonić do pani Freitag.

– Okej, dziękuję.

Stern uruchomił elektroniczny zapłon i wzdrygnął się przestraszony, gdy na przednią szybę samochodu lunęła nagle ściana deszczu pchana przez jesienny wiatr. Włączył wycieraczki i na chwilę zatrzymał wzrok na czerwobrunatnym liściu klonu, który przykleił się do szyby poza ich zasięgiem. Odwrócił się i powoli zaczął się cofać po żwirze ze zgrzytem opon.

– Jeśli Carina się odezwie, to proszę jej powiedzieć, że nie mogłem już tu dłużej...

Stern zamilkł, kiedy ponownie spojrzął przed siebie z zamiarem wrzucenia pierwszego biegu.

Cokolwiek pędziło wprost na niego na sygnale jakieś dwieście metrów w linii prostej, na pewno nie był to rozklekotany samochodzik Cariny.

Czerwono-biały furgon gnał drogą dojazdową z maksymalną prędkością, na jaką pozwalały wyboje.

Przez krótką chwilę Sternowi wydawało się, że kierowca naprawdę chce go staranować, ale w końcu tamten skręcił i zatrzymał karetkę obok samochodu Sterna.

– Tato? – Robert powrócił do rozmowy z ojcem, rozłączając się wcześniej z sekretarką. – Zaczynam spotkanie. Muszę kończyć – wyjaśnił, mimo że ojciec już wcześniej odłożył słuchawkę.

Z trudem otworzył drzwi limuzyny, walcząc z porywem wiatru, i wysiadł.

Po jaką cholere przyjechała tu karetką?

Carina wyskoczyła od strony kierowcy prosto w kałużę, ale zupełnie się nie przejęła, że jej biały pielęgniarski fartuch pokryły czarne bryzgi błota. Miała długie włosy w kolorze czerwonego wina mocno związane w koński ogon i wyglądała wręcz olśniewająco. Stern miał ochotę ją przytulić, lecz coś w jej spojrzeniu go od tego powstrzymało.

– Tkwię po uszy w gównie – powiedziała, wyjmując paczkę papierosów. – Tym razem chyba naprawdę nabroiłam.

– Co to wszystko ma znaczyć? Po co ten cały teatr? – spytał Stern. – Dlaczego nie mogliśmy spotkać się w mojej kancelarii, tylko właśnie tu, na tym... pobojuwisku?

Teraz, kiedy nie osłaniało go już wygodne wnętrze limuzyny, czuł nieprzyjemne zimno wzmagającego się październikowego wiatru. Odruchowo skulił ramiona.

– Nie marnujmy czasu, dobra? Pożyczyłam karetkę tylko na chwilę i muszę ją szybko odstawić.

– Okej. Ale jeśli coś przeszkrobałaś, lepiej by nam się rozmawiało w jakimś cywilizowanym miejscu.

– Nie, nie, nie. – Carina kręciła głową, unosząc przy tym rękę w geście odmowy. – Nie rozumiesz! Tu nie chodzi o mnie.

Szybkim krokiem obesza karetkę, otworzyła tylne drzwi i wskazała jej wnętrze.

– Tam leży twój klient.

Stern rzucił Carinie badawcze spojrzenie. Sporo już przeszedł, a widok postrzelonego bandyty, ofiary porachunków między gangami czy jakiegoś innego podejrzanego klienta, który pilnie i przede wszystkim anonimowo potrzebował jego pomocy, nie był dla niego niczym nowym. Zastanawiał się tylko, co Carina może mieć z tym wspólnego.

Ponieważ nic więcej nie powiedziała, powoli wszedł po metalowych stopniach do środka karetki. Natychmiast zauważył nieruchome ciało na noszach.

– Co to ma być? – Odwrócił się gwałtownie do Cariny, która została przy samochodzie i właśnie zapalała papierosa. Paliła bardzo rzadko i tylko w sytuacji, kiedy była naprawdę mocno zdenerwowana. – Przywiozłaś na to odludzie małego chłopca? Po co?

– Sam ci to wyjaśni.

– Ale nie wygląda, jakby ten malec miał coś... – *do powiedzenia*, chciał dokończyć zdanie, ponieważ blade jak trup dziecko zrobiło na nim wrażenie wręcz apatycznego. Jednak kiedy odwrócił się z powrotem w stronę noszy, chłopiec właśnie się podniósł i usiadł na ich brzegu, machając w powietrzu nogami.

– Nie jestem żadnym malcem – zaprotestował. – Mam już dziesięć lat! Dwa dni temu miałem urodziny.

Pod ocieplaną sztruksową kurtką chłopiec nosił czarny T-shirt z trupa czaszką i do tego nowiutkie džinsy, według Sterna zdecydowanie za długie. Ale czy on się na tym znał? Pewnie akurat było teraz w modzie, że czwartoklasiści podwijali nogawki spodni i wkładali pomazane flamastrami tenisówki.

– Jest pan adwokatem? – spytał chłopiec nieco ochrypłym głosem. Wyglądało na to, że mówienie sprawia mu kłopoty, jakby od dawna nic nie pił i miał wysuszone gardło.

– Tak. Obrońcą, dokładnie rzecz ujmując.

– Dobrze. – Chłopiec uśmiechnął się, pokazując zadziwiająco proste i białe zęby. Ten śliczny chłopak naprawdę nie potrzebował żadnej szczyrby

między zębami, żeby wzruszyć swoją babcie. Wystarczyły długie jak zapalki, ciemne rzęsy oraz pełne, lekko popękane wargi. – Bardzo dobrze – powtórzył, wstając ostrożnie z noszy i na chwilę odwracając się do Roberta plecami. Jego świeżo umyte jasnobrązowe delikatne loki opadały aż do ramion i, patrząc od tyłu, z łatwością można go było wziąć za dziewczynkę. Robert zauważył, że włosy zakrywają nalepiony na karku plaster wielkości karty kredytowej.

Kiedy chłopiec odwrócił się ponownie w jego stronę, nadal się uśmiechał.

– Jestem Simon. Simon Sachs.

Podał Robertowi swoją delikatną dłoń, którą ten uścisnął z wahaniem.

– Świetnie. Ja nazywam się Robert Stern.

– Wiem. Carina pokazała mi pana zdjęcie, które nosi w torebce. Mówi, że jest pan najlepszy.

– Dziękuję bardzo – wymamrotał nieco zakłopotany Stern. O ile sobie przypominał, była to najdłuższa od lat rozmowa, jaką przeprowadził z nieletnim. Dlatego też spytał nieco niezgrabnie: – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Potrzebuję adwokata.

– Wszystko jasne! – Stern spojrzał wymownie na Carinę, która z niewzruszoną miną zaciągała się papierosem. Dlaczego mu to zrobiła? Po co kazała mu przyjechać na to odludzie i przywiozła ze sobą dziesięciolatka? Przecież doskonale wiedziała, jak kiepsko sobie radzi z dziećmi. I że konsekwentnie trzyma się od nich z daleka, od momentu kiedy osobista tragedia zniszczyła najpierw małżeństwo, a później jego samego.

– A dlaczego uważasz, że potrzebujesz adwokata? – spytał, z trudem tłumiąc w sobie narastającą złość. Być może ta dziwaczna sytuacja dostarczy mu chociaż ciekawego tematu do pogawędek podczas przerw w posiedzeniach w kancelarii. Wskazał na plaster na karku Simona: – Czy to z tego powodu? Oberwałś od kogoś na szkolnym podwórku?

– Nie, nie dlatego.

– Dlaczego więc?

– Zabiłem.

– Co proszę? – Stern odezwał się dopiero po krótkiej przerwie, święcie przekonany, że to brutalne słowo nie mogło paść z ust dziesięciolatka. Jego głowa poruszała się teraz jak głowa kibica podczas meczu tenisowego, kiedy patrzył to na Carinę, to na chłopca. Tak długo, aż Simon powtórzył jeszcze raz. Głośno i wyraźnie:

– Potrzebuję adwokata. Jestem mordercą.

Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Jego głos mieszał się z ciągłym szumem dochodzącym z pobliskiej autostrady. Ale Stern nie słyszał tego tak samo, jak nie słyszał ciężkich kropli deszczu rozbijających się w nieregularnych odstępach o blaszany dach karetki.

– Okej. A więc uważasz, że kogoś zabiłeś, tak? – zapytał po kolejnej upiornej sekundzie.

– Tak.

– Mogę wiedzieć kogo?

– Nie wiem.

– Aha, nie wiesz. – Stern roześmiał się sucho. – I zapewne nie wiesz też jak, dlaczego ani gdzie to się wydarzyło, ponieważ to wszystko jest tylko głupim szczeniackim kawałem i...

– Siekierą – wyszeptał Simon, ale zabrzmiało to tak, jakby krzyknął.

– Słucham?

– Siekierą. W głowę. Mężczyznę. Niewiele więcej wiem. To było dawno temu.

Robert zamrugał nerwowo.

– Co znaczy dawno? Kiedy było dokładnie?

– Dwudziestego ósmego października.

Stern spojrział na kalendarz w swoim zegarku.

– To dziś – odpowiedział zdziwiony. – A przecież powiedziałaś, że to było dawno temu. No więc jak? Musisz się zdecydować.

Przez krótką chwilę pomyślał, że dobrze by było, gdyby biorąc świadków w krzyżowy ogień pytań, zawsze miał do czynienia z tak

łatwymi przeciwnikami. Dziesięcioletek, który już w pierwszych minutach swej opowieści płacze się w sprzecznościach. Zaraz jednak zmuszony był zmienić zdanie.

– Pan mnie nie rozumie. – Simon pokręcił ze smutkiem głową. – Zabiłem człowieka. Dokładnie tu!

– Tu? – powtórzył Stern jak echo, patrząc skonsternowany, jak Simon przechodzi koło niego, wysiada z karetki i rozgląda się z zaciekawieniem. Na tyle, na ile Stern mógł podążać za jego wzrokiem, spojrzenie chłopca spoczęło na zawalonym budynku przy grupie drzew, oddalonej o jakieś sto metrów.

– Tak. To było tu – potwierdził Simon z zadowoleniem, chwytając Carinę za rękę. – Tu zabiłem człowieka. Dwudziestego ósmego października. Piętnaście lat temu.

2

Robert Stern wysiadł z karetki, prosząc Simona, żeby chwilę zaczekał, a potem złapał Carinę mocno za nadgarstek i pociągnął parę kroków dalej za swoją limuzynę. Deszcz nieco ustał, ale ściemniło się, wzmógł się wiatr i zrobiło się zimniej. Ani Carina w cienkim fartuchu, ani on w czarnym dwuczęściowym garniturze nie byli odpowiednio ubrani na tę okropną pogodę, chociaż wydawało się, że w przeciwieństwie do niego Carina zupełnie nie czuje zimna.

– Krótkie pytanie – szepnął, chociaż Simon i tak nie mógł ich słyszeć z tej odległości. Wiatr i monotony szum autostrady połykały każdy dźwięk.

– Kto z was dwojga ma nierówno pod sufitem?

– Simon jest moim pacjentem na neurologii – odpowiedziała Carina, jakby to coś wyjaśniało.

– Może psychiatria byłaby dla niego bardziej odpowiednim miejscem – syknął Stern. – Co mają znaczyć te brednie o morderstwie sprzed piętnastu lat? Czy on nie umie liczyć? A może jest schizofrenikiem?

Otworzył pilotem bagażnik samochodu. Jednocześnie zapalił światło we wnętrzu auta, aby można było cokolwiek zobaczyć w panującym na zewnątrz półmroku.

– Ma raka mózgu. – Carina z pomocą kciuka i palca wskazującego uformowała okrąg, aby pokazać wielkość guza. – Dają mu jeszcze tylko kilka tygodni. Może nawet dni.

– Mój Boże! I to ma takie skutki uboczne? – Stern wyjął z bagażnika parasol.

– Nie, to moja wina.

– Twoja?

Podniósł wzrok od nowego eleganckiego parasola, którego sposobu działania jeszcze nie odkrył. Nie potrafił nawet znaleźć przycisku do otwierania.

– Mówiłam przecież, że nabroiliam. Musisz wiedzieć, że chłopak jest bardzo inteligentny, niewiarygodnie wrażliwy i zadziwiająco wykształcony jak na swój wiek, co moim zdaniem graniczy niemal z cudem, jeśli weźmie się pod uwagę warunki, w jakich się wychowywał. Kiedy miał cztery lata, odebrano go nieprzystosowanej społecznie matce ze zrujnowanego mieszkania... znaleziono go zagłodzonego w wannie obok martwego szczura. Trafił do domu dziecka. Tam zwrócili na niego uwagę, bo bardziej lubił czytać encyklopedię niż wdawać się w bójki z rówieśnikami. Jego opiekunowie uważali, że to normalne, że dziecko, które tak dużo myśli, często odczuwa ból głowy. Potem jednak wykryto u niego guz, a odkąd leży na moim oddziale, nie ma nikogo oprócz personelu medycznego. Właściwie nikogo oprócz mnie.

Teraz chyba i Carina poczuła chłód, bo zaczęły drżeć jej usta.

– Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.

– Przedwczoraj Simon miał urodziny, a ja postanowiłam sprawić mu specjalny prezent. Chociaż ma dopiero dziesięć lat, z powodu życiowych doświadczeń i choroby jest znacznie dojrzalszy od swoich rówieśników. Pomyślałam więc, że nie będzie na to za młody.

– Na co? Co mu podarowałaś? – Stern poddał się wreszcie i zrezygnował z otwarcia parasola. Trzymał go teraz jak wskaźnik wymierzony w pierś Cariny.

– Simon boi się śmierci. Zafundowałam mu więc regresję hipnotyczną.

– Co takiego? – spytał Robert, chociaż całkiem niedawno widział coś na ten temat w telewizji.

To było typowe dla Cariny, że zainteresowała się także tą ezoteryczną modą. Pomyśl, że chodziło się po tym świecie we wcześniejszym życiu, fascynował najwidoczniej ludzi w każdym wieku. Tęsknota za paranormalnymi doświadczeniami stanowiła idealny grunt dla

podejrzanych terapeutów wszelkiej maści, którzy wyrastali jak grzyby po deszczu i za odpowiednie honorarium oferowali tego typu „regresje”: podróż w przeszłość sprzed narodzin, podczas której można się dowiedzieć, zazwyczaj w stanie hipnozy, że przed sześciuset laty zostało się spalonym na stosie albo że nosiło się królewską koronę we Francji.

– Nie patrz tak na mnie. Wiem, co o tym sądzisz. Przecież nie czytasz nawet swojego horoskopu.

– Jak mogłaś wystawić tego chłopaka na jakieś czary-mary?

Stern był prawdziwie zszokowany. W programie telewizyjnym, który oglądał, ostrzegano przed możliwością poważnych urazów psychicznych. Człowiek o chwiejnej osobowości mógł sobie nie poradzić z sytuacją, kiedy jakiemuś szarlatanowi udało się mu wmówić, że jego obecne problemy wiążą się z nierozwiązanym konfliktem we wcześniejszym życiu.

– Chciałam tylko pokazać Simonowi, że śmierć nie oznacza końca i że wcale nie musi się martwić, że żył tak krótko, bo tak naprawdę życie trwa dalej.

– Powiedz, proszę, że to żart.

Pokręciła głową.

– Zabrałam go do doktora Tiefenseego. To dyplomowany psycholog, który prowadzi wykłady na uniwersytecie. Zatem żaden szarlatan, jak pewnie myślisz.

– I co się stało?

– Poddał Simona hipnozie i właściwie niewiele się wydarzyło. W stanie hipnozy Simon nie potrafił wiele rozpoznać. Później powiedział tylko, że był w jakiejś ciemnej piwnicy, gdzie słyszał głosy. Okrutne głosy.

Stern skrzywił się boleśnie. Zimno, pełzające wolno w górę pleców, z sekundy na sekundę stawało się coraz bardziej nieznośne. Ale to nie był jedyny powód, dla którego chciał zmyć się stąd jak najszybciej. Gdzieś w oddali pociąg towarowy zmierzał ku kolejnej stacji, a Carina zaczęła teraz mówić szeptem, tak jak Stern na początku ich rozmowy:

– Kiedy Tiefensee chciał go wybudzić z hipnozy, najpierw mu się to nie udało. Simon zapadł w głęboki sen. A gdy się ocknął, powiedział to samo,

co przed chwilą tobie. On uważa, że kiedyś był mordercą.

Stern miał ochotę wytrzeć wilgotne dłonie o gęste brązowe włosy, ale i te były już kompletnie mokre.

– Carina, to jakiś obłąd. I ty bardzo dobrze o tym wiesz. Zastanawiam się tylko, co to wszystko ma wspólnego z tobą?

– Simon ma niewiarygodne poczucie sprawiedliwości i koniecznie chce stawić się na policję.

– To prawda.

Robert i Carina odwrócili się nagle do chłopca, który podszedł do nich niezauważony w czasie ich gorączkowej wymiany zdań. Wiatr mierzwił mu loki na czole, a Stern zastanawiał się, jak to w ogóle możliwe, że on jeszcze je ma. Na pewno musiał przejść chemioterapię.

– Jestem mordercą. Dlatego chcę się oddać w ręce policji, ale bez adwokata nie powiem nic więcej.

Carina uśmiechnęła się melancholijnie.

– Usłyszał to zdanie w telewizji. A ty, niestety, jesteś jedynym adwokatem, którego znam.

Stern unikał spojrzenia jej w oczy. Gapił się pod nogi na błotnistą ziemię, zupełnie jakby jego szyte na miarę buty mogły udzielić mu wskazówki, w jaki sposób ma zareagować na to całe szaleństwo.

– No więc? – rozległ się głos Simona.

– Co „no więc”? – Stern spojrzał chłopcu prosto twarz, dziwiąc się, że ten znów się uśmiecha.

– Zostanie pan moim adwokatem? Mogę zapłacić. – Simon z trudem wygrzebał z kieszeni spodni mały portfel. – Mam pieniądze.

Stern pokręcił przecząco głową. Najpierw ledwie widocznie, potem coraz intensywniej.

– Mam, mam – zaprotestował Simon. – Naprawdę.

– Nie – powiedział Stern, patrząc ze złością nie na chłopca, tylko na Carinę. – Nie chodzi wcale o to, prawda? Nie kazałaś mi tu przyjechać, bo jestem adwokatem.

Teraz ona spuściła wzrok.

– Nie, masz rację – przyznała cicho.

Stern odetchnął ciężko i wrzucił bezużyteczny parasol z powrotem do bagażnika. Przesunął aktówkę, która tam leżała, otworzył plastikową pokrywę z boku bagażnika i wyjął podręczną apteczkę i latarkę. Sprawdził wiązkę światła, kierując latarkę na ruinę, na którą wcześniej wskazał Simon.

– No dobrze, miejmy to już za sobą.

Pogłaskał wolną dłonią Simona po głowie i sam nie mógł uwierzyć, że powiedział coś takiego do dziesięciolatka.

– Pokaż mi dokładnie, gdzie zamordowałeś tego człowieka.

3

Simon poprowadził ich dokoła zrujnowanego budynku. Przed laty był to dwupiętrowy budynek fabryczny. Później jednak spłonął, pozostawiając sterczące zwęglone fragmenty ścian, niczym wyciągnięte ku wieczornemu niebu poranione dłonie.

– Widzisz, tu nic nie ma.

Światło latarki powoli przesuwano się po resztkach ścian.

– Ale on musi gdzieś tu leżeć – odpowiedział Simon, jakby chodziło o zgubioną rękawiczkę, a nie o zwłoki. On też wyposażony był w niewielkie źródło światła. Plastikowy pręcik, który fluoryzował w ciemności, gdy się go raz przełamało.

– Z jego magicznego kuferka – wyjaśniła Sternowi Carina. Najwidoczniej oprócz regresji hipnotycznej dostał też normalne prezenty.

– Wydaje mi się, że to było tam na dole – powiedział Simon z przejęciem i ruszył naprzód.

Stern podążył za jego wyciągniętą ręką i skierował snop światła na dawną klatkę schodową, gdzie widać było jedynie wejście do piwnic.

– Nie możemy tam zejść. To bardzo niebezpieczne.

– Dlaczego? – spytał chłopiec, niezgrabnie przestępując w tenisówkach przez porozrzucone cegły.

– Zostań tu, skarbie. Wszystko może się zawalić. – Carina była nadzwyczaj zatroskana. Wcześniej w obecności Roberta tryskała wprost wesołością. Zupełnie jakby nadmiarem radości życia chciała wyrównać tłącą się w nim bezustannie melancholię. Ale teraz chyba trochę się bała,

widząc, że Simon zachowuje się jak spuszczonej ze smyczy niesforny pies, bo chłopiec po prostu ruszył przed siebie.

– Patrzcie, tam jest wejście! – krzyknął nagle. Zanim oboje zdążyli zaprotestować, Simon zniknął za żelbetowym dźwigarem.

– Simon! – zawołała Carina. Stern wszedł niezgrabnie na gruzowisko, aby do nich dołączyć. Potykał się w ciemności i rozdarł spodnie o jakiś zardzewiały drut. Kiedy wreszcie dotarł do wejścia do piwnicy i drewnianych osmolonych schodów, chłopiec zniknął właśnie za rogiem korytarza dwadzieścia stopni niżej.

– Natychmiast wyjdź stamtąd! – krzyknął Stern, momentalnie przeklinając nierozważny dobór słów. W jednej sekundzie zdał sobie sprawę, że wspomnienie, które to zdanie w nim budziło, było gorsze od wszystkiego, co mogło go tu spotkać.

„Wyjdź stamtąd. Skarbie, proszę. Mogę ci pomóc...”

Nie było to jedyne kłamstwo, które powiedział wówczas do Sophie przez zamknięte drzwi łazienki. Bez skutku. Przez cztery lata próbowali wszystkiego, każdej techniki i metody leczenia, aż wreszcie otrzymali wyczekiwany telefon z kliniki leczenia bezpłodności. Wynik pozytywny. Ciąża. W tamtym momencie, niemal dokładnie przed dziesięcioma laty, wyglądało na to, że jakaś siła wyższa zupełnie od nowa skalibrowała kompas jego życia. Strzałka nagle zaczęła wskazywać na szczęście, i to w najczystszej formie. Niestety trwało to jedynie krótką chwilę, której wystarczyło mu na oblepienie świecącymi gwiazdkami sufitu w nowym pokoju dziecięcym i wybranie razem z Sophie ubranek dla dziecka. Felix nie miał ich na sobie ani razu. Pogrzebano go w śpioszkach, które pielęgniarki włożyły mu jeszcze na oddziale dla noworodków.

– Simon?! – krzyknął Stern tak głośno, że sam wyrwał się z koszmarnych myśli. Wzdrygnął się, gdy Carina stojąca obok zrobiła to samo.

– Chyba coś tu jest! – dobiegł ich z dołu stłumiony dziecięcy głos.

Stern zaklął i wybadał stopą pierwszy stopień.

– Nie ma rady, trzeba tam wejść.

Również i te słowa przypomniały mu tamten najstraszniejszy moment w jego życiu, kiedy Sophie uciekła do szpitalnej łazienki z martwym niemowlakiem na rękach i nie chciała go oddać.

„Zespół nagłego zgonu niemowlęcia” – brzmiała diagnoza, której nie chciała wtedy zaakceptować. Dwa dni po rozwiązaniu.

– Idę z tobą – powiedziała Carina.

– Nie ma mowy. – Stern ostrożnie postawił na stopniu drugą stopę. Schody wytrzymały nacisk trzydziestu pięciu kilo, zobaczymy, co się stanie przy ponaddwukrotnie większym ciężarze.

– Mamy tylko jedną latarkę, a ktoś musi sprowadzić pomoc, jeśli za parę minut stamtąd nie wyjdziemy.

Spróchniałe drewno trzeszczało przy każdym kroku niczym takielunek żaglówki przy lekkiej fali. Schodząc coraz niżej, Stern nie był pewien, czy to zmysł równowagi płata mu figła, czy też poręcz rzeczywiście chwieje się coraz bardziej.

– Simon?! – zawołał chyba po raz piąty, ale zamiast odpowiedzi usłyszał z oddali metaliczny brzęk. Jakby chłopiec uderzał śrubokrętem w rurę centralnego ogrzewania.

Chwilę później stał już z bijącym sercem u podnóża schodów. Spojrzał w górę. Na dworze zapadła już taka ciemność, że z dołu nie był w stanie dostrzec zarysów sylwetki Cariny.

Zaświecił w prawo w głąb piwnicy, rozdzielającej się na dwa korytarze. W każdym stało jakieś pięć centymetrów błotnistej wody.

Nie do wiary, że chłopiec odważył się wejść sam w to przemysłowe bagno. Stern wybrał lewy korytarz, ponieważ w drugim już po paru metrach przewrócona szafka z bezpiecznikami blokowała przejście.

– Gdzie jesteś?! – zawołał, brodząc po kostki w lodowatej brei.

Simon znów nie odpowiedział, ale przynajmniej dał znak życia. Zakasłał. Był kilka kroków przed Sternem, a mimo to Stern nie potrafił namierzyć go latarką.

Jeszcze stracę tu życie, pomyślał. Nogawki spodni wchłaniały wilgoć niczym bibuła. Gdy jakieś dziesięć metrów przed sobą dostrzegł drewniane

przepierzenie, zadzwoniła komórka.

– Gdzie on jest? – spytała Carina niemal histerycznym głosem.

– Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że w bocznym korytarzu.

– Co mówi?

– Nic, tylko kaszle.

– O Boże, natychmiast go stamtąd wyciągnij! – Głos Cariny załamywał się ze zdenerwowania.

– A jak myślisz, po co tu zszedłem? – odburknął.

– Nie rozumiesz mnie. Guz. Zawsze tak się dzieje przed.

– Co masz na myśli? Przed czym?

Stern ponownie usłyszał kaszel Simona. Tym razem jeszcze bliżej niż poprzednio.

– Skurcze oskrzeli poprzedzają omdlenie. On za chwilę straci przytomność! – krzyczała Carina tak głośno, że słyszał ją jednocześnie przez komórkę i z zewnątrz.

I upadnie twarzą w wodę, i utonie. Tak jak...

Stern ruszył biegiem. We wzbierającej panice nie zauważył czarnej drewnianej belki, która zwęglona i przez to niewidoczna zwisała z sufitu. Całą siłą uderzył o nią głową. Od bólu dużo większy okazał się jednak strach. Wydawało mu się, że został zaatakowany, dlatego w obronnym geście poderwał obie ręce do góry. Kiedy zorientował się w błędzie, było już za późno. Latarka mrugnęła jeszcze dwa razy pod wodą w miejscu, gdzie ją upuścił, potem zgasła.

– Cholera! – Palcami prawej ręki starał się wymacać ścianę. Krok po kroku zaczął posuwać się do przodu, uważając, żeby nie stracić orientacji w ciemności. W tej chwili i tak był to jego najmniejszy kłopot. Przecież dotychczas szedł tylko prosto przed siebie. Dużo bardziej martwiło go, że Simon już nie kaszle.

– Hej, jesteś tu jeszcze?! – krzyknął. Nagle coś trzasnęło mu w uchu. Poczł się jak pasażer samolotu podczas lądowania. Musiał kilka razy przełknąć ślinę, aby zmniejszyć ucisk na błonę bębenkową. Zaraz potem usłyszał ciche charczenie. Za drewnianym przepierzeniem, jakieś dziesięć

metrów na wprost i potem za rogiem. Musiał tam dotrzeć. Do bocznego korytarza. Simon tam był. Woda hamowała jego kroki, ale tempo było niestety wystarczające, aby wywołać zgubną reakcję łańcuchową.

– Simon, słyszysz... Pomocyyyyyy!

Z tym ostatnim słowem runął przed siebie. W cuchnącej wodzie zaplątał się w stary kabel telefoniczny, który jak wnyki na dzika zacisnął się wokół jego stopy. Stern spróbował jeszcze dłonią znaleźć oparcie w wilgotnej ścianie, jednak złamał tylko dwa paznokcie, zanim padł jak długi.

W momencie uderzenia zorientował się, że dotarł już na sam koniec korytarza. Nie upadł w wodę, tylko rękoma zaparł się o miękką drewnianą ścianę. Zatrzeszczało jak przy pierwszym kroku na schodach, z tym, że o wiele głośniej, a potem przebił się przez coś, co sądząc po odgłosie, musiało być płytą ze sklejk. Albo drzwiami. W odruchu przerażenia wyobraził sobie, jak wpada w niezabezpieczony szyb górniczy albo głęboką studnię, ale po kilku centymetrach całym ciałem brutalnie walnął w twardą glebę. Jedynym pozytywem w jego nowym położeniu było to, że woda jeszcze nie dotarła do tego rogu piwnicy. Zamiast tego z sufitu i ścian oderwały się jakieś trudne do zdefiniowania przedmioty i spadły prosto na niego.

O mój Boże. Stern nie odważył się dotknąć tego czegoś dużego i okrągłego, co wylądowało nagle na jego kolanach. Zbyt przeraźliwa była jego pierwsza upiorna myśl, że wymaca zsiniałe usta i obrzmiałą twarz: martwą twarz Feliksa.

Zaraz jednak zaczęło się robić wokół niego coraz jaśniej. Zamrugał, potrwało to chwilę, zanim się zorientował, co było nieoczekiwanym źródłem światła. Dopiero kiedy stanęła tuż przed nim, rozpoznał Carinę, która zielonkawym wyświetlaczem swojej komórki jako tako oświetlała przegrodę, w którą wpadł.

Jej krzyk Stern zobaczył wcześniej, niż usłyszał. Na ułamek sekundy Carina otworzyła niemo usta, żeby po chwili wydobyć z siebie przeszywający wrzask, który odbijał się od betonowych ścian. Stern zamknął oczy.

W końcu jednak zebrał całą odwagę i spojrzał w dół.

Miał ochotę wymiotować.

Głowa na jego kolanach tkwiła jak gałka karnisza przyczepiona do reszty częściowo już rozłożonych zwłok. W zamieszaniu wywołanym przez niedowierzanie, wstręt i przerażenie Stern zauważył jeszcze, ziejącą w czaszce ranę, jaką pozostawiła tam siekiera.

4

Łzy płynęły z oczu policjanta szybciej, niż potrafił mrugać. Martin Engler sapał przez zaciśnięte usta, odchylił głowę do tyłu i macał na oślep ręką po stole, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. W ostatniej chwili rozerwał opakowanie, wyjął chusteczkę i przystawił ją do nosa.

Aaaaapsiiiik...

– Przepraszam. – Oficer dochodzeniowy wydziału zabójstw wyczyścił nos, a Stern zastanawiał się, czy przypadkiem Engler podczas gwałtownego kichnięcia nie wyrzucił z siebie niemal niesłyszalnego „palant”.

To by nawet pasowało. Po tym, jak Stern wygrał kilka uniewinnień dla osób aresztowanych osobiście przez Englera, nie należał do najbliższych przyjaciół komisarza.

– Ehm – odchrząknął siedzący obok Englera mężczyzna z wyraźną nadwagą. Stern odwrócił się na chwilę do funkcjonariusza, spod którego podwójnej brody wystawało potężne jabłko Adama.

Wchodząc do pozbawionego okien pokoju przesłuchań, przedstawił się jako Thomas Brandmann. Nie podał stopnia służbowego ani nie określił, w jakim charakterze występuje. I pomijając gardłowe pochrząkiwanie, jakie co pięć minut wydobywało się z jego krtani, nie odezwał się jeszcze ani słowem. Stern zupełnie nie wiedział, co o tym sądzić. W przeciwieństwie do Englera, który już od ponad dwudziestu lat służby był stałym elementem wydziału policji kryminalnej, tego barczystego mężczyzny nie widział tu jeszcze ani razu. Powściągliwość w komunikacji z jego strony mogła oznaczać, że to on prowadzi dochodzenie. Lub wręcz przeciwnie.

– Chce pan? – Engler podniósł w górę opakowanie aspiryny. – Wygląda pan, jakby potrzebował lekarstwa.

– Nie, dziękuję. – Stern pokręcił głową i dotknął bolącego guza, który pulsował mu na czole. Po upadku w piwnicy huczało mu w głowie i był wkurzony, że siedzący przed nim komisarz nawet teraz, z zaczerwienionymi oczami i ciekącym nosem, sprawiał wrażenie bardziej pełnego życia niż on. Łóżko opalające i poranne bieganie po lesie dają jednak całkowicie odmienne efekty niż długie noce przed komputerem w kancelarii.

– Dobrze, podsumujmy więc.

Oficer sięgnął po notes. Stern nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy Brandmann ponownie odchrząknął, chociaż nadal nie miał nic do powiedzenia.

– Znalazł pan zwłoki dziś po południu, około godziny 17.30. Na miejsce znaleziska zaprowadził pana chłopiec, Simon Sachs, w towarzystwie pielęgniarki, Cariny Freitag. Wspomniany Simon ma dziesięć lat, choruje na raka mózgu i właśnie jest... – Engler przełożył kartkę – ...leczony na oddziale neurologicznym kliniki Seehaus w Westendzie. Twierdzi, że sam zamordował tego mężczyznę. W poprzednim życiu.

– Piętnaście lat temu, tak – potwierdził Stern. – Jeśli dobrze liczę, powiedziałem to panu już po raz ósmy.

– Tak, tak. Ale...

Engler przerwał w połowie zdania i ku zdumieniu Sterna odchylił ponownie głowę w tył, po czym kciukiem i palcem wskazującym mocno ścisnął sobie nos.

– Proszę nie zwracać uwagi – powiedział nosowym głosem, przypominając przez to jakąś postać z komiksu. – Cholerne krwawienie. Zawsze mi się przytrafia, kiedy jestem przeziębiony.

– No to niech pan lepiej nie bierze już aspiryny.

– Wiem, wiem, rozrzedza krew. Ale na czym to stanęliśmy? – Engler ciągle mówił do szarego sufitu. – Ach tak. Zgadza się. Po raz ósmy

przedstawił mi pan tę zawiłą historię. I za każdym razem zastanawiam się, czy nie powinienem poddać pana testowi na zawartość narkotyków.

– Niech się pan nie wysila. Jeśli ma pan zamiar jeszcze bardziej pogwałcić moje prawa, proszę bardzo. – Stern odwrócił dłonie w zachęcającym geście, jakby niósł tacę. – Nie mam co prawda wiele radości z życia, ale oskarżenie pana i całej komendy z pewnością byłoby dla mnie wesołą odmianą.

– Proszę się nie denerwować, panie Stern.

Robert Stern aż się wzdrygnął.

Cud, pomyślał. Dwumetrowy kłoc obok Englera potrafi mówić.

– Nie jest pan podejrzany – wyjaśnił Brandmann.

Stern nie był pewien, czy między słowami nie padło „jeszcze”.

– Żeby nie było żadnych wątpliwości. – Stern powstrzymał się od odchrząknięcia. – Jestem prawnikiem, ale nie zwariowałem. Nie wierzę w wędrówkę dusz, reinkarnację i wszystkie te ezoteryczne banialuki. Nie zajmuję się też w wolnym czasie odkopywaniem szkieletów. Rozmawiajcie z chłopcem, nie ze mną.

– Zrobimy to, jak tylko się obudzi – przytaknął Brandmann.

Simona znaleźli nieprzytomnego w bocznym korytarzu. Na szczęście omdlenie nie nastąpiło tak gwałtownie, jak pierwszy atak przed dwoma laty, kiedy guz w czołowej części mózgu po raz pierwszy dał o sobie znać. Simon rozbił sobie wtedy do krwi głowę o kant biurka nauczyciela, gdy wywołany zemdłał w drodze do tablicy. Tym razem zdążył się jeszcze podeprzeć, zanim osunął się oparty plecami o ścianę w podtopionym korytarzu. Oprócz tego, że zapadł w głęboki sen, chyba nic mu się nie stało.

Carina zabrała go karetką z powrotem do kliniki tak szybko, jak tylko się dało. Dlatego Stern czekał sam na miejscu, kiedy pojawił się tam Engler ze swoimi ludźmi i ekipą do zabezpieczania śladów.

– Jeszcze lepiej zrobicie, jak zajmiecie się terapeutą – radził dalej Stern.

– Kto wie, co ten Tiefensee wmówił Simonowi podczas hipnozy.

– Och, co za znakomity pomysł! Psycholog! No nie, w życiu sam bym na to nie wpadł. – Engler skrzywił się cynicznie. Krwawienie z nosa ustało,

więc teraz znów patrzył Sternowi prosto w oczy. – Twierdzi pan zatem, że zamordowany leżał tam od piętnastu lat?

Stern westchnął.

– Nie. Nie ja tak twierdzę, tylko Simon. Chociaż może ma rację.

– Dlaczego?

– Cóż, nie jestem co prawda patologiem, lecz w piwnicy panowała wilgoć, a ciało znajdowało się w ciemnej drewnianej przegrodzie, jak w szczelnej trumnie, do której nie dochodziło świeże powietrze. Mimo to niektóre partie uległy niemal całkowitemu rozkładowi. Niestety dotyczy to również głowy, którą trzymałem w dłoniach. A to oznacza...

– ...że zwłok nie pozbyto się dopiero wczoraj. Jasne.

Stern zdziwiony obrócił się do tyłu. Nie usłyszał, kiedy wszedł ten mężczyzna. Opierał się teraz o ramę drzwi. Brunet z widocznymi pasemkami siwych włosów i w okularach ze stonowaną złotą ramką wyglądał bardziej na starzejącego się trenera tenisa ziemnego niż na naczelnika wydziału przy Krajowym Urzędzie Kryminalnym. Stern zastanawiał się, jak długo Christian Hertzlich, bezpośredni przełożony Englera, przysłuchiwał się ich burzliwej wymianie zdań.

– Dzięki nowoczesnej medycynie sądowej wkrótce poznamy dokładny czas zgonu delikwenta – powiedział Hertzlich.

– Jednak niezależnie od tego, czy było to pięć, piętnaście, czy nawet pięćdziesiąt lat temu – podszedł krok do przodu – jednego możemy być w każdym razie pewni: Simon nie mógł być sprawcą.

– Ja też tak uważam. To wszystko? – Stern wstał, poirytowany odsunął mankiet koszuli i ostentacyjnie spojrzął na zegarek. Było tuż przed wpół do jedenastej.

– Naturalnie, może już pan iść. I tak mam coś pilnego do omówienia z obydwojema panami.

Hertzlich wziął do ręki skoroszyt, który dotychczas trzymał zwinięty pod pachą, i pokazał go swoim funkcjonariuszom niczym trofeum.

– Pojawił się nowy, zupełnie zaskakujący trop.

5

Martin Engler odczekał, aż Stern zatrzaśnie za sobą drzwi. Później nie był już w stanie dłużej ukrywać wściekłości i podniósł się tak gwałtownie, że przewróciło się krzesło, na którym siedział.

– Co to niby miało znaczyć?!

Brandmann odchrząknął i tym razem chyba naprawdę chciał coś powiedzieć. Jednak uprzedził go Hertzlich, który właśnie położył na stole skoroszyt tylną stroną do góry.

– Nie rozumiem. Przecież szło wręcz fantastycznie.

– Bzdura! W ten sposób nie da się prowadzić przesłuchania! – rzucił Engler do swojego zwierzchnika. – Nigdy więcej nie wezmę udziału w takim gównie.

– Dlaczego pan się tak denerwuje?

– Bo się ośmieszyłem. Na numer z dobrym i złym gliniarzem już nikt się nie da nabrać. A na pewno nie ktoś pokroju Roberta Sterna.

Hertzlich spojrział w dół na swoje brudne buty z gładkiej skóry, których długie sznurowadła związane były na rozpaczliwy supeł. Zaraz potem pokręcił ze zdziwieniem głową.

– Wydawało mi się, Engler, że załapał pan naszą metodykę.

Metodykę. Co za brednie! Engler kipiał ze złości.

Odkąd Brandmann do nich dołączył, nie było tygodnia, w którym nie musiał brać udziału w seminarium z psychologicznego prowadzenia negocjacji. Tego olbrzymiego dzieciucha wypożyczono w ramach programu doszkalającego trzy tygodnie temu z Federalnego Urzędu Kryminalnego, gdzie pracował jako doświadczony profiler. Oficjalnie przydzielono go do

ekipy Englera tylko w roli doradcy, ale wyglądało na to, że jego status urósł do rangi specjalnego śledczego, bo Engler musiał znosić jego obecność nawet podczas przesłuchań.

– Muszę przyznać rację naczelnikowi Hertzlichowi – odezwał się przyjaźnie psycholog kryminalny. – Właściwie wszystko przebiegło wręcz podręcznikowo. – Odchrząknął. – Najpierw Stern stał się nerwowy z powodu długiego oczekiwania. Potem przez to, że milczałem, nie mógł mnie przyporządkować do żadnego konkretnego obozu. W tym leży różnica w porównaniu z przestarzałą taktyką przesłuchiwania, o której był pan łaskaw przed chwilą wspomnieć, panie Engler.

Brandmann zrobił sztuczną przerwę, a Martin zastanawiał się, dlaczego ten typ musi tak idiotycznie szczyrzyć do niego zęby, skoro już częstuje go takim wywodem.

– Właśnie dlatego, że nie grałem dobrego policjanta, nerwowość Sterna przeszła w dezorientację. Zaczął wtedy szukać zrozumienia u pana. A kiedy go nie znalazł, w końcu się wściekł.

– Okej, niewykluczone, że na koniec udałoby mi się sprawić, że zaczęłyby szczekać, gdyby nam o to chodziło. Zastanawiam się tylko, czemu miał służyć cały ten teatr?

– Kto się wścieka, ten popełnia błędy – rozbrzmiał głos Hertzlicha i Engler nie po raz pierwszy pomyślał, jak nieodpowiednie potrafią być niektóre nazwiska[1]. Nie znał nikogo na wydziale, kto w ramach firmowej wigilii zgodziłby się przejść z szefem na ty.

– Potrzebujemy różnych emocjonalnych wahań Sterna do analizy jego aktywności wzrokowej.

Analiza aktywności wzrokowej. Eye-Tracking. Pupilometria. Kolejne nowomodne gówno. Tydzień temu okablowano cały ponury pokój przesłuchań, w którym się teraz starli. Jedna z trzech kamer skierowana była w oczy osoby przesłuchiwanej. W teorii podczas przesłuchania sprawcę miało zdradzać intensywniejsze mruganie, zwężenie źrenic i zmiany kąta spojrzenia. W praktyce Engler się z tym zgadzał, choć uważał,

że doświadczony oficer dochodzeniowy nie potrzebuje żadnych technicznych fidrygałek, aby rozpoznać kłamstwo.

– Możemy się tylko modlić, żeby Stern się nie zorientował, że potajemnie go nagrywaliśmy. – Wskazał na ścianę za sobą. – Facet jest jednym z najzdolniejszych prawników w tym mieście.

– Być może również mordercą – powiedział Hertzlich.

– Przecież sam pan w to nie wierzy! – Engler przełknął ślinę i zastanowił się, czy po drodze do domu znajdzie jakąś aptekę. Pilnie potrzebował jakiegoś działającego miejscowo środka przeciwbólowego, który mógłby sobie psiknąć w gardło. – Jego IQ jest wyższe niż Mount Everest! Nie jest przecież głupcem, żeby zaprowadzić nas jak po sznurku do zwłok mężczyzny, którego sam zamordował.

– Mógł tak zrobić umyślnie. To byłoby sprytne posunięcie.

Naczelnik uniósł nieco w górę ciężkie okulary, pocierając palcami miejsca na bokach nosa, gdzie pozostawiły głębokie odciski. Engler nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek patrzył szefowi prosto w oczy. Na wydziale robiono nawet zakłady, że Hertzlich śpi z tym czymś na nosie.

– Możliwe też, że zwariował – zastanawiał się Hertzlich głośno. – Historia z ponownie narodzonym chłopcem brzmi dla mnie w każdym razie nie całkiem zdrowo.

– Sprawia wrażenie chwiejnego psychicznie – przytaknął psycholog.

Engler przewrócił oczami.

– Powtórzę jeszcze raz: marnujemy nasz czas, koncentrując się nie na tym człowieku, na którym powinniśmy.

Hertzlich niespodziewanie odwrócił się do niego.

– Myślałem, że go pan nie znosi.

– Tak, Stern to palant. Ale nie morderca.

– A co pana skłania do takiego wniosku?

– Dwadzieścia trzy lata doświadczenia. Mam nosa w takich sprawach.

– Cóż, wszyscy słyszymy, jak fantastycznie funkcjonuje dziś pana nos.

Jedynie Hertzlich zaśmiał się ze swojego dowcipu, a Engler musiał zapisać na plus Brandmannowi, że ten nie wszedł jeszcze całkiem w tyłek

naczelnika. Niestety nie zdążył już wyjaśnić, dlaczego uważa Roberta Sterna za osobę niezdolną do zatłuczenia kogoś siekierą, bo znowu gwałtownie pociekło mu z nosa. Kiedy celulozowa chusteczka przesiąkała krwistą czerwienią, musiał znów odchylić głowę do tyłu.

– No, nie, tylko nie to...

Hertzlich obserwował go podejrzliwie.

– Myślałem wcześniej, że krwawienie z nosa to część przedstawienia. Czy w tym stanie nadaje się pan w ogóle do prowadzenia dochodzenia?

– Tak, to tylko lekki katar. Żaden problem.

Oderwał dwa czyste kawałki chusteczki, skręcił je i zakorkował nimi obie dziurki w nosie.

– Już wszystko gra.

– Dobrze, bardzo dobrze. Niech pan więc zwoła swoją ekipę i za dziesięć minut stawi się w moim biurze.

Engler westchnął i spojrzał na zegarek. Była za piętnaście jedenasta. Bez względu na stan zdrowia musiał pilnie wyprowadzić Charliego. Biedne psisko czekało na niego w małym mieszkaniu już od ponad dziesięciu godzin.

– Proszę nie robić takiej miny, Engler. To nie potrwa długo. Niech pan przeczyta akta. Zrozumie pan, dlaczego chcę, żeby pan dał porządnie popalić Sternowi.

Engler podniósł ze stołu skoroszyt.

– Jak to? Co tam takiego jest?! – krzyknął za Hertzlichem, który właśnie opuszczał pokój przesłuchań.

– Nazwisko pewnego starego znajomego – powiedział Hertzlich, odwracając się w drzwiach. – Wiemy już, kim jest ofiara.

6

Stern wsłuchiwał się w smutny głos nagrany w poczcie głosowej, kiedy dzień później około jedenastej w nocy wszedł do swojej willi. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny Carina wielokrotnie próbowała się do niego dodzwonić, ale zostawiła tylko jedną wiadomość. Ją również przesłuchano, ponadto dziś rano aż do dowołania została urlopowana przez kierownictwo kliniki.

– Simon czuje się dobrze. Pyta o ciebie. Obawiam się jednak, że teraz masz już dwoje klientów, którzy pilnie potrzebują pomocy prawnika – spróbowała zażartować. – Czy naprawdę mogą mnie oskarżyć o wprowadzenie tylko dlatego, że zabrałam Simona ze szpitala? – Carina zaśmiała się nerwowo, zanim odłożyła słuchawkę.

Stern skasował wiadomość, naciskając dwa razy siódmkę. Miał zamiar oddzwonić do niej dopiero jutro, w sobotę, jeśli w ogóle, bo tak naprawdę nie chciał już mieć nic wspólnego z tą sprawą.

Własne problemy mu wystarczały.

Nie zdejmując płaszcza, z pocztą pod pachą wszedł do salonu. Włączył światło i rozejrzał się. Pokój wyglądał, jakby jakaś zorganizowana banda wpadła tu i wywiozła ciężarówką wszystkie drogie meble i wartościowe przedmioty. Stern patrzył przez chwilę, a potem zgasił niewygodne światło, które przypomniało mu o wczorajszym wieczorze i żałośnie umeblowanym pokoju, gdzie przesłuchali go Engler i Brandmann. Po wszystkich wydarzeniach tego tygodnia zdecydowanie lepiej znosił widok zapuszczonego domu, kiedy panował tu półmrok.

Kroki Sterna na parkiecie z wiśniowego drewna odbijały się echem od nagich ścian. W drodze do kanapy minął przewrócone krzesło ogrodowe i uschłą roślinę pokojową. Nie było regałów, zasłon, szaf czy dywanów. Tylko srebrnoszara lampa bez abażuru, stojąca obok sofy. Włączona nie oświetlała jednak całego ogromnego pokoju, ponieważ brakowało w niej trzech z czterech żarówek. Głównym źródłem światła był zazwyczaj stary telewizor kineskopowy, który stał na podłodze dwa metry dalej przed pustym kominkiem.

Stern usiadł, sięgnął po pilota i zamknął oczy, kiedy ekran wypełniły białe szumy.

Dziesięć lat, pomyślał, rozciągając się na pustej kanapie. Gładził szorstką skórę, szukał miejsca przypalonego przez zimne ognie, które Sophie upuściła ze śmiechu w sylwestra. Dziesięć lat temu. Tamtego dnia miały dwa tygodnie, gdy powinna mieć okres.

W przeciwieństwie do niego Sophie udało się po śmierci Feliksa uciec przed samą sobą. Schronieniem stało się dla niej drugie małżeństwo. Urodziła w nim jak dotąd dwójkę dzieci – bliźniaczki. Dziewczynki były z pewnością jedynym powodem, dla którego Sophie nie utonęła w swych depresjach.

Tak jak ja.

Stern przeciął taśmę wspomnień, otwierając oczy. Wyjął korek z na wpół opróżnionej butelki wina, która już od kilku dni stała na podłodze. Smakowało obrzydliwie, ale spełniło swoje zadanie. Nigdy nie oczekiwał gości, dlatego też w lodówce nie było nic więcej – a nawet jeśli któryś z jego kumpli odwiedziłby go niezapowiedzianie, co jeszcze nigdy się nie zdarzyło, i tak by go nie wpuścił.

Nie bez powodu Stern co rok zlecał firmie ochroniarskiej zabezpieczenie okien i drzwi najnowszymi systemami antywłamaniowymi. Zdawał sobie przy tym sprawę, że technicy muszą go uważać za zupełnego świra, bo przecież w całym budynku nie było nic, co by przedstawiało większą wartość.

Stern nie bał się włamywaczy. Bał się odkrywców. Ludzi, którzy starali się wejrzeć za jego starannie zbudowaną fasadę z drogich garniturów, wypolerowanych na błysk samochodów służbowych i wysprzątaných biur z widokiem na Bramę Brandenburską, aby odkryć puste obszary duszy Roberta Sterna.

Pociągnął kolejny łyk z butelki, roniąc przy tym przez nieuwagę kilka kropel czerwonego wina, które poplamiły jego białą koszulę. Kiedy zmęczony spojrzał na siebie, mimowolnie przypomniał sobie kolejny obraz: Sophie zauważyła to pierwsza, trzymając Feliksa na rękach, świeżo po kąpieli i bez ciepłego kocyka, w który owinięto niemowlę zaraz po urodzeniu. Najpierw zaniepokoiłi się, że może chodzić o złośliwą zmianę skórą na jego ramieniu, ale lekarze szybko ich uspokoili.

– To wygląda jak mapa Włoch. – Sophie śmiała się jeszcze, kiedy nacierali go oliwką dla niemowląt. Później obiecali sobie uroczyście, że pierwszy rodzinny urlop spędzą w Wenecji. W końcu dojechali tylko do cmentarza.

Stern odstawił butelkę i zaczął przeglądać pocztę. Dwie reklamy, mandat i tygodniowy wyciąg z banku. Najbardziej osobiste było najnowsze DVD z internetowej wypożyczalni.

Odkąd istniała możliwość otrzymywania filmów pocztą, nie wychodził już w weekendy nawet do wypożyczalni wideo. Otworzył małą kartonową kopertę, nie zwracając uwagi na tytuł filmu. I tak pewnie go znał. Stern w zasadzie zamawiał wyłącznie filmy, w których nie występują dzieci i jest możliwie mało scen miłosnych. Nie miał więc zbyt dużego wyboru.

Włożył DVD do odtwarzacza i zanim ponownie opadł na poduszki, zdjął marynarkę i rzucił ją obojętnie na podłogę.

Był śmiertelnie zmęczony i wiedział, że pewnie wytrzyma nie więcej niż kilka pierwszych minut, zanim uśnie na kanapie, co zresztą w weekendy zdarzało mu się bardzo często. Na szczęście nie było nikogo, kto mógłby go znaleźć tu jutro rano. Żadnej rodziny, żadnych przyjaciół. Nawet gosposi.

Nacisnął „play” w oczekiwaniu na jeden z tych beznadziejnych filmików, których nie dało się przewinąć, grożących więzieniem w przypadku, gdyby

ktoś chciał nielegalnie skopiować płytę.

Ale zamiast tego obraz zatrzęsł się parę razy, jak przy amatorskim nagraniu z urlopu. Stern zmarszczył czoło i usiadł. Nagle rozpoznał sfilmowane miejsce. To całkowicie wyrwało go z odrętwienia. Z sekundy na sekundę wszystko wokół, co miał w polu widzenia, przestało istnieć. Nie czuł ani butelki wina, która wysliznęła mu się z dłoni, ani jej krwistej zawartości, która rozlała się po białej koszuli. Wszelkie zewnętrzne bodźce zostały stłumione, był teraz tylko on i telewizor. I nawet on się zmienił. Sternowi wydawało się, że nie patrzy na szklany ekran, tylko przez zakurzone okno do pomieszczenia, do którego nigdy więcej w życiu nie chciał wejść. Kiedy kamera zrobiła najazd, przestraszył się, że traci zmysły. Mgnienie oka później był już tego pewien.

7

Zielonkawy obraz oddziału dla noworodków zastygł, gdy jakiś zniekształcony głos wypowiedział pierwsze zdanie:

– Czy wierzy pan w życie po śmierci, panie Stern?

Chociaż słowa wydobywające się z głośników brzmiały nienaturalnie metalicznie, wypowiadający je głos był tak rzeczywisty, że Stern przez moment chciał obejrzeć się za siebie, żeby przekonać się, czy jego źródło nie jest aby osobą z krwi i kości, stojącą za jego plecami.

Po chwili przerażenia zsunął się z sofy i powoli zbliżył na kolanach do telewizora. Z niedowierzaniem dotknął naelektryzowanego ekranu, macając cyfrowy wskaźnik daty, jakby to było pismo Braille’a.

Nawet bez tej wskazówki nie miał wątpliwości, kiedy i gdzie nagrano film. Dziesięć lat temu, w szpitalu, w którym Felix z rumianymi policzkami przywitał świat i zaledwie czterdzieści osiem godzin później z ostygłymi i sinymi ustami go opuścił.

Palce Sterna powędrowały na środek ekranu, gdzie jego nowo narodzony syn leżał w pleksiglasowej waniencie, która stała wśród wielu innych niemowlęcych łóżeczek. Felix żył! Poruszał kruchymi rączkami, jakby chciał dotknąć chmurkowej zawieszki, jaką Sophie i Robert zmajstrowali dla niego z kłębuszków waty na długo przed jego urodzeniem i zawiesili na metalowej konstrukcji łóżeczka.

– Czy wierzy pan w wędrówkę dusz? W reinkarnację?

Robert cofnął się raptownie od telewizora, jakby to duch syna przemówił do niego osobiście. Nieostry obraz dziecka w błękitnym śpiworku tak bardzo pochłonął jego uwagę, że prawie zapomniał o metalicznym głosie.

– Nie ma pan pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, prawda?

Stern pokręcił głową jak w transie, jakby faktycznie był w stanie porozumieć się z anonimowym głosem, który przypominał głos chorego na raka, mówiącego przez mikrofon zamocowany na krtani.

– Niestety nie mogę się przedstawić, z powodów, które bardzo szybko pan zrozumie. Dlatego też najbardziej rozsądnym rozwiązaniem wydało mi się skontaktowanie z panem w ten sposób. Zabezpieczył pan swój dom jak twierdzą, panie Stern. Z jednym wyjątkiem – skrzynki pocztowej. Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe tego, że podmieniając DVD, nieco zakłóciłem pana piątkowy rytuał rozrywkowy. Ale proszę mi uwierzyć, to, co za chwilę panu pokażę, będzie dla pana dużo bardziej zajmujące niż dokument o zwierzętach, który pan zamówił.

Z oka Sterna popłynęła łza, podczas gdy jego wzrok cały czas wbity był w Feliksa.

– Muszę teraz pana poprosić o szczególną koncentrację.

Kiedy kadr się zmniejszył się, a twarz Feliksa stała się większa, było to dla Sterna jak kopniak w brzuch.

Kto to nakręcił? Po co?

Jedno uderzenie serca później nie był już w stanie formułować w myślach dalszych pytań. Chciał się odwrócić, pobiec do toalety i razem z mizernym obiadem zwymiotować wszystkie dotychczasowe wspomnienia, jednak niewidoczne imadło nie pozwalało mu odwrócić twarzy.

Musiał znosić gruboziarniste obrazy, na których jego syn otwiera oczy. Szeroko. Ze zdziwieniem. Z niedowierzaniem. Jakby domyślał się, że w jego drobnym ciałku za chwilę zatrzymają się wszystkie funkcje życiowe. Felix zaczął spazmatycznie łąpać powietrze, dostał drgawek, cały zsiniał, jakby zadławił się o wiele za dużą ością.

W tym momencie Stern nie mógł się już powstrzymać i zwymiotował na parkiet. Kiedy po kilku sekundach drżący i z dłonią przy ustach ponownie spojrzął na ekran, było już po wszystkim. Jego syn, który przed chwilą jeszcze oddychał, wpatrywał się pustym wzrokiem i z otwartą buzią w

kamerę, która znów obejmowała cały oddział noworodków: cztery łóżeczka. Wszystkie zajęte. A w jednym z nich było nieznośnie cicho.

– Bardzo mi przykro. Wiem, ostatnie obrazy z życia Feliksa z pewnością były dla pana bardzo bolesne.

Trzeszczące słowa cięły niczym brzytwa.

– Było to jednak konieczne, panie Stern. Mam panu coś ważnego do powiedzenia i chcę, żeby potraktował mnie pan poważnie. A teraz mogę chyba spokojnie przyjąć, że poświęci mi pan całą swoją uwagę.

8

Robert Stern czuł się tak, jakby już nigdy w życiu nie miał być zdolny jasno myśleć. Zanim zorientował się, że mgła przed oczami wzięła się z łez, które zalewały mu twarz, minęła dobra chwila, którą bezlitosny „głos” z pewnością przewidział.

Czy to się dzieje naprawdę? Czy naprawdę widziałem przed chwilą ostatnie sekundy życia mojego syna?

Chciał wstać, wyrwać DVD z odtwarzacza, wyrzucić telewizor przez otwarte okno, choć przecież wiedział, że w szoku, w jakim się teraz znajdował, nie byłby w stanie podnieść nawet ręki. Jedyne ruch, do jakiego zdolne było jego ciało, odbywał się bez udziału jego woli: niepowstrzymanie dygotały mu nogi.

Kto mi to robi? Dlaczego?

Obraz zmienił się, a jego strach coraz bardziej się potęgował.

Oddział dla noworodków ustąpił ogólnemu widokowi fabrycznego terenu, gdzie wczoraj czekał na Carinę. Nagrania musiały być trochę starsze. Zrobiono je jakiegoś słonecznego wiosennego lub letniego dnia.

– Wczoraj po południu na terenie zrujnowanej fabryki farb znalazł pan zwłoki.

Głos zrobił kolejną przerwę. Stern zamrugał i rozpoznał ruiny budynku.

– Bardzo długo czekaliśmy, aż to się stanie. Piętnaście lat. W tej sprawie chłopiec rzeczywiście mówi prawdę. Po tak długim czasie powinniśmy raczej liczyć, że na ciało natknie się przypadkowo jakiś włóczęga albo pies. Ale pojawił się pan. Konsekwentny w dążeniu do celu. Z towarzystwem. I dlatego jest pan teraz w grze, panie Stern. Czy pan tego chce, czy nie.

Kamera wykonała obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, pokazując krótko walące się budynki i samochód dostawczy bez widocznego logo firmy, i zatrzymała się na spalonym budynku, do którego Robert niedawno wszedł za Simonem.

– Chcę, żeby mi pan powiedział, kto zamordował mężczyznę, którego znalazł pan w piwnicy.

Co to ma znaczyć? Co ma to wszystko wspólnego z Feliksem?

– Kto zabił tego mężczyznę? Odpowiedź na to pytanie jest dla mnie w tej chwili najpilniejszą sprawą.

Stern spojrział na niebieskawy wyświetlacz odtwarzacza DVD, jakby powód jego duchowych cierpień siedział w srebrnej metalowej obudowie.

– Chcę, żeby przyjął pan sprawę Simona. Gdyby pan wiedział, kim jestem, zrozumiałby pan, dlaczego sam nie mogę tego zrobić. Musi pan zostać jego adwokatem. Proszę się dowiedzieć, skąd chłopiec wiedział o zwłokach.

Głos zaśmiał się cicho.

– Ponieważ wiem, że prawnicy nigdy nie pracują za darmo, proponuję panu biznesową ofertę. Czy ją pan przyjmie, całkowicie zależy od tego, jak odpowie pan na moje wstępne pytanie, panie Stern. Czy wierzy pan w możliwość ponownych narodzin?

Na ekranie zaczęło śnieżyć jak w starym czarno-białym telewizorze ze źle ustawioną anteną pokojową. Potem jakość obrazu nagle się poprawiła. Ruiny fabryki znikły. Według tego, co tym razem pokazywały cyfry, nowe kolorowe ujęcia zrobiono zaledwie kilka tygodni temu. Stern znów poczuł mdłości. Z wyjątkiem roku data pokrywała się dokładnie z dniem narodzin jego syna.

9

No i, poznaje go pan?

Opalony chłopiec z długimi do ramion, lekko zakręconymi włosami ubrany był w spodnie i miał naszyjnik z czarnych koralików na nagim torsie. Wiedział, że jest filmowany i z wyczekiwaniem patrzył w kamerę. Nagle wstał nieco niezdarnie z krzesła i wybiegł. Serce Sterna zatrzymało się, kiedy na plecach chłopca zauważył plamę. Ciemnofioletowe znamię znajdowało się na jego lewym ramieniu. Wyglądało jak mały but z wysoką holewką.

To nie może być prawda. To niemożliwe!

Twarz Roberta płonęła, jakby go ktoś spoliczkował. Chłopiec o rysach twarzy, które wydawały mu się obce i jednocześnie boleśnie znajome, wrócił z nożem w dłoni. Ktoś spoza kadru musiał mu coś powiedzieć. Uśmiechnął się nieśmiało, nabrał głęboko powietrza i stulił usta jak do dmuchnięcia. Kamera powędrowała teraz jakieś dwadzieścia centymetrów w dół, pokazując na stole wiśniowy tort urodzinowy. Dopiero za drugim razem udało się dziecku zdmuchnąć do końca wszystkie dziesięć świeczek, tkwiących w bitej śmietanie.

– Proszę się dokładnie przyjrzeć, panie Stern. Proszę pomyśleć o najnowszych ujęciach przedstawiających Feliksa, które właśnie pan widział. Proszę przypomnieć sobie trumienkę, którą pan sam niósł do grobu. I niech pan odpowie sobie na jedno proste pytanie: czy wierzy pan w życie po śmierci?

Robert podniósł rękę i przez moment odczuwał pokusę przyłożenia palców do szklanego ekranu. Ogarnęło go nierzeczywiste wrażenie, jakby

patrzył na swoje odmłodzone odbicie.

Czy to...? To niemożliwe. Felix umarł. Był zimny, kiedy wyjąłem go z ramion Sophie. Sam go pochowałem i...

– Oglądając ten film, można mieć wątpliwości, prawda?

...widziałem, jak umiera. Ledwie chwilę temu!

Stern zakaszłał się, gwałtownie nabierając powietrza. Ze strachu wstrzymał oddech, a jego płuca zaczęły domagać się tlenu, podczas gdy na ekranie nadal pojawiały się niewiarygodne bezlitosne obrazy.

Chłopiec zaczął kroić tort.

To może być tylko... To musi być przypadek!

Dziesięciolatek był leworęczny. Jak on.

Całe ciało Sterna drżało. Wydawało mu się, że widzi kopię samego siebie. Kiedy był małym chłopcem, wyglądał tak samo. Wszystko pasowało wręcz idealnie. Włosy, odrobinę za szeroko rozstawione oczy, lekko wystająca szczeka, dołeczek, pojawiający się przy uśmiechu tylko na prawym policzku.

Gdyby z pudełek w piwnicy wygrzebał stare albumy ze zdjęciami, z pewnością znalazłby jakąś pożółkłą fotografię, na której identycznie patrzy w obiektyw aparatu. Wówczas, kiedy miał dziesięć lat.

No i jego znamię!

Oczywiście było teraz większe. Ale proporcjonalnie odpowiadało dokładnie plamce, którą odkryła Sophie, kiedy po raz pierwszy trzymała Feliksa nagiego w ramionach.

– Oto nasza umowa.

Stern ponownie skoncentrował się na głosie, który mówił teraz w sposób jeszcze bardziej nieludzki niż wcześniej.

– Odpowiedź za odpowiedź. Pan mi powie, kto piętnaście lat temu zabił siekierą tego mężczyznę, a ja panu zdradzę, czy faktycznie istnieje życie po śmierci.

Po tych słowach solenizant zniknął, a Robert znów przeniósł się dziesięć lat wstecz do oświetlonego oddziału dla noworodków. Dwa nieruchome

kadry następowały po sobie w okrutnym rytmie. Felix w łóżeczku. Raz żywy, raz martwy.

– Jeśli znajdzie pan mordercę, dostanie pan nazwisko i adres chłopca, którego przed chwilą pan widział.

Żywy. Martwy. Żywy...

Stern chciał wstać, żeby wykrzyczeć swój ból, ale nie miał na to siły.

Martwy.

– Odpowiedź za odpowiedź. Niech się pan zaopiekuje Simonem. Terapeutą my się zajmiemy. Ma pan pięć dni i ani godziny więcej. Jeśli przekroczy pan ten czas, nigdy więcej już pan o mnie nie usłyszy i nie dowie się pan prawdy. Ach tak, i jeszcze coś.

Głos stał się nieco znudzony, zupełnie jakby na zakończenie reklamy jakiegoś leku miał zalecić skonsultowanie się z lekarzem lub farmaceutą.

– Nie wolno się panu kontaktować z policją. Jeśli jednak pan to zrobi, zabiję bliźniaczki.

Potem ekran telewizora zrobił się czarny.

10

Pileś coś?

Sophie stała bosą w korytarzu przed sypialnią, z której uciekła z telefonem w rękę, aby nie zbudzić męża. Za kilka godzin Patrick wyjeżdżał w podróż służbową do Japonii i potrzebował snu. Poza tym było tuż po wpół do pierwszej i musiałyby się gęsto tłumaczyć, gdyby chciał wiedzieć, po co dzwoni do niej w środku nocy eksmąż, skoro w ostatnich latach nie robił tego nawet w jej urodziny.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Wiem, że dzieci już śpią. Czy wszystko u nich w porządku?

Chociaż nie odpowiedział na jej pytanie, odpowiedzi domyśliła się sama. Jego głos brzmiał okropnie.

– Tak, jasne, że wszystko w porządku. Śpią. Głęboko, jak każdy normalny człowiek o tej porze. Czego chcesz, do diabła?

– Miałem dziś... – Robert przerwał w połowie zdania i zaczął jeszcze raz: – Przepraszam, ale muszę cię o coś spytać.

– Teraz? Nie możesz poczekać z tym do rana?

– To czekało już zdecydowanie za długo.

Sophie zatrzymała się na sizalowym chodniku w drodze do salonu.

– O czym ty mówisz? – Późna pora, ton jego głosu, aluzje.

Wszystko, co łączyło się z tym telefonem, niepokoiło ją. Nic dziwnego więc, że poczuła dreszcze, tym bardziej że do spania jak zawsze włożyła tylko koszulkę i figi.

– Miałaś wtedy jakieś wątpliwości, czy...

Podczas gdy Robert mówił dalej, Sophie zamknęła oczy. Żadne inne słowo nie wywoływało w niej tylu negatywnych emocji, co „wtedy”. Zwłaszcza gdy padało z ust byłego męża, który zabrał jej z rąk Feliksa.

– W zasadzie nie było żadnego powodu...

– Do czego zmierzasz? – Powoli narastała w niej furia.

– Podczas ciąży nie paliłaś, Felix nie był ubrany zbyt ciepło i spał w śpiworku, który uniemożliwiał leżenie na brzuchu.

– Lepiej będzie, jak skończymy tę rozmowę. – Sophie nie rozumiała, po co Robert wyrывa ją ze snu, wyliczając czynniki ryzyka występujące przy zespole nagłego zgonu niemowląt. Chociaż około czterdziestu procent wszystkich przypadków zgonów niemowląt obejmowano tym tajemniczym pojęciem, prawdziwych przyczyn wcale nie znano. Co w zasadzie nie powinno dziwić, kiedy każdą niewyjaśnioną śmierć na pozór zdrowego dziecka podporządkowywano po prostu tej okrutnej kategorii.

– Zaczekaj jeszcze, proszę! Odpowiedz tylko na to jedno pytanie.

– Jakie? – Sophie spojrzała w lustro w garderobie i przeraziła się wyrazu swojej twarzy. Dostrzegła w nim mieszankę smutku, zwątpienia i zmęczenia.

– Wiem, nienawidzisz mnie od tamtego czasu.

– Masz gorączkę? – spytała Sophie. Robert nie tylko bełkotał, jego głos brzmiał, jakby był mocno przeziębiony.

– Nie, nic mi nie jest. Odpowiedz tylko, proszę.

– Ale ja nic nie rozumiem – zaczęła zdanie wściekłym tonem, z każdym słowem ścisząc głos, aby nie obudzić Patricka i bliźniaczek.

– On już nie oddychał i był trochę zeszywniały, kiedy wreszcie otworzyłaś drzwi do łazienki. – Robert Stern zamilkł i przez chwilę w słuchawce słychać było tylko szum. – Chciałbym wiedzieć, dlaczego mimo to nie byłaś pewna? Dlaczego mimo wszystko myślałaś, że Felix jeszcze żyje?

Sophie rozłączyła się, opuszczając bezsilnie rękę, w której trzymała telefon. Wcześniejsze zmęczenie zmieniło się w otępienie, uczucie, którego dotychczas doznawała wyłącznie po zażyciu tabletek nasennych.

Jednocześnie czuła się, jakby właśnie nakryła w domu włamywacza, który grzebał w jej bieliznie. *Dokładnie to właśnie się stało*, pomyślała, kierując swe kroki do pokoju dzieci. Robert wdarł się tym telefonem w jej świat, otwierając szufladę w jej psychice, którą dzięki długoletniej mozolnej pracy, z pomocą nowego męża, wspaniałych bliźniaczek i dyplomowanego psychoanalityka zabiła gwoździami i zabarykadowała.

Otworzyła drzwi i wstrzymała oddech. Frida odkopała kołdrę w nogi łóżka i spała spokojnie, tuląc się do pluszowego pingwina. Drobna klatka piersiowa Natalie podnosiła się i opadała regularnie. W pierwszym krytycznym roku ich życia Sophie ustawiała budzik, żeby zaglądać do dziewczynek co dwie godziny. Teraz przychodziła do bliźniaczek tylko wtedy, kiedy sama budziła się w nocy, żeby skorzystać z toalety. Paraliżujący strach, który wcześniej jej towarzyszył, zmienił się w troskliwą rutynę. Do teraz. Do telefonu Roberta.

„Dlaczego myślałaś, że Felix jeszcze żyje?”

Miękki materac ugiął się, kiedy Sophie usiadła na łóżku Natalie i odgarnęła z jej czoła mokre od potu włosy.

– Czasem nadal tak myślę – szepnęła. Potem pocałowała delikatnie córeczkę w czoło i zaczęła cicho płakać.

POSZUKIWANIE

Tak jak w naszym obecnym życiu miewamy tysiące snów, tak też nasze obecne życie jest jedynie jednym z tysięcy takich istnień, do którego przechodzimy z innego, bardziej rzeczywistego życia, a potem wracamy po śmierci.

Lew Tołstoj

Każdy człowiek jest czymś nowym na świecie, czego dotychczas nie było, czymś pierwszym i niepowtarzalnym.

Martin Buber

Wrodzone bliźny i znamiona potwierdzają powtórne życie ziemskie człowieka.

Ian Stevenson

1

Może był to skutek przemęczenia. Do zderzenia doszło przypuszczalnie dlatego, że nie patrzył przed siebie, bo w myślach ciągle odtwarzał płytę DVD.

Wczoraj Stern nie odważył się już tego zrobić. Przynajmniej nie w całości. Nie chciał ponownie widzieć, jak Felix walczy o życie. Dlatego szybko przeskoczył do fragmentu pokazującego jubilata. Bez przerwy wpatrywał się w bezimiennego chłopca. W powiększeniu, na stop-klatce, w przyśpieszeniu. Po dziesiątym powtórzeniu miał już tak podrażnione oczy, że wydawało mu się, że dostrzega w obrazie czerwone migotania świadczące o zużyciu DVD.

Dziś rano, po nieprzespanej nocy, Robert znów czuł się bezradny i rozbity, jak w dzień pogrzebu Feliksa. Utracił oparcie w rzeczywistości. Jego racjonalny prawniczy umysł od dawna był wprawiony w patrzeniu na każdą sprawę z dwóch stron. Klient był winny lub nie. Pod tym względem jego osobisty koszmar, który rozpoczął się wczoraj, nie różnił się niczym od tragedii, którymi zajmował się zawodowo. Również tu istniały tylko dwie możliwości: albo Felix był martwy, albo żył. Bardziej prawdopodobna była pierwsza ewentualność. Chłopiec ze znamieniem mógł być wykapanym Sternem. Ale na pewno nie stanowiło to żadnego dowodu.

Dowodu na co? – pomyślał Robert, wysiadając ze szpitalnej windy. Jak zawsze, kiedy roztrząsał jakiś trudny problem, wyobrażał sobie wyimaginowaną białą ścianę, na której umieszczał karteczki z najważniejszymi hipotezami. Na wszelki wypadek rezerwował w głowie specjalne odosobnione miejsce, do którego wracał, ilekroć chciał

uporządkować myśli. „FELIX ŻYJE”, widniało wielkimi literami na największej karteczce.

Ale jak to możliwe?

Oczywiście zastanawiał się później, dłuższy czas po pogrzebie na berlińskim cmentarzu Waldfriedhof, czy Felix przypadkiem nie został podmieniony. Jednak był wtedy jedynym chłopcem na oddziale. Trzy pozostałe matki urodziły dziewczynki. Ryzyko pomyłki było więc całkowicie wykluczone. Zresztą jeszcze przed sekcją upewnił się, że opłakuje własnego syna. Bez problemu potrafi przypomnieć sobie uczucie, z jakim podnosił martwe ciało z metalowego stołu, aby na pożegnanie jeszcze raz pogłodzić palcami znamię.

Zatem jednak ponowne narodziny? Reinkarnacja?

Stern podarł w myślach karteczkę, zanim zdążył na dobre umieścić ją na ścianie. Był prawnikiem. Rozwiązując problemy, sięgał po paragrafy, nie po parapsychologię. Jakkolwiek by to bolało. „FELIX = MARTWY”, napisał na trzeciej karteczce. Właśnie miał zamiar przytwierdzić ją na mentalnej ścianie, kiedy znów zaczęły napływać nowe myśli.

Po co ktoś chce zasiać w nim tyle wątpliwości co do śmierci Feliksa? Co to wszystko ma wspólnego z Simonem? Skąd, na Boga, ten chłopiec wiedział o zwłokach w piwnicy?

Stern zastanawiał się, co o jego stanie psychicznym mówi fakt, że w ten niedzielny poranek wybrał się do kliniki Seehaus, aby znaleźć odpowiedź na ostatnie pytanie. Był tak bardzo pochłonięty własnymi myślami, że nie usłyszał sanitariusza, który wiozł na wózku starszego pana na fizykoterapię. Obaj panowie nucili właśnie refren przeboju *ABBY Money, money, money*, gdy Stern wyszedł zza rogu szpitalnego korytarza i wpadł na nich z całym impetem. Uderzył w bok chromowanego wózka i stracił równowagę, rozpaczliwie szukając rękoma jakiegoś oparcia. Kiedy dłoń ześliznęła mu się z rękawa sanitariusza, upadając, oparł się jeszcze na głowie pacjenta i przytrzymał się jego nadgarstka, wskutek czego, zanim runął na szpitalną podłogę pokrytą miętowozielonym linoleum, zdążył wyrwać staruszkowi wenflon.

2

Dobry Boże, nic panu nie jest, panie Losensky? – Brodaty sanitariusz ukląkł z troską przed siedzącym na wózku pacjentem, który tylko z rozbawieniem machnął ręką.

– Nic się nie stało. Mam przecież anioła stróża. – Staruszek wyciągnął spod T-shirtu łańcuszek, przy którym wisiał srebrny krzyżyk. – Niech się pan lepiej zajmie naszym przyjacielem na podłodze.

Stern masował dłonie, które obtarł, próbując zamortyzować upadek na twardą podłogę. Zignorował pulsujący ból w kolanach, aby nie tworzyć jeszcze bardziej żalosnego obrazu samego siebie.

– Przepraszam bardzo – powiedział usprawiedliwiającym tonem, gdy stanął już na nogi. – Czy wszystko w porządku?

– To zależy – mruknął sanitariusz i delikatnie odsłonił rękaw koszuli staruszka aż do łokcia. – Będziemy musieli jeszcze raz założyć wenflon – wymamrotał, spoglądając na grzbiet dłoni pacjenta. Na razie poprosił go o przyłożenie wacika w miejsce nakłucia. Zaraz potem zbadał kościste ramię, szukając siniaków i krwiaków. Chociaż miał dłonie boksera, jego ruchy były ostrożne, wręcz czułe. – Ucieka pan przed kimś? Dlaczego biega pan po oddziale neurologicznym?

Sternowi ulżyło, że sanitariusz nie zauważył nic, co wzbudzałoby niepokój.

– Nazywam się Robert Stern, proszę mi wybaczyć, panie...

Nie udało mu się odczytać porysowanej plakietki z nazwiskiem na fartuchu sanitariusza.

– Franz Marc. Jak ten malarz. Ale wszyscy nazywają mnie Picasso, bo jego obrazy bardziej mi się podobają.

– Rozumiem. Jeszcze raz przepraszam. Zamyśliłem się.

– Zupełnie tego nie zauważyliśmy, prawda, panie Losensky? – powiedział Franz do staruszka.

Gęste bokobrody na policzkach Picassa łączyły się w jasnobrązową brodę. Kiedy sanitariusz w uśmiechu dodatkowo obnażył jeszcze dwa rzędy imponujących zębów, wyglądał zupełnie jak słynny dziadek do orzechów z Rudaw.

– Oczywiście pokryję koszty wszelkich szkód, jakie spowodowałem.

Stern wyciągnął portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Nie, nie, nie... tu się tego tak nie załatwia – zaprotestował Picasso.

– Źle mnie pan zrozumiał. Chciałem tylko wręczyć panu swoją wizytówkę.

– Może ją pan spokojnie zatrzymać, prawda, panie Losensky?

Staruszek na wózku przytaknął, podkręcając przy tym z rozbawionym wyrazem twarzy krzaczastą brew. W przeciwieństwie do jego raczej rzadkich włosów, potężne brwi rozciągały się łukiem niczym dwie kępy stalowej wełny nad zapadniętymi oczodołami.

– Obawiam się, że nie do końca rozumiem.

– Przed chwilą napędził pan nam obu sporo strachu. A po drugim zawale Frederik nie jest już zbyt wytrzymały, prawda?

Staruszek przytaknął.

– Parę banknotów z pewnością nie wystarczy, jeśli chce pan stąd odejść, nie wzbudzając większej sensacji.

– Tylko co? – Stern skrzywił się nerwowo, zastanawiając się, czy nie ma przed sobą dwóch wariatów.

– Chcemy, aby się pan pochylił.

Miał zamiar właśnie puknąć się w czoło i odejść, kiedy zrozumiał dowcip. Uśmiechnął się, podniósł czarną czapkę bejsbolową leżącą u jego stóp i oddał ją staruszkowi na wózku. Musiał mu ją wcześniej strącić z głowy.

– No i o to chodziło. Teraz jesteśmy kwita. – Picasso uśmiechnął się, a jego starszy podopieczny ucieszył się jak uczeń.

– Jest pan ich fanem? – spytał Stern, podczas gdy staruszek niezdarnie rozprostowywał czapkę. Z przodu widniał na niej złoty napis: ABBA.

– No jasne. Ich muzyka jest boska. Jaki jest pana ulubiony kawałek?

Staruszek raz jeszcze podniósł na moment daszek bejsbolówki, aby schować pod nią krnąbrny kosmyk śnieżnobiałych włosów.

– Nie wiem – odpowiedział Stern nieco zmieszany. Miał zamiar odwiedzić Simona i porozmawiać z nim o wczorajszych wydarzeniach. Nie nastawiał się na pogawędkę o popularnym szwedzkim zespole z lat siedemdziesiątych.

– To tak jak ja – wykrzywił twarz w uśmiechu Losensky. – Wszystkie są świetne. Co do jednego.

Nowiutkie opony zaszumiały delikatnie po błyszczącej podłodze, gdy Picasso popchnął wózek.

– Do kogo pan przyszedł? – Sanitariusz jeszcze raz odwrócił się do niego.

– Szukam pokoju 217.

– Simona?

– Tak, zna go pan? – Stern znów przyłączył się do nich.

– Simon Sachs, nasza sierotka – powiedział sanitariusz. Po kilku krokach zatrzymał się przy szarych drzwiach z napisem „Fizykoterapia”. – No pewnie, że go znam.

– A kto go nie zna? – burknął staruszek, wjeżdżając do jasnego pomieszczenia, na którego podłodze leżały rozłożone karimaty, przy ścianach stały drabinki oraz sprzęt sportowy. Można było pomyśleć, jakby czuł się urażony, że rozmowa nie dotyczy już wyłącznie jego.

– Jest naszym promykiem. – Picasso uśmiechnął się, zatrzymując wózek przy ławce do masażu. – Przykra sprawa. Najpierw państwo musiało przejść nad nim opiekę, ponieważ jego nieprzystosowana społecznie matka prawie go zagłodziła, a teraz znaleźli w jego głowie guz. Lekarze mówią, że niezłośliwy, bo nie ma przerzutów. Pfu!

Przez chwilę Stern myślał, że sanitariusz splunie na podłogę.

– Nie rozumiem, dlaczego ma być niezłośliwy, skoro ciągle rośnie i w którymś momencie zdusi jego kresomózgowie.

Drzwi do sąsiadującego z salą biura otworzyły się i do pomieszczenia weszła Azjatka ubrana w kimono do judo i małe drewniaki. Najwidoczniej podobała się Losensky'emu, bo znów zaczął gwizdać piosenkę ABBY. Tym razem jednak jego *Money, money, money* przypominało pogwizdywanie robotnika budowlanego, widzącego przechodzącą obok cykastą blondynę.

Wróciwszy na nieco bardziej już zaludniony korytarz, Picasso wyciągnął rękę, wskazując na drugie drzwi na lewo obok pokoju pielęgniarek.

– To tam.

– Co?

– No, 217. Izolatka Simona. Ale nie wejdzie pan ot tak.

– Dlaczego?

Stern spodziewał się najgorszego. Czyżby Simon czuł się aż tak źle, że wolno go odwiedzać wyłącznie w sterylnym stroju?

– Nie ma pan ze sobą prezentu.

– Co proszę?

– Odwiedzający przynoszą kwiaty lub czekoladki. Ale dziesięcioletniemu chłopcu w ostateczności wystarczy jedno z tych muzycznych czasopism albo coś w tym stylu. Nie stanie pan przecież z pustymi rękami przed dzieckiem, którego w przyszłym tygodniu może już nie być na tym świecie...

Picasso nie dokończył zdania. Stern kątem oka też zauważył czerwone błyski i odwrócił się w lewo, aby dokładnie zlokalizować źródło alarmu. Kiedy zobaczył migającą czerwoną lampkę nad drzwiami, pobiegł za sanitariuszem, który momentalnie ruszył na ratunek. Dogonił go tuż przed drzwiami do pokoju 217.

3

Pierwszy raz obudził się krótko po czwartej i zaraz zadzwonił po pielęgniarkę. Carina nie przyszła, co przeszkadzało mu dużo bardziej niż wzbierające nudności. Pojawiały się regularnie każdego ranka, umiejscowione zawsze gdzieś w przełyku, gdzieś między krtanią a żołądkiem, i zazwyczaj udawało się je opanować dawką czterdziestu kropli MCP. Tylko jeśli za późno się obudził i bóle głowy zaczęły już dawać mocno znać o sobie, trwało czasem wiele dni, zanim powrócił na skali do swojej „czwórki”.

W ten sposób Carina zawsze sprawdzała jego ogólne samopoczucie. Pierwsze, co robiła po przyjściu do niego, to pytała o cyfrę. „Jedynka” oznaczała brak dolegliwości, „dziesiątka” stan nie do wytrzymania.

Simon nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz było lepiej niż „trzy”. Na pewno mogłoby to się stać dzisiaj, gdyby ten smutny mężczyzna został przy jego łóżku trochę dłużej. Ucieszył się na widok jego twarzy.

– Przepraszam, że was wystraszyłem. Chciałem tylko włączyć telewizor.

– Nie ma sprawy.

Zdenerwowanie ustąpiło miejsca uldze, gdy okazało się, że Simon przez pomyłkę wcisnął przycisk alarmowy. Upewniwszy się, że z chłopcem wszystko w porządku, Picasso zostawił go samego ze spiętym adwokatem.

– Carina pana lubi – zaczął Simon. – A ja lubię Carinę. A więc mogę polubić również i pana. – Chłopiec podciągnął kolana i jego nogi utworzyły po kołdrą odwrotne V. – Czy ona ma dziś wolne?

– Hm, nie. To znaczy, nie wiem. – Stern nieco niezdarnie przyciągnął krzesło do jedyne łóżka w pokoju i usiadł. Simon zauważył, że Stern ma

na sobie niemal identyczne ubranie, jak przedwczoraj podczas ich spotkania na terenie fabryki. Najwidoczniej w jego szafie wisiało wiele czarnych garniturów.

– Źle się pan czuje? – spytał.

– Dlaczego?

– Carina powiedziała, że wygląda pan jak gradowa chmura.

– Nie spałem najlepiej.

– Ale to jeszcze nie powód, żeby być takim ponurym.

– Czasem tak.

– Ach, wiem, co panu przeszkadza. Przepraszam. – Simon sięgnął do szuflady pod stolikiem i wyciągnął z niej perukę z prawdziwych włosów. – Nic pan nie zauważył przedwczoraj, co? No bo to są moje włosy. Obcięli mi je, zanim profesor Müller zaczął stosować korektor.

– Korektor?

Simon wprawnym ruchem nałożył perukę, zakrywając miękki meszek na głowie.

– No tak. Czasem traktują mnie tu jak małe dziecko. Oczywiście wiem, co to jest chemioterapia, ale pan ordynator wyjaśniał mi to jak przedszkolakowi. Powiedział, że mam w głowie wielką ciemną plamę, a tabletki, które połykam, mogą tę plamę zlikwidować. Właśnie jak korektor.

Simon obserwował, jak wzrok prawnika wędruje po blacie stolika przy łóżku.

– Nie biorę już interferonu. Lekarz uważa, że nie muszę, ale Carina powiedziała mi prawdę.

– To znaczy?

– Skutki uboczne są zbyt niebezpieczne. – Simon skrzywił się lekko, podnosząc na krótko perukę. – Nie są w stanie tego zlikwidować, nie zabijając mnie przy okazji. Cztery tygodnie temu miałem już nawet zapalenie płuc i musieli mnie zabrać na oddział intensywnej terapii. Później nie było już chemii i naświetlań.

– Przykro mi.

– Mnie nie. Teraz przynajmniej nie mam krwotoków z nosa, a nudności tylko rano.

Simon usiadł na łóżku, wciskając za plecy poduszkę.

– Ale wróćmy do pana – powiedział, starając się, żeby to zabrzmiało jak kwestia wypowiedana przez jednego z dorosłych, których znał z seriali kryminalnych. – Przyjmie pan mają sprawę?

Stern uśmiechnął się. Po raz pierwszy wyglądał jak człowiek, którego można polubić.

– Jeszcze tego nie wiem.

– Sprawa wygląda tak. Boję się, że zrobiłem coś złego. Nie chcę...

...umrzeć, nie wiedząc, czy to rzeczywiście moja wina, miał zamiar dokończyć. Jednak dorośli zawsze tak śmiesznie reagowali, gdy zaczynał mówić o śmierci. Smutnieli i unikali jego wzroku albo zmieniali szybko temat. Simon nie powiedział jednak nic więcej, bo wydawało mu się, że ten prawnik i tak go zrozumiał.

– Przyszedłem, żeby zadać ci parę pytań – odezwał się Stern.

– Niech pan pyta.

– Chciałbym się dowiedzieć, co dokładnie robiłeś w dniu swoich urodzin.

– Ma pan na myśli hipnozę u doktora Tiefenseego?

– Tak, właśnie. – Stern otworzył oprawiony w skórę notes i małym długopisem robił notatki. – Chcę wiedzieć wszystko. Co wtedy przeżyłeś i co jeszcze wiesz o zwłokach?

– Jakich zwłokach? – Simon przestał się uśmiechać, gdy na twarzy Roberta Sterna pojawiła się konsternacja.

– No, ten mężczyzna, którego znaleźliśmy. Którego ty, yyy...

– Ach, chodzi o faceta, którego zabiłem siekierą. – Simon odetchnął z ulgą, kiedy nieporozumienie się wyjaśniło. Tylko jego adwokat ciągle jeszcze wyglądał na zszokowanego. Postanowił więc wszystko mu wyjaśnić i w tym celu zamknął oczy. Tak było łatwiej, gdy chciał się skupić na głosach w swojej głowie i tych wszystkich okropnych obrazach, które po każdej utracie przytomności stawały się bardziej wyraźne.

Mężczyzna w garażu uduszony plastikową torebką.

Płaczące dziecko na płycie kuchennej.

Krew na ścianach kampera.

Znosił te sceny tylko dlatego, że były tak odległe. Oddalone o dziesiątki lat. Z innego życia.

– Jest więcej ciał – powiedział cicho i znów otworzył oczy. – Zabiłem wielu ludzi.

4

Zaczekaj. Nie tak szybko. Mów powoli i po kolei.

Stern podszedł do okna i dotknął palcami rysunku, który wisiał na szybie. Kredkami świecowymi Simon narysował zadziwiająco wyrazisty kościół, przed którym rozciągała się soczyście zielona łąka. Z jakiegoś powodu podpisał swój rysunek „Pluto”.

Odwrócił się z powrotem do chłopca.

– Miałeś już... wcześniej te... – Stern nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa – ...złe wspomnienia?

Zastanawiał się, jak mógłby wyjaśnić tę rozmowę komuś nieznanemu sprawy. Simon najwidoczniej wierzył nie tylko w ponowne narodziny, ale również w to, że kiedyś był seryjnym mordercą.

– Nie. Dopiero od moich ostatnich urodzin. – Chłopiec wziął ze stolika sok jabłkowy w kartonowym opakowaniu i wbił słomkę w przewidziane do tego celu miejsce. – Przecież nigdy wcześniej nie miałem regresji hipnotycznej.

– Opowiedz mi wszystko po kolei. Jak to się odbyło?

– Było całkiem zabawnie. Nie podobało mi się tylko to, że musiałem zdjąć moje nowe trampki.

Stern uśmiechnął się do Simona z nadzieją, że uda mu się w ten sposób skierować potok słów na interesujące go aspekty.

– Doktor pracuje w fajnym domu. Podobno całkiem niedaleko berlińskiej wieży telewizyjnej, tak mi przynajmniej powiedział, ale ja jej nie zauważyłem, kiedy tam byliśmy.

– Czy dał ci coś, kiedy u niego byłeś?

Jakieś lekarstwa? Narkotyki? Leki psychotropowe?

– Tak. Gorące mleko z miodem. To też było super. Potem musiałem się położyć. Na takiej dużej niebieskiej macie na podłodze. Carina była przy mnie. Okryła mnie dokładnie dwoma kocami. Było naprawdę ciepło i przytulnie. Tylko głowa mi wystawała.

– Co zrobił wtedy doktor? – Stern zawahał się przed użyciem tytułu akademickiego, gdyż podejrzewał, że Tiefensee go sfalszował lub kupił.

– Właściwie nic. Nie widziałem go już zresztą.

– Ale ciągle był w pokoju?

– Tak, jasne. Coś mówił. Bardzo długo. Jego głos był łagodny i piękny. Jak tego gościa z mojego słuchowiska, wiesz?

Stern zauważył, że Simon po raz pierwszy zwrócił się do niego na ty. Ucieszył się z tego małego dowodu zaufania.

– O czym opowiadał pan Tiefensee?

– Powiedział: „Zazwyczaj nie robię tego z dziećmi w twoim wieku”.

Cóż za pociecha, pomyślał Stern pełen sarkazmu. Wyzyskiwacz oszukuje zatem zwykle tylko pełnoletnich.

– Zrobił wyjątek ze względu na moją chorobę i na Carinę.

Carina. Stern wypełnił długopisem puste miejsce w literach jej imienia i postanowił przy pierwszej okazji zapytać ją o jej stosunek do tego szarlatana. Z pewnością nie wybrała tego Tiefenseego przypadkowo.

– Pytał o wiele rzeczy. O moje najpiękniejsze wspomnienia. Gdzie podobało mi się najbardziej? Na wakacjach, u przyjaciół czy może na jarmarku? Następnie miałem wyobrazić sobie najwspanialsze miejsce na ziemi i zamknąć oczy.

Wprowadzenie osoby hipnotyzowanej w stan somnambuliczny. Stern nieświadomie kiwnął głową, gdy słuchając Simona, przypomniał sobie hasło, na które wczoraj w nocy wielokrotnie natknął się w Internecie. Po nieprzemyślanym telefonie do Sophie usiadł do komputera. Wprowadzając jedno tylko słowo, znalazł tysiące stron prowadzonych przez parapsychologicznych wariatów i fanatyków ezoteryki. Ale były wśród nich także źródła na poważnie zajmujące się tematyką regresji hipnotycznej.

Większość informowała o niebezpieczeństwach. Zadziwiająco, że wiele z nich nie podawało w wątpliwość możliwości istnienia reinkarnacji, lecz ostrzegało jedynie przed konsekwencjami, przed uszczerbkiem na psychice, na przykład gdy osoba poddawana regresji zmuszona jest jeszcze raz przeżyć jakąś ciężką traumę z przeszłości.

– Wyobraziłem sobie, że jestem na pięknej plaży – opowiadał dalej Simon. – Mam tam imprezę z przyjaciółmi i wszyscy jemy lody.

– Co się stało potem?

– Poczułem się zmęczony. W końcu doktor spytał, czy widzę duży włącznik.

Oczy Simona zaczęły wykonywać mimowolne ruchy i Stern przestraszył się, że chłopiec w wyniku samego opowiadania o tym straci przytomność. Na szczęście jeszcze nie kaszłał. Stern wiedział od Cariny, że od czasu zapalenia płuc kaszel zwiastował atak padaczki lub omdlenie. Tak jak przedwczoraj w piwnicy.

– Szukałem w myślach tego włącznika. Takiego, którym można włączyć i wyłączyć światło.

– Znalazłeś go?

– Tak. Trochę to trwało, ale znalazłem. Muszę powiedzieć, że trochę się przestraszyłem, bo przecież miałem zamknięte oczy.

Stern wiedział, co się stało później. Aby móc manipulować pacjentem, terapeuta musiał dezaktywować jego świadomość. Sugestywne wyłączenie zmysłów za pomocą zmyślnego pstryczka było ulubioną metodą. Parapsycholog mógł już wtedy spokojnie wmówić pacjentowi różne rzeczy. Stern nie wiedział tylko, jaki motyw kierował doktorem Tiefenseem. Dlaczego Simon? Dlaczego umierający chłopiec z nieoperacyjnym guzem mózgu? I dlaczego Carina nie zorientowała się w tym wszystkim? Może i była trochę zwariowana i wierzyła w zjawiska nadprzyrodzone, jednak nigdy nie pozwoliłaby wykorzystać dziecka do podłych celów. W dodatku dziecka, które zostało jej powierzone jako pacjent.

– Nie udawało mi się na początku. Nie potrafiłem go przełączyć – kontynuował Simon spokojnym tonem. – Włącznik wyslizgiwał mi się z

ręki. To było nawet zabawne, ale doktor Tiefensee dał mi taśmę klejącą.

– Taśmę?

– Tak. Nie naprawdę, tylko w mojej wyobraźni. W myślach miałem zakleić włącznik na stałe. I to się udało. Taśma go trzymała, a ja wsiadłem do windy.

Stern nie odezwał się, aby nie przerywać chłopcu w decydującym momencie. Zaczynała się właściwa faza regresji hipnotycznej. Podróż do podświadomości.

5

W windzie była złota mosiężna tablica z wieloma przyciskami. Miałem wybrać jeden. Nacisnąłem jedenastkę. Wtedy winda zatrzęsa się i ruszyła w dół. Jechała bardzo długo. Kiedy wreszcie drzwi się otworzyły, zrobiłem krok do przodu. Wsiadłem i zobaczyłem...

...świat sprzed moich urodzin, dokończył w myślach Stern. Zdziwił się, gdy Simon zakończył zdanie zupełnie inaczej.

– ...ciemność. Zupełne nic. Wszystko wokół mnie było czarne.

Oczy Simona uspokoiły się. Pociągnął kolejny łyk soku jabłkowego. Gdy odstawiał napój z powrotem na stół, podwinęła mu się koszulka. Stern aż się wzdrygnął. Przez ułamek sekundy widział podłużne znamię na kości biodrowej.

Blizny nowo narodzonych! – przyszło mu mimowolnie na myśl. Zmiana skórna w najmniejszym stopniu nie była podobna do tej, którą miał Felix. Ani ten chłopiec z DVD. Ale nieuchronnie przypomniała mu artykuł o Ianie Stevensonie, o którym przeczytał dziś rano. Nieżyjący już profesor i wykładowca psychiatrii na uniwersytecie w Wirginii był jednym z niewielu badaczy reinkarnacji, którego prace stanowiły temat poważnych dyskusji wśród uznanych amerykańskich naukowców. Stevenson twierdził, że znamiona i blizny to pewnego rodzaju duchowe mapy, pokazujące rany ludzi z ich wcześniejszych żyć. Kanadyjczyk zebrał setki akt pacjentów i protokołów sekcyjnych, w których znalazł uderzające zbieżności, jeśli idzie o zmiany skórne u rzekomo ponownie narodzonych dzieci.

– Nie rozumiem. – Stern starał się znów całkowicie skoncentrować na słowach Simona. – Skąd więc wiedziałeś o zwłokach, skoro w ogóle ich nie

widziałeś u doktora Tiefenseego?

– No cóż, coś tam zobaczyłem. Ale dopiero, jak się obudziłem. Carina powiedziała, że spałem ponad dwie godziny. Pamiętam jeszcze, jak bardzo byłem smutny. To były przecież moje urodziny, a na dworze zrobiło się już ciemno.

– I gdy się obudziłeś, przyszły do ciebie te złe wspomnienia?

– Nie od razu. Dopiero gdy już siedziałem w samochodzie i Carina mnie spytała, jak było. Wtedy jej opowiedziałem. O obrazach.

– Jakich obrazach?

– Tych w mojej głowie. Widzę je bardzo rozmyte. Jakbym śnił i zaraz miał się obudzić. Znasz to uczucie?

– Tak, może. – Stern co prawda wiedział, o czym mówi Simon, ale jego sny na jawie w najmniejszym stopniu nie były tak ponure. Chyba że myślał o Feliksie.

Simon odwrócił głowę do okna i patrzył przez nie w zamyśleniu. Najpierw Stern pomyślał, że znudził się już rozmową i zaraz wyciągnie z szuflady konsolę do gier. Później jednak zauważył, że jego usta się poruszają. Simon najwidoczniej szukał odpowiednich słów, aby móc dokładniej objaśnić swoje wrażenia.

– W domu dziecka musiałem raz zmienić żarówkę w piwnicy – zaczął cicho. – Nikt z nas nie chciał tego zrobić. Wszyscy baliśmy się tam zejść. Ciągnęliśmy zapalki i padło na mnie. To było naprawdę niesamowite. Goła żarówka wisiała na drucie wystającym z sufitu. Wyglądała jak piłka do tenisa. Pożółkła, pokryta pajęczyną i kurzem. I wydawała dźwięki. Jak Jonas. To mój przyjaciel. On potrafi bardzo głośno strzelać kostkami palców. To brzmiało prawie identycznie. Światło gasło i zapalało się, a za każdym razem trzaskało, jakby Jonas ścisnął sobie palce. Przeszał to robić dopiero, jak któryś z dorosłych opowiedział coś o gościu i reumatyzmie.

Stern nie chciał wtrącać żadnych pytań. Pozwolił mu opowiadać dalej. Patrzył tylko na swoje dłonie, które nieświadomie złożył jak do modlitwy.

– Gdy wszedłem do piwnicy, głośno strzelało, a żarówka migotała. Zapalała się i gasła. Nawet gdy robiło się jasno, nie widziałem wszystkiego

dokładnie. Żarówka była po prostu zbyt brudna. A ponieważ tak migotała, wszystko się ruszało. Wiedziałem, że z jednej strony schła pościel, i ręczniki. Z drugiej stały kosze z naszymi spodniami i koszulkami. Światło drżało mocniej niż ja. Bałem się, że za prześcieradłami stoi mężczyzna, który może mnie złapać. Byłem wtedy dużo mniejszy i prawie narobiłem ze strachu w spodnie.

Stern zmarszczył czoło i przytaknął jednocześnie. Po pierwsze, ponieważ rozumiał strach chłopca. Po drugie, powoli zdawał sobie sprawę, co on chciał mu przez to powiedzieć.

– Czy teraz też tak jest? Z obrazami, które widzisz?

– Tak. Kiedy przypominam sobie poprzednie życie, jest wtedy jak tego dnia w domu dziecka. Znowu jestem w piwnicy, a brudna żarówka migocze.

Trach. Trach.

– Dlatego widzę tylko zarysy, cienie. Wszystko jest rozmyte... Ale wydaje mi się, że światło z dnia na dzień jest coraz silniejsze.

– Chodzi ci o to, że po obudzeniu się możesz sobie wszystko lepiej przypomnieć?

– Tak. Wczoraj na przykład nie byłem już wcale pewien, czy rzeczywiście zabiłem tamtego mężczyznę. Siekierą. Dziś rano jednak było to już oczywiste. Dokładnie jak ta cyfra.

Trach.

– Jaka cyfra?

– Szóstka. Ona jest tylko namalowana.

– Gdzie?

Trach. Trach.

– Na jakichś drzwiach. Z metalu. One są gdzieś blisko wody.

Sternowi zachciało się nagle pić. Czuł na języku niemiły posmak i musiał go czymś spłukać. Podobnie jak straszne przeczucie, które wywołały w nim słowa Simona.

– Co tam się stało? – spytał, chociaż wcale nie chciał tego wiedzieć.

Co się stało za drzwiami? Za drzwiami z numerem sześć.

Jakiś facet zaczął gwizdać na korytarzu, jego kroki oddalały się od pokoju, ale umysł Sterna odfiltrowywał wszelkie zewnętrzne odgłosy, pozostawiając wyłącznie słowa Simona. Słowa, opisujące jego walkę z mężczyzną, którego dwanaście lat temu zamordował.

Dwa lata przed swoim urodzeniem.

Stern zapragnął, żeby im ktoś przeszkodził. Nie miał ochoty wysłuchiwać wszystkich szczegółów. O zębatym nożu, którym ofiara zdołała jeszcze przed śmiercią zranić napastnika. Mniej więcej w tym miejscu, gdzie znajdowało się brązowe znamię Simona.

Robert spojrział bezradnie w stronę drzwi, te jednak pozostały zamknięte. Żaden lekarz ani pielęgniarka nie przerwali strasznych opisów scen, które Simon przedstawiał bez większego zaangażowania. Znow zamknął swe duże oczy.

– Znasz adres? – wykrztusił Stern, gdy chłopiec wreszcie skończył. Krew tak mocno dudniła mu w uszach, że sam nie słyszał tego, co mówi.

– Nie wydaje mi się. Chociaż może.

Simon powiedział tylko jedno słowo. Wystarczyło ono, żeby na całym ciele Sterna pojawiła się gęsia skórka. Robert znał to miejsce. Wcześniej często chodził tam na spacer. Z Sophie. Gdy była w ciąży.

6

Nie, nie mam nakazu przeszukania. Nie jestem policjantem.

Stern zastanawiał się, czy typek z kolczykiem w nosie i brudnymi włosami kiedykolwiek chodził do szkoły. Jego górna warga szeroko odsłaniała dziąsła, co w połączeniu z potężnym tyłozgryzem sprawiało wrażenie, jakby bez przerwy szczerzył się w uśmiechu.

– No to sorry, gościu – wymamrotał Sly, kładąc nogi na biurko. Facet przedstawił się tym śmiesznym pseudonimem, gdy Stern wszedł chwilę wcześniej do małego biura firmy transportowej, mieszczącego się na parterze.

– Do czego panu ta szóstka? Wydaje mi się, że już nie wynajmujemy garaży z jednocyfrowymi numerami.

W szpitalu Simon tylko częściowo przypomniał sobie adres. Ale jedna wskazówka wystarczyła – „garaże nad Szprewą”. Stern znał te wałące się magazyny nad kanałem w dzielnicy Alt-Moabit. Główną siedzibą tej berlińskiej firmy z tradycjami była piaskowego koloru budowla z cegły stojąca tuż nad wodą. Z tyłu znajdowały się baraki tymczasowo używane przez klientów do chwilowego przetrzymywania mebli, sprzętu elektronicznego i innych rupieci. Interesy nie szły już tak dobrze, odkąd robotnicy cudzoziemscy godzili się taskać pralki za trzy euro za godzinę. Dlatego właściciel nie inwestował pieniędzy w remonty w ostatnich latach. W obskurnym biurze śmierdziało dymem z papierosów i toaletą, prawdopodobnie dzięki drzewku zapachowemu, które Sly zawiesił na żyrandolu, żeby oszczędzić sobie regularnego wietrzenia. Nic dziwnego, że ślady pleśni ciągnęły się po zasłoniętych żaluzjach aż do sufitu. Stern nie

mógł zrozumieć, jak można w tak pochmurny jesienny dzień, jak dziś, dodatkowo odgradzać się od resztek słonecznego światła.

– Jestem wykonawcą testamentu. Szukam spadkobierców majątku znacznej wartości – zaczął Stern swoją śpiewkę, którą wymyślił w drodze ze szpitala. – Mam nadzieję znaleźć w garażu numer sześć wskazówki, które mogą okazać się pomocne.

Mówiąc to, otworzył portfel i wyjął dwa banknoty. Sly zdjął nogi z biurka, a jego głupkowaty uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Nie zaryzykuję przecież roboty dla jednej stówki – udawał oburzenie.

– A właśnie, że zaryzykujesz.

Stern odwrócił się w stronę zdyszanego mężczyzny, który z hałasem wpadł do biura, a potem schował pieniądze z powrotem do portfela.

– Cholera, śmierdzi tu jak w szczurzej łaźni – zaklął spocony łysielec, który posturą przypominał wyprostowanego Buddę. Na plecach Andiego Borcherta spokojnie można było zamontować telewizor panoramiczny, a ten i tak nie wystawałby poza jego ramiona.

– Coś pan za jeden? – spytał Sly, podskakując. Uśmiezek momentalnie zniknął z jego twarzy.

– Nie rób sobie kłopotu z mojego powodu. Możesz spokojnie dalej siedzieć.

Borchert dosłownie wcisnął go z powrotem w fotel i podszedł do gabloty z kluczami, która wisiała na ścianie obok sporego planu Berlina.

– To o który garaż chodzi?

– Szóstka.

Stern zaczął się zastanawiać, czy dobrze zrobił, dzwoniąc do swojego dawnego klienta i prosząc go o pomoc. Znał oryginalne metody rozwiązywania problemów stosowane przez Andreama Borcherta, bo to właśnie przez nie dwa lata temu tamten omal nie wylądował w więzieniu. Borchert był jeszcze wówczas producentem kiepskich filmów dla dorosłych i dzięki tanim pornosom dorobił się sporego majątku, dopóki pewnego dnia jedna z aktorek nie została brutalnie zgwałcona na planie. Wszystko wskazywało na to, że to Borchert jest sprawcą, dopóki podczas dość

głośnego procesu Stern nie dowiódł czegoś wprost przeciwnego. Andi dostał karę w zawieszeniu po tym, jak po swoim uniewinnieniu na własną rękę znalazł prawdziwego napastnika i solidnie go poturbował. Stern osiągnął to drastyczne zmniejszenie wyroku, stosując sprytną taktykę, co zaowocowało kłopotliwymi oznakami przyjaźni ze strony Borcherta.

– Jeśli zadzwonisz po gliny, to się jeszcze spotkamy – wysapał Andi w kierunku Slya, zabierając odpowiedni klucz. – I to u ciebie w domu, rozumiemy się?

Stern nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, gdy jego były klient wyszedł po tych słowach z biura, nie czekając nawet na nieśmiałe kiwnięcie głową pracownika firmy transportowej.

Dołączył do Borcherta i razem brnęli po nieutwardzonej żwirowej drodze w kierunku garaży.

– No dobra, to teraz powtórz wszystko jeszcze raz, tak żeby mógł to zrozumieć facet bez matury.

To, że co drugi krok Andi wpadał w kałużę, w ogóle mu nie przeszkadzało. Krople potu spływały po jego skroniach. Skłonność do pocenia się przy najmniejszym nawet wysiłku przysporzyła mu wielu ksyw. Mr. Rubens, Sumo, Gruczoł... Borchert znał je wszystkie, chociaż nikt nigdy nie odważył się użyć któregośkolwiek w jego obecności.

– Przez telefon zrozumiałem tylko, że potrzebujesz pomocy, bo dziesięć lat zamordował jakiegoś gościa.

– Niejednego, mówiąc dokładnie. – W drodze przez teren firmy transportowej Stern opowiedział Andiemu całą tę zwariowaną historię i mówił tym szybciej, im większe niedowierzanie rysowało się na twarzy Borcherta. Zatrzymali się w końcu przy zardzewiałym kontenerze na śmieci budowlane, do którego akurat wdrapywał się czarny kot.

– Zabił? Piętnaście lat temu, we wcześniejszym życiu? Ty chyba jaja sobie ze mnie robisz?

– Myślisz, że zwróciłbym się do ciebie, gdybym miał inny wybór? – Stern odgarnął ręką włosy do tyłu i dał znak kompanowi, żeby się nie ociągał i szedł z nim dalej w stronę garażu. – Od wczoraj, kiedy znalazłem

te zwłoki, sprawą zajmuje się Martin Engler, komisarz, który i tobie zaszedł za skórę.

– Tak, pamiętam tego pacana.

– A on pamięta, jak mu spałałem spektakularne aresztowanie.

Podczas dochodzenia Engler zaniedbał jedną rzecz. Nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić kartę chorobową Borcherta. Andi od młodości cierpiał na częściowe zaburzenia wzrodu. Był prawie impotentem, który jedynie po długiej grze wstępnej i w znanym sobie otoczeniu osiągał erekcję. Andi nie mógł zgwałcić tej młodej dziewczyny.

Borchert był dozgonnie wdzięczny Sternowi za uniewinnienie i za to, że rozprawa toczyła się z wyłączeniem jawności. Producent filmów porno, mający problemy ze wzrodem stałby się pośmiewiskiem. Chociaż dzięki Sternowi nie wyciekły żadne pikantne szczegóły, Borchert zrezygnował z działalności w branży filmowej i zajął się prowadzeniem świetnie dziś prosperujących dyskotek w Berlinie i okolicach.

– Bardzo chciałby mnie o coś oskarżyć.

– Oczywiście pomogę ci, ale wybacz, nic z tego nie rozumiem. Dlaczego dałeś się w to wplątać? – Borchert kopnął pustą puszkę po piwie.

– Przyjąłem sprawę tego chłopca. Wystarczy? – Stern wymigał się od odpowiedzi.

Nie chciał opowiadać teraz Borchertowi o DVD, chociaż natychmiast wyjaśniłoby to, dlaczego potrzebuje ochroniarza. Andi był jedyną znaną mu osobą, która bez zbędnych wyjaśnień gotowa była się dla niego narażać. Bał się tylko, że jego dawny klient zacznie uważać go za wariata, jeśli przyzna, z jakich faktycznie powodów idzie ścieżkami Simona, które ten podobno przeszedł we wcześniejszym życiu.

A może rzeczywiście zwariowałem? – pomyślał. Z jednej strony ten dwuminutowy film, a z drugiej wszelkie znane prawa natury, niedopuszczające nawet myśli, że Felix mógłby jeszcze żyć. Ale nie dopuszczały one także tego, żeby Simon mógł pamiętać morderstwa, które popełniono wiele lat przed jego urodzeniem.

– Dobrze. Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie. – Borchert podniósł rękę, jakby Stern wycelował w niego pistolet. – Tylko nie mów mi teraz, proszę, że szukamy tu kolejnych zwłok.

– Niestety tak. Dopiero co widziałem się z Simonem w szpitalu. Podał mi ten adres.

Mżawka lekko osłabła, dzięki czemu Stern mógł znów patrzeć przed siebie, nie mrużąc oczu przed małymi kroplami deszczu. Metalowa brama garażowa z numerem 6 oddalona była jeszcze od nich o jakieś pięćdziesiąt metrów, i należała do jednego z pomieszczeń w kompleksie znajdującym się o rzut beretem od Szprewy.

– Simon powiedział, że dwanaście lat temu odrąbał delikwentowi nogi, żeby ten zmieścił się w lodówce.

7

Stern w zasadzie nie wiedział, czego ma się spodziewać, gdy otworzyli garaż. Może kłębowiska szczurów, szarpiących ludzkie ramię na kamiennej posadzce, albo wibrującego roju much owocówek i plujek, jak czarna chmura wiszących nad na wpół otwartą lodówką? Instynktownie nastawił się na wszelkie możliwe zwiastuny śmierci i właśnie dlatego rzeczywisty widok tak bardzo go zaskoczył, chociaż powinien raczej poczuć ulgę.

Garaż był pusty. Żadnych mebli. Żadnych elektrośmieci. Żadnych książek. Światło z przykurzonej żarówki padało wyłącznie na dwie małe skrzynie pełne starych naczyń i na zniszczone krzesło biurowe. Nic więcej. Stern miał wrażenie, że otwiera się w nim wentyl, przez który umyka wszelka nadzieja. Zdał sobie sprawę, z jaką irracjonalną siłą pragnął, aby w garażu leżało czyjeś ciało. Im bardziej na jakiejś niepojętej zasadzie wspomnienia Simona manifestowały się w terażniejszości, tym większy sens zyskiwała wiara w istnienie związku między Feliksem a dziesięcioletkiem, który miał znamię na ramieniu.

Stern nie mógł pojąć, że naprawdę stworzył w podświadomości to irracjonalne równanie.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o gówniane feng shui – mruknął Borchert. Stern nawet nie próbował mu wyjaśnić, że tradycyjna chińska filozofia aranżacji przestrzeni nie ma nic wspólnego z wędrówką dusz i reinkarnacją. Dla dyskotekowego biznesmena wszystko, czego nie mógł dotknąć, było spirytualnymi bredniami o psychologii, wymyślonymi przez ludzi, którzy mieli zbyt dużo wolnego czasu.

I właśnie to proste podejście do życia Stern jeszcze do niedawna uważał za niezwykle sympatyczne.

– A tobie co? – zainteresował się Borchert, gdy Stern nagle opadł na kolana i zaczął na czworakach posuwać się po posadzce. Stern nie odpowiedział od razu, tylko dalej szukał ewentualnych rys i zagłębień. Zdał sobie sprawę z bezsensowności swoich działań, jeszcze zanim je zakończył.

– Pudło – powiedział w końcu, strzepując kurz ze swojego płaszcza z wielbłądziej sierści. – Nie ma podwójnego dna. Nic.

– Dziwne, nie? No bo przecież ta twoja historia wyglądała na w stu procentach prawdziwą – naśmiewał się Borchert. Z jakiegoś powodu na jego czole znów pojawiły się krople potu, chociaż przez ostatnią minutę nie ruszył się z miejsca.

Wychodząc, Stern jeszcze raz obrzucił spojrzeniem wnętrze garażu, zgasił światło i pozwolił swojemu towarzyszowi zamknąć dużą bramę.

– Nie wiem – wymamrotał do siebie. – Coś tu nie gra.

– A wiesz, kiedy o tym teraz wspomniałeś, też to zauważyłem. – Borchert wyjął klucz i wyszczerzył zęby do Sterna. – Może chodzi o to, że na jakimś zadupiu szukamy w deszczu czyichś zwłok?

– Nie, nie o to mi chodziło. Gdybyś był ze mną przedwczoraj, zrozumiałbyś mnie. Ten chłopiec ostatnie miesiące spędził w szpitalu, a wcześniej w domu dziecka. Skąd mógł wiedzieć o zabitym, leżącym w piwnicy? Znał też przybliżoną datę śmierci.

– Czy zostało to jakoś potwierdzone?

– Tak – odpowiedział Stern, nie podając źródła. Chwilowo musiał zaufać głosowi z DVD.

– W takim razie ktoś musiał mu o tym powiedzieć.

– Też tak sądzę, ale mimo to nie wszystko tu pasuje.

Borchert wzruszył ramionami.

– Słyszałem kiedyś, że małe dzieci mają takich niewidocznych przyjaciół, z którymi rozmawiają.

– Może, kiedy mają cztery latka. Simon nie choruje na schizofrenię, jeśli o to ci chodzi. Nie ma urojeń. Ten facet z roztrzaskaną czaszką był

prawdziwy. Sam go znalazłem. I tu. Szóstka. – Stern wskazał na bramę. Farba, którą namalowano cyfrę, mocno już się złuszczyła. – Ktoś ją tu namalował, tak jak opisał to Simon.

– Pewnie był tu kiedyś i to widział.

– On wychowywał się w domu dziecka. W Karlshorst. Stąd prawie godzina drogi samochodem. Jest to zatem mało prawdopodobne. A jeśli nawet, to nie miałyby sensu. Dlaczego Simon miałby uważać, że jest mordercą, gdyby ktoś mu o tym tylko opowiedział?

– Co to ma być? Teleturniej? Skąd mam wiedzieć? – parsknął Borchert, ale Stern wcale go nie słuchał. Pytania zadawał bardziej po to, żeby uporządkować własne myśli niż w oczekiwaniu na przynoszące rozwiązanie odpowiedzi.

– Okej, przyjmijmy, że istnieje ktoś, kto wykorzystuje Simona. Dlaczego morderca wybiera małego chłopca, żeby ten zaprowadził nas do ciała? Po co tyle trudu? Mógłby przecież sam spokojnie zadzwonić na policję?

– Hej, wy tam! – krzyknął nagle ktoś od strony wejścia do głównego budynku. Lekko pochylony niski mężczyzna w kombinezonie roboczym człapał przez podwórze w ich kierunku.

– To stary. Do niego należy firma spedycyjna – wyjaśnił Borchert. – Nie dziw się, przez dźwiganie skrzyń nabawił się dyskopatii i odtąd chodzi trochę pokrzywiony.

– Co robicie na moim terenie, gnojki?! – wrzasnął tamten, wymachując rękami. Stern już się przygotował wewnętrznie na następną sprzeczkę, ale właściciel firmy zatrzymał się nagle i zaśmiał gardłowo.

– Ach, to ty, Borchert! Teraz już wiem, dlaczego mój bezużyteczny bratanek ma pełne gacie.

– Nie było cię, a nam się spieszyło, Giesbach.

– Okej, w porządku. Mogłeś chociaż zadzwonić.

Staruszek odebrał Borchertowi klucz i spojrzał na Sterna.

– Numer sześć, tak?

Robert z chęcią przyjrzałby się bliżej wysmaganej przez wiatr twarzy właściciela firmy transportowej, ale musiał się odwrócić, kiedy zobaczył

strużki śliny, wypływające z ust Giesbacha przy każdym słowie, jakby właśnie przeżuwał kawałek pizzy.

– Czego właściwie tam szukacie?

– Mój kumpel rozgląda się za drugim mieszkaniem – mruknął Borchert.

– Tylko pytam. Akurat w szóstce?

– Dlaczego akurat? – zainteresował się Stern.

– To był jedyny garaż, który wynajmowałem na stałe.

– Komu?

– Gościu, myślisz, że mnie to interesuje, kiedy ktoś płaci gotówką? Za dziesięć lat z góry?

– A po co ktoś wynajmuje pusty garaż?

– Pusty?

W chwili, gdy staruszek uśmiechnął się drwiąco, Stern zorientował się, na co nie zwrócił uwagi wcześniej w garażu. *Ślady po przesuwaniu. Na zakurzonej posadzce.*

– Był załadowany po sam dach. Posprzątaaliśmy tam w ubiegłym tygodniu, po wygaśnięciu umowy.

– Co? – spytali jednocześnie Stern i Borchert.

– Dokąd wszystko poszło?

– Tam, gdzie powinno się znaleźć. Na śmieci.

Serce Sterna zamarło na chwilę, kiedy podążył za wzrokiem koślawego spedytora. I nadzieja nagle powróciła.

– Powinniśmy byli tak zrobić już dwa lata temu. Usunąć te graty. Zupełnie przegapiliśmy, że umowa wygasła, bo w zasadzie nie wypożyczamy już jednocyfrowych garaży. Będziemy je wyburzać.

Robert obrócił się i szedł, jak w spowolnieniu, w kierunku przerdzewiałego kontenera, który już wcześniej mijali. Gdy był wystarczająco blisko, aby zajrzeć do środka, czarny kot nadal tam siedział. Przyczał się na stosie starych gazet przed poźólkłą skrzynią. Najwidoczniej spodobało mu się miejsce, gdzie z nieszczęlnego urządzenia skapywała bladożółta ciecz. W każdym razie nie zareagował na Sterna, kiedy ten wdrapał się do kontenera. Dalej lizał gumową uszczelkę starej lodówki.

Tego modelu z pewnością nie można było dostać na rynku od co najmniej dwunastu lat.

8

Jak to sobie wyobrażasz?

Carina zatrzasnęła nogą drzwi samochodu i z komórką przy uchu pobiegła w górę szpitalnego podjazdu. Musiała zostawić auto przed kliniką, ponieważ wszystkie wolne miejsca parkingowe zajmowały pojazdy, które z całą pewnością nie były do tego uprawnione. Jeśliby się temu dokładniej przyjrzeć i tak nie miała czego szukać na szpitalnym parkingu. Oficjalnie została urlopowana. Nieoficjalnie mogła już zacząć się rozglądać za nową pracą.

– Klinika to przecież nie jest więzienie o zaostrozonym rygorze – słyszała głos Sterna, przerywany przez uliczny zgiełk. – Na pewno jest jakaś możliwość, żeby wyciągnąć stamtąd Simona.

Przebieg rozmowy wcale się jej nie spodobał. Dwa dni czekała na jakiś znak życia od Roberta. A teraz to! Zamiast porozmawiać z nią w spokoju o niezrozumiałych wydarzeniach, najwidoczniej zmierzał do przysporzenia jej jeszcze większych kłopotów. Jakby dotychczasowe nie wystarczały.

– Czego chcesz od Simona?

– Tego, o co mnie poprosiłaś. Weryfikuję to, co mówi.

Świetnie.

To też szło na jej konto. W końcu to ona doprowadziła do ich spotkania. Chciała, żeby się zaopiekował chłopcem.

Ale przecież nie w ten sposób!

Nie jako jego adwokat. Aranżując spotkanie, miała naiwne życzenie. Przede wszystkim chodziło jej oczywiście o Simona. To z powodu jej idiotycznego pomysłu z seansem regresji hipnotycznej jego strach przed

śmiercią zastąpiły jeszcze większe zmartwienia. Uwierzył, że jest mordercą. Musi to wszystko na nowo wyprostować.

Nie potrzebowała Roberta w wyprawie do piwnicy. Możliwe, że nawet Picasso przydałby się tam bardziej. Jej chodziło o to, żeby zapoznać Roberta z Simonem. Mocno wierzyła, że obaj mogą nawiązać relację, w której on pomógłby chłopcu pozbyć się koszmarnych myśli, i może sam bardziej by się otworzył na ludzi. Bo prawdziwie niepojętą właściwością Simona było właśnie to, że pomimo ciężkiej choroby samą swoją obecnością wyczarowywał uśmiech na twarzy smutnych pacjentów i rozwiewał spowijające ich chmury depresji i melancholii.

Tak, jestem idiotką, pomyślała. Co krok to błąd.

Spojrzała na zegarek, zastanawiając się, czy rzeczywiście upłynęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny od momentu, kiedy rozpoczęło się to szaleństwo. Było tuż przed jedenastą. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek dotychczas przyjeżdżała do kliniki o tej porze.

– Co chcesz jeszcze od niego usłyszeć? – szepnęła ochrypnięta do komórki. Pozdrowiła przechodzącą obok koleżankę, unosząc rękę, w której trzymała pustą torbę sportową. Wróciła w zasadzie tylko po to, aby zabrać z szafki rzeczy osobiste i pożegnać się z kolegami. Tego, o co prosił ją teraz Stern, zdecydowanie nie miała w planach.

– Byłem dziś rano u niego. Dał mi kolejną wskazówkę. Nie uwierzysz, ale naprawdę znaleźliśmy kolejne.

– Kolejne co? – Carina wbiegła do holu kliniki. Poryw wiatru zmierzwił jej włosy i wzdrygnęła się od tego, bo miała wrażenie, jakby ktoś przez słomkę dmuchnął jej mokrym powietrzem w kark.

– Zwłoki. Znaleźliśmy je w lodówce. Uduszone plastikową torebką, dokładnie, jak to opisał Simon.

Z ust Cariny znikł uśmiech, którym chciała przywitać portiera. Skierowała się szybko w stronę windy.

Zrobiło się jej niedobrze. Zawsze podejrzewała, że znajomość z Robertem Sternem któregoś dnia sprowadzi na nią poważne kłopoty. Od trzech lat ignorowała wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne głosy, które

ostrzegały ją przed psychicznym niebezpieczeństwem zarażenia. Jego przygnębiające usposobienie działało niczym promieniowanie radioaktywne. Niewidoczne, lecz wywołujące najgorsze działania uboczne u wszystkich, którzy byli na nie wystawieni. Również ona obawiała się przedawkowania złej energii, jeśli zbyt blisko się z nim zwiąże. Pomimo to co chwila szukała jego bliskości, nie wkładając ubrania ochronnego. Jednak tym razem, wydawało się, że podeszła zbyt blisko. Ich wspólne przeżycia zagrażały już nie tylko duszy.

– Przy zwłokach odkryliśmy coś jeszcze.

My? – Zastanowiła się, ale postawiła znacznie ważniejsze pytanie:

– Co takiego?

Na przycisku do przywoływania windy pozostał mokry ślad, kiedy zabrała z niego palec.

– Kartkę. Leżała przy zamordowanym. Dokładniej mówiąc, tkwiła między jego rozkładającymi się palcami.

– Co na niej jest? – spytała, chociaż tak naprawdę nie chciała tego usłyszeć.

– Już ją raz widziałas.

– Słucham?

– U Simona. W jego pokoju.

– Chyba żartujesz.

Drzwi do windy otwierały się powoli. Carina uderzała nerwowo paznokciami o aluminium. Chciała jak najszybciej zniknąć w kokonie zamkniętej kabiny.

– Dziecięcy rysunek – wyjaśnił Stern. – Mały kościół na łące.

Nie wierzę.

Carina nacisnęła przycisk z numerem piętra neurologii i zamknęła oczy.

Rysunek z okna Simona. Narysował go dopiero trzy dni temu. Po seansie regresji hipnotycznej.

– Rozumiesz teraz, dlaczego muszę się z nim zobaczyć?

– Tak – szepnęła, chociaż właściwie nic już nie rozumiała. Znów czuła się jak trzy lata temu, gdy rozpadł się ich związek. Kiedy Stern zaciągnął

hamulec, bo dla niego wszystko działa się za szybko.

– Przyrowadź, proszę, Simona do zoo – powiedział Stern. – Spotkamy się za półtorej godziny przy wybiegu dla słoni. Jako para z dzieckiem nie będziemy zwracać niczyjej uwagi.

– Po co tak komplikujesz? Nie możesz sam przyjechać do kliniki?

– To już drugie ciało, i za każdym razem to ja je znajduję. Jak myślisz, które miejsce zajmuję na liście podejrzanych u Englera?

– Rozumiem – wyszeptała Carina. Winda się zatrzymała, a Carina musiała przezwyciężyć ochotę, aby po prostu zjechać z powrotem na dół. W tej chwili chciała jedynie zniknąć.

– Dlatego zmyłem się, zanim przyjechała policja. Ale to tylko kwestia czasu, kiedy zorientują się, że znów ja znalazłem zwłoki. Mam tylko niewielką przewagę i muszę ją wykorzystać.

– Do czego?

Stern odetchnął głęboko, zanim odpowiedział. Otwierając drzwi do pokoju 217, Carina odniosła wrażenie, że słyszy w jego głosie cień nieufności.

– Mam jeszcze przed sobą jedno spotkanie. Z twoim przyjacielem.

W normalnych warunkach natychmiast by spytała, jak ma to rozumieć, ale teraz zabrakło jej słów. O tej porze Simon zazwyczaj oglądał powtórkę swojego ulubionego serialu kryminalnego, ale tym razem telewizor grał zupełnie niepotrzebnie.

Łóżko Simona stało puste.

9

Zatem zamierza go pan przesłuchać?

Profesor H.J. Müller podpisał się całkowicie nieczytelnie na liście do swojego kolegi ordynatora z Moguncji i zamknął teczkę z dokumentami. Potem sięgnął po srebrny nóż do otwierania kopert i usunął nim niebieskawy brud spod paznokcia.

– Przesłuchanie nie jest najlepszym określeniem w tej sytuacji. – Policjant, który usiadł naprzeciwko, odchrząknął. – Chcemy mu zadać tylko kilka pytań.

Akurat, pomyślał Müller, lustrując mężczyznę, który przedstawił mu się jako komisarz Brandmann. Z pewnością nie będzie to zwykła rozmowa.

– Naprawdę nie wiem, czy mogę się zgodzić na takie metody. Czy coś takiego jest w ogóle dozwolone?

– Tak, oczywiście.

Na pewno? Müller nie wyobrażał sobie, żeby nie wymagało to specjalnego zezwolenia. Od naczelnika albo chociaż od jakiegoś prokuratora.

– A gdzie pana partner? – Müller spojrzął na terminarz przed sobą. – Moja sekretarka zapowiedziała pana Denglera.

– Englera – poprawił go Brandmann. – Kolega kazał przeprosić, musiał pojechać w inne miejsce, które prawdopodobnie bezpośrednio łączy się z tą sprawą.

– Rozumiem. – Ordynator ściągnął kącik ust, jak zazwyczaj, gdy kogoś badał. Siedzący na krześle przed biurkiem otyły mężczyzna na chwilę przestał być policjantem stając się pacjentem, któremu Müller, taksując jego

nienormalnie wystającą grdykę, doradziłyby oprócz diety pilne badanie tarczycy.

Pokręcił głową i odłożył nóż na bloczek recept.

– Nie. Moja odpowiedź brzmi nie. Nie pozwolę wystawić pacjenta na niepotrzebny stres. Chyba pan zna jego diagnozę? – Müller splótł chude dłonie. – Simon Sachs ma obwodowy niskozróżnicowany guz neuroektodermalny w kresomózgowiu, który powoli rozprzestrzenia się z prawej półkuli na lewą. Oznacza to, że przemieszcza się on teraz przez *corpus callosum*. Osobiście przeprowadzałem biopsję, a po otwarciu czaszki stwierdziłem, że guz jest nieoperacyjny. – Ordynator wyraźnie zmusił się do uprzejmego uśmiechu. – Mówiąc w sposób bardziej zrozumiały dla laika, takiego jak pan: Simon jest ciężko chory.

– Właśnie dlatego chcemy możliwie szybko poddać go temu testowi. Jemu oszczędzi to wielu dokuczliwych przesłuchań, a nam mnóstwo czasu. Jak słyszałem, chłopak o mało nie umarł na zapalenie płuc?

Ha. Więc tu cię mam.

Dziecko było ich najważniejszym świadkiem. Chcieli je przesłuchać, dopóki jeszcze jest taka możliwość.

Po tym, jak chemioterapia i naświetlania wywołały niebezpieczne zapalenie płuc, profesor Müller wbrew radom kolegów zdecydował się przerwać agresywne leczenie. Co prawdopodobnie nie wydłuży życia, ale przynajmniej zmniejszy cierpienia pacjenta.

– To prawda – odpowiedział profesor. – Obecnie Simon dostaje jedynie kortyzon na obrzęk mózgu i karbamazepinę przeciwko padaczce. Zarezerwowałem mu miejsce na jeszcze jedno badanie kontrolne, podczas którego powinno się okazać, czy mamy ewentualnie wznowić naświetlania, ale prognozy są, niestety, nad wyraz pesymistyczne.

Neurolog wstał od biurka i podszedł do masywnej mównicy, stojącej przy oknie.

– Jak daleko doprowadziło panów dalsze śledztwo? Wiadomo już, kim był zamordowany, którego znaleźliście wczoraj z pomocą Simona?

– Proszę pozwolić, że odpowiem tak... – Brandmann wyciągnął pomarszczoną szyję w stronę profesora jak jakiś żółw. – Jeśli Simon faktycznie przeszedł reinkarnację, to we wcześniejszym życiu oddał nam wielką przysługę.

– Czyżby zwłoki należały do jakiegoś bandyty?

– Tak. I to z tych najgorszych. Piętnaście lat temu Harald Zucker przepadł bez śladu. Od tego czasu Interpol podejrzewał, że macza palce w okropnych zbrodniach w Ameryce Południowej. Najwidoczniej jednak wcale nie wyjechał.

– Zucker? – powtórzył Müller nieobecny tonem, przeglądając odręczne notatki na wykład, które leżały na mównicy.

Rozległo się pukanie. Drzwi otworzyły się, zanim zdążył powiedzieć „proszę”. Najpierw rozpoznał pielęgniarza, którego wszyscy w klinice nazywali Picassem, chociaż Müller nie mógł się w nim dopatrzeć niczego z artysty. Prawa dłoń Picassa spoczywała na ramieniu chłopca. Delikatnie wprowadził go do środka.

– Cześć, Simon. – Brandmann zwłóknął się z krzesła i pozdrowił chłopca jak dobrego kumpla. Simon skinął tylko nieśmiało głową. Miał na sobie błękitne dzinsy z naszytymi kieszeniami, sztruksową kurtkę i nowiutkie białe trampki. Przy szyi dyndały słuchawki odtwarzacza mp3.

– Jak się dziś czujesz? – zapytał lekarz, wychodząc zza mównicy.

Chłopiec wyglądał dobrze, ale mógł to być efekt peruki, która odwracała uwagę od jego bladej twarzy.

– Całkiem okej. Jestem tylko trochę zmęczony.

– W porządku. – Rozmawiając z Simonem, profesor Müller starał się maksymalnie wyprostować, żeby nieco zniwelować wyraźną przewagę wzrostu komisarza. – Ten pan jest z policji kryminalnej. Chciałby zadać ci kilka pytań związanych z wczorajszymi wydarzeniami. Dokładniej mówiąc, chce poddać cię testowi, a ja nie jestem pewien, czy powinienem wyrazić zgodę.

– Jakiemu testowi?

Brandmann odchrząknął. Zadał sobie wielki trud, aby posłać chłopcu ujmujący uśmiech.

– Simonie, wiesz, co to jest wykrywacz kłamstw?

10

W okolicy Hackeschen Markt nigdy nie można było znaleźć wolnego miejsca do parkowania. Borchert stanął więc swoją terenówką na drugiego, gdy dotarli do prywatnej praktyki przy Rosenthalerstrasse. Podróż z Moabitu do centrum Stern wykorzystał na wykonanie kilku telefonów. Między innymi do informacji, gdzie dostał od razu kilka adresów doktora Johanna Tiefensee. Ku jego zdumieniu okazało się, że facet praktykuje nie tylko jako psycholog, ale również psychiatrę, a więc normalny lekarz po studiach. Podobno jest też docentem hipnozy terapeutycznej na Uniwersytecie Humboldta.

– Zaczekaj chwilę, Robert.

Stern poczuł, jak dłoń Borcherta z siłą imadła zamyka się wokół jego nadgarstka, kiedy spróbował odpiąć pasy.

– Jeśli chcesz, możesz robić w bambusa Carinę, ale mnie nie nabierzesz.

– Nie rozumiem.

Stern chciał wyrwać rękę, ale mu się nie udało.

– Dlaczego bawisz się w grabarza? Obrońca, którego znam, opuszcza swoją willę tylko wtedy, gdy może komuś wystawić za to rachunek. W żadnym razie nie pracuje dla chorego na umyśle dziecka. Stój, pozwól mi dokończyć.

Andi tak mocno zacisnął palce, aż ręka Sterna zaczęła drętwieć. Borchert zupełnie nie zwracał uwagi na klaksony przejeżdżających samochodów.

– Nie jestem idiotą. Tacy prawnicy jak ty nie uciekają bez powodu przed policją. Wyjaśnij mi więc, dlaczego nie zaczekaliśmy w firmie transportowej.

– Chciałem uniknąć problemów z Englerem.

– Bzdura. Jeśli stary Giesbach zacznie paplać, będziesz w dwa razy większych tarapatach. Gadaj, o co chodzi?

Robert patrzył przez przyciemnioną szybę na szeroki chodnik ruchliwej ulicy. Był dopiero koniec października, co najwyraźniej wcale nie przeszkadzało, żeby w witrynie kawiarni na rogu wystawić już Świętego Mikołaja.

– Masz rację – wydusił w końcu. Kiedy Borchert go wreszcie puścił, zdrętwiałymi palcami rozpiął kurtkę. Wyciągnął z kieszeni płytę DVD i pokazał Borchertowi, który uniósł tylko brwi. – Znalazłem to wczoraj w skrzynce pocztowej.

– Co tam jest?

Zamiast odpowiedzieć, Stern wsunął płytę do odtwarzacza w samochodzie, a mały wyświetlacz nawigacji automatycznie się włączył.

– Sam zobacz.

Zamknął oczy i czekał, aż trujący głos wleje się przez głośniki do wnętrza samochodu. Jednak zamiast tego usłyszał tylko trzaski.

– Jaja sobie ze mnie robisz?

Speszony Stern otworzył oczy i spojrzał na wyświetlacz.

– Nie rozumiem. – Nacisnął przycisk, wyjął pośpiesznie płytę z odtwarzacza i sprawdził z obu stron, czy nie ma zadrapań.

– Musi być uszkodzona! Przecież wczoraj jeszcze wszystko na niej było!
A może ślady zużycia wcale nie były optycznym złudzeniem?

– Wszystko co? – spytał Andi.

– No wszystko. Głos, oddział dla noworodków... – Stern mówił gorączkowo, czuł, jak wzbiera w nim panika – ...nagranie momentu śmierci Feliksa. I ten mały chłopiec, który wygląda, jakby był moim synem.

Kiedy zobaczył minę Andiego, zaczął jeszcze raz od początku. Wyjaśnił mu, jak tylko umiał, jak szokującą propozycję otrzymał wczoraj wieczorem.

– Dlatego nie mogę pójść na policję. On chce zabić bliźniaczki. Sam muszę odkryć, skąd Simon wie o morderstwach. Mam jeszcze na to cztery

dni – zakończył Stern, jednocześnie zdając sobie sprawę, jak bardzo się ośmiesza. Gdyby jeszcze dwa dni temu ktoś mu opowiedział tak niewiarygodną historię, sam by go wyśmiał i posłał do diabła.

Bez słowa komentarza Andi wziął DVD i włączył oświetlenie w samochodzie. Na zewnątrz ciągle mżyło i powietrze było równie mało przejrzyste jak w tureckiej łaźni.

– Co o tym sądzisz? – spytał Stern ostrożnie, kiedy Borchert po minucie milczenia ciągle nie wydobył z siebie słowa.

– Wierzę ci – powiedział w końcu i oddał mu srebrzystą płytę.

– Naprawdę?

– Wierzę ci, że wczoraj coś na niej było. To jest EZ-D.

– Co?

– Dysk ulegający samozniszczeniu. Gdy robiłem w branży filmowej, słyszałem o takich prototypach. Jest na nich specjalne poliwęglowe pokrycie, które wchodzi w reakcję z tlenem. Po odtworzeniu i wyjęciu z odtwarzacza płyta staje się bezużyteczna. Stworzono ją na potrzeby wypożyczalni, żeby nie trzeba było zwracać filmów.

– Świetnie, ale to był dowód. I co mi teraz po takim DVD jednorazowego użytku? Były na niej informacje, których nie mogę nikomu dalej przekazać.

– Robert, nie bierz mi tego za złe, ale... – Borchert drapał się po łysej głowie – ...najpierw znajdujemy zwłoki, a teraz szantażuje cię jakiś nieznajomy, który sądzi, że twój syn nadal żyje. Może ten „głos” istnieje jedynie w twojej głowie?

Stern spojrzał na Borcherta i zrozumiał, że to pytanie było całkowicie uzasadnione. Może faktycznie śmierć Feliksa sprzed dziesięciu lat pozbawiła go rozumu? Najwidoczniej tak się stało. Wszystkie obiektywne fakty potwierdzały jednoznacznie, że Felix zmarł. Jednak okrutny „głos” z DVD i wspomnienia Simona z bezlitosną precyzją uruchomiły w jego duszy coś, o czym dotychczas nie miał pojęcia. Skłonność do wiary w ponadnaturalne zjawiska. Zszokowany Stern musiał przyznać, że gdyby jakaś siła wyższa umożliwiła mu spotkanie z synem, brak jakiegokolwiek logicznego wyjaśnienia byłby mu obojętny. Borchert miał rację.

Chyba rzeczywiście był bliski obłądu. Do oczu napłynęły mu łzy, kiedy kładł dłoń na ramieniu Andiego.

– Tylko trzy razy miałem go na rękach, wiesz? – Stern sam nie wiedział, po co o tym wspomina. – W tym raz, gdy już był martwy.

Zupełnie nie kontrolował wylewających się z niego słów.

– Czasem budzę się w nocy. Jeszcze teraz. I wtedy znów go czuję. Jego zapach. Kiedy Sophie oddała wreszcie Feliksa, jego ciało było już zimne. Ale nadal pachniał, jak tego ranka, gdy pierwszy raz wziąłem go na ręce i nacierałem oliwką.

– A teraz na poważnie chcesz się przekonać, czy on... – Stern zauważył, z jakim trudem Borchertowi przychodzi wypowiedzieć te słowa – ...czy on naprawdę żyje w innym ciele?

– Tak. Znaczy, nie. – Stern pociągnął nosem. – Sam nie wiem, Andi. Ale muszę przyznać, że nie jestem w stanie wytłumaczyć sobie tego podobieństwa.

Opowiedział mu o znamieniu chłopca, który zdmuchiwał świece na urodzinowym torcie.

– Znajduje się ono dokładnie w tym samym miejscu, gdzie miał je Felix. Na ramieniu. To bardzo nietypowe, bo zazwyczaj spotyka się je na twarzy albo szyi. Oczywiście teraz jest dużo większe, ale o niesamowitym kształcie. Wygląda jak but z wysoką cholewką.

– A Felix... – Borchert wstrzymał się na chwilę. – Znaczy, to niemowlę, które pochowaliście? Czy też to miało?

– Tak, sam widziałem. Przed i po śmierci.

Stern zamknął oczy, jakby mogło mu to pomóc w przebiciu muru wspomnień, w który właśnie walił głową. Nie zapomniał szpitalnego pokoju ani metalowego stołu do sekcji zwłok, na którym leżał jego syn.

– Przepraszam cię. – Stern przejechał nerwowo dłonią po czole, wahał się przez chwilę, w końcu jednak wysiadł. – Wcale się nie dziwię, że mi nie wierzysz i nie chcesz mieć z tym obłądem nic wspólnego.

Nie czekając na reakcję Borcherta, zatrzasnął za sobą drzwi wozu i skierował się w stronę wejścia do budynku.

Krótkie spojrzenie na elegancką tablicę z nazwiskami przy wejściu wykonaną z kutego żelaza wystarczyło, aby się przekonał, że jest u celu. Piąte piętro, po lewej. Stern zamierzał właśnie zadzwonić, kiedy zauważył mały klin blokujący drzwi przed zatrzaśnięciem. Nie wiedział, czy będzie potrzebował klucza do windy, co w wielu domach czynszowych w Berlinie było konieczne, więc wybrał schody. Na ostatnie piętro dotarł, ciężko dysząc. Wystraszony oparł się o wysłużoną poręcz na klatce schodowej. Jednak to nie brak kondycji napędził mu strachu, lecz drzwi do prywatnego gabinetu doktora Tiefenseego.

Były otwarte na oścież.

11

Simon, dobrze się czujesz? – spytał profesor Müller, wciskając i przytrzymując guzik mikrofonu. Przez grubą szklaną szybę miał widok na gabinet, w którym stał śnieżnobiały aparat do rezonansu magnetycznego. Simon, ubrany jedynie w T-shirt i bokserki, leżał w tunelu, do którego wsunięto go kilka minut temu jak do pieca. Już po raz piąty w ciągu dwóch lat poddawano go tej półgodzinnej procedurze. Dotychczasowe obrazowania jego mózgu wykazywały, niestety, tylko niekontrolowany rozrost komórek. Dziś jednak w drodze wyjątku przedmiotem badania nie był guz.

– Tak, wszystko okej.

Słowa Simona zabrzmiały w głośnikach jasno i wyraźnie.

– Czy to na pewno zadziała? – Müller puścił przycisk mikrofonu, żeby chłopak nie usłyszał ich rozmowy. To, że zgodził się na przeprowadzenie tego testu, wynikało wyłącznie z jego zaciekawienia neuroradiologicznym eksperymentem, o którym dotychczas tylko czytał. Teraz miał okazję doświadczyć go na własne oczy. Oprócz niego i komisarza w pomieszczeniu znajdowała się jeszcze androginiczna blondyna, właśnie majstrująca coś pod stolikiem, na którym stał monitor. Przedstawiono mu ją jako posiadającą medyczne wykształcenie ekspertkę od przesłuchań z Krajowego Urzędu Kryminalnego.

– Tak. Ta metoda jest dokładniejsza niż test przy zastosowaniu tradycyjnego wariografu. Zresztą nie zezwolił pan na zabranie Simona w takim stanie z kliniki. Wykorzystamy więc wykrywacz kłamstw, należący do kliniki. – Brandmann roześmiał się. – Chociaż pewnie aż do dziś nie

mieliście zielonego pojęcia, że w waszym szpitalu coś takiego w ogóle jest, prawda?

– Panie profesorze? – Z pokoju obok odezwał się Simon.

– Tak?

– Łaskocze mnie.

– Żaden problem. Jeszcze możesz się poruszać.

– O co mu chodzi? – spytał Brandmann.

– Zatyczki tłumiące hałas, które ma w uszach. Zawsze łaskoczą, gdy tworzywo piankowe się rozgrzeje.

– Okej, jestem gotowa. – Blondyna z gumą do żucia w ustach wyczołgała się spod stolika, kiedy już udało się jej podłączyć laptop do komputera szpitalnego. Przysunęła sobie krzesło, usiadła przed wózkiem, na którym stał mały szary monitor, i nacisnęła guzik interkomu.

– Cześć, Simon, jestem Laura. – Jej głos brzmiał zaskakująco przyjaźnie.

– Cześć.

– Za chwilę postawię ci kilka pytań. Na większość z nich wystarczy, że odpowiesz tak lub nie, okej?

– Czy to już było pierwsze pytanie?

Dorośli nie mogli się powstrzymać od uśmiechu.

– Świetnie, widzę, że się rozumiemy. Możemy zatem zaczynać. Jeszcze tylko jedna rzecz. Cokolwiek się będzie działo, nie wolno ci pod żadnym pozorem otworzyć oczu.

– W porządku.

– Panowie. – Laura wykonała zapraszający gest ręką.

Wprawnymi ruchami Müller włączył elektroniczny system rezonansu magnetycznego. Badanie rozpoczęło się od typowych rytmicznych łupnięć, jakby ktoś wbijał w ziemię pał. Pomimo zamkniętych dźwiękoszczelnych drzwi nie tylko słyszeli dudniący hałas, ale również go odczuwali. Po kilku minutach w jego miejsce pojawiły się niskie basy.

– Podaj mi proszę najpierw swoje imię i nazwisko – poprosiła Laura.

– Simon Sachs.

– Ile masz lat?

- Dziesięć.
- Jak nazywa się twoja matka?
- Sandra.
- A ojciec?
- Nie wiem.

Laura spojrzała na Müllera, który wzruszył tylko ramionami.

- To sierota socjalna. Matka go oddała. Ojca nigdy nie poznał.

Funkcjonariuszka postawiła jeszcze dziesięć pytań, na które Simon odpowiadał tak albo nie, zanim przeszła do następnej części testu.

– Okej, Simon, teraz trochę trudniejsze zadanie. Chciałabym, żebyś mnie okłamał.

- Dlaczego?

– Widziałeś już kiedyś komputerowe zdjęcia swojego mózgu? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Tak. Wygląda to jak przepołowiony orzech włoski.

Laura zaśmiała się.

– Właśnie. W tej chwili znów robimy takie orzechowe zdjęcia. Później będziesz mógł sobie z nich obejrzeć film. I jeśli mnie teraz okłamiesz, zobaczysz potem coś zupełnie niesamowitego.

- Świetnie.

Laura popatrzyła krótko na Brandmanna i profesora, a potem zaczęła kolejną turę pytań.

- Czy masz prawo jazdy?

- Tak.

Müller wpatrywał się z pełnym zachwytem w trójwymiarowy obraz o wysokiej rozdzielczości. Przy wszystkich wcześniejszych odpowiedziach nic się nie działo. Teraz nagle rejon przedniej kory nowej mózgu zabarwił się na czerwono.

- Jakim jeździsz samochodem?

- Ferrari.

- A gdzie mieszkasz?

- W Afryce.

– Widzi pan? – Laura szepnęła do Müllera. – Wzmożona aktywność mózgu w rejonie wzgórza i jądra migdałowatego. Proszę też zwrócić uwagę na wskazania we wszystkich innych rejonach, które odpowiadają za emocje, kontrolę myśli i zarządzanie konfliktem. – Zgryzionym długopisem stuknęła w inną czerwoną plamę na ekranie. – To całkiem typowe. Gdy osoba badana mówi prawdę, nic się tu nie dzieje. Ale gdy kłamie, musi wysilić swoją wyobraźnię i znacznie bardziej się skoncentrować. Nasze oprogramowanie wychwytuje taką podejrzaną aktywność mózgu i zaznacza dany obszar na czerwono, klasyfikując daną odpowiedź jako kłamstwo.

– Fantastycznie – wyrwało się profesorowi Müllerowi. Nic dziwnego, że ten nowy system przewyższa tradycyjne wykrywacze kłamstw. Normalny wariograf mierzy tylko typowe zmiany tętna, ciśnienia, oddechu i wydzielanego potu. Dobrze przygotowana, wytrenowana psychologicznie osoba była w stanie stłumić przy kłamstwie niektóre z tych odruchów. Ale nikt nie potrafi kontrolować procesów biochemicznych zachodzących w mózgu.

Laura połknęła żutą przed chwilą gumę i ponownie włączyła interkom.

– Bardzo dobrze, wspaniale współpracujesz, Simon. Teraz przejdziemy do ostatniej serii pytań i na tym zakończymy. Tym razem musisz mówić już wyłącznie prawdę, okej?

– Nie ma sprawy.

– Jaki prezent dostałeś na urodziny?

– Trampki.

– Co jeszcze?

– Regresję hipnotyczną.

– U doktora Tiefenseego?

– Tak.

– Od Cariny?

– Tak.

– Zostałeś zahipnotyzowany?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że wcześniej usnąłem.

– Skąd to wiesz?

- Od Cariny i doktora. Ale może to pani sama sprawdzić.
- W jaki sposób? – Laura wyglądała teraz na tak samo zdumioną jak komisarz Brandmann. Nie oczekiwali takiej odpowiedzi.
- Doktor Tiefensee nagrał całą sesję na wideo. Możecie to obejrzeć.
- Okej, dzięki za wskazówkę. Co się stało, gdy znów się zbudziłeś?
- Miałem w pamięci wspomnienie.
- Jakie?
- O zwłokach w piwnicy.
- Czy to wspomnienie pojawiało się już kiedyś wcześniej?
- Nie.
- Czy ktoś w twojej obecności wymienił kiedyś nazwisko Harald Zucker?
- Nie.
- Kto ci powiedział, że powinieneś pojechać do tamtej fabryki?
- Nikt. Spytałem Carinę, czy może mi załatwić adwokata.

Müller spojrział na Brandmanna, który nawet na chwilę nie mógł oderwać wzroku od monitora. Na razie nie pojawiło się choćby najmniejsze odchylenie.

- Dlaczego chciałeś mieć adwokata?
- Chcę zgłosić się na policję. Zrobiłem przecież coś złego. Muszę o tym komuś powiedzieć. A w filmach zawsze pytają na początku o adwokata.
- Dobrze, zaraz kończymy. Zadam ci teraz najważniejsze pytanie, Simonie. Czy zamordowałeś człowieka?
- Tak.
- Kiedy to było?
- Jedną osobę piętnaście lat temu, drugą trzy lata później.

Müller podszedł krok bliżej do monitora, jakby stał się nagle krótkowidzem.

- Simon, proszę cię teraz, żebyś przypomniał sobie wszystkich, z którymi rozmawiałeś w ostatnich tygodniach i miesiącach. Nieważne, czy tu w szpitalu, czy poza. Pomyśl o Robercie Sternie, Carinie Freitag,

doktorze Tiefenseem, twoich lekarzach, o kim chcesz. Czy był ktokolwiek, kto ci kazał opowiedzieć nam tę historię?

– Nie. Wiem, że myślicie, że kłamię. – Simon wydawał się teraz bardzo zmęczony i dlatego sprawiał wrażenie bardziej smutnego niż oburzonego. – Że chcę stać się sławny albo coś takiego. Że tylko powtarzam, co mi ktoś kazał.

Laura i Brandmann przyłapali się jednocześnie na skinięciu głową.

– Ale tak nie jest – kontynuował Simon. Mówił coraz głośniej: – Zrobiłem to. Zabiłem. Po raz pierwszy piętnaście lat temu. Pierwszego mężczyznę zabiłem siekierą, drugiego udusiłem. Później było jeszcze kilka innych ofiar, lecz nie jestem pewien jak dużo.

Laura odwróciła się do Brandmanna i Müllera, kręcąc bezradnie głową.

To, co działo się właśnie na ekranie, było po prostu niepojęte.

12

Otwarte drzwi w Berlinie to nic nadzwyczajnego, zwłaszcza jeśli prowadzą do gabinetu lekarskiego. Opuszczona recepcja i pusta poczekalnia za nią już tak. Stern musiał stłumić wrodzony instynkt samozachowawczy, kiedy wchodził do środka, wołając głośno nazwisko psychiatry.

– Halo? Doktorze Tiefensee? Jest pan tu?

Już sam szklany, delikatnie podświetlony szyld przy wejściu nie odpowiadał typowemu standardowi, jakim znachorzy zazwyczaj próbowali zwrócić na siebie uwagę. Również przytulne wyposażenie wnętrza różniło się od wielu innych gabinetów lekarskich, które Stern dotychczas odwiedził. Widać to było od razu w poczekalni, gdzie stały skórzane fotele w staroangielskim stylu, na których można było się wygodnie rozsiąść.

Stern sięgnął po komórkę i wybrał numer, który przekazano mu w informacji. Kilka sekund później w jednym z dalszych pomieszczeń rozbrzmiał dzwonek telefonu. Stern poczekał dziesięć sygnałów, aż włączy się automatyczna sekretarka. Słyszał teraz głęboki głos psychiatry płynący jednocześnie z komórki i z lekkim opóźnieniem z oddalonego o jakieś dwadzieścia kroków pomieszczenia.

W połowie drogi korytarz skręcał w lewo. Stern szedł dalej, a nagranie z sekretarki doktora Tiefenseego stawało się coraz głośniejsze. Lekarz informował właśnie o godzinach przyjęć. Dziś była sobota. Wizyty wyłącznie po wcześniejszym umówieniu.

Może akurat prowadzi sesję? Czy dlatego nie odbiera telefonu?

Stern zapukał do pierwszych zamkniętych drzwi, za którymi spodziewał się znaleźć milczącą już automatyczną sekretarkę. Kiedy nikt się nie

odezwał, wszedł do środka i od razu rozpoznał pokój, który dziś opisał mu Simon. Na podłodze leżała jasnoniebieska sportowa mata. Panował pedantyczny porządek i czystość. Pomimo mętnego światła jesiennego dnia, które z trudem przebijało się przez okna, pokój emanował ciepłem.

– Jest tu kto? – Stern spróbował jeszcze raz. Zaraz potem zrobił piruet, słysząc głuchy hałas w pokoju obok.

Co to?

Hałas powtórzył się. Zupełnie, jakby kość upadła na drewniany parkiet. Stern wybiegł z powrotem na korytarz i zatrzymał się przy najbliższych drzwiach. Nacisnął łukowatą mosiężną klamkę. Daremnie. Drzwi były zamknięte.

– Doktorze Tiefensee? – Uklęknął, żeby spojrzeć przez dziurkę od klucza. Potrzebował chwili, by jego oczy przyzwyczyły się do nagłej zmiany światła. Lampka na biurku psychiatry stała tak niefortunnie, że niemal całkowicie go oślepiła. Stern zamrugał i po chwili widział wyraźniej. Krzesło. Leżało przewrócone z oparciem na podłodze. W pierwszej chwili nie zorientował się, co rzucało cień, poruszający się po parkiecie niczym chwiejąca się zasłona. Jednak gdy usłyszał rżenie, wszystko to przestało go interesować. Złapał za klamkę i zaczął nią szarpać z całych sił. Bezskutecznie. Napał więc na drzwi. Raz. Potem drugi raz z rozbiegu. Lakierowane sosnowe drewno drgnęło, a zawiasy zaskrzypiały. Dopiero przy czwartej próbie udało mu się je wyważyć.

Stern usłyszał głośny trzask pękających drzwi, a wpadając niezdarnie do schludnego gabinetu, rozdarł rękaw marynarki o długi drewniany odprysk.

13

Proszę, tylko nie znów to samo!

Stern zakrył dłonią usta i wpatrywał się jak skamieniały w nogi doktora Tiefenseego, w jasnoszarych, świeżo wyprasowanych flanelowych spodniach miotające się w spastycznych drgawkach metr nad podłogą. Spojrzał wyżej i z trudem powstrzymał się od odwrócenia głowy. Nie mógł znieść widoku boleśnie wybałuszonych gałek ocznych, które wpatrywały się w niego z rozpaczą. Ale to dłonie psychiatry będą go odtąd nawiedzać w najczarniejszych koszmarach. Ich palce bezskutecznie usiłowały złapać pętlę z drutu, wrzynającą się głęboko w jego szyję.

Hak w stiukowym suficie przeznaczony był do zawieszania masywnych żyrandoli, dlatego też bez problemu utrzymał ciężar rosnącego doktora.

Stern stracił cenne sekundy, stawiając z powrotem krzesło. Z jakiegoś powodu psychiatra wisiał za wysoko. Nie sięgał stopami krzesła, z którego skoczył.

Albo został zepchnięty?

Chciał złapać lekarza za nogi, ale ten kopał zbyt mocno. Nie udało mu się postawić ich na swoich ramionach, aby podeprzeć jego ciało.

Cholera, cholera, cholera...

– Niech pan wytrzyma jeszcze trochę! – krzyknął do Tiefenseego, próbując przyciągnąć ciężkie biedermeierowskie biurko w stronę umierającego mężczyzny, który wierzgał już coraz słabiej. Mijały kolejne sekundy i dopiero kiedy gwałtowne ruchy psychiatry spowolniły, Stern zostawił biurko.

Sam stanął teraz na krześle, objął Tiefenseego w okolicy kolan i uniósł do góry.

– Za późno.

Zniekształcony telefonicznie głos tak zaskoczył Sterna, że ten o mało nie puścił doktora.

– Kto to? – wykrztusił z siebie, niezdarnie próbując odwrócić się do tyłu.

– Nie poznaje mnie pan?

Ależ oczywiście! Nawet gdybym chciał, nie mógłbym zapomnieć twojego głosu.

– Gdzie pan jest?

– Tutaj. Tuż obok pana.

Stern spojrzał w dół na blat biurka, który wcześniej zupełnie go nie interesował. Świecąca na czerwono kamera internetowa przy monitorze komputerowym skierowana była dokładnie na niego. Morderca komunikował się z nim przez Internet!

– Co to ma znaczyć?! – zawołał Stern, ciężko oddychając. Z każdym słowem Tiefensee stawał się coraz cięższy i Stern zastanawiał się, jak długo jeszcze da radę go utrzymać.

– Wydaje mi się, że może już go pan puścić – doradził głos.

Stern spojrzał w górę. Głowa Tiefenseego zwisała z ustami otwartymi do ostatniego krzyku. W oczach nie tliła się już choćby iskierka życia. Pomimo to Stern nie chciał zwolnić uchwytu. Poddanie się teraz byłoby czymś w rodzaju zdrady.

– O co tu chodzi?! – wrzasnął w przestrzeń gabinetu.

– Pytaniem jest raczej, co pan tu robi? Mieliśmy przecież umowę. Pan zajmie się chłopcem, my psychoterapeutą.

– Dlaczego go pan zabił?

– Ależ wcale tego nie zrobiłem. Dostał uczciwą szansę. Gdyby zdradził mi nazwisko mordercy, nadal by żył.

– Ty skurwysynu!

– Bardzo pana proszę. Nie popadajmy w emocjonalne tony. My tylko porozmawialiśmy sobie z tym człowiekiem w bardzo przyjacielskiej

atmosferze.

Ramiona piekły Sterna z wysiłku, jakby obejmował rozgrzaną płytę kuchenną. Nie wytrzymał dłużej i puścił Tiefenseego. Hak w suficie zaskrzypiał pod ciężarem.

– Tiefensee mógł szybko zakończyć swoje męczarnie. Jednak pozostał nieugięty. Moi współpracownicy postawili go więc na oparciu krzesła, a ja mogłem z domu wygodnie obserwować, jak długo będzie w stanie utrzymać równowagę, stojąc na palcach. Dwanaście minut i czterdzieści cztery sekundy. Całkiem niezłe, jak na mężczyznę w jego wieku.

– Jest pan perwersyjnym czubkiem! Kompletnym wariatem! – Stern chwiejnym krokiem podszedł do komputera.

– Ależ dlaczego? Właściwie powinien być pan zadowolony. Niech mi pan wierzy, gdyby Tiefensee wiedział, skąd Simon znał miejsce, gdzie leżały zwłoki, powiedziałby mi to najpóźniej, gdy zaczął się chwiać.

Komórka Sterna zawibrowała w kieszeni spodni, ale ją zignorował.

– Oznacza to, że ma pan teraz jednego podejrzanego mniej. Jednak od tej chwili powinien pan lepiej wykorzystać czas.

– Kim pan jest?

Stern chwycił za myszkę i wygaszacz monitora wyłączył się, ale nie zobaczył nic poza najzwyczajszym pulpitem. Chciał właśnie sprawdzić przeglądarkę internetową, kiedy dioda kamery zgasła. „Głos” przerwał połączenie. Jednocześnie jakiś zewnętrzny program wykasował wszystkie dane połączenia i zamknął komputer. „Głos” zatarł po sobie wszelkie cyfrowe ślady.

Kurwa mać!

Stern zlany potem opadł na fotel i wpatrywał się w martwe ciało psychiatry, które niczym wahadło grozy bujało się pod sufitem. Chwilę potem zauważył, że przed nim na nowoczesnym telefonie biurowym ciągle miga dioda połączenia.

– Jest pan tam jeszcze? – spytał.

– Oczywiście – odpowiedział „głos”. – Ale niech pan już lepiej się rozłączy.

– Dlaczego?

– Nie słyszy pan?

Stern wstał, odszedł od biurka i spojrzał w stronę drzwi.

Faktycznie. Z klatki schodowej docierał dźwięk przypominający napinanie się metalowej liny.

Winda.

– Zaraz będzie pan miał towarzystwo. Niech pan spojrzy w terminarz doktora Tiefenseego.

Żrenice Sterna rozszerzyły się, gdy przeczytał podkreślony na czerwono wpis: „Polic. Przesłuchanie – Kom. Martin Engler”.

Spojrzał na zegarek. „Głos” się śmiał.

– Przypuszczam, że za jakieś trzydzieści sekund będzie na górze.

Cholera. Dlaczego Borchert mnie nie ostrzegł? Stern wyjął komórkę z kieszeni. Zrobiło mu się niedobrze, gdy zobaczył kilka nieodebranych połączeń. Niechcący musiał przełączyć telefon na tryb wyciszony.

W tej samej chwili telefon znów się zaświecił. Zaraz potem doszedł do niego ostry dźwięk. Dużo głośniejszy niż wcześniej. Przerażliwy dzwonek wypełniał już nie tylko pokój, ale wszystkie pomieszczenia gabinetu, łącznie z korytarzem i recepcją. Stern po sekundzie zorientował się, że hałas nie pochodzi z jego komórki. Ktoś dzwonił do drzwi. Engler.

14

Halo? Doktorze Tiefensee?

Słowa komisarza docierały chrypliwie przez długi korytarz do gabinetu psychiatry. Od wczoraj przeziębienie Englera wyraźnie się pogłębiło i przerzuciło się na oskrzela. Podnoszenie głosu i głośne wołanie sprawiało mu trudność.

– I co teraz? – szepnął Stern do słuchawki. Opcję głośnomówiącą już wyłączył, żeby policjant nic nie usłyszał. Komisarz ciągle stał przy recepcji. Za chwilę pewnie pójdzie korytarzem, skręci za rogiem i zobaczy wyważone drzwi.

A wtedy...

– Jest tam kto?! – krzyknął Engler jeszcze raz. Później się rozkaszał. Nienaoliwiona klamka zazgrzytała cicho. Stern jeszcze mocniej przycisnął słuchawkę do ucha. Miał problem ze zrozumieniem zniekształconego głosu. Dodatkowo zagłuszała go tętniąca w uszach krew.

– I ja mam panu pomóc? – Szantażysta zaśmiał się cicho. – Akurat ja?

– Jeśli nie chce pan, żeby rozmawiał z policją, niech mnie pan stąd wyciągnie – syknął wściekle Stern. – Jest tu jakieś tylne wyjście?

– Nie. I niech pan nie próbuje przez okno. One się tam dają tylko uchylić.

– Więc jak?

Engler musiał mieć na sobie ciężkie skórzane bucioro, bo parkiet trzeszczał pod jego krokami. Opuścił już recepcję i wszedł na korytarz. Stern usłyszał głucho trzaśnięcie drzwiami.

– Niech pan podejdzie do drzwi i stanie tuż przy szafie z lekami.

W porządku.

Stern starał się nie wydać żadnego dźwięku, przechodząc przez pokój. O mały włos potknąłby się o segregator, który leżał na podłodze. W ostatniej chwili zachował równowagę, opierając się o ciało Tiefenseego. Hak w suficie zgrzytnął groźnie, gdy zwłoki znów zaczęły się kołysać.

– Co teraz? – Dotarł do drzwi. Płytko oddychając, stał pomiędzy futryną a białą szafą ze szlifowanymi szybami.

– Niech pan otworzy szafę.

Stern zrobił, co mu kazano.

Trzy pokoje dalej Engler nacisnął na klamkę. Systematycznie przemieszczał się do przodu. Pokój za pokojem. Również te drzwi zatrzasnął rozczarowany.

– Widzi pan zagięte nożyczki do opatrunków na drugiej półce od dołu?

Stern sięgnął po błyszczący kawałek metalu. Poczuł w dłoni jego chłodny ciężar.

– Dobrze. Niech je pan weźmie i poczeka, aż wejdzie Engler. – „Głos” również zaczął teraz szeptać. – Odczeka pan aż do chwili, kiedy zobaczy ciało. Wtedy moment zaskoczenia będzie po pana stronie.

– I co potem?

– Wbije mu pan nożyczki prosto w serce.

– Oszalał pan?

Metal w dłoni Sterna zaczął go nagle palić żywym ogniem. Czy to wszystko jest jakiś sen? Czy też rzeczywiście stoi uzbrojony w pokoju, w którym pod sufitem wiszą zwłoki, i rozmawia przez telefon z jakimś psychopatą?

– Widzi pan jakieś lepsze wyjście?

– Nie, ale nie zabiję człowieka!

– Czasem jest to najlepsze rozwiązanie.

Na korytarzu znów zatrzeszczało. Engler przechodził do kolejnego pokoju.

Zniekształcony głos zaśmiał się zimno.

– No dobrze, rozumiem. W takim razie muszę inaczej pana wesprzeć.

Stern poczuł przeciąg na mokrej od potu twarzy, zupełnie jakby ktoś otworzył okno. To nie mógł być Engler, bo akurat szedł dalej korytarzem. Jeszcze dwa kroki. Najwyżej trzy. Skręci za róg i zauważy drzazgi na podłodze. W każdej chwili liczył się z tym, że w progu zobaczy czubki butów policjanta.

– Halo? – usłyszał nagle czyjeś wołanie. Jego serce omal nie zadławiło się krwią, która jakby chciała zatrzymać się w żyłach.

To nie może być prawda.

„Głos”. Przez cały czas był tu obecny. W gabinecie obok. W przeciwieństwie do kroków Englera gumowe podeszwy mordercy nie wydawały żadnego dźwięku.

– Szuka mnie pan?

Stern wstrzymał oddech i zeszywniał, aż trzasnęło mu w uszach. Nagle zaczął słyszeć wszystko wokół siebie znacznie wyraźniej. Jednak nie był w stanie przyporządkować nowego głosu jakiegokolwiek znanej twarzy.

– Proszę wybaczyć mój strój, przeprowadzam właśnie pewien eksperyment – odezwał się mężczyzna głosem pozbawionym sztucznego zniekształcenia. Ale i tak brzmiał on głucho, jak przez chusteczkę.

– Doktor Tiefensee? – spytał nieufnie komisarz.

– Nie, doktor poszedł akurat coś zjeść. Chociaż zaraz, co ja mówię. Ma pan szczęście. Właśnie wraca.

– Gdzie? – To było ostatnie słowo Englera, które usłyszał Stern. Po nim rozległ się krótki stłumiony okrzyk, któremu towarzyszył elektrostatyczny trzask. Zabrzmiało to jak przepalająca się żarówka, tylko znacznie głośniejsze.

Paralizator elektryczny, pomyślał Robert. Wszystko krzyczało w nim, aby pobiec do drzwi i zobaczyć, co się dzieje na korytarzu. Jednak strach był większy. Nie przed Englerem. Nie przed aresztowaniem. Przed szaleńcem, którego naturalny głos usłyszał po raz pierwszy.

Oderwał dłoń od ust, nie pamiętał, kiedy ją tam przyłożył. Usłyszał kroki. Gumowe podeszwy oddalały się, wydając cichy dźwięk, jakby odbijającej się od podłogi piłki.

Stern ostrożnie odsunął się od ściany, o którą się opierał, i na drżących nogach wyszedł z gabinetu. Akurat w dobrym momencie, aby zobaczyć jeszcze długowłosą postać, za którą zatrzasnęły się ciężkie drzwi wejściowe. Stern wzdrygnął się i spojrzał na Englera. Jak się spodziewał, komisarz leżał nieruchomo na podłodze z nienaturalnie wyciągniętymi ramionami i nogami, jakby wypadł z pędzącego auta.

Stern pochylił się nad nim i sprawdził tętno. Stwierdziwszy z ulgą, że komisarz żyje, ostrożnie podkradł się do wyjścia. Przyśpieszył nieco kroku, gdy wyszedł na klatkę schodową i pokonał pierwsze stopnie w dół. Na wysokości trzeciego piętra zaczął biec. Jedną ręką trzymał się poręczy, zbiegając szybko w dół klatki schodowej. Kiedy wypadł z budynku na ruchliwą ulicę, zdał sobie sprawę, że się spóźnił. I to bardzo. Długowłosa mężczyzna w białym lekarskim kitlu, który dopiero co unieszkodliwił Englera, a wcześniej zamordował doktora Tiefenseego, dawno już zniknął w tłumie turystów, biznesmenów i przechodniów. A razem z nim zniknęła cała prawda o Feliksie.

15

Terraria nocnych zwierząt znajdowały się w piwnicy budynku drapieżników. Przyciemnione światło przypomniało Sternowi wypadły do kina, kiedy spóźniony odnajdywał swoje miejsce przy jaśniejszych scenach filmu. Wdychał wilgotne ciepłe powietrze, z jakim można się zetknąć w przegrzanych sklepach zoologicznych.

– Niesamowite! – Simon pociągnął go do grubej szyby, za którą pomykały jakieś futrzaki o szeroko otwartych wielkich oczach. Z jakiegoś powodu ludzie ściszą głozy, gdy tylko wchodzi do ciemnego pomieszczenia. Również chłopiec mówił szeptem: – Te są fajne.

– Lori mały – odczytał Stern z matowo oświetlonej tablicy informacyjnej, nawet nie spoglądając na drobne małątki. Ciągłe był w dużym szoku. Po ucieczce z gabinetu Borchert przywiózł go tu na umówione spotkanie z Cariną. Stał teraz wśród nocnych zwierząt berlińskiego zoo, absolutnie nieprzygotowany na jakiegokolwiek nowe wrażenia. W jego głowie bezustannie krążyły te same pytania, które ciągle pozostawały bez odpowiedzi:

Kim jest „głos”? Skąd Simon wie o ciałach? Kto zamordował ich wszystkich w przeszłości? I dlaczego ktoś zabija teraz, starając się tego dowiedzieć?

Zaskoczony musiał przyznać przed sobą, że te pytania nurtują go wyłącznie z jednego powodu: odpowiedzi na nie mogłyby zwrócić mu syna. Zamknął oczy.

Co za szaleństwo.

Z czasem naprawdę zaczął mieć mocną nadzieję, że wspomnienia Simona mogą stanowić dowód jego ponownych narodzin. A co za tym idzie również na to, że Felix żyje. Wbrew obiektywnym faktom.

– Słucham?

Stern pochylił się do Simona, który ciągnął go za rękaw. Chłopiec powiedział coś, ale jego słowa rozmyły się gdzieś w ciemności.

– Carina zaraz do nas dołączy? – powtórzył pytanie Simon.

Stern przytaknął. Przed chwilą poszła na chwilę do toalety, aby w spokoju się wypłakać.

Kiedy spotkali się przed wybiegiem dla słoni, Carina był wściekła na niego jak nigdy dotąd. Tylko z pomocą zaprzyjaźnionego pielęgniarza udało się jej wyciągnąć Simona ze szpitala. Natychmiast chciała wiedzieć, dlaczego kazał jej wziąć na siebie takie ryzyko. Stern wszystko jej opowiedział. Szeptem, aby Simon nic nie usłyszał podczas spaceru po wyludnionym zoo. O DVD, chłopcu ze znamieniem i o niewiarygodnym zadaniu, jakie zlecił mu „głos”. Inaczej niż Borchert, Carina niemal od razu mu uwierzyła. Stern widział, z jaką otwartością przyjęła możliwość reinkarnacji Feliksa, znacznie szybciej, niż sam był na to gotów.

Gdy jednak opowiedział jej o okrutnej śmierci doktora Tiefenseego, zrozumiała niebezpieczeństwo, w jakim się wszyscy znaleźli. Carina co prawda nie straciła panowania nad sobą, kiedy wywinęła się z jego objęć, ale dobrze wiedział, co się w niej dzieje i że nie ma sensu biec za nią, skoro chce zostać sama.

– Tak, zaraz do nas wróci – odpowiedział i podeszli do kolejnego wybiegu.

– To dobrze. Bo Picasso powiedział, że przed czwartą musimy być z powrotem. Inaczej będzie musiał nas wydać.

Picasso? Stern przypomniał sobie postać barczystego pielęgniarza. Chociaż wpadł na niego i na starego fana ABBY zaledwie dziś rano, to wydawało się, że ta gwałtowna scena pochodzi z zupełnie innego życia. Przynajmniej tyle miał wspólnego z Simonem.

– Nie martw się – uspokajał chłopca, głaszcząc go po głowie. – Wykrywaczem kłamstw też.

– Zdałem. – Takie było pierwsze słowo, którym Simon smutno go przywitał. Stern wiedział, co chłopak musiał przeżywać. Wynik testu uwolnił go od podejrzenia o kłamstwa, ale jednocześnie napiętnował jako mordercę. Simon mówił prawdę. Informacja ta ucieszyła Sterna, czego trochę się wstydził. Im bardziej zagadkowa stawała się dla niego tajemnica Simona, tym bardziej rosły jego nadzieje, jeśli chodzi o Feliksa.

– Naprawdę nie musisz się przejmować – powtórzył Robert, zatrzymując się z Simonem przed terrarium z gryzoniami podobnymi do szczurów.

– A czym? Przecież wszystkie są w klatkach.

– Nie to mam na myśli. Mówię o twoich koszmarnych wspomnieniach. Nie przeraża cię to?

– No tak, trochę. Ale...

– Ale co?

– Ale może to jest moja kara.

– Za co?

– Może dlatego choruję. Bo wcześniej robiłem te wszystkie okropne rzeczy.

– Nie wolno ci tak myśleć, słyszysz? – Stern złapał chłopca za ramiona. – Ktokolwiek zabił tych ludzi, to Simon Sachs, który stoi teraz przede mną, nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności.

– A kto?

– Właśnie próbuję się tego dowiedzieć. I dlatego potrzebuję twojej pomocy.

Stern cieszył się, że piwnica z nocnymi zwierzętami jest jeszcze mniej uczęszczana niż reszta zoo. Żaden przypadkowy zwiedzający nie mógł usłyszeć ich dziwacznej rozmowy. Postanowił na chwilę bardziej zagłębić się w urojenia Simona o reinkarnacji.

Ruszyli dalej.

– Czy wtedy, piętnaście lat temu, miałeś inne nazwisko?

– Nie wiem.

– Wyglądałeś inaczej?

– Nie mam pojęcia.

Chłopiec stuknął palcem w szybę małego terrarium, w którym widać było usypaną z ziemi górkę i różne rośliny, ale żadnych zwierząt.

Dołączyła do nich Carina. Trzymała się nieco z tyłu, jakby nie chciała przeszkadzać w rozmowie. Sternowi przyszło na myśl, że to może nie przypadek, że o ezoterycznych sprawach rozmawiają akurat przed klatką dla nietoperzy. Żyjący tu, fruujący krwiopijcy „widzieli” swoją rzeczywistość w formie odbicia fal ultradźwiękowych.

– Wiesz, dlaczego zabiłeś tych mężczyzn? – spytał.

Jeśliby ktoś przypadkowo usłyszał choćby tylko to zdanie, od razu zawiadomiłby ochronę.

– Nie wiem. Wydaje mi się, że byli źli.

Trach. Trach.

Stern przypomniał sobie mrugającą żarówkę w piwnicy, którą dziś rano opisał mu Simon.

Włączona. Wyłączona.

Zanim zdążył go spytać, czy może sobie coś jeszcze przypomnieć, Simon kaszlnął sucho. Stern spojrzał wystraszony na Carinę, która również to usłyszała. Natychmiast do nich podbiegła.

– Wszystko w porządku? – spytała przejęta, sprawdzając temperaturę na czole Simona. Poprowadziła go na środek pomieszczenia do dużej tablicy informacyjnej, z wykazem wszystkich żyjących tu zwierząt. Było to najjaśniejsze miejsce w całej piwnicy. Stern zobaczył ulgę na twarzy Cariny i sam od razu ją odczuł. Simon uśmiechnął się. Tylko się zakrztusił.

Stern wykorzystał okazję i wyjął z kieszeni płaszcza zmiętą kartkę. Biorąc pod uwagę, że przez ponad dziesięć lat leżała w dłoni martwej osoby, była w wyjątkowo dobrym stanie.

– Simon, spójrz na to. Poznajesz?

Carina musiała odsunąć się na bok, żeby nie zasłaniać światła.

– To nie moje – stwierdził Simon.

Trach.

– Wiem. Ale twój rysunek w klinice jest bardzo podobny.

– Troszkę.

– Kiedy go narysowałeś?

Trach.

– Po przebudzeniu. To mi się przyśniło dzień po seansie hipnotycznym.

– Ale dlaczego? – Stern spojrział na Carinę, ale ta wzruszyła tylko ramionami. – Dlaczego ta łąka?

– Przecież to nie jest łąka – powiedział Simon i znów zakasłał.

Stern zamknął oczy. Teraz był już pewien. Zakurzona piwniczna żarówka zaczęła mrugać, rzucając przerywane światło na wspomnienia Simona.

– Tylko co?

Gdzieś trzasnęły drzwi i dobiegło ich chichotanie jakiejś nastolatki.

– Cmentarz – powiedział Simon.

Trach.

– A kto na nim leży?

Trach. Trach.

Stern poczuł dłoń, która wczepiła się przez płaszcz w jego ramię, jakby był złodziejem w sklepie. Był wdzięczny Carinie za ten ból. Odwrócił nieco jego uwagę od psychicznej grozy, wywołanej przez słowa Simona.

– Wydaje mi się, że ma na imię Lucas. Mogę was do niego zaprowadzić, jeśli chcecie, ale...

– Ale co?

– W grobie leży tylko jego głowa.

16

Był taki zmęczony. Najpierw mnóstwo pytań, potem usypiające szmery w rurze, wreszcie świeże powietrze i na koniec mroczne światło w domu dla nocnych zwierząt. Ale nie chciał zasypiać. Wolał się przysłuchiwać. Jednak z minuty na minutę było mu coraz trudniej. W samochodzie tak ładnie pachniało i łagodnie kołysało.

Simon oparł głowę o miękkie ramię Cariny i zamknął oczy. Burczało jej w brzuchu, domyślił się, że jest jej niedobrze. Nie czuła się najlepiej, odkąd zaczęła tak dygotać w objęciach Sterna. Może zresztą nie polubiła tłustego kierowcy, którego Stern nazywał Borchertem i który tak dziwnie dyszał podczas mówienia. Chociaż na dworze było dość chłodno, miał na sobie tylko cienki T-shirt z mokrymi śladami w kształcie półksiężyca pod pachami.

– Był ktoś z was już kiedyś w Ferch? – spytał Stern siedzący na przednim siedzeniu. Simon zamrugał, słysząc nazwę miejscowości, o której powiedział im jeszcze w zoo. W zasadzie nie miał już pewności, czy rzeczywiście tam znajdował się cmentarz. W tej chwili było to jedynie mgliste przeczucie. *Ferch*. Pięć liter, które zamieniały się w świecące wykrzykniki, gdy tylko zamykał oczy.

– Tak, wioska leży niedaleko Schwielowsee koło Poczdamu, bezpośrednio za Caputh.

– Skąd to wiesz? – podejrzliwie spytał Stern kierowcę.

– Bo w pobliżu jest Titanic. To była kiedyś moja największa dyskoteka. Carina przysunęła się bliżej do niego.

– Uda się nam przed szesnastą?

– Według nawigacji będziemy na miejscu za czterdzieści pięć minut. Może być trudno. Nie pozostanie nam zbyt wiele czasu, żeby się rozejrzeć.

Stern westchnął. Simon słyszał go teraz wyraźniej, zupełnie jakby Stern odwrócił się do tyłu, do Cariny.

– Śpi?

Simon poczuł, jak Carina się nad nim pochyła. Wstrzymał oddech.

– Tak, chyba tak.

– Muszę ci coś powiedzieć. Tylko proszę, odpowiedz szczerze, bo mam wrażenie, że powoli tracę rozum. Wierzysz w to wszystko?

– W co?

– No, w wędrówkę dusz, reinkarnację. Że już kiedyś żyliśmy.

– Cóż, ja... – Carina zwlekała z odpowiedzią, jak ktoś, kto najpierw chce poznać reakcję rozmówcy, zanim się na coś zdecyduje. – Tak, chyba tak. Istnieją przecież niezbita dowody.

– Jakie? – W pytaniu Sterna Simon wyczuł wyraźne niedowierzenie.

– Słyszałeś o sześciolatnim Taranjicie Singku?

Ponieważ nie usłyszał odpowiedzi, Simon wyobraził sobie, że Stern pokręcił tylko przecząco głową.

– Mieszka w Indiach, w wiosce Alluna Miana. Zdarzyło się to naprawdę, niedawno był o tym reportaż. Reinkarnacja to stały element hinduizmu. Hindusi wychodzą z założenia, że każdy człowiek ma nieśmiertelną duszę, która po śmierci przechodzi w inne ciało, czasem nawet w zwierzę albo roślinę.

– Nie pojmuję, jak to możliwe, że mnie to naprawdę interesuje – szepnął Stern bardziej do siebie i tak cicho, że Simon prawie go nie zrozumiał.

– Taranjit jest jednym z wielu dobrze udokumentowanych przypadków ponownych narodzin w Indiach. Znany naukowiec, Ian Stevenson, przeprowadził tam badania na ponad trzech tysiącach dzieci.

Stern mruknął potwierdzająco.

– Słyszałem już kiedyś o nim.

– Co to za historia z tym Tarasimem? – spytał Borchert.

– Taranjitem – poprawiła go Carina. – Chłopiec twierdził, że jest nowym wcieleniem dziecka z Jalandhar, które zginęło w 1992 roku potrącone przez motorower. Był w stanie przypomnieć sobie nieprawdopodobne szczegóły, chociaż nigdy nie opuścił swojej wioski.

– Pewnie przypadkowo usłyszał rozmowę rodziców o tym wypadku. Albo przeczytał o tym w gazecie.

– Tak się powszechnie sądzi. Ale posłuchajcie dalej.

Simon wyczuł, że serce Cariny zaczęło szybciej bić.

– Bardzo znany w Indiach kryminolog, Vikram Raj Singh Chauhan, szukał obiektywnego dowodu. Co więc zrobił?

– Poddał chłopca testowi na wariografie?

– Lepiej. Facet jest ekspertem w dziedzinie analizy sądowej pisma ręcznego. Porównał próbkę pisma Taranjita z pismem zmarłego chłopca.

– No przestań...

– Naprawdę. Tak było. Pisma były identyczne. I jak mi to wyjaśnisz?

Odpowiedź Sterna nie dotarła już do Simona. Chociaż postanowił, że przynajmniej jeszcze przez minutę postara się czuwać, nie mógł dłużej walczyć ze snem. Usłyszał imię Feliksa, coś o „głosie” z płyty DVD i odpłynął. Koszmarny sen zaczął się jak zwykle. Tylko drzwi otworzyły się dziś trochę łatwiej. No i inaczej niż za pierwszym razem, nie miał już takich oporów przed zejściem w dół po schodach, prowadzących do ciemnej piwnicy.

17

Nagłe szarpnięcie obudziło Simona.

– Nie możesz bardziej uważać? – ofuknęła kierowcę Carina. Mówiła lekko przez nos, jakby przed chwilą znów płakała.

– Sorry, myślałem, że mamy zieloną strzałkę – odburknął Borchert. Chwilę później siła odśrodkowa przycisnęła Simona jeszcze mocniej do piersi Cariny. Za zakrętem zaczęły się wertepy. Musieli jechać po bruku.

– Wiesz dlaczego dostałeś wczoraj ten film?

Simon powstrzymał się od ziewnięcia. Nie miał pojęcia, o czym teraz rozmawiają dorośli.

– Żebym wykonał brudną robotę za tych skurwieli. Mam znaleźć mordercę.

– Bzdura – zaprotestowała Carina. – Kto jest w stanie zmontować taki film, ze zdjęciami sprzed ponad dziesięciu lat, ten z pewnością nie jest zdany na pomoc obrońcy, który się przypadkowo napatoczył.

– Tu akurat ona ma rację – poparł ją Borchert.

– No to waszym zdaniem o co chodzi?

– Jeśli ktoś po upływie takiego czasu zadaje sobie tyle trudu, to w grę mogą wchodzić tylko dwie rzeczy: pieniądze albo pieniądze.

– Bardzo śmieszne, Andi. Masz może jakąś bardziej konkretną teorię?

– A pewnie. Weźmy dla przykładu coś takiego: Simon powiedział przecież, że kolesie byli źli. Zatem bandyci. Może należeli do jednej bandy, gangu, czy czegoś tam. Myślę, że zrobili jakiś narkotykowy deal, na którym zarobili sporo forsy. A że jeden z nich nie chciał się nią dzielić, załatwił wszystkich. Z wyjątkiem jednego.

– „Głosu” z DVD – powiedział Stern.

– No właśnie. On teraz szuka mordercy, żeby odebrać swoją dolę.

– Możliwe. Brzmi nawet przekonująco. Ale skąd mógł o tym wiedzieć Simon, skoro odrzucacie jego reinkarnację? I kim jest chłopak ze znamieniem? – odezwała się Carina.

– Na te pytania nie mamy odpowiedzi. Pewne jest jedno, Robert: ktoś cię wykorzystuje. Pytanie tylko, w jakim celu?

– Okej. – Borchert zwolnił. – Jesteśmy na miejscu.

Simon zmrużył oczy. Najpierw zatrzymał wzrok na dwóch kroplach deszczu, które niczym łzy spływały po przyciemnianej szybie. Później spojrzał za okno. Mijali równo przycięty żywopłot, za którym rozciągało się pokryte mokrymi liśćmi łagodne wzgórze.

Widok stał się jeszcze wyraźniejszy, kiedy Borchert zwolnił jeszcze bardziej. Simon uwolnił się z objęć Cariny i przycisnął mokre od potu dłonie do zimnej szyby. Nie przypominał sobie wzgórze przed sobą. Ale piaskowego koloru kościół już kiedyś widział. Wyglądał identycznie jak na jego rysunku w szpitalnym oknie.

18

No nie, nie wierzę.

Borchert zaśmiał się, prowokując karcące spojrzenie jednej z osób idących w kondukcje pogrzebowym, mianowicie kobiety o krótkich czarnych włosach z równiutkim przedziałkiem. Andi pokazał jej język, a kiedy kobieta z oburzeniem odwróciła twarz, wyszczerzył się złośliwie.

– Mówię wam, ten dzień przejdzie do historii.

Również Stern musiał przyznać, że sytuacja jest dosyć zabawna.

Gdy dziesięć minut wcześniej wchodzili do kościoła, nie mogli uwierzyć oczom i uszom. Przy surowym protestanckim ołtarzu stał krótko ostrzyżony mężczyzna o promiennym spojrzeniu. Pastor nie nosił duchownego stroju, tylko granatowy dwuczęściowy garnitur. Zamiast krawata wokół szyi miał owinięty i niezgrabnie związany zielony szal, co budziło sympatię. Podobnie jak mowa pogrzebowa, którą właśnie wygłaszał. Rozwodził się właśnie na temat upodobania zmarłego do tarzania się w odchodach dzików podczas licznych spacerów po lesie. Na dowód pokazał zebrany nadnaturalnej wielkości zdjęcie nieboszczyka. Słuchający, w przeważającej liczbie kobiety, z nostalgią podziwiali rudego basseta, który za życia musiał ważyć co najmniej trzydzieści kilo.

„Ekumeniczne nabożeństwo w intencji zwierząt odprawiane przez pastora Ahrendta. W każdą ostatnią sobotę miesiąca” – widniało na wywieszonym przy drzwiach plakacie. Zauważyli go dopiero, gdy wychodzili za grupą ludzi z kościoła. Szutrową drogą w padającym deszczu skręcili za kościół, a Stern po raz kolejny przeklinał samego siebie, że nie wziął parasola. Mokra koszula przyklejała mu się do piersi, jakby wyjął ją

prosto z prania. Jak tak dalej pójdzie, to podobnie jak Simon złapie zapalenie płuc. Całe szczęście, że chłopak został z Cariną w ciepłym samochodzie.

– No nie mogę. – Andi zaśmiewał się, sprawiając wrażenie, jakby chciał się pozbyć uwięźniętej w gardle ości. – Oni naprawdę niosą tego tłustego bydlaka w trumnie.

– Co w tym dziwnego? Sam urządziłem taki pogrzeb mojemu pierwszemu psu.

– Jaja sobie robisz.

– Dlaczego? Byłem wtedy w wieku Simona. Bardzo się ucieszyłem, że ojciec zorganizował dla mnie wszystko. Tyle że pochowaliśmy go w ogrodzie, a nie na prawdziwym cmentarzu.

Zbliżali się do żywopłotu, odgradzającego oficjalny teren parafii od prywatnego schroniska dla zwierząt.

Stern przyśpieszył kroku i dołączył do niezwykłego pastora, który akurat przytrzymywał gościom furtkę. Przywitał Roberta uściskiem ręki i pełnym uśmiechem.

– Przepraszam bardzo, czy dojdę tędy na zwykły cmentarz?

– Ach, pan nie należy do grona odprowadzających Hannibala? – spytał Ahrendt ze zdziwieniem.

– Niestety nie. Szukamy miejsca spoczynku dla... yyy... dla ludzi. – Stern czuł się jak kiepski kłamca, chociaż nie powiedział nic niezgodnego z prawdą.

– Cóż, muszę pana rozczarować. Schronisko wydzierzało od nas ten teren. Naszej parafii brakuje pieniędzy na pokrycie kosztów miejsca pochówku dla ludzi. Musi pan pojechać do następnej miejscowości.

– Rozumiem.

Stern popatrzył za pastorem, który go przeprosił i poczłapał do swoich, którzy czekali na niego w najdalszym końcu posesji, przy wielkim rododendronie.

Borchert pokręcił głową, przypadkowo słysząc ostatnie zdanie wypowiedziane przez pastora.

– Zupełny odlot. Prawdziwy cmentarz znajduje się dopiero w sąsiedniej miejscowości, ale dla zwierząt zarezerwowali całe boisko piłkarskie!

Jego komentarz był wprawdzie nieco przesadzony, ponieważ podzielona na parcele łąka miała najwyższej pięćset metrów kwadratowych. Mimo to zdawała się zadziwiająco wielka, biorąc pod uwagę, na jaki cel została przeznaczona. Stern nie wyobrażał sobie, żeby akurat w tej okolicy był aż tak duży popyt na pogrzeby dla zwierząt. Liczba znajdujących się tutaj nagrobków sugerowała jednak zupełnie coś innego. Chaotycznie rozmieszczone i rozdzielone iglakami sterczały w ziemi jak krzywe zęby. Stern zdecydował się trochę rozejrzeć, zanim wróci.

– Zaczekam tu! – krzyknął za nim Borchert, znajdując schronienie pod potężnym dębem.

Vertigo, Finka, Miki, Moli, Wanilia... Imiona zwierząt wyryte na nagrobkach były tak różnorodne jak same groby. Na większości stał biały krzyż albo mały granitowy blok z prostymi inskrypcjami. Niektórzy właściciele wykazali nieco więcej inicjatywy i wynajęli ludzi do opieki nad nagrobkami. Na przykład przed Elvisem leżał świeży wieniec obok dwóch białych orchidei. A Kleopatra chyba naprawdę była królową kotów, zanim przed rokiem została „zamordowana przez kierowcę samochodu”. Tyle można było przynajmniej wyczytać z mosiężnej tablicy na miniaturowej piramidzie Cheopsa, która przyozdabiała grób.

– To przecież nie ma sensu. – usłyszał krzyk Borcherta. – Nie znajdziesz tu Lucasa.

– Skąd możesz to wiedzieć? – Stern odwrócił się. W pobliżu dębu Borchert znalazł zieloną gąbłę i teraz stukał kciukiem w cienką szybę.

– Mam tu kompletną listę wszystkich zwierząt, które pochowano na tym cmentarzu. Od Abakusa do Żaby.

Krople wielkości rodzynek rozbijały się w nieregularnych odstępach o kark Sterna. Czuł się, jakby stał pod mokrym drzewem, którym ktoś mocno trząsł.

– Nie ma tu żadnego Lucasa. Spadajmy stąd. Nie przekopimy przecież całego cmentarza, nie wkurzając tamtych kobitek.

Stern spojrział jeszcze raz na pastora, który odwrócony do nich plecami jakieś pięćdziesiąt metrów dalej kończył przemowę. Wiejący od jeziora Schwielow wiatr niósł ze sobą jego ostatnie słowa.

– Okej, idziemy – zgodził się w końcu Stern. *Na dziś wystarczy mi już martwych ciał.* Schylił się szybko, żeby zdjąć z czubka buta brązowy liść dębu, i nagle zastygł bez ruchu.

„Nie ma tu żadnego Lucasa” – rozbrzmiewały mu w głowie ostatnie słowa Borcherta. Zasłonił ręką oczy przed deszczem i spróbował połączyć szczegóły obrazka, który miał przed sobą, w logiczną całość. Widział otoczenie, jak przez brudną przednią szybę samochodu ze starymi wycieraczkami. Im częściej mrugał, tym bardziej rozmyty stawał się ogólny obraz.

Mała grupa z pastorem. Piramida Cheopsa. Orchidee.

Coś tu nie pasowało. Właśnie zobaczył przed chwilą coś niezwykle istotnego, ale nie potrafił tego do niczego przyporządkować. Jak ważny termin, zapisany w kalendarzu w złej rubryce.

– Co jest? – spytał Borchert, który musiał zauważyć napięcie Sterna.

Robert podniósł palec wskazujący lewej ręki, a drugą wyjął komórkę. Jednocześnie wrócił do rzędu grobów na cmentarzu dla zwierząt.

– Simon śpi? – spytał. Carina odebrała telefon jeszcze w trakcie pierwszego dzwonku.

– Nie, ale dobrze, że dzwonisz. – Nie usłyszał zatroskania w jej głosie, ponieważ sam miał obawy. Przed pytaniem, które zaraz zada Simonowi.

– Daj mi go na chwilę.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie?

– On nie może teraz rozmawiać.

Stern klęknął przed jednym z tańszych nagrobków. Przeszywający ból promieniował od czoła do oczu, musiał aż odchylić głowę, żeby ból nieco zelżał.

– Źle się czuje?

– No pewnie. Co chcesz jeszcze od niego usłyszeć?

– Spytaj, proszę, co było na rysunku, który narysował w szpitalu. Proszę, to bardzo ważne. Spytaj, jak go podpisał.

Usłyszał, jak Carina odkłada telefon. Wydawało mu się, że słyszy skrzypnięcie drzwi, ale nie był pewny. W tle szeleściło i gwizdało jak przy kiepskiej jakości odbiorze radiowym. Trwało co najmniej pół minuty, zanim coś pisnęło na linii. To Carina musiała przez nieuwagę nacisnąć przycisk wybierania, kiedy ponownie wzięła telefon.

– Słyszysz mnie?

– Tak. – Palce Sterna drżały, gdy przesuwał nimi po wyrytym w granicie napisie. Litera po literze. Odczytał imię w tej samej chwili, kiedy podała mu je Carina.

– „Pluto”. Simon podpisał obrazek „Pluto”. Ale powinieneś jak najszybciej do nas wrócić.

Stern już jej nie słyszał, a jego odpowiedzi były automatyczne.

– Dlaczego? – spytał cicho, ciągle patrząc na nagrobek z imieniem psiego bohatera filmów rysunkowych. Z powodu deszczu wyglądał, jakby spływał oliwą.

– Natychmiast wracaj – zażądała Carina, i to właśnie przebijający w jej głosie strach przestawił jakąś dźwignę w jego świadomości. W tym momencie i tak nie miał możliwości wyjaśnić, kto lub co leżało w tym grobie i dlaczego.

Zwierzę? Człowiek? Głowa?

Zastanawiał się, po co Simon przyprowadził ich w to miejsce, które odpowiadało rysunkowi stworzonemu jednocześnie przez chłopca i jedną z ofiar. W tym momencie mógł tylko wyjaśnić, dlaczego Carina była bliska wrzaśnięcia na niego.

– Co się stało, na Boga?

– Simon – odpowiedziała sucho. – Twierdzi, że znów chce to zrobić.

– Ale co? – Stern podniósł się i spojrzał na Borcherta. – Co on chce zrobić?

I co oznacza „znów”?

– Pośpiesz się. Lepiej będzie, jak sam ci to powie.

19

Nikogo już nie było. Kościół stał pusty. Stern z trudem wyobraził sobie, że mogą istnieć ludzie, którzy znajdują pocieszenie w tak surowym wnętrzu. Zdjął mokry płaszcz i przełożył go przez ramię. Natychmiast tego pożałował, bo w środku było zimno i hulały przeciągi. W powietrzu unosił się zapach kurzu i starych śpiewników. Może i dobrze, że przez kolorowe witraże nie przebijało dziś słońce, bo odpadający tynk jeszcze bardziej rzucałby się w oczy. Stern nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że kościelny tylko dlatego przymocował wizerunek umierającego Chrystusa na ścianie, żeby zakryć w ten sposób kolejne oznaki starości budynku. O pełnej zadumy atmosferze nie mogło być tu absolutnie mowy.

– ...nie wiem, co dalej. Czy robię dobrze? Źle? Powinienem to zrobić czy raczej...

Stern wstrzymał oddech i zwrócił uwagę na świszczący szept, dochodzący z przednich rzędów ław. Zauważył go oczywiście już przy wejściu. Simon. Z tej odległości wyglądał jak niska dorosła osoba. Stary zamyślony człowieczek, prowadzący dialog ze swoim Stwórcą. Stern zbliżał się ostrożnie do szepczącego głosu, ale nie mógł nic zrobić, żeby jego podeszwy nie chrzęściły głośno na zakurzonej kamiennej posadzce.

– ...proszę, daj mi jakiś znak, czy...

Simon urwał w pół słowa i podniósł wzrok. Rozluźnił złożone ręce, jakby mu się zrobiło głupio, że został przyłapany na modlitwie.

– Przepraszam, nie chciałem ci przeszkodzić.

– Nie ma sprawy.

Chłopak przesunął się o jedno miejsce.

Nic dziwnego, że coraz mniej osób chodzi do kościoła, skoro ławki są takie twarde, przemknęło Sternowi przez myśl, kiedy siadał.

– Zaraz skończę – szepnął Simon, kierując wzrok na ołtarz przed siebie. Stern miał ochotę wziąć go na ręce i wybiec z nim na dwór, do Cariny, która z papierosem w ręku czekała razem z Borchertem przed kościołem.

– Modlisz się do Boga? – spytał cicho. Chociaż byli sami, mówili szeptem, jak wcześniej w zoo, w dziale nocnych zwierząt.

– Tak.

– Chcesz od niego coś konkretnego?

– To zależy.

– Rozumiem, to nie moja sprawa.

– Nie o to chodzi. Tyle że...

– Co?

– No, yyy. Raczej tego nie zrozumiesz. Ty przecież nie wierzysz w Boga.

– Kto tak twierdzi?

– Carina. Ponoć przydarzyło ci się coś strasznego i od tamtego czasu nikogo już nie kochasz. Nawet samego siebie.

Stern spojrzał na niego. W półmroku kościoła natychmiast zrozumiał, co mają na myśli wolontariusze w krajach rozwijających się, kiedy donoszą o pustych twarzach dzieci żołnierzy. Mali chłopcy z gładkimi buziami i śmiercią w oczach. Odchrząknął.

– Mówiłeś coś przed chwilą o jakimś znaku. Jakiej właściwie wskazówki oczekujesz od Boga?

– Czy mam dalej to robić?

„On znów chce to zrobić”, Stern przypomniał sobie słowa Cariny.

– Co?

– No właśnie to.

– Chyba cię nie rozumiem.

– Usnąłem wcześniej w samochodzie.

– I znów coś ci się przyśniło?

Trach. Świeca na ołtarzu zmieniła się w piwniczną lampę, która oświetlała we śnie wspomnienia Simona.

– Tak.

– Morderstwa?

– Właśnie. – Simon odwrócił dłonie wnętrzem do góry i spojrział na nie ukradkiem, zupełnie jakby przed szkolnym dyktandem napisał nich długopisem kilka trudnych wyrazów. Ale oprócz delikatnych linii papilarnych Stern nie odkrył żadnej ściągawki, która pomogłaby teraz Simonowi znaleźć odpowiednie słowa.

– Już wiem, dlaczego podpisałem rysunek „Pluto”.

Trach.

– Dlaczego?

– To był jego ulubiony pluszak.

– Czyj?

– Lucasa Schneidera. Miał tyle lat co ja. To znaczy wtedy. Dwanaście lat temu.

– Myślisz, że go zabiłeś?

Wtedy. We wcześniejszym życiu?

Ból głowy Sterna wzrastał się, im bardziej zbliżał się w myślach do tego szaleństwa.

– Nie. – Simon spojrział na niego zagniewany. Życie wróciło do jego oczu, chociaż gniewne. – Nie zabijałem przecież dzieci!

– Wiem. Ty nie, ale inni tak. Bandydzi?

– Tak.

– W takim razie byłeś kimś w rodzaju mściciela?

– Może.

Simon zadrżał.

Stern chciał już zawołać Carinę, z nadzieją, że ma przy sobie odpowiednie lekarstwa, w razie gdyby nastąpił teraz kolejny atak. Wtedy zauważył łzy na policzkach chłopca.

– Już dobrze, chodź. – Niepewnie wyciągnął rękę w stronę płaczącego dziecka. Zupełnie jakby mógł się poparzyć, gdyby dotknął jego ramienia. – Wyjdźmy stąd.

– Nie, jeszcze nie. – Simon pociągnął nosem. – Jeszcze nie skończyłem. Muszę go najpierw spytać, czy naprawdę mam to zrobić.

Trach. Trach. Trach.

Wydawało się, że już się uspokoiła, lecz piwniczna lampa migąła teraz szybciej niż dotychczas.

– Ale co?

– Nie wykonałem wtedy całego zadania.

– Nie rozumiem, Simonie. O co chodzi? Czego nie dokończyłeś?

– Zabiłem wiele osób. Wiem to dobrze. Nie tylko tych dwóch, których już znalazłeś. Było ich więcej. Dużo więcej. Ale nie załatwiłem jeszcze ich wszystkich. Brakuje jeszcze jednego.

Tym razem to Stern z trudem powstrzymał łzy. Chłopak pilnie potrzebował psychologa, a nie prawnika.

– I dlatego jeszcze raz wróciłem. Tak mi się wydaje. To moje zadanie. Muszę zrobić to jeszcze raz.

Proszę nie. Proszę, przestań już mówić.

– Zabić. Ostatni raz. Pojutrze, w Berlinie. Na moście.

Simon odwrócił się i skupił wzrok na figurze Chrystusa nad ołtarzem. Złożył ręce, zamknął swoje wielkie oczy i zaczął się modlić.

POZNANIE

Śmierć nie jest częścią bytu, tylko zjawiskiem pośrednim, przejściem z jednej formy istoty śmiertelnej w drugą.

Wilhelm von Humboldt

Jeśli dusza wędruje, to tylko w stałej masie ludzi. Ale dziś jest ich ponad sześć miliardów. Czy dzielą między sobą odłamki dusz? Czy dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich to puste naczynia?

Z dyskusji na internetowym forum o możliwości reinkarnacji

Nauka stwierdziła, że nic nie ginie bez śladu. W naturze nie ma unicestwienia, jest przemiana. Wszystko, czego nauka mnie nauczyła i nadal uczy, wzmacnia moją wiarę w kontynuację naszej duchowej egzystencji po śmierci.

Wernher von Braun

Jeśli wszyscy, o których się sądzi, że we wcześniejszym życiu byli świadkami ukrzyżowania Chrystusa, rzeczywiście byliby przy tym obecni, to podczas tego wydarzenia nie wystarczyłoby już miejsca dla Rzymian.

Ian Stevenson

1

Engler wręcz nie potrafiłby nawet wyrazić, jak bardzo frustrowała go sytuacja, w której się znalazł. Przełożył nad głowę elastyczną taśmę policyjną i gestem dał do zrozumienia patologowi, że może zaczynać. Zaplanował sobie wcześniej, że popołudnie spędzi w ciepłym łóżku przed telewizorem z paką chusteczek, czterema aspirynami i zgrzewką piwa, podczas gdy inni wykonają robotę za niego. Zamiast tego musiał teraz w ulewnym deszczu szukać czyichś zwłok. Albo raczej tego, co z nich pozostało. Głowa, którą znaleźli w grobie rottweilera, była tak mała, że będzie ją można przewieźć w pudełku po damskich butach, kiedy ekipa do zabezpieczania śladów skończy swoją robotę.

Engler wściekły przestąpił przez kałużę, idąc w stronę prowizorycznego namiotu z plastikowej płachty tuż za żywoplotem, który spełniał rolę stanowiska dowodzenia. Odkąd się tu pojawili, deszcz wzrastał się z minuty na minutę. Brandmann musiał regularnie podnosić kijem płachtę, żeby wezbrana woda mogła spływać po obu jej stronach.

– Cholera! – usłyszał przeklinającego głośno Brandmanna. Część wywołanego przez niego potopu wlała mu się za kołnierz, a Engler nie po raz pierwszy zachodził w głowę, w jaki sposób ktoś tak niezdarny mógł awansować aż do Federalnego Urzędu Kryminalnego. Gotów byłby zmówić trzy zdrowaśki, żeby tylko ten palant zniknął. Wszyscy mogliby wtedy wrócić do sprawdzonej metody pracy, do której byli przyzwyczajeni.

– Jak tam pańska głowa? – zaczął Brandmann Englera, kiedy ten trzęsąc się, wchodził do namiotu.

– Dlaczego głowa? Gnojek potraktował mnie paralizatorem w plecy.

– A jest pan pewny, że to nie był Stern?

– Ile razy jeszcze będzie mnie pan o to pytał? – Engler z trudem powstrzymał się od splunięcia na ziemię. – Maski chirurgicznej zasłaniała prawie całą jego twarz. Ubrany był w fartuch lekarski i najprawdopodobniej nosił perukę. Nie, nie jestem pewien. Ale mówił inaczej i chyba był trochę niższy.

– Dziwne. Idę o zakład, że znajdziemy tam odciski palców Sterna.

– A ja się założę, że...

Engler przerwał w połowie, wyjął z kieszeni wibrujący telefon i spojrzał na podrapany wyświetlacz, który sygnalizował połączenie z nieznanym numerem.

Przyłożył palec wskazujący do ust, chociaż Brandmann i tak nie miał zamiaru teraz nic powiedzieć, i otworzył klapkę telefonu.

– Halo?

– I co, miałem rację? – usłyszał znajomy głos Roberta Sterna.

2

Engler pociągnął nosem i z wdzięcznością przyjął kubek parującej kawy od policjantki w mundurze.

– Tak, niestety. W grobie leży czaszka.

– Ludzka?

– Tak. Ale dlaczego nas pan o tym poinformował? Znaczy, skąd znowu wiedział pan o tym grobie?

Stern zamilkł na chwilę, jakby szukał odpowiedzi.

– Od Simona – oświadczył w końcu.

Engler po chwili zastanowienia ustawił telefon na funkcję głośnomówiącą. Służbowa komórka była marnej jakości i Brandmann musiał podejść bliżej, żeby nie stracić żadnego słowa z rozmowy.

– Bzdura, Stern. Niech pan się przyzna. W jaki sposób jest pan zamieszany w tę sprawę?

– Nie mogę tego panu powiedzieć.

Dwóch rozmawiających głośno policjantów zbliżyło się do namiotu. Engler wściekłym machaniem rękami nakazał im milczenie, w związku z czym na wszelki wypadek od razu się wycofali.

– To w takim razie dlaczego znów pan dzwoni?

– Potrzebuję czasu. Proszę przyjąć wskazówkę o cmentarzu jako dowód, że niczego przed panem nie ukrywam. Simon jest dla mnie taką samą zagadką jak dla pana. Ale rozgryzę go. Uda mi się to, gdy zostawi mnie pan w spokoju.

– Obawiam się, że jest już za późno.

– Dlaczego? Nie popełniłem żadnego przestępstwa.

– Mam trochę inne zdanie. Znaleźliśmy pana samochód. Zupełnie przypadkowo zaparkowany w pobliżu firmy transportowej w Moabcie.

– Wlepcie mi mandat, jeśli stanąłem w niedozwolonym miejscu.

– Rysopis mężczyzny, który otworzył lodówkę ze zwłokami, dziwnym trafem pasuje do pana. Zadziwiające, co? À propos złego parkowania. Czarny jeep stał dziś przy Hackeschen Markt zaparkowany na drugiego. Przed prywatną praktyką doktora Tiefenseego. Był tam pan?

– Nie.

– A Andreas Borchert? Sprawdziliśmy numer rejestracyjny. Wygląda na to, że znowu jest pan blisko z tym gwałcicielem.

– Andi został uniewinniony.

– O.J. Simpson też. Zostawmy to. Ważniejsze jest, że z pana powodu znowu musiałem kazać odgrodzić miejsce przestępstwa.

– Czy przekazałbym panu te informacje, gdybym faktycznie zabił tych ludzi?

– Nie. Nie wierzę też, że jest pan mordercą, Stern.

To były jedyne słowa, które gładko przeszły Englerowi przez gardło.

– Tylko co?

Słońce już zaszło. Z każdym kolejnym zdaniem zapadała wokół nich coraz większa ciemność. Engler był wdzięczny za latarkę, która dawała pod namiotem trochę światła. Odczekał chwilę i spojrzał pytająco na Brandmanna.

Naprawdę powinien to zrobić? Wszystko w nim sprzeciwiało się temu, lecz ponieważ psycholog kryminalny przytaknął zachęcająco, Engler trzymał się strategii, którą uzgodnili wcześniej z naczelnikiem Hertzlichem.

– Świetnie, coś panu teraz zdradzę. Ale tylko dlatego, że jutro przeczyta pan o tym w każdej gazecie. Mężczyzna z siekierą w głowie to Harald Zucker. Ten z lodówki to Samuel Probtjeszki. Pierwszy przypadek piętnaście lat temu, drugi dwanaście. Chce pan wiedzieć, dlaczego do dziś kompletnie nas to nie obchodziło?

– Bo to byli przestępcy.

– Zgadza się. I to najgorszego typu. Morderstwa, gwałty, zmuszanie do prostytucji, tortury. Popełnili najpoważniejsze zbrodnie zapisane w kodeksie karnym. Pozostawili za sobą krwawy ślad w całym kraju. Nie nadążaliśmy po nich sprzątać.

Engler usłyszał, jak Brandmann zapala papierosa.

– Sądzimy, że Zucker i Probtjeszki należeli do jednej grupy psychopatów. Bo tak się składa, że nie są jedynymi, którzy w ostatnich latach zaginęli bez śladu. W sumie mamy siedem niewyjaśnionych przypadków.

W oddali funkcjonariusze od zabezpieczenia śladów sprawdzali mokrą ziemię, przyświecając sobie lampami halogenowymi. Dwóch jego ludzi ubranych w białe kombinezony siedziało w kucki w błocie i odkrywało kolejny grób. Możliwe, że Pluto nie był tu jedynym zamiennikiem. Engler przypomniał sobie o Charliem. Na szczęście biednym zwierzakiem opiekowała się dziś przyjaciółka, która na pewno wyprowadzi labradora, chociaż wątpił, by przy tej pogodzie, sprawiło to psu przyjemność.

– A co z ostatnim znaleziskiem? – spytał Stern trochę roztargniony. Jakby trawił jeszcze ostatnie informacje. – Jak to pasuje do całej reszty? To było dziecko, prawda?

– Tak. Przypuszczamy, że to Lucas Schneider. Idzie na konto Probtjeszkiego. Ofiara nieudanego wymuszenia okupu. Ciało chłopca znaleźliśmy dwanaście lat temu na wysypisku śmieci. Głowy nie udało nam się odnaleźć. Do dziś.

Engler sięgnął do kieszeni spodni po chusteczkę do nosa. Spóźnił się i kichnął głośno, zakrywając dłonią nos. Ktoś mu kiedyś powiedział, że w ten sposób zwiększa ciśnienie w czaszce i ryzykuje udar, ale nie wyobrażał sobie, żeby miecz Opatrzności miał go powalić akurat na cmentarzu dla zwierząt.

– Po co mi pan o tym wszystkim mówi? – usłyszał pytanie Sterna.

Engler skinął głową i spojrział zły na Brandmanna. Dokładnie to pytanie zadał wcześniej podczas narady z Hertzlichem. Ich podstęp był tak marny, że każdy głupek by się zorientował. A tym bardziej Stern.

– Bo pana przejrzałem – odpowiedział niechętnie, co wcześniej ustalili.

– Ooo, teraz jestem bardzo ciekaw.

– Pan nie jest zawodowcem. Popełnia pan zbyt wiele błędów. Jedyną mądrą rzeczą, którą pan dotychczas zrobił, była zamiana komórki na telefon satelitarny, z którego właśnie pan do mnie dzwoni. Ale to pewnie był pomysł Borcherta.

– Ja nie uciekam. Nikogo nie zamordowałem.

– Przecież wcale tego nie powiedziałem.

– Tylko co?

– Okej, wyliczę panu wszystkie fakty. Po pierwsze, w ostatnich latach zniknęło nam z pola widzenia siedmiu psychopatów. Jeden po drugim. Po drugie, dwóch z nich właśnie nam pan dostarczył. Martwych. I po trzecie, jest pan obrońcą.

Stern westchnął ciężko na drugim końcu linii.

– A co to ma wspólnego ze sprawą?

– Pana zawodem jest zadawanie się z wyrzutkami społeczeństwa. Simon nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Został podstawiony. Przypuszczam nawet, że któryś z pana zboczonych klientów zdradził panu miejsca, w których ukryte są ciała.

– Po co miałyby ktoś to robić? Z jakiego powodu?

– Może ten klient ukrył przy ofiarach coś, co teraz musi pan dla niego odebrać? Nie mam pojęcia. Ale zdradzi mi to pan. Najpóźniej, kiedy pana złapię.

– To jest śmieszne. Kompletny absurd.

Engler rozgonił niewidoczną chmurę dymu z papierosa Brandmanna, która szczypała go w oczy.

– Tak pan myśli? Sąd uznał to za bardzo przekonujące, gdy pół godziny temu podpisywał nakaz aresztowania. Zresztą również dla Cariny Freitag i Borcherta za współudział w uprowadzeniu dziecka.

Engler rozłączył się. Zdziwił się, gdy Brandmann wyciągnął do niego swoją grubą łapę.

– Co jest? – spytał wzburzony rozmową, która jego zdaniem już od początku zmierzała w złym kierunku.

– Komórka – poprosił Brandmann.

– Co chce pan z nią zrobić?

– Oddać technikom, może jednak uda im się coś namierzyć. – Nawet kiedy dwoni „numer nieznany”...

– ...istnieje możliwość namierzenia rozmówcy. A, wiem. – Engler rzucił mu swój aparat i podszedł krok bliżej. – To był ostatni raz. Nigdy więcej nie wezmę w tym udziału, jasne?

– W czym?

– W tym teatrze. Może się mylę, a Stern faktycznie ma coś wspólnego z tymi morderstwami. Ale sami strzelamy sobie w kolano, kiedy wtajemniczamy go w nasze dochodzenia.

– Jestem innego zdania. Nie słyszał pan jego głosu? Podnosił go z minuty na minutę. Oznacza to, że wzbudził pan w nim strach. Stern jest amatorem. Niedoświadczonym, nerwowym cywilem, który ucieka z chorym na raka chłopcem. Jeśli stanie się jeszcze bardziej nerwowy, popełni błąd. Potknie się, upadnie i wtedy będziemy mogli go, jakby to powiedział Hertzlich... – Brandmann rzucił niedopałek na udeptaną ziemię – ...rozgnieść jak muchę.

Przydeptując papierosa, psycholog kryminalny przeniósł cały ciężar ciała na prawą nogę, jakby chciał wbić długi gwóźdź w grubą belkę. Później opuścił namiot bez słowa pożegnania i pomaszerował, omijając liczne małe kałuże w stronę samochodu. Engler popatrzył za nim. Podczas gdy psycholog powoli zniknął z jego pola widzenia, zastanawiał się, czy zna kogoś w Federalnym Urzędzie Kryminalnym, kto mógłby udostępnić mu teczkę personalną tego dziwnego komisarza.

3

Stern przycisnął rozpaloną twarz do powierzchni weneckiego lustra.

„W ostatnich latach zniknęło nam z pola widzenia siedmiu psychopatów”.

Słowa policjanta odbijały się echem w jego myślach, gdy patrzył na oświetlony błyskającymi światłami parkiet taneczny dwadzieścia metrów pod sobą.

Biuro właściciela dyskoteki górowało niczym szklane orle gniazdo nad sercem kompleksu, który zaprojektował chyba jakiś niedoszły kapitan żeglugi. Ogromna dyskoteka już z daleka przypominała statek. Jej znak rozpoznawczy, pomalowany na różowo komin na śnieżnobiałym dziobie głównego budynku, już z daleka wskazywał nocą drogę spragnionej tańca młodzieży. Borchert ciągle miał klucz, dlatego też Titanic dał im schronienie, przynajmniej na najbliższe trzy godziny, dopóki dyskoteka nie zostanie oficjalnie otwarta dla gości.

Stern udał się na dół do trzech towarzyszących mu osób. Jak w pięciogwiazdkowym hotelu zjechał przeszkloną windą na poziom parkietu. Po drodze zastanawiał się, w jaki sposób przekazać im tę informację. Od tej chwili muszą się już ukrywać. Są poszukiwani. Borchert znał już to uczucie. Ale dla Cariny z pewnością była to premiera. Drzwi windy otworzyły się i dopiero teraz usłyszał głośną muzykę.

– Hej, ten mały ma gust! – zawołał Andi. Stał na drugim końcu parkietu obok Simona i kręcił biodrami. Chłopak śmiał się zachwycony i klaskał w rytm rockowego utworu dudniącego w kolumnach.

– Podłączył do sprzętu iPod'a Simona – wyjaśniła Carina. Stern aż się wzdrygnął, gdyż zupełnie nie zauważył, kiedy do niego podeszła.

Piętnaście metrów dalej Borchert właśnie odchylił głowę w tył, ciągnąc za sobą wyimaginowany stojak mikrofonu jak psa na smyczy.

– Musimy oddać się w ręce policji. – Stern od razu przeszedł do rzeczy. Wytłumaczył Carinie, że są poszukiwani. – Przykro mi – zakończył relację z rozmowy z Englerem, na próżno szukając w jej oczach oznak zaniepokojenia.

– Nie ma powodu. Wszystko zrobiłam z własnej woli. To była moja decyzja – odpowiedziała Carina. – To ja doprowadziłam do waszego spotkania. Beze mnie nie wpadłbyś w takie tarapaty.

– Dlaczego jesteś taka spokojna? – Stern przypomniał sobie nagle pewną scenę sprzed dwóch lat. Na parkingu przy McDonalddie. Kiedy z nią zrywał, a ona się uśmiechała.

– Bo było warto.

– Nie rozumiem.

– Spójrz tylko. Znam Simona już od półtora roku. Jeszcze nigdy nie widziałam go tak szczęśliwego.

Stern patrzył na Borcherta, który machał w ich kierunku, i zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie potrafił patrzeć na świat oczami Cariny. Byli ze sobą niecałe dziesięć dni, kiedy postanowił się z nią rozstać. Na tyle wcześnie, żeby się w niej na całego nie zakochać. Gdy na pożegnanie dotknęła delikatnie jego policzka, dowiedział się o sobie czegoś najważniejszego. W jednej chwili zorientował się, że brakuje mu tego życiowego filtra, który miała Carina i który pozwalał jej w każdej najbardziej nawet koszarnej sytuacji zapomnieć o negatywnych stronach wydarzenia i na koniec znaleźć jeszcze na skraju pola walki piękną różę.

Teraz znów widział ten błysk w jej oczach i drobne zmarszczki od śmiechu. W tym momencie nie istnieli dla Cariny żaden bandyci, żaden rak mózgu i żaden pościg. Cieszył ją widok szczęśliwego chłopca, który po raz pierwszy w życiu tańczył w dyskotekce. Stern natomiast był coraz bardziej smutny, ponieważ żał mu było dziecka, na które nikt nigdy się nie rozzłości,

że wróciło za późno z imprezy, kiedy ze swoją pierwszą miłością zbyt długo zabawi w dyskotecce.

Rozpoczął się następny utwór, idealnie pasujący do jego smutnych myśli. Salę wypełniły dźwięki melancholijnej ballady.

– Hej, grają waszą piosenkę! – wyszczerzył się Borchert i zniknął za ozdobną kolumną w stylu jońskim. Chwilę później coś syknęło i parkiet spowiła chmura sztucznej mgły.

– Ekstra – ucieszył się Simon i usiadł. Tylko jego brązowa czupryna wystawała z białego oparu.

– Musimy go odwieźć do szpitala – zaprotestował Stern, gdy poczuł na swojej dłoni dłoń Cariny.

– Proszę. Jeszcze minutę.

Pociągnęła go za sobą na parkiet, tak samo jak pierwszej nocy poprowadziła go do swej sypialni. Tak jak wtedy, tak i teraz nie wiedział, dlaczego się na to godzi.

– Nie możemy tu...

– Ciiiiii... – Przyłożyła palec do jego ust i pogłaskała go lekko po włosach. Przyciągnęła go do siebie w momencie, kiedy rozpoczął się refren.

Zawahał się. Jeszcze nie odwzajemnił jej ostrożnego objęcia. Czuł się jak przesyłka z nalepką „Ostrożnie szkło”.

Ze strachu, że coś sobie uszkodzi, gdy ją mocniej przytuli, wstrzymał oddech. W końcu przewyciężył swoje głupie obawy i wyciągnął ramiona.

Przypomniała mu się przelotna chwila, kiedy we wstecznym lusterku w samochodzie Borcherta zobaczył Simona śpiącego w jej ramionach. W pierwszej chwili nie potrafił opisać tego uczucia. Ale teraz wiedział, że była to mieszanka tęsknoty i żalu, która znów go wypełniała. Tęsknota za Feliksem i za tak samo czułym dotykiem. Żal za tym, że odebrał Carinie obydwie te rzeczy, niespodziewanie się z nią rozstając: ich dziecko oraz mężczyznę w ramionach, do którego najwidoczniej nadal czuła pociąg. Chociaż w najmniejszym stopniu sobie na to nie zasłużył.

Carina wyraźnie zdawała sobie sprawę ze sprzecznych emocji, jakie nim targały, i przełamała ostatnie psychiczne bariery, napierając na niego swym

rozgrzanym ciałem. Stern zamknął oczy. Żal zniknął. Niestety tylko na krótką chwilę. Magiczna sekunda, podczas której wydawało mu się, że jej serce uderza w takt muzyki, została przerwana przez nagły, ostry pisk. Zamarł w objęciu Cariny.

Jak to możliwe?

Borchert powiedział mu przecież, że nikt nie zna tego numeru. A mimo to na telefon satelitarny, który trzymał w kieszeni, przyszedł właśnie SMS.

4

Cholera, co tu się dzieje?

– Nie mam pojęcia.

Borchert wpisał adres strony internetowej i kliknął „przejdź”.

– Powiedziałeś przecież, że nikt nie zna tego numeru.

– Tak, ile razy mam powtarzać. Używam go wyłącznie w nagłych przypadkach. A nawet wtedy dzwonię ja, jasne?

Podobnie jak niektórzy berlińscy przedstawiciele gastronomii Borchert nie wszystko zapisywał w oficjalnych księgach. Kiedy księgowym, przekupnym dostawcom napojów czy nielegalnym pracownikom chciał zaproponować nie do końca zgodne z prawem warunki umów, ze względów bezpieczeństwa zawsze kontaktował się z nimi przez telefon satelitarny. A kiedy wszyscy według jego zaleceń wyjęli ze swoich komórek baterie, masywny aparat stanowił ich jedyny kontakt ze światem zewnętrznym.

– Co w takim razie się dzieje?

– Pewnie zaraz się dowiemy.

Borchert wstał od biurka, ustępując miejsca Sternowi, który usiadł przed płaskim monitorem. Wszyscy natychmiast wrócili do biura po tym, jak odczytali SMS:

„<http://gntp.sorbjana.org/net.fmx/eu.html>”

Najpierw nic się nie wyświetliło. Wyszukiwarka nadal pokazywała stronę domową dyskoteki Titanic.

– Sprawdź ustawienia proxy – odczytała Carina informacje u dołu ekranu po lewej.

Wtedy cały ekran zrobił się nagle czarny. Na środku pojawił się jasny wskaźnik ładowania i dziesięć sekund później otworzyło się okienko wideo wielkości kartki pocztowej. Stern nie zauważył tam nic istotnego. Nic, oprócz kilku migających światełek, które w nieregularnych odstępach przemykały po ekranie jak spadające gwiazdy.

Borchert podkręcił dźwięk na cały regulator. Bez efektu.

– Bez obrazu, bez dźwięku – mruknął. – Co za...

Właśnie dokończył zdanie, mówiąc „cholera”, kiedy telefon satelitarny znów zadzwonił. Kwadratowy wyświetlacz zasygnalizował tym razem nieznaną numer.

Gdy Stern odbierał telefon, żołądek podszedł mu do gardła.

5

Nie trzymał się pan umowy!

Zniekształcony głos brzmiał trochę inaczej. Był teraz bardziej ludzki i pewnie dlatego też robił znacznie groźniejsze wrażenie niż na DVD.

Stern zastanawiał się, dlaczego mężczyzna nie zrezygnuje całkowicie ze sztucznej zmiany głosu. I tak przecież już raz słyszał jego naturalną barwę w gabinecie doktora Tiefenseego. Chociaż było to tylko kilka słów.

– Skąd panu to przyszło do głowy? – Stern spróbował uniknąć odpowiedzi. Na próżno.

– Niech mnie pan nie okłamuje. Niech pan nawet o tym nie myśli. Tak pogrywać może pan sobie z policją. Oni są ograniczeni. Ja nie.

– Przyznaję. Rozmawiałem z Englerem. Ale wyłącznie po to, żeby zyskać na czasie. Nie powiedziałem mu nic o DVD i naszej umowie.

– Wiem o tym. Inaczej już by pan nie żył.

Obraz na monitorze mignął i zmienił się kolor. Wyglądało to, jakby kamerzysta zmienił filtr w obiektywie. Nagle nagranie nabrało zielonkawej barwy. Stern mógł wreszcie rozpoznać obraz i kolana się pod nim ugięły.

– Uważam, że mój noktowizor daje idealny obraz cmentarza, prawda? Widzicie naszego przyjaciela Englera tam z tyłu? – spytał „głos”. – A Brandmann, jego gruby partner, pali spokojnie papierosa bez filtra. Na szczęście siedzę w suchym miejscu, podczas gdy tamci nieszczęśnicy przez pana wyrabiają nadgodziny w deszczu.

– Skąd ma pan ten numer? – Ze wszystkich pytań akurat to najbardziej nurtowało Sterna.

– Drogi panie adwokacie, czasem naprawdę się dziwię, jak bardzo jest pan naiwny. Powoli już przecież powinien się pan zacząć domyślać, w jaki sposób zarabiam na życie. Moje królestwo to Internet. Tu wystawiam mój towar na sprzedaż i stąd też czerpię informacje. Proszę spytać Borcherta, w jaki sposób opłaca rachunek za telefon.

– Przez Internet – mruknął Andi.

– Widzi pan. Jestem dobry nie tylko w zacieraniu po sobie śladów w sieci. Jestem także mistrzem w zdobywaniu informacji.

– Po co pan dzwoni?

– Chcę wam coś pokazać.

Stern poczuł, jakby za jego błoną bębenkową pękło naczynko krwionośne. W uchu pojawił się gwizd, potem usłyszał szum, który w końcu zmienił się w nieprzyjemne uczucie głuchoty.

– Poznaje je pan?

Carina przyłożyła dłoń do ust. Z ekranu znikło zielone nagranie z nocy. Teraz wszyscy stali się świadkami niemilosierne powolnego ruchu kamery. Ujęcie zaczęło się od ogólnego widoku drzwi do pokoju dziecięcego, które ktoś odepchnął, a skończyło na zbliżeniu dwóch śpiących dziewczynek. Frida i Natalie.

Stern nie widywał często dzieci Sophie, ale nie miał najmniejszych wątpliwości, że to jej bliźniaczki.

– Dlaczego pan to robi?

– Żeby pokazać, że mogę.

Przekaz był jasny i oczywisty. „Głos” jest wszechobecny. Kontroluje każdy ich krok. I nie cofnie się przed zamordowaniem dwóch czteroletnich dziewczynek, aby osiągnąć swój cel. Carina miała rację: Ktoś tak bezwzględny i dysponujący takimi możliwościami technicznymi z pewnością nie korzysta z usług informatorów. Czego więc naprawdę chciał od niego morderca?

Kiedy Stern zastanawiał się nad tym pytaniem, na monitorze pojawiła się odpowiedź w formie kolejnego ujęcia. Najpierw zobaczyli tylko szarą betonową powierzchnię. Dygotała, jakby ktoś podczas joggingu filmował

asfalt ulicy. Jakość nagrania była bardzo zła, więc Stern nie mógł zbyt wiele rozpoznać. Później zoom został zmniejszony i obiektyw powędrował w górę.

– Tam z tyłu są drzwi – pierwsza odezwała się Carina. Stern i Borchert zauważyli je niemal jednocześnie.

– Co to jest? – spytał Robert w słuchawkę.

„Głos” zaśmiał się.

– Naprawdę pan nie poznaje?

– Nie. – Stern nie miał pojęcia, czemu mają służyć te kiepskie amatorskie nagrania.

Rozmyty obraz kogoś, kto biegł w stronę zamkniętych drzwi. Zupełnie nic nie przychodziło mu do głowy, aż wreszcie Borchert jęknął:

– Kurwa, to niemożliwe.

Otwartą dłońią uderzył się w swoją łysą głowę.

– Jak to? Co się dzieje?

– Andi?

Stern i Carina wołali jedno przez drugie, ale Borchert nie zwracał na nich uwagi. Wysunął górną szufladę biurka, potem drugą. W ostatniej znalazł to, czego szukał, i wyjął pistolet kaliber 9 milimetrów.

– Co to za drzwi?! – Stern krzyknął tak głośno, że siedzący na kanapie Simon zakrył dłońmi uszy.

Borchert nie odpowiedział. Wskazał na czerwony przycisk na biurku, z prawej strony obok komputera, który migał.

Włączony, wyłączony, włączony...

– Wejście dla personelu – wychrypiał w końcu. – Ktoś właśnie zadzwonił.

6

„Miłość to...”

Tylko kartka dużego formatu z pozdrowieniami. Nic więcej.

Gdy otworzyli drzwi i Borchert wyskoczył na dwór z odbezpieczoną bronią, Stern liczył się z tym, że będzie bezradnym świadkiem egzekucji.

– On nie jest sam. Zabiją cię. Zginiesz, jeśli tam wyjdiesz!

Borchert skwitował wszystkie ostrzeżenia jednym spojrzeniem, które wzbudziło w Sternie wątpliwości, czy jego dawny klient jest przy zdrowych zmysłach. Andi sprawiał wrażenie, jakby od tej chwili kontrolę nad nim przejęły najniższe instynkty.

Wypadł na zewnątrz, ale nie było tam nikogo, z kim mógłby walczyć. Nic oprócz łososiowego koloru laminowanej kartki formatu A4 z pozdrowieniami.

Stern podniósł kartkę z wycieraczki, podczas gdy Borchert darł się na cały głos, pozbywając się nagromadzonej agresji.

– Wyłaż, gnoju! Pieprzony tchórz! Zaraz cię załatwię...!

Jego głos odbijał się echem na tylnym dziedzińcu, docierając aż do lasu, dokąd musiał uciec doręczyciel.

„Miłość to...” – Stern rozłożył kartkę. – „...gdy można sobie wszystko wyznać”. Tak brzmiała nadrukowana banalna formułka. Pod nią wielkimi literami dopisał ktoś odręcznie: „Co nowego?”

– No, podoba się wam mój drobny upominek?

Zbiegając do wejścia dla personelu, Stern cały czas trzymał telefon przy uchu, żeby nie uronić nawet jednego słowa wypowiedzianego przez „głos”, który teraz znów się odezwał.

– Po co ten cały cyrk? – Stern niemal wypluł te słowa do mikrofonu. Dopiero teraz zorientował się, jak bardzo jego samego nakręcił wybuch Borcherta. Może nie był to dobry pomysł, żeby wrzeszczeć na potencjalnego mordercę. Ale może i tak nie miał już nic do stracenia.

– Pan jest chory.

– Zależy od punktu widzenia.

Głęboki „głos” mimo sztucznego zniekształcenia brzmiał tak przenikliwie, jak basy podczas koncertu rockowego.

– Pierwszy dzień pańskiego ultimatum właśnie się skończył. Interesowałoby mnie, co udało się panu dotychczas ustalić.

Stern usłyszał w słuchawce klakson ciężarówki z oddali.

– Dlaczego mnie pan pyta? Przecież sam pan wie wszystko lepiej. Facet w lodówce. Głowa dziecka na cmentarzu. Przecież pan tam właśnie jest! O czym jeszcze mam panu opowiedzieć?

– O czymś, co mnie doprowadzi do mordercy Haralda Zuckera i Samuela Probtjeszkiego. Proszę się zastanowić. Co jeszcze zdradził panu dziś chłopiec?

– Nie za wiele. – Stern przełknął ślinę. Ochrypl już trochę od mówienia. Możliwe też, że się przeziębził przy tej fatalnej pogodzie. – Sam nie wiem, co mam o tym sądzić – zaczął niezdecydowanie. – Simon powiedział, że jeszcze nie skończył. Znów chce kogoś zabić.

Cisza. Po raz pierwszy Stern odniósł wrażenie, że wyprzedza przeciwnika o jeden ruch, chociaż nie wiedział nawet, w co grają.

– Chcę z nim porozmawiać.

– Z chłopcem?

– Tak, niech pan go da do telefonu.

Stern podniósł wzrok. Zupełnie nie zwrócił uwagi na to, dokąd doszedł za Cariną i Borchertem. Stali teraz na parterze tuż przy parkiecie do tańca. Odtwarzacz mp3 Simona ucichł, ale w powietrzu, które wkrótce zadymi papierosami ponad trzy tysiące gości, nadal unosił się słodkawy zapach mgły z suchego lodu.

– To niemożliwe. – Stern spojrział na Simona. Chłopak znalazł sobie miejsce przy barku z szampanem, gdzie kręcił się na skórzanym stołku.

– To nie była prośba. – Z każdym słowem „głos” stawał się coraz bardziej natarczywy. – Niech mi go pan da. Chcę z nim porozmawiać. Natychmiast! Czy też mam panu jeszcze raz pokazać nagranie bliźniaczek? Chce pan, żeby skończyły jak Tiefensee?

Stern zamknął oczy, tak mocno zaciskając powieki, że ciemność wypełniła się jasnymi błyskami. Zrobiło mu się niedobrze na myśl, co będzie musiał zaraz zrobić Simonowi.

7

Tak, słucham?

– Cześć, Simon.

Chłopca zaskoczyło dziwne brzmienie głosu.

– Śmiesznie pan mówi. Skąd pan zna moje imię?

– Robert mi je podał.

– A, no tak. A jak się pan nazywa?

– Ja nie mam imienia.

– Eee? Jak to? Każdy przecież ma imię.

– Nie. Nie każdy. Bóg na przykład. On też nie ma imienia.

– Ale pan nie jest chyba Bogiem?

– Nie, chociaż jestem do niego bardzo podobny.

– Naprawdę?

– Tak, ja też czasem mogę sprawić, że ludzie umierają. Tak po prostu. Rozumiesz mnie? Tacy ludzie jak Carina i Robert. A ty ich lubisz, prawda?

Simon otworzył i zamknął lewą dłoń. Swędziała go ręka i wiedział, co to oznaczało. Lekarze zawsze robili zatroskane miny, kiedy im o tym wspominał. Potem robili mu badania i puszczali impulsy elektryczne przez palce. Do dziś nie mógł pojąć, dlaczego jego nerwy wariowały w lewej części ciała, podczas gdy guz usadowił się przecież w prawej półkuli mózgowej.

– Przestraszył mnie pan – szepnął Simon, przytrzymując się błyszczącej chromowanej poręczy wokół baru. Z krzesła wstał już przewidująco wcześniej, jak tylko zakreśliło mu się w głowie.

– Więcej nie będę, jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie.

- Nic pan im wtedy nie zrobi?
- Słowo honoru. Jednak muszę się czegoś od ciebie dowiedzieć.
- Czego?
- Robert powiedział, że chcesz jeszcze kogoś zabić. Czy to prawda?
- Nie. Nie chcę tego. Ale wiem, że to się stanie.
- Okej. Wiesz. A kto to będzie? Kogo masz zamiar zabić?
- Nie znam jego imienia.
- Jak on wygląda?
- Też nie wiem.
- Pomyśl o Robercie i Carinie. Przyjrzyj im się bardzo dokładnie. Nie chciałbyś chyba, żeby umarli, prawda?

Simon posłuchał poleceń „głosu” i odwrócił głowę. Carina i Robert stali przy nim. Telefon satelitarny nie miał opcji głośnomówiącej, dlatego stanęli bardzo blisko, żeby usłyszeć każde nawet pojedyncze słowo koszmarne dialogu.

- Nie, nie chcę, żeby umarli.
- Dobrze. Jedno musisz wiedzieć. To, czy przeżyją, zależy wyłącznie od ciebie. Tylko od ciebie.

Swędzenie w ręce Simona nasilało się i słabło na zmianę. W tej chwili akurat był szczyt.

- Ale co mam panu powiedzieć? Znam tylko datę, kiedy to się stanie.
- Kiedy?
- Pojutrze.
- Pierwszego listopada?
- Tak. O szóstej rano.
- A gdzie?
- Nie mam pojęcia. Spotkam jakiegoś mężczyznę. Na moście.

Simon odsunął telefon od ucha, bo okropny chichot stawał się coraz głośniejszy.

8

Dobra, już wystarczy.

Stern przejął telefon. „Głos” po drugiej stronie linii brzmiał, jakby właśnie dopadł go atak astmy. A potem Robert odniósł wrażenie, że „głos” po prostu się z niego śmiał.

– Co jest takiego śmiesznego w tym, co powiedział panu Simon?

– Nic. Pozdrawiam.

Łup!

Stern poczuł, jakby zatrzasnęły się w nim jakieś drzwi. Ogarnęło go zimno.

– Co to znaczy? Co mam teraz zrobić?

– Zupełnie nic.

– A kiedy... – Zmieszany zaczął się jąkać. – Kiedy znów się pan do mnie odezwie?

– Nigdy więcej.

Łup!

Drzwi zostały zaryglowane, odcinając mu ostatecznie dojście do wszystkiego, co tu się wydarzyło.

– Ale... nie rozumiem. Przecież nie podałem panu jeszcze żadnego nazwiska. – Kątem oka Stern widział Simona, który właśnie położył się na kanapie.

– Tak, i dlatego nasza umowa w tym momencie wygasa.

– Nie powie mi pan, co pan wie o Feliksie?

– Nie.

– Dlaczego?! Co zrobiłem źle?

– Nic.

– Proszę mi więc dać tyle czasu, ile wcześniej ustaliliśmy. Powiedział pan, że mam pięć dni. Dziś jest dopiero sobota. Zdobę dla pana nazwisko mordercy, a pan powie mi, kim jest chłopak ze znamieniem.

Stern spostrzegł z daleka zdziwione spojrzenie Cariny. Sam jeszcze nigdy nie słyszał tak błagalnego tonu w swoim głosie.

– Och, to mogę zdradzić panu już dziś. To pana syn Felix. Mieszka w przepięknej okolicy z przybranymi rodzicami.

– Co? Gdzie?

– Czemuż miałbym to panu powiedzieć?

– Bo trzymam się umowy. Zaprowadzę pana do mordercy. Obiecuję!

– Obawiam się, że to już jest nieaktualne.

– Ale dlaczego?

– No, niech się pan zastanowi. Mężczyzna, pojutrze, na moście. To przecież ja.

– Nie rozumiem.

– Dobrze pan rozumie. Jestem umówiony pojutrze o szóstej. Simon chce zabić mnie. Właśnie się pan tego dowiedział, a to wystarczy mi jako ostrzeżenie. Nie potrzebuję już od pana żadnych więcej informacji. Żegnam pana, panie adwokacie.

Stern usłyszał jeszcze cmoknięcie cichego całusa, zanim rozmowa ostatecznie się zakończyła.

9

Szerokie opony prowadziły rozpędzony samochód po mokrym asfalcie autostrady. Stern siedział z tyłu obok Simona. Próbował skoncentrować wzrok na szarych domach czynszowych, które mijali z dużą prędkością. Chciał widzieć coś rzeczywistego. Nie ludzi, którzy otwierają trumny czy odcinali trupy od sufitu, tylko normalne rodziny, przygotowujące kolację, w których domu grał telewizor albo w weekend przyszli przyjaciele z wizytą. Jednak światła codzienności zbyt szybko przelatywały koło niego.

Prawie tak samo szybko, jak jego skłębione myśli.

Przestępcy. Najgorszego typu. Morderstwa, gwałty, prostytutka, tortury. Popęlnili najpoważniejsze zbrodnie zapisane w kodeksie karnym.

– Co masz na myśli? – spytała Carina siedząca z przodu.

Spinała sobie właśnie włosy w koński ogon. Stern zupełnie nie zauważył, że głośno myśli.

– Jeśli Engler mówił prawdę, to zamordowani byli znani ze swej brutalności.

Pozostawili za sobą krwawy ślad w całym kraju. Nie nadążaliśmy po nich sprzątać.

– Dopóki nie pojawił się ktoś, kto zabił morderców – odezwał się Borchert, mlaszcząc. Żuł już trzecią gumę, odkąd wyjechali spod Titanica w stronę Berlina. Miał przy tym brzydkie przyzwyczajenie, że żzute gumy przyklejał do deski rozdzielczej.

– Tak. Mściciel, jeśli wierzyć Simonowi. Załatwił ich wszystkich po kolei. Z wyjątkiem jednego. – Stern wychylił się do przodu. – Możliwe, że „głos” jest szefem całej tamtej bandy.

Zaczął rozmasowywać napięty kark. Mięśnie były twarde jak kości.

– To by przynajmniej wyjaśniało zawzięty pościg za mordercą jego kumpli. – Borchert spojrział we wsteczne lustro. – Biorąc pod uwagę cały jego wysiłek, to musi być sprawa osobista.

Przy okazji oznaczałoby to również, że największy psychopata jest jedyną osobą, która wie coś więcej o Feliksie. Możliwe nawet, że go przetrzymuje.

Stern zachował tę myśl dla siebie, chociaż i tak wiedział, że podobne podejrzenia krążyły już w głowie wrażliwej Cariny.

– Nie mogę się wycofać – powiedział cicho, bardziej do siebie niż do pozostałych. – Nie mogę teraz się poddać.

Zdawał sobie sprawę, że jego decyzja bazuje na dwóch szalonych hipotezach. Po pierwsze, wychodził z założenia, że wizja mordu, którą miał Simon, potwierdzi się tak samo, jak jego wspomnienia o przeszłości. Po drugie, wierzył „głosowi”, że jego syn żyje. Obie sytuacje były nieprawdopodobne, chociaż istniały obiektywne dowody na ich potwierdzenie. „Głos” wiedział o moście, znał dokładną datę!

– Sądzisz, że Simon znów się nie myli? – spytał Borchert, jakby potrafił czytać w myślach Roberta. Do dzisiaj Robert przypisywał tę właściwość tylko Carinie.

– Nie wiem.

Być może istnieje ktoś inny, kto pojutrze o szóstej rano zjawi się na tym moście. Żeby zabić.

Ale kto?

Pomimo wszystko Stern nie mógł uwierzyć, że Simon jest wcieleniem seryjnego mordercy, który ponownie wrócił na ziemię, żeby ostatni raz zabić. Musiał istnieć inny realny mściciel. I Stern musiał go odnaleźć, jeśli chciał odkryć tajemnicę Feliksa.

Kluczem jest most. Muszę go znaleźć.

Miał właśnie zamiar podzielić się swoimi myślami z Cariną i Borchertem, kiedy stopa Simona zaczęła bezwiednie drgać.

10

Stój! – krzyknął Stern do Borcherta. – Zatrzymaj się!

Właśnie mijali autostradą otwarty teren lotniska Tempelhof.

– Dlaczego, co się... O cholera. – Borchert odwrócił się do tyłu i od razu zrozumiał, dlaczego dostał kopniaka w plecy. Simon dostał ataku. Chociaż Stern z całej siły przytrzymał jego nogę, Simon co chwila kopał w oparcie przedniego siedzenia. Przewracał jednocześnie oczami, jakby był chory na wściekliznę.

– Zjadę w prawo – rzucił Borchert i włączył kierunkowskaz.

– Nie, nie rób tego.

Carina odpięła pasy i przycisnęła się na tylne siedzenie. Stern nie zorientował się od razu, bo zbyt mocno był zajęty Simonem. Jego skurcze wzmagały się z każdą chwilą. Na jego wargach pojawiła się piana. Tak mocno walił głową we wszystkie strony, że przekrzywiła mu się peruka.

– Zrób miejsce – zażądała Carina i, nie czekając na reakcję Sterna, wepchnęła się na siłę między niego a Simona. Stern przesunął się w prawo, ale i tak Karina niemal siedziała mu na kolanach.

– Moja torebka – zażądała. – Gdzie jest moja cholerna... Dzięki.

Borchert podał ją do tyłu. Rozsunęła zamek błyskawiczny, wyjęła białe etui mniej więcej wielkości kosmetyczki i zaczęła w nim grzebać.

– Dlaczego się nie zatrzymamy? – spytał zdumiony Stern.

– Kradzionym samochodem na pasie postoju awaryjnego? Jak to sobie wyobrażasz?

Carina znalazła w torebce z lekami jednorazową strzykawkę. Rozerwała opakowanie zębami, po czym wypluła pod nogi kawałek folii. Wyjęła małą

szklaną ampułkę, potrząsnęła nią i odwróciła do góry dnem, by wbić w nią igłę.

– Jedziemy dalej. Nie możemy zwracać na siebie uwagi.

Borchert skinął głową. Kombi, którym jechali, „wypożyczył” z podziemnego garażu Titanica i nie można było wykluczyć, że jego właściciel już powiadomił policję.

– Nie zwracać uwagi? – Stern zdenerwował się jeszcze bardziej. – I dlatego pozwolisz Simonowi umrzeć? Żeby nas nie aresztowano?

– Wiesz co? – Carina wyjęła napełnioną strzykawkę z ampułki i podstawiała mu ją pod sam nos.

– Co?

– Po prostu zamknij na chwilę jadaczkę!

Płaską dłonią przycisnęła Simona do oparcia i wprawnym ruchem wstrzyknęła całą zawartość w prawy kącik ust. Jakby za wyciągnięciem niewidocznej wtyczki chłopiec uspokoił się w kilka sekund. Noga przestała kopać, zamknął oczy, a oddech powoli się stabilizował. Po kolejnej minucie Simon usnął zmęczony w ramionach Cariny.

– To jakieś szaleństwo. Musimy z tym skończyć. – Ponieważ Borchert ciągle jeszcze nie miał zamiaru się zatrzymać, Stern przesiadł się na miejsce z przodu, żeby mieć lepszą kontrolę nad sytuacją. – Skręć na najbliższym zjeździe i pędź prosto do szpitala. Sami przecież widzieliście. Chłopak natychmiast potrzebuje pomocy lekarza. Jego miejsce jest w szpitalu, a nie w tym koszmarze.

– Ach tak? A to dlaczego?

– Dlaczego? Ślepa jesteś? Sama dopiero co widziałaś...

– Wiesz, czego nienawidzę w was, prawnikach? – wpadła mu w słowo Carina. – Wy cholerni mądrule nie macie pojęcia o prawdziwym świecie, ale zawsze macie coś do powiedzenia. To był najzwyczajniejszy atak padaczki. Nie wyglądał pięknie. Nie jest to jednak przypadek dla oddziału intensywnej terapii. Gdyby Simon trochę wcześniej wziął swoją karbamazepinę, uniknąłby tego drastycznego zabiegu.

– Co za brednie opowiadasz? Ważniejsze jest nie to, co go dopadło, tylko dlaczego akurat teraz. Pod czaszką rośnie mu guz. W takim stanie nie chodzi się do zoo, nie mówiąc już o odkopywaniu czyichś zwłok.

– Sam gadasz głupoty! Nie masz najmniejszego pojęcia, co dolega Simonowi. Nawet przez chwilę nie zainteresowałeś się jego chorobą. Nie zaprzeczysz temu. Simon ma guza w przodomózgowiu. Ale to nie oznacza, że przez dwadzieścia cztery godziny na dobę musi być pod nadzorem lekarza. Potrzebne jest to tylko podczas chemioterapii i naświetlania. Chłopiec co sześć tygodni przyjeżdża do szpitala, i to tylko na dwa tygodnie. Gdyby profesor Müller nie zdecydował, że powinni go teraz poddać kolejnemu naświetlaniu, spędzałby noce w normalnym domu dziecka.

– Nawet to byłoby dla niego lepsze niż jeżdżenie z nami od jednego nocnego klubu do drugiego.

Borchert zaproponował, żeby spędzili noc w dyskotecie jego znajomego. Na zapleczu był tam sekretny pokój, który podobno mógł przetrwać nawet największą policyjną obławę.

– Wiesz, co by nam Simon teraz powiedział, gdyby nie spał? – rzucił wściekle Stern i zaraz sam odpowiedział: – Zostawcie mnie w spokoju.

Carina pokręciła energicznie głową.

– Absolutnie nie. Wręcz przeciwnie. Powiedziałyby: „Nie zostawiajcie mnie samego”. Wiem, że nie lubi nocy. Boi się ich. W domu dziecka i w szpitalu. Sami zauważyliście, jak bardzo się wcześniej cieszył. W zoo, w samochodzie, kiedy tańczył.

– I płakał, widział trupy i miał atak.

– Te objawy ma tak czy siak. Możemy je złagodzić, będąc przy nim, kiedy się obudzi. Oprócz tego wydaje mi się, że kompletnie nie rozumiesz jednej rzeczy, wiesz? Tu nie chodzi o ciebie ani o Feliksa, tylko przede wszystkim o Simona. Biedak umrze. Nie chcę, żeby umierał w przekonaniu, że kogoś zamordował, rozumiesz? Dlatego zwróciłam się do ciebie. Nie możemy zapobiec jego śmierci. Ale możemy zdjąć z niego wyrzuty sumienia. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaki on jest wrażliwy.

Świadomość, że wyrządził komuś innemu krzywdę, niszczy go doszczętnie. Po prostu nie zasłużył sobie na to po całym cierpieniu, które go dotknęło w tak krótkim życiu.

Stern nie wiedział, co odpowiedzieć na wybuch Cariny, patrzył więc tylko przed siebie przez szybę. W zasadzie obydwójce doszli do tego samego wniosku. Niezależnie od tego, jak bardzo zwariowany był pomysł uciekania przed policją ze śmiertelnie chorym dzieckiem, aby dotrzeć do tajemnicy jego reinkarnacyjnych fantazji, to jednak wszystko przemawiało przeciwko oddaniu się w ręce policji. Engler tylko przesłuchiwałby ich godzinami, a później zamknął wszystkich w areszcie. Na pewno też nie uwierzyłyby w ich historię i nie spróbowałyby powstrzymać dwóch morderców, którzy wkrótce mają się spotkać na którymś z berlińskich mostów. Zresztą jak? W stolicy było więcej mostów niż w Wenecji. Jakakolwiek zbrodnia wydarzy się pojutrze o szóstej rano, wydarzy się bez świadków. Stern nie zdoła jej zapobiec, ani też nigdy już się nie dowie, co naprawdę stało się z Feliksem na oddziale noworodków.

– Na pewno jesteś w stanie wystarczająco zadbać o małego? – Borchert, który nieoczekiwanie włączył się w rozmowę, spojrzął na odbicie Cariny we wstecznym lusterku.

– Nie mogę niczego zagwarantować. Ale wszystko mam przy sobie. Kortyzon, jego antyepileptyki i w ostateczności diazepam.

Stern obserwował jadącego przed nimi motocyklistę, który co dziesięć sekund zmieniał pas ruchu, jakby ćwiczył slalom.

– To nie wystarczy – powiedział po krótkiej przerwie. Uniósł obie dłonie i splótł je za głową.

– Dlaczego nie? – spytała Carina. – Przez cały czas ma przy sobie pielęgniarkę, prawnika i ochroniarza. Czego jeszcze mu brakuje?

– Zaraz zobaczysz.

Stern opuścił prawą rękę i dał Borchertowi znak, żeby zjechał z autostrady w kierunku Köpenick. Dziesięć minut później zatrzymali się przed drzwiami domu, którego progu nie chciał przekroczyć właściwie nigdy w życiu.

11

Kiedy uderzyła go otwartą dłonią w twarz, wiedział, że mogą zostać. Pierwszy ruch, połowiczny cios w pierś, był śmiesznie nieskuteczny, co jeszcze bardziej rozzłościło Sophie. Przyłożyła mu jeszcze raz. Mógłby się obrócić, odeprzeć albo przynajmniej złagodzić uderzenie ręką, ale zamknął tylko oczy i czekał na pląsnięcie połączone z palącym bólem, który rozlał się zaraz po lewej połowie twarzy od ucha do dolnej szczęki.

– Jak mogłeś? – spytała jego była żona głosem, który brzmiał, jakby trzymała pod językiem szklaną kulkę.

Stern zdawał sobie sprawę, że postawiła mu tym samym jednocześnie trzy pytania: Dlaczego zabrałeś mi z rąk Feliksa, chociaż nie chciałam go jeszcze puścić? Po co przychodzisz do mnie dziesięć lat później z tą lafiryndą? I jak mogłeś sprowadzić do mojego domu wspomnienia w postaci śmiertelnie chorego dziecka?

Podszedł do ceramicznego zlewozmywaka, postawił świeżą ściereczkę do naczyń pod strumień zimnej wody i przyłożył ją do czerwonego policzka. Kuchnia w willi z jasnymi, ciepłymi meblami z drewna była najmniej odpowiednią areną na tego typu kłótnię. Tak jak w całym tym jednorodzinym domu w Köpenick, również w kuchni odczuwało się beztroską, przyjazną atmosferę, którą stworzyła nowa rodzina Sophie.

Nic dziwnego, że nie chciała go wpuścić, gdy dwadzieścia minut temu niezapowiedzianie pojawił się na jej werandzie. Borchert zostawił ich tutaj i pojechał dalej w poszukiwaniu kryjówki dla siebie. Jedynie dlatego, że Stern trzymał na rękach śpiącego Simona, Sophie zawahała się. Trochę za długo. Stern wykorzystał moment i wszedł do środka.

– Policja już tu była. – Sophie oparła się o wyspę pośrodku, nad którą wisiała kolekcja wyglądających na antyczne mosiężnych garnków. Stern nie był pewien, czy rzeczywiście ich używała, czy też stanowiły jedynie element dekoracyjny. Chociaż rozpromieniony mąż na przymocowanym do lodówki zdjęciu wyglądał na zapalonego kucharza, który wie, jak się nimi posłużyć. Po ciężkim dniu pracy stawali zapewne przy kuchni, smakowali sos do pieczeni i przeganiali z uśmiechem bliźniaczki do salonu, kiedy te próbowały podjadać.

Już choćby z tego powodu Sophie podjęła dobrą decyzję, odchodząc od niego. Jedyny raz, kiedy chciał ją kulinarnie zaskoczyć, nie wyszła mu nawet gotowa pizza z zamrażarki.

– Co im powiedziałaś? – spytał.

– Prawdę. Przyszedł komisarz Brandmann. Nie miałam przecież pojęcia, gdzie jesteś i co zrobiłeś. Szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć.

– Mamo?

Sophie odwróciła się do drzwi, w których stała boso Frida z lalką w ręku. Sprana koszulka ze Snoopym sięgała jej aż do kolan.

– Co się stało, kochanie? Powinnaś już dawno leżeć w łóżku.

– Tak, ale chciałam jeszcze pokazać Simonowi mojego Kopciuszka.

– No dobrze, tylko szybko.

– Ale ona nie ma skarpetek!

Nadaśana blondyneczka w lokach wyciągnęła w kierunku matki nagie plastikowe stopy swej ulubionej lalki. Sophie wysunęła jakąś szufladę i wyjęła z niej dwie bawełniane skarpetki wielkości napaństwa.

– Tych szukasz?

– Tak! – Frida rozchmurzyła się, zabrała matce z ręki skarpetki i poczłapała z powrotem z kuchni.

– Zaraz przyjdę zgasić światło! – krzyknęła za nią Sophie. Matczyny uśmiech zniknął jej z twarzy, a Stern znów miał przed sobą tę samą gniewną minę. Przez dobrą minutę nikt nie odezwał się słowem. W końcu Robert wskazał na telefon przy ścianie.

– Zadzwoń na policję, jeśli chcesz. Dobrze cię rozumiem, że nie chcesz dać się wciągnąć w moje problemy. Tym bardziej że twój mąż jest w podróży służbowej.

Sophie przekrzywiła głowę i zmrużyła oczy.

– Nie zmieniłeś się, co? Nadal myślisz, że potrzebuję w domu silnego męskiego oparcia, żeby poradzić sobie z życiem?

– Nie wiem. Już cię nie znam.

– To dlaczego przyszedłeś akurat do mnie?

– Jestem szantażowany.

– Przez kogo?

– Kogoś, kto pokazał mi nagranie, jak umiera Felix.

Sophie wyglądała, jakby chciała stać się niewidzialna, tak szybko wszelkie kolory zniknęły z jej twarzy.

– To z tego powodu dzwoniłeś do mnie w środku nocy?

Stern przytaknął i przedstawił jej całą historię na tyle łagodnie, na ile potrafił. Opowiedział o DVD, ostatnim nagraniu ich dziecka i o żądaniach anonimowego „głosu”. Świadomie pominął wątek chłopca ze znamieniem. Tak samo jak groźby mordercy wymierzone w bliźniaczki. W przeciwieństwie do niego Sophie niemal się udało przekroczyć próg nowego życia. Kolejne wątpliwości co do śmierci Feliksa wepchnęłyby ją z powrotem w świat depresji, trosk i uzalania się nad sobą. To samo stałoby się, gdyby zaczęła się bać o życie córek. Okłamał ją więc. Powiedział, że „głos” pokazał mu film jako dowód swej władzy i że grozi teraz zabiciem Simona, jeśli nie będzie z nim współpracował.

Kiedy Robert przedstawiał zmienioną wersję wydarzeń, Sophie wyglądała, jakby przygniotła ją ciężka żelbetowa belka.

– Naprawdę jesteś pewien, że...? – Nie dokończyła zdania i chciała zaraz zacząć jeszcze raz, ale zrezygnowała, gdy przytaknął.

– Tak, sam widziałem.

– No i jak? To znaczy, jak on...

– Tak jak powiedzieli lekarze. Po prostu nagle przestał oddychać.

Ciemna plama na kremowej jedwabnej bluzce Sophie powiększyła się, a chwilę trwało, zanim Robert się zorientował, że to przez jej bezgłośny płacz.

– Dlaczego? – zaszlochała cicho. – Dlaczego tak rzadko do niego zaglądałam?

Przygotowany, że zostanie szorstko odepchnięty, podszedł i wziął ją za rękę. Nie protestowała, ale nie odpowiedziała też na uścisk jego palców.

– Byłaś zmęczona, przeszłaś ciężki poród.

Wolną ręką Sophie przeczesła sobie włosy. Spuściła wzrok. Mówiła przez łzy.

– Nie jestem w stanie sobie przypomnieć. Jego uśmiechu ani zaklejonych oczek. Niczego. Wszystko zatarte. Nawet jego krzyk ledwo pamiętam. Zapach też powoli ucieka. Ta droga francuska oliwka, którą kupiliśmy, pamiętasz? Może dlatego nie chciałam przyjąć tego do świadomości. Pachniał tak świeżo, kiedy miałam go ostatni raz na rękach. A teraz...

Stern natychmiast zrozumiał, co spowodowały jego słowa. Widocznie przez te wszystkie lata nadal żyła irracjonalną nadzieją, która teraz została zniszczona.

Pochylił się do niej, spojrzał jej w oczy i zobaczył, że łzy już wyschły. Natychmiast puścił jej rękę. Gdyby przytrzymał ją jeszcze trochę dłużej, byłoby to dla niego czymś w rodzaju gwałtu. Krótka chwila intymności minęła.

Robert i Sophie milczeli jeszcze przez moment, później on odwrócił się i zostawił matkę swojego syna samą w kuchni. Szukając Simona, Cariny i miejsca do spania, dotarł po cichu na piwniczne schody. Słyszał szalejący na zewnątrz nieprzyjemny zimny wiatr, z towarzyszącymi mu smagnięciami deszczu, odniósł wrażenie, że to tylko cicha zapowiedź niezwykle burzliwej nocy.

12

Pokój gościnny znajdował się w suterenie. Stern zdjął buty i w ubraniu położył się między Simonem i Cariną którzy spali już tak twardo, że kompletnie nie zauważyli jego wejścia. Leżeli pod cienką narzutą po obu stronach dużego łóżka. Niczym stare małżeństwo, które się pokłóciło i przed zaśnięciem chciało być jak najdalej od siebie.

Stern docenił tę szansę i wcisnął się w środek. Carina zwykle wędrowała podczas snu po całym łóżku. Gdyby przyszedł pięć minut później, z pewnością zajęłaby przytulona do Simona cały materac.

Ogrzewanie ustawione było na maksimum, ale Stern i tak miał dreszcze, kiedy powracały przerażające obrazy mijającego dnia.

Ciało w lodówce, Tiefensee, cmentarz. No i ciągle Felix.

Obrócił się na bok i spojrzał na Carinę. Wyciągnął rękę ku jej nagiemu ramieniu, które wychylało się spod narzuty. Była bardzo delikatna, lecz wiedział, jak mocne by mu to dało oparcie, gdyby bodaj przelotnie jej dotknął. Gęste, lekko kręcone włosy Cariny rozłożyły się na poduszce niczym wachlarz. Leżała na boku.

Stern uśmiechnął się. Dokładnie w tej pozycji zobaczył ją po raz pierwszy. Z wysuniętą ręką, przyciągniętymi do piersi kolanami i z zamkniętymi oczami. Minęły już trzy lata od chwili, kiedy w drodze do swej pustej willi uległ nagłemu impulsowi i skręcił na parking sklepu z meblami. Podczas rundki po dziale z łózkami zauważył nagle na jednym leżącego manekina, wyjątkowo ładnego, prawie jak żywego. Wtedy Carina otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

– Mam je kupić? – spytała. Godzinę później pomagał jej wnieść nowy materac na poddasze w Prenzlauer Berg.

Nagle znowu przypomniał sobie jasno, dlaczego od niej odszedł. Przed trzema laty. Po namiętnym seksie leżał obok niej i uświadomił sobie, jak to jest, kiedy człowiek zdoła zapomnieć. Kiedy namiętny uścisk wymazuje męczące wspomnienia i robi się tak, jakby nagle istniała wyłącznie teraźniejszość. Tak samo jak wtedy, tak i teraz cofnął rękę. Czuł się winny. Nie miał prawa zaczynać nowego życia, w którym pamięć o Feliksie w końcu wyblaknie jak zdjęcia na kominku.

Następnego dnia z jakiegoś błahego powodu rozstał się z Cariną, zanim było za późno. Zanim się w niej zatracił.

Ta i tysiące innych myśli nie pozwoliły mu usnąć przez następne trzydzieści minut. W końcu jednak zmęczenie wygrało i wciągnęło go w ciemność snu. Uwięziony w nim nie czuł niespokojnych ruchów Cariny ani poważnego spojrzenia, utkwionego w jego karku.

Chłopiec odczekał jeszcze chwilę. Kiedy wreszcie usłyszał regularny oddech Sterna, odkrył ostrożnie narzutę, podniósł z podłogi perukę i na palcach przekradł się do drzwi.

13

Coś się rozbiło. Stłumiony brzęk przedostał się przez dwoje drzwi, schody i jakieś dwadzieścia metrów pustej przestrzeni, zanim dotarł do pokoju gościnnego. Stern stęknął i sam przez to wyrwał się ze snu. Hałas usłyszał podświadomie. Ostatecznie obudziła go leżąca mu na twarzy dłoń Cariny, która znowu coś robiła we śnie i widocznie użyła jej jako podórki.

Otumaniony zdecydowanie zbyt krótkim odpoczynkiem, uwolnił się z nieumyślnego objęcia. Przeciągnął się, przyciskając zeszywniały kręgosłup do twardego materaca, i nagle znieruchomiał. Coś było nie tak. Nie potrzebował dużo czasu, żeby zorientować się, co się zmieniło w ciemnym pokoju.

Poderwał się, zeskoczył z łóżka i wbiegł do przylegającej do pokoju łazienki. Pusta. Simon zniknął. Nie było go z nimi!

Szarpnął drzwi i w skarpetach pobiegł na górę. Nie wiedział, która jest godzina ani jak długo spał. Na dworze było ciemno, przez żaluzje nie wpadało żadne światło, co w czasie berlińskiej jesieni mogło oznaczać każdą porę: późne popołudnie, środek nocy, wpół do czwartej rano... Jego oczy przyzwyczyły się już do ciemności w korytarzu. Docierały do niego typowe odgłosy śpiącego domu: stuki centralnego ogrzewania, stojący zegar w salonie, szum lodówki.

Lodówka!

Stern odwrócił się i zobaczył światło. Na końcu korytarza przeświecało pod zamkniętymi drzwiami do kuchni.

– Simon?! – zawołał cicho. Na tyle ostrożnie, żeby nie obudzić nikogo na piętrze, ale wystarczająco głośno dla kogoś, kto był za drzwiami. Skradał

się korytarzem, próbując zinterpretować przeciągłe mlaskanie, które docierało teraz do niego wraz ze światłem otwartej lodówki.

Stern żałował, że nie ma przy nim Borcherta, który znów pewnie, niewiele myśląc, wpadłby do środka. Sam odważył się złapać za klamkę dopiero po chwili wahania. Wszedł do kuchni i jego serce zaczęło bić jak szalone – z ulgi.

– Przepraszam. – Simon przykucnął przed lodówką i ściereczką do naczyń wycierał białą ciecz z płytek podłogowych. Spojrzał przestraszony na Sterna i wstał. – Chciało mi się pić i szklanka wypadła mi z ręki.

– Nic się nie stało. – Stern spróbował rozluźnić twarz i uśmiechnął się krzywo. – Chodź tutaj. – Objął Simona i delikatnie przytulił. – Przestraszyłeś się?

– Tak.

– Wiatru na dworze?

– Nie.

– No to czego?

– Zdjęcia.

Robert cofnął się o krok i spróbował spojrzeć Simonowi prosto w oczy.

– Jakiego zdjęcia?

– Tego.

Simon ominął plamę mleka na podłodze i zamknął drzwi lodówki. Naraz znów zapanowała ciemność, jak na korytarzu.

Stern włączył halogenową lampkę nad kuchenką.

– To małe dziecko – powiedział Simon.

Zdjęcie, które Robert oderwał od drzwi zamrażarki, zrobiono co najmniej cztery lata temu. Mąż Sophie uśmiechał się nieco sztucznie do aparatu, próbując przytrzymać małe ciało bliźniaczek przed ześlizgnięciem się do wody w plastikowej waniencie.

– I w czym rzecz?

– Jutro na moście. Chodzi o małe dziecko.

Zdjęcie w jego ręce zaczęło drżeć.

– Właśnie to ci się śniło?

– Uhm – potwierdził chłopiec.

Podczas gdy Simon mówił dalej, Stern spojrział na halogenowe oświetlenie, przez co pojawiły mu się przed oczami czerwone plamy.

– Przypomniałem sobie dopiero teraz, kiedy zobaczyłem to zdjęcie. Ze strachu upuściłem szklankę.

Stern znów spojrział w dół. Zarys kałuży przypominał mu kształt Islandii, co idealnie pasowało do zimna, które go nagle ogarnęło.

– Wiesz, co chcą zrobić z tym dzieckiem? – spytał. – Na moście.

Simon przytaknął wyczerpany. Mokra ściereczka wysliznęła mu się z dłoni.

– Sprzedać – odpowiedział. – Chcą je sprzedać.

TRANSAKCJA

Dusza nigdy nie umiera, raczej zamienia dotychczasowe mieszkanie na nowe, gdzie żyje i działa w nim dalej.

Wszystko się zmienia, jednak nic nie ginie.

Pitagoras

Nauka o reinkarnacji to groźba tysiącckrotnej śmierci i cierpień powtórzonych milion razy.

Oficjalne stanowisko pewnej chrześcijańskiej rozgłośni radiowej w kwestii reinkarnacji

W odpowiedzi Jezus rzekł do niego: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się ktoś nie narodzi powtórnie, nie może ujrzeć królestwa Bożego”.

Ewangelia według św. Jana 3,3

1

Żartujesz sobie teraz, prawda?

Stern oderwał na chwilę wzrok od pasa ruchu i spojrzał na Borcherta, który właśnie wkładał piłkarską koszulkę w barwach Bayernu Monachium.

– Dlaczego? Przecież jest całkiem fajna.

Jego towarzysz znów się pocił, dysząc, otworzył więc szybę w samochodzie. Również Stern był wdzięczny za chłodne poranne powietrze, które wdzierało się do środka z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin spał mniej niż czterdzieści minut. Dziś rano udało mu się jeszcze wziąć prysznic i wybłągać u swojej byłej samochód, zanim odebrał Borcherta spod Kolumny Zwycięstwa w parku Tiergarten. Wbrew oczekiwaniom Sophie bez wahania oddała mu klucze do auta. Była wyjątkowo chętna do współpracy. Pozwoliła nawet Carinie i Simonowi zostać jeszcze u niej, do czasu aż Stern sprawdzi, czy jego plan działa.

– Posłuchaj – zaczął mówić trochę głośniej, żeby przebić się przez szum powietrza. – Siedzimy w najpopularniejszym małym samochodzie na świecie. Jest srebrny, a to ulubiony kolor lakieru na naszej planecie. Innymi słowy, nie mogliśmy wyobrazić sobie czegoś mniej rzucającego się w oczy. A teraz ty chcesz zmarnować nasz kamuflaż, wkładając to coś?

– Nie bulwersuj się. – Borchert zakręcił z powrotem zacinającą się szybę.
– Spójrz lepiej w lewo.

Przejeżdżali akurat obok filharmonii. Chodnikiem przed Staatsbibliothek szła grupa młodych mężczyzn w kierunku Potsdamer Platz. Stern pomyślał, że ma zwidy. Wszyscy mieli na sobie piłkarskie stroje.

– Dziś po południu jest absolutny hit Bundesligi – wyjaśnił Borchert. – Hertha Berlin gra z Bayernem. Spójrz jeszcze raz w lewo.

Stern posłuchał i poczuł na prawym policzku mokrą pieczętkę.

– Co ty wyprawiasz?

– Ty też musisz się przebrać. Nieźle wygląda. – Andi zaśmiał się i tak przekręcił lusterko wsteczne, żeby Stern mógł zobaczyć logo drużyny na swojej twarzy. – Stadion olimpijski wyprzedany całkowicie. W mieście oczekuje się co najmniej trzydziestu pięciu tysięcy fanów. Jak widzisz, niektórzy przyjechali już wcześniej. Wrzeszczą i włączą się teraz po Berlinie. W samochodzie możesz zostać w swoim garniturku, ale tam na zewnątrz... – Borchert wskazał przez przednią szybę na Potsdamer Platz. – Tam nie ma dziś lepszego kamuflażu. Tu jest reszta naszego kostiumu.

Obłąd, no kompletny obłąd, pomyślał Stern, spoglądając krótko na tylne siedzenie. Borchert musiał obrobić jakiś sklep dla kibiców. Szaliki, dresy, rękawice bramkarskie – mieli wszystko. Nikt nie będzie się ich spodziewał w takich łachach. Tym bardziej że w stolicy krąży kilkadziesiąt tysięcy sobowtórów.

– Ale nie wiem, czy tak nas tam wpuszczą. – Stern skręcił w Kurfürstenstrasse i trochę zwolnił.

– Gdzie nas nie wpuszczą?

Opowiedział Borchertowi o swoich ostatnich przemyśleniach. Według Simona jutro rano odbędzie się spotkanie na jakimś moście, podczas którego dojdzie do sprzedaży niemowlęcia. Stern wychodził z założenia, że handlarzem będzie „głos”, który został teraz ostrzeżony o planowanym zamachu na jego życie podczas realizacji transakcji. Miał być zamordowany. Tak jak jego wspólnicy we wcześniejszych latach.

– Musimy znaleźć kogoś, kto będzie mógł nam coś powiedzieć o handlu niemowlętami. Dzięki niemu znajdziemy most, a potem „głos”. Dlatego musimy zobaczyć się z ludźmi z pewnego środowiska...

Gdy zdał sobie sprawę, do czego się przyznał tymi słowami, zrobiło mu się niedobrze. Jeśli chłopak ze znamieniem ma coś wspólnego z Feliksem, jeśli ten chłopak faktycznie istnieje, to jego los łączy się z szefem grupy

przestępczej, która najwidoczniej zajmowała się też handlem dziećmi. Z sadystą ściganym przez mściciela, którego Simon pomylił w snach z samym sobą.

Stern znów zastanawiał się nad tym, czy może istnieć jakieś logiczne wyjaśnienie tego szaleństwa. Znów zachodził w głowę, czy podmieniono wówczas Feliksa, czy może go nawet odratowano. I znów musiał wykluczyć wszystkie racjonalne rozwiązania. Tylko jeden chłopiec był wtedy na oddziale, Felix został pochowany, a przedtem przez pół godziny leżał martwy w ramionach Sophie. Ze znamieniem w kształcie zarysu Włoch na lewym ramieniu! Robert zajrzał jeszcze do trumienki, zanim poddano go kremacji. Z którejkolwiek strony by spojrzeć, możliwość, że jego syn nadal żyje, była tak samo przekonująca, jak fakt, że mały chłopiec wie o ludziach, którzy zostali zamordowani długo przed jego narodzinami.

– Halo, jest tu kto?

Stern nawet nie usłyszał pytania, które zadał mu wcześniej Borchert.

– Pytałem, jak długo Sophie była wtedy sama w łazience.

Stern spojrzał osłupiały na swojego towarzysza.

– W szpitalu? – Kiedy uciekła z Feliksem do toalety?

– Tak. Przecież słyszę, że twój mózg terkocze głośniej niż silnik tego gruchota. Przyszło mi więc na myśl, czy ty też już się nad tym zastanawiałeś.

Nad czym? Że Sophie ma z tym coś wspólnego?

– Żartujesz sobie? To jakieś szaleństwo.

– Nie aż tak wielkie, jak szukanie niemowlęcia, które pewnie istnieje tylko w wyobraźni małego chłopca.

– A co twoim zdaniem miałoby się wydarzyć wtedy w łazience? – Stern nie mógł powstrzymać złości, chociaż nie wiedział, dlaczego tak agresywnie zareagował na tę sugestię. – Toaleta była zamknięta. Bez tylnego wyjścia. Myślisz, że w tym czasie urodziła jeszcze jedno, tym razem martwe dziecko i wytatuowała mu szybko na ramieniu zarys Włoch?

– Dobra, dobra, zapomnij już o tym. – Andi podniósł uspokajającym gestem obie ręce. – Znajdźmy po prostu tego dzieciaka. Tylko dlaczego

wleczemy się po ulicy dziwek?

Borchert obejrzał się za prostytutką, która apatycznie kiwała się na cienkich jak zapalki nogach przy krawężniku. Czerwona dzielnica pomiędzy Kurfürstenstrasse, Lützowstrasse i Potsdamerstrasse należała od zawsze do najmniej przyjemnych części Berlina. Większość dziewczyn już w wieku dwunastu czy trzynastu lat łapała wirusowe zapalenie wątroby i rzetelnie przekazywała chorobę swoim zdegenerowanym klientom, skuszonym najniższymi cenami za seks bez zabezpieczenia.

Było dopiero tuż po wpół do dziewiątej, ale nieletnie niewolnice w taki dzień jak dziś już od rana czekały na nawał turystów. Z ich usług nie korzystali jedynie włóczędzy i wyrzutki. Częściej natomiast dobrze usytuowani biznesmeni i ojcowie, którzy delektowali się władzą nad prawie dziećmi, żądając od nich niewyobrażalnych rzeczy tylko dlatego, że nie były one w stanie jasno myśleć z powodu narkotycznego głodu.

– Miałem kiedyś reprezentować pederastę – wyjawiał Stern, rozglądając się za wolnym miejscem do zaparkowania. – Facet chciał założyć w Niemczech polityczną partię pedofilów, żeby zalegalizować seks między dorosłymi a dziećmi powyżej dwunastego roku życia. Dzieciaki miały nawet mieć prawo grania w pornosach.

– To żart?

– Niestety nie.

Stern włączył kierunkowskaz i wjechał w sporą lukę. Dziewczynka w rozdartych dżinsach i zielonej skórzanej kurtce zeskoczyła z szarego niskiego transformatora i podeszła do nich.

– Zanim odrzuciłem tę ofertę i odesłałem gościa do diabła, dowiedziałem się, gdzie najczęściej spędza czas w weekendy.

– Niech zgadnę.

– No właśnie. Tu można dostać wszystko. Narkotyki, broń, płatnych zabójców, nieletnie dziwki...

– I niemowlęta.

Stern zaparkował, a Borchert od razu otworzył drzwi. Syknął coś do prostytutki w skórzanej kurtce, na co ta pokazała mu środkowy palec i

wróciła na transformator.

– Podobno zdarzali się już klienci, którym uzależniona prostytutka oddawała nowo narodzone dziecko – potwierdził Stern, który również wysiadł z samochodu. – Przyznaję, to nie wydarzyło się tu, tylko na czeskiej granicy. Ale może ułatwia nam to sprawę.

– W jaki sposób?

– Nawet w Berlinie handel niemowlętami jest czymś szczególnym. Jeśli Simon się o tym dowiedział, to na pewno wiadomo coś o tym i tu. Musimy tylko zapukać do odpowiednich drzwi. Może będzie za nimi ktoś, kto udzieli nam informacji.

– To od których drzwi chcesz zacząć?

– Od tych. – Stern wskazał na otwarte wejście po drugiej stronie ulicy.

Pizzeria Jackos. Na brudnym podświetlanym szyldzie reklamowym, w którym po zapadnięciu ciemności nie zapalała się pewnie ani jedna żarówka, niedbale przyklejono czarne litery.

– Powinien być w drugiej oficynie. Prywatny dzwonek. Pierwsze piętro po prawej.

– Nielegalny burdel. Wiem. – Borchert klepnął się po mięsistym karku, jakby go ugryzł komar. W rzeczywistości dokuczały mu tylko krople potu, spływające z ogolonej głowy. – Nie patrz tak. Przecież wiesz, na czym wcześniej zarabiałem pieniądze. Człowiek dowiaduje się czasem więcej, niżby chciał.

– No cóż, to wiesz już chyba, do czego cię potrzebuję. Mam nadzieję, że masz przy sobie jeszcze jakąś inną broń oprócz własnego ciała.

– Mam. – Borchert pokazał na wystającą z kieszeni dresu rękojeść pistoletu kaliber 9 mm. – Ale i tak tam nie wejdziemy.

– Dlaczego?

– Bo mam dużo lepszy pomysł.

– No, słucham.

– Z drugiej strony.

Stern spojrział na duży sklep spożywczy na rogu ulicy, w którego kierunku jego towarzysz już maszerował.

– Ależ oczywiście! – krzyknął za nim. – Zupełnie zapomniałem. Przecież tu sprzedają dzieci w supermarketach.

Borchert zatrzymał się na środkowej linii ulicy i odwrócił się.

– A żebyś wiedział, że naprawdę to robią.

Jego wyraz twarzy, postawa i przede wszystkim ton głosu jednoznacznie zasygnalizowały Sternowi, że Borchert mówi zupełnie poważnie.

2

Już w czwartym sklepie znaleźli to, o co chodzi. Pierwszy supermarket był zamknięty, chociaż prawo zezwalało na handel w niedzielę, szczególnie kiedy w stolicy zapowiadało się ważne wydarzenie sportowe. W drugim sklepie spożywczym drzwi były otwarte dla klientów, ale nie znaleźli tu nic nadzwyczajnego: lekcje gry na pianinie i hiszpańskiego w małych grupach, okazja podwiezienia do Paryża i klatka dla królika. W drogerii naprzeciwko na tablicy ogłoszeń przeważały umeblowane mieszkania i korepetycje, ktoś chciał też sprzedać lodówkę. Borchert zatrzymał się dłużej przy ogłoszeniu z kolorowym zdjęciem używanego wózka dziecięcego za jedyne trzydzieści dziewięć euro. Zerwał jeden z dziesięciu perforowanych kawałków z numerem telefonu, ale gdy tylko zobaczył kierunkowy, skrzywił się niezadowolony i poszli dalej.

W drodze do ostatniego sklepu, największego i najnowocześniejszego punktu handlowego w okolicy z przejeżdżającego samochodu obrzucili ich wyzwiskami fani Herthy.

Stern też już się przebrał. Zrezygnował z szykownego garnituru na rzecz koszulki bramkarza z długimi rękawami. Tak samo jak Borchert twarz ukrył pod śmieszoną czapeczką, w której się czuł jak jakieś jarmarczne dziwo.

Plastikowy penis na mojej głowie mniej rzucałby się w oczy, pomyślał, kiedy dostrzegł spojrzenie starszej kobiety, przekładającej zakupy do lnianej torby.

- Nigdy jeszcze nie słyszałem o tej metodzie, Borchert.
- Dlatego jest skuteczna.

Stali przy koszach na odpady, gdzie po zakupach można było wyrzucić opakowania i zużyte baterie. Za nimi wisiała zwykła tablica korkowa z gąszczem prywatnych ogłoszeń.

– Zawsze mi się wydawało, że takie sprawy załatwia się dziś przez Internet.

– Tak też jest. Przede wszystkim jeśli chcesz kupić zdjęcia, filmy albo używane damskie gacie.

Stern zmarszczył czoło. Z doświadczenia obrońcy wiedział, że prokuratura jest o lata świetlne w tyle za profesjonalnymi informatykami zarabiającymi krocie na dziecięcej pornografii. Nie istniała żadna federalna jednostka specjalna, brakowało zatrudnionych na stałe maniaków komputerowych, którzy prześwietliliby strony internetowe, fora, grupy dyskusyjne. Niektóre komisariaty mogły się cieszyć, że w ogóle mają szerokopasmowe łącze. Nawet jeśli policji udało się jakaś spektakularna akcja, to przepisy prawne nie pozwalały na zatrzymanie zbrojców.

Nie dawniej niż tydzień wcześniej wpadło kilkunastu pedofilów, gdy funkcjonariusze sprawdzili w Internecie tysiące transakcji dokonanych kartami kredytowymi. Śledzenie procesów płatniczych było jednak niezgodne z prawem o ochronie danych osobowych, dlatego zdobyte dowody stały się bezużyteczne. „Hitem” z zajętych twardych dysków było wtedy zdjęcie noworodka z jakimś emerytem. Ci, których podniecały niewyobrażalne cierpienia, znów pewnie karmili swoje chore mózgi w którejś z kafejek internetowych.

– Sieć stała się zbyt niebezpieczna, aby umawiać się na spotkania w realu
– wyjaśnił Borchert i podniósł kolorowe zdjęcie motocykla, za którym ukryta był mała fiszka.

– Dlaczego?

– Mnóstwo tam pułapek. Policjanci wchodzą do podejrzanych czatów i podają się za młode dziewczynki. Kiedy jakiś dewiant złapie haczyk, umawiają się z nim. Przychodzi taki potem, czekając na szóstoklasistkę z aparatem nazębnym, a zamiast tego zakładają mu bransoletki.

– Dobry pomysł.

– No. Tak dobry, że zboczuchy znalazły sobie coś nowego. Coś takiego jak na przykład to. – Borchert oderwał od tablicy błękitną kartkę formatu A5.

– „Szukam do spania jak na zdjęciu” – przeczytał Stern. Małą fotografię umieszczoną pod spodem wycięto z katalogu sprzedaży wysyłkowej. Widniało na niej małe drewniane łóżeczko, model Happy Young, w którym leżał mały chłopiec i uśmiechał się do aparatu. Pod nim zwykłym drukiem z drukarki laserowej:

Odp. dla dzieci od 6. do 12. roku życia.

Łóżko ma być wygodne, czyste i z dd.

Zimny dreszcz przeszedł Roberta.

– Nie wierzę.

Borchert uniósł brwi.

– Z ręką na sercu, kiedy ostatni raz wieszaleś prywatne ogłoszenie na tablicy przy supermarkecie?

– Nigdy.

– A jak dużo znasz osób, które odpowiedziały na coś takiego?

– Nikogo.

– Mimo to tablice są pełne takich karteczek, zgadza się?

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

– Chcę. Po części są to rynki kontaktowe dla chorych i świrów naszego miasta.

– Nie mogę w to uwierzyć – powtórzył Stern.

– To przypatrz się dokładniej. Widziałeś już kiedyś tak długi numer telefonu?

– Hm. Nietypowy.

– Idę o zakład, że dodzwonimy się pod jakiś libański numer prepaidowy, albo coś takiego. Jednorazowa komórka. Żadnych szans, żeby zdobyć nazwisko osoby po drugiej stronie. A tu... – Andi wskazał na podpis pod zdjęciem – ...jest jednoznaczny slang pedofilski. „Wygodne” oznacza „za

zgodą rodziców”. „Czyste” to „najchętniej prawiczek lub z testem na AIDS”. No i życzą sobie „z dd”, czyli „dostawę do domu”.

– Jesteś pewien? – Stern nie wiedział, czy do piłkarskiego przebrania będzie pasować, jeśli zwymiotuje za kontenerem z makulaturą.

– Nie, ale zaraz się dowiemy.

Borchert wyjął z kieszeni komórkę, której Stern nie widział wcześniej u niego, i wybrał osiemnastocyfrowy numer.

3

Tak, słucham?

Już dwa pierwsze słowa nie spełniły oczekiwań Sterna. Spodziewał się starszego mężczyzny, w którego głosie słyszeć będzie wyraźne zdemoralizowanie. Kogoś, kto zaczesywał na czoło tłuste włosy i ubrany w poplamiony obcisły podkoszulek gapił się podczas rozmowy przez telefon na swoje zjedzone przez grzybicę paznokcie u nóg. Jednak zamiast tego zaszczebiotał jasny i przyjazny głos kobiety.

– Eee, ja, yyy... – Stern zaczął się jąkać. Borchert po prostu podał mu wcześniej słuchawkę, kiedy usłyszał lekko zniekształcony sygnał.

– Przepraszam, ale chyba wybrałem zły numer.

– Dzwoni pan w sprawie ogłoszenia? – zapytała bezimienna kobieta. Jej głos był uprzejmy i bez najmniejszego śladu berlińskiego akcentu. Stern natychmiast odniósł wrażenie, że rozmawia z wykształconą osobą.

– Eee... tak?

– Przykro mi, ale męża w tej chwili nie ma.

– Ach tak.

Opuścili teren supermarketu i szli z powrotem w stronę samochodu. Stern musiał się skupiać na każdym słowie, aby nic mu nie umknęło wśród hałasu Potsdamerstrasse i trzasków wynikających z kiepskiego połączenia.

– Ale ma pan to, czego szukamy? – zadała kolejne pytanie.

– Może.

– Ile ma lat?

– Dziesięć – odpowiedział Stern, myśląc o Simonie.

– To by pasowało. Wie pan, że szukamy łóżka dla chłopca?

- Tak. Przeczytałem.
- Dobrze. Kiedy może je pan dostarczyć?
- W każdej chwili. Jeszcze dziś.

Minęli transformator, przy którym wcześniej wychudzona prostytutka czekała na klientów. Nie było jej tam teraz, bo pewnie siedziała już na przednim siedzeniu samochodu w jakiejś bocznej uliczce.

– Świetnie. Proponuję zatem, żebyśmy spotkali się o szesnastej i omówili szczegóły. Zna pan kawiarnię Madison przy Mexikoplatz?

– Tak – potwierdził Stern automatycznie, chociaż nigdy jeszcze nie był w tej kawiarni. – Halo? Jest tam pani jeszcze?

Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, oddał Borchertowi komórkę. Ten natychmiast zapytał:

– No i?

Stern musiał wziąć kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. W końcu odpowiedział jak w transie:

– Nie wiem. Wyglądało to na całkiem zwyczajną rozmowę. Właściwie mówiliśmy tylko o łóżku.

– Ale?

– Ale przez cały czas czułem, że chodzi o coś zupełnie innego. – Stern przekazał mu niemal dosłownie cały dialog.

– Widzisz? – powiedział Borchert.

– Nie. W tej chwili nie widzę kompletnie nic – skłamał. W rzeczywistości jego spojrzenie na świat, w którym żył, drastycznie się zmieniło. Borchert podniósł w supermarkecie kurtynę i pozwolił mu zajrzeć za kulisy, na ciemną stronę życia, gdzie ludzie zdejmowali wytrenowane maski moralności i sumienia i pokazywali swe prawdziwe twarze. Stern nie był naiwny. Był prawnikiem. Oczywiście znał zło. Jednak dotychczas ukrywało się ono przed nim za pisemnymi oświadczeniami, wyrokami i prawnymi formułkami. Na takie okropności, które groziły wchłonięciem go niczym czarna dziura, nie mógł już spojrzeć w sposób neutralny przez pryzmat zawodowych doświadczeń. Sam będzie musiał wystawić sobie

rachunek za rozpracowanie tego przypadku i był niemal przekonany, że stawka godzinowa rozsadzi jego budżet emocji.

Borchert otworzył drzwi samochodu i już chciał wsiąść, kiedy zatrzymało go zaskakujące pytanie Roberta.

– Skąd bierzesz swoje informacje?

Andi podrapał się pod czapkę, a potem ją zdjął.

– Chyba ci to już wyjaśniałem?

– Bzdury. Ktoś, kto kręci pornosy, wcale nie musi się orientować w najnowszych trendach pedofilii.

Borchert zrobił posępną minę i wsiadł do auta.

– Jeszcze raz. Skąd tak dużo wiesz o tych sprawach? – Stern usiadł na siedzeniu obok kierowcy.

– Uwierz mi, że nie chcesz tego usłyszeć. – Andi zapalił silnik i spojrzał w lusterko wsteczne. Na jego szyi pojawiły się czerwone plamy. Popatrzył na Sterna i zrezygnowany zacisnął usta. – No dobra. Musimy chyba złożyć wizytę Harry’emu.

– Kim jest Harry?

– Jednym z moich źródeł. Dostaniemy od niego rekomendacje.

Borchert wyjechał z zatoczki do parkowania. Trzymał się dozwolonej prędkości, żeby z powodu drobnostki nie nadziać się na kontrolę.

– Rekomendacje? O co ci chodzi, do cholery?

Borchert sprawiał teraz wrażenie poważnie zdziwionego.

– No, chyba nie myślisz, że możesz sobie wpaść dziś do tej kawiarni ot tak bez jakiegokolwiek dowodu na to, że jesteś jednym z nich?

Stern przełknął ślinę.

Jednym z nich.

Chwycił nerwowo za koniec szalika kibica i powoli ciągnął go w dół, zupełnie nie czując, jak włókna bawełny coraz mocniej się zaciskają wokół jego szyi. Perspektywa, że będzie musiał coś zrobić, aby stać się członkiem wspólnoty zboczeńców, i tak już utrudniała mu oddychanie.

4

Dzień w dzień setki turystów przemierzały okolicę, w której Harry kończył swój marny żywot. Wycieczkowicze przejeżdżali zaledwie kilka metrów od jego domu, zmęczeni podróżą, ale zarazem zadowoleni z tego, co w najbliższym czasie zaoferuje im Berlin. Chcieli zanurzyć się w nocne życie, zwiedzić Reichstag albo po prostu zostać w hotelu. Z pewnością jednak nie planowali wypadu do jedenastu zasyfionych metrów kwadratowych, gdzie Harry czekał właśnie na śmierć.

Jego przyczepa kempingowa stała tuż pod mostem oddalonym najwyżej o kilometr od lotniska Schönefeld. Stern obawiał się, że corolla Sophie nie poradzi sobie z wybojami, kiedy wjechali na prowizoryczną drogę.

Borchert zlitował się wreszcie nad samochodem i zatrzymał się za ogrodzeniem z powyginanej siatki. Ostatnie sto metrów przeszli pieszo. Stern po raz pierwszy był wdzięczny Borchertowi, że zmusił go do włożenia sportowych butów. Znowu padało, a podłoże coraz bardziej przypominało błotniste pole.

– Gdzie on jest? – spytał Stern, który wciąż jeszcze nie zauważył domu Harry’ego. Jedyne, co widział, to ogromna sarta śmieci pomiędzy dwoma potężnymi filarami ze zbrojonego betonu. Hałas pędzących trzydzieści metrów nad ich głowami samochodów był prawie tak samo nieznośny, jak gryzący smród, który stawał się coraz silniejszy, im dalej szli przed siebie. Ostra mieszanka psich odchodów, gnijących resztek jedzenia i zastałej brudnej wody.

– Przed nami. Idziemy prosto na niego. – Borchert skulił się mocniej, unosząc ramiona. Tak jak Stern zostawił czapeczkę i szalik w samochodzie,

więc krople deszczu zalewały ich karki.

Robert ciągle nie widział nikotynowożółtej przyczepy kempingowej za górą śmieci, kiedy zza jednej ze stert zużytych opon wyłonił się nagle mężczyzna w sfilcowanym szlafroku. Był trochę wyższy, ale zdecydowanie chudszy od Borcherta. Najwyraźniej nie zauważył jeszcze nieproszonych gości, bo głośno bekał, grzebiąc sobie w kroku, by wreszcie odlać się na jakiś stary fotel. Odchylił przy tym głowę do tyłu i delektował się padającym na twarz deszczem, obserwując od dołu autostradę.

– Harry, tak rano, a ty już na nogach?

Mężczyzna aż podskoczył. Dzieliła ich długość czterech samochodów osobowych, ale i tak trudno było nie spostrzec strachu, który pojawił się na jego twarzy na widok Borcherta.

– Kurwa. – Harry zrezygnował z porannej toalety i pobiegł w rozpadających się klapkach za róg, docierając prawie do otwartych drzwi przyczepy. Nawet gdyby udało mu się je szybko zamknąć, to cienkie jak tektura drzwi nie byłyby żadną przeszkodą dla Borcherta. Ten gołymi rękami mógłby zaciągnąć całą przyczepę z powrotem na główną drogę. Harry dobrze o tym wiedział, dlatego patrzył przestraszony, jak obaj wchodzą za nim do środka.

– Uuu, kto tu umarł?

Stern tak jak Andi zatkał nos i oddychał przez usta. Kiedy przyczepa była jeszcze nowa, dywan musiał mieć żółty kolor. Teraz zielonkawa pleśń pokrywała całą podłogę i plastikowe ściany. W małym aneksie kuchennym walały się potłuczone talerze, zużyte papierowe naczynia oraz coś, co wcześniej można było nazwać salami, a teraz wyglądało na otwartą ranę.

– Czego ode mnie chcecie? – spytał Harry, wciskając się w najgłębszy kąt laminowanego narożnika. Wyłożony starymi kartonami po pizzy najwyraźniej służył mu do spania.

– Przecież wiesz. – Borchert miał taką zdolność, że jednym słowem potrafił bardziej spotęgować poczucie zagrożenia niż niejeden film przez dziewięćdziesiąt minut akcji.

– Nie. Co to ma być? Nic wam nie zrobiłem.

Harry oddychał płytko i kulił się w narożniku, podczas gdy Borchert rozluźniał mięśnie ramion niczym bokser.

Stern nie mógł na to patrzeć, chciał wyjść. Aby tylko nie widzieć dłużej okropnej twarzy mężczyzny. Wyglądał, jakby całą noc trzymał ją w pokrzywach. Różnej wielkości czerwone pęcherze pokrywały czoło, policzki i szyję. Na większości były już strupy, reszta wyglądała na świeżo rozdrapane.

– Znikniemy stąd, jak tylko dasz nam to, czego szukamy.

– Ale co?

– Który z twoich koleś handluje dzieciakami?

– Słuchaj, Andi, przecież wiesz, że już w tym nie robię. Skończyłem z tym.

– Zamknij się i powiedz, co wiesz o tym dzieciaku?

– Jakim znowu dzieciaku?

– Jutro rano ma zostać sprzedany. Takiemu samemu śmieciowi jak ty. Słyszałeś coś o tym w swoim klubie?

– Nie. Przysięgam. Nie mam już z tym nic wspólnego. Żadnych kontaktów, żadnych informacji. Zero, nic. Sorry, powiedziałbym ci wszystko, ale przecież nic nie wiem. Nikt ze mną nie gada, odkąd wyszedłem z pierdła. Zapłaciłem za swoje, nie?

Harry mówił falami. Niektóre słowa wypowiadał szybko, inne przeciągał. Stern nie był pewien, czy zawsze się tak wysławiał, czy tylko teraz, pod wpływem gróźb Borcherta.

– Przestań pieprzyć!

– Naprawdę, Andi. No przecież nie kłamię. Nie tobie. Wie pan... – Jego błagalny wzrok powędrował na Sterna, przez co tym samym zmniejszyła się szansa prawnika na szybkie opuszczenie przyczepy. – Wpakowałem się w niezłe gówno. Myślałem, że ma szesnaście lat, serio. To było dawno temu. Ale nikt mi nie wierzy. Czasem przychodzą w nocy i mnie tłuką. Widzi pan?

Odślonił szlafrok i pokazał Sternowi klatkę piersiową. Wszędzie rozlane niebieskofioletowe sińce. Bez rentgena trudno było jednoznacznie

stwierdzić, ale Stern rozpoznał co najmniej jedno złamane zebro.

– To okoliczni gówniarze. Za każdym razem inni. Ktoś im opowiedział, co kiedyś zrobiłem. Wywlekają mnie na na dwór i skaczą po mnie w ciężkich buciorach. Raz prysnęli mi twarz kwasem z akumulatora.

Stern ze współczuciem i odrazą cofnął się o krok, gdy Harry wyciągnął w jego stronę popękaną twarz. Tylko Borchert pozostał niewzruszony. Okropna historia Harry’ego nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Wręcz przeciwnie. Uśmiechnął się tylko i z całej siły przywalił mu pięścią w zęby.

Siła uderzenia była tak duża, że Harry tyłem głowy rąbnął w plastikową ścianę przyczepy, pozostawiając małe wgłębienie.

– Kurwa, nie! – zaskomlał Harry i wypluł zakrwawiony ząb.

Stern też wrzasnął:

– Andi, przestań! Zwariowałeś?!

– Wyjdź stąd, proszę.

– Nie, nigdzie nie pójdę. Kompletnie ci odbiło!

– Nic nie rozumiesz – odpowiedział Borchert i wyjął broń. Stern usłyszał metaliczny brzęk odbezpieczania pistoletu.

– Spieprzaj! Ale to już!

– Nie. Nie pozwolę ci na to. Nie obchodzi mnie, co zrobił Harry. Przemoc nie jest żadnym rozwiązaniem!

– Ależ jest.

Borchert podniósł broń i wycelował w czoło prawnika.

– Nie będę się powtarzał.

– Błagam, nie. Niech pan zostanie. – Wzrok Harry’ego gorączkowo przeskakiwał z Borcherta na Sterna i z powrotem. Cały zakrwawiony, wyglądał jak ktoś, kto dopiero sekundy przed egzekucją zrozumiał, że został skazany na śmierć. Borchert tymczasem znowu przełożył dźwignię przełącznika. Tak jak wczoraj, kiedy pobiegł do wyjścia z Titanica, żadna siła nie była w stanie go powstrzymać. Nie miał żadnych oporów. Był gotów zabić. Wbrew wszystkiemu. W ostateczności nawet na oczach Sterna. – O Boże, proszę, niech pan nie wychodzi... Nie!

Gdy Borchert wypchnął go z przyczepy i zatrzasnął za sobą drzwi od środka, Stern wiedział, że nigdy nie zapomni tego błagającego, załamującego się głosu.

5

Kiedy zwierzęta na wolności podczas sytuacji konfliktowych reagują całkowicie irracjonalnie, nauka określa ich zachowanie mianem działań przerzutowych. Rybitwa na przykład w momencie zagrożenia, kiedy ma zdecydować, czy bronić gniazda, czy ratować się ucieczką, zaczyna czyścić piórka. W tej chwili Robert Stern mógłby być równie pouczającym obiektem dla jakiegoś behawiorysty.

Stał odwrócony plecami do chwiejącej się przyczepy kempingowej, nie wiedząc, czy powinien uciekać, sprowadzić pomoc, czy zaatakować. Stał i bezsensownie grzebał w śmieciach, szukając jakiejś broni. Przynajmniej tak sobie wmawiał. Jakiegoś ostrego przedmiotu albo metalowej rury. Chciał nimi wyłamać drzwi, za którymi od jakichś dwóch minut panowała cisza. Harry już nie krzyczał. Na początku Stern jeszcze go rozumiał. Później występane szczątki zdań były coraz bardziej rozmyte. Na końcu dochodziły do niego jedynie gulgot i regularne odgłosy uderzeń, od których cała przyczepa aż podskakiwała.

Stern szukał coraz bardziej nerwowo, przesunął stary akumulator, wyciągnął szlauch przedpotopowej pralki, żeby zamienić go zaraz na drucianą pętlę, z którą nie wiedział, co począć, tak samo jak z całą resztą śmierzących odpadów. Jeśli nie znajdzie tu załadowanej dubeltówki, to nie powstrzyma szalejącego wewnątrz przyczepy Borcherta.

Mimo to szukał dalej. Przestał dopiero w chwili, gdy zapadła nieznośna cisza. Nagle ucichły jęki, lament i rozbijanie się. Odgłosy z autostrady znów odzyskały akustyczne panowanie w tym betonowym kotle. Stern odwrócił się, wypatrując oznak, czy walka na dobre się już skończyła, czy

może to tylko chwilowa przerwa. Brodził przez błoto w stronę przyczepy, wdepnął w jakieś gówno, co i tak nie zrobiło na nim wrażenia. Chociaż bał się widoku, który czekał na niego za porysowaną szybą z pleksiglasu, zdecydowanym krokiem podszedł do okna. Musiał stanąć na palcach, żeby coś zobaczyć. I niemal wywrócił się do tyłu, gdy dwa kroki od niego po prawej stronie z hukiem wyleciały drzwi. Borchert wyszedł z przyczepy. Jaskrawoczerwona koszulka zmieniła kolor i wręcz czarna przyklejała się do jego ciała. Mocno musiał się napocić. Stern poczuł zimny dreszcz, gdy spojrzał na twarz Andiego. Małe kropelki pokrywały całe czoło i górną część nosa. Jakby właśnie skończył remont rudery Harry'ego, malując na koniec sufit krwistą czerwienią.

– On naprawdę nic nie wie. Zabierajmy się stąd – powiedział lakonicznie na widok Sterna. Z wyrazem bólu na twarzy potrząsnął prawą ręką, jak ktoś, kto właśnie przytrzasnął sobie palce w drzwiach. Pokaleczona pięść wyglądała, jakby zamiast w Harry'ego walił w drut kolczasty.

– Dostyc. Tak dalej być nie może. Już mam dość. – Stern obrócił się plecami do Borcherta i ruszył szybko przed siebie.

– Czego?! – zawołał za nim Andi.

– Tego całego szaleństwa. To musi się skończyć. Oddam się w ręce policji. Wszystko im opowiem, również to, co przed chwilą zrobiłeś.

– Tak? A co ja takiego zrobiłem?

Stern zatrzymał się i spojrzał przez ramię na Borcherta.

– Torturowałeś słabego, całkowicie bezbronnego mężczyznę. Boję się zajrzeć, czy on w ogóle jeszcze żyje.

– Żyje. Niestety.

– Jesteś kompletnym czubkiem, Andi. Nawet jeśli w grę wchodzi życie mojego syna, nie możesz ot tak katować niewinnych ludzi.

Borchert splunął na błotnistą ziemię.

– Mylisz się. I to w dwóch kwestiach. Po pierwsze, nie chodzi tu o zawile reinkarnatalalala ani o twojego Feliksa. Zapomniałeś już, że jutro ma zostać sprzedane małe dziecko? A po drugie... – Andi narysował w powietrzu znak zapytania – ...ten człowiek nie jest niewinny. Zgwałcił

jedenastoletnią dziewczynkę. To ostatni skurwiel. Szkoda wody w kible, żeby splukać takie gówno.

– Twierdzi, że już za to zapłacił.

– Tak, siedział. Cztery lata. A potem?

– Przestał. Spójrz na niego. W oczach się rozkłada. On nie potrzebuje żadnych batów od ciebie. Sam umrze.

– Szkoda tylko, że niewystarczająco szybko.

Część zdjęć, które Borchert rzucił pod nogi Sterna, wbiła się pionowo w mokrą ziemię. Robert schylił się i zaraz cofnął, jak ugryziony przez jadowitego węża.

– Tak, przyjrzyj się im spokojnie. Znalazłem je pod materacem twojego przyjaciela Harry’ego.

Stern nie odważył się nawet odetchnąć. Bał się, że zarazi się w ten sposób złem, które otaczało go z każdej strony.

– No, co jest? – Borchert sam wyjął jedno z kolorowych polaroidowych zdjęć z błotnistej paćki. Szeroko otwarte, wybałuszone z przerażenia oczy dziewczynki idealnie wręcz harmonizowały z czarną gumową piłeczką w jej ustach.

– Dobry Harry, co? Założę się, że ta mała nie ma więcej niż pięć lat. A to tylko zdjęcia. Mam się wrócić i przynieść filmy wideo?

Stern wiedział, że nieważne, kiedy zrobiono te zdjęcia. Sam fakt posiadania ich przez Harry’ego stanowił wystarczający dowód na to, że ciągle aktywnie działa. Chciał coś powiedzieć, ale nic nie przechodziło mu przez usta. Stał pomiędzy dwoma światami: chorym i nienormalnym pedofila oraz światem Andiego, w którym do celu dochodziło się, wyłącznie używając przemocy. Trzeci świat, jego własny, przestał istnieć.

– I co teraz? – spytał Borchert, gdy w milczeniu ruszyli z powrotem do samochodu. Przez deszcz zalewający oczy Stern kompletnie nie mógł rozpoznać drogi. Ta woda raczej nie miała właściwości oczyszczających. Zamiast zmyć z niego cały brud, właczała go coraz głębiej w pory jego skóry.

– Najpierw się uspokojmy, a później przygotujemy jakiś plan.

Borchert otworzył drzwi od strony kierowcy i wcisnął się za kierownicę corolli. Z powodu przeciążenia samochód niebezpiecznie się przechylił, dopóki Stern nie wsiadł po drugiej stronie.

– Mamy jeszcze trzy godziny do spotkania na Mexikoplatz.

Borchert zapalił silnik, który zaraz się zdławił i zgasł.

– Och, proszę. Nie rób mi tego. – Spróbował jeszcze raz. Na próżno. Silnik był zalany.

– A co z rekomendacją, której potrzebujemy? – W tym momencie Sterna nie obchodziła awaria auta. Z całego zła ostatnich godzin jedynie to było w jakiś sposób konkretne. Ani przy wizjach Simona, ani przy „głosie” nie można było po prostu otworzyć klapy silnika i jednym ruchem ręki rozwiązać problemu. – Już ją mamy. – Borchert zaśmiał się. Jego radość wynikała przede wszystkim z tego, że silnik wreszcie zaskoczył. – Naszą rekomendacją są zdjęcia. – Klepnął się po kieszeni kurtki, w której schował zabrane Harry’emu polaroidy. – Nie sposób ich zdobyć, gdy się nie ma kontaktów. Ten, kto ma takie zdjęcia, musi znać kogoś ze świątka. Lepszej wizytówki nie będziesz mógł dziś rzucić babce na stół.

Stern zapiął pasy i zakrył twarz zimnymi dłońmi. Chciałby poczuć coś innego niż tylko mdłości, które dopadły go jakiś czas temu.

– Raz już cię o to pytałem – zaczął, gdy samochód ruszył. – Skąd tak dobrze orientujesz się w tym bagnie? Skąd wiesz to wszystko?

Tablica ogłoszeń przy supermarkecie. Harry. Zdjęcia.

– Łatwo nie odpuszczasz, co? Okej, powiem ci. Sam w tym siedzę.

Stern niemal podskoczył na siedzeniu.

– Tak, i to całkiem głęboko. Chcesz wiedzieć, jak Harry się nazywa?

Powiedział nazwisko, zanim Stern zdążył się zastanowić, czy faktycznie mógł je kiedyś słyszeć.

– Borchert. Tak jak ja. Harry jest moim młodszym, kochanym, słodkim bratem przyrodnim.

Gdy jechali z powrotem w stronę autostrady, Stern miał wrażenie, że nigdy w życiu nie zapomni tego przerażającego miejsca. Nawet gdyby Andi zawiózł go teraz prosto na lotnisko i gdyby poleciał gdzieś za granicę, część Harry'ego, jego przyczepa kempingowa i hałdy śmieci podążyłyby za nim. Dlatego było mu obojętne, że znaleźli się na autostradzie prowadzącej do Zehlendorfu.

6

Wygląd kawiarni oddawał samopoczucie Sterna. Była pusta, opuszczona, martwa. Niezdecydowany zatrzymał się na chwilę przed drzwiami wejściowymi, na których wisiał krzywo przyklejony plakat zapowiadający koncert szkolnego zespołu rockowego. Poszedł w prawo, do wystawy. „Do wynajęcia” informował biało-czerwony napis na szyldzie, poniżej mniejszymi literami widniał adres mailowy profesjonalnego pośrednika nieruchomości. Stern zajrzał w zakurzone wnętrze. Oprócz rzędu drewnianych krzeseł, które odwrócone stały na pustych stołach, nie było nic więcej.

No dobra, pomyślał. Jeśli ta kobieta naprawdę tu na mnie czeka, nie mam wątpliwości, że to nie łóżko chce kupić.

Stern obrócił się, spoglądając na łukowaty dach secesyjnego dworca. Wyobrażał sobie, co mieszkańcy ekskluzywnej okolicy w sercu Zehlendorfu myśleli o tej opuszczonej knajpie. Wstyd dla całej dzielnicy. Nie potrafił zrozumieć, co trzeba zrobić źle, żeby splajtowała restauracja w tak nobliwej okolicy.

Po moście przejechał S-Bahn, tak że Stern omal nie przegapił skrzypnięcia za plecami. Odruchowo obejrzał się za siebie. Faktycznie. Drzwi wejściowe bez klamki, na które wcześniej bezskutecznie napierał, były uchylone. Rozejrzał się dookoła. Kiedy uznał, że żaden z przechodniów go nie obserwuje, wszedł do środka, gdzie przywitał go typowy zapach pustych pomieszczeń oraz całkowicie inna, niespodziewana nuta: znane na całym świecie damskie perfumy.

Pokonując kolejne metry dzielące go od kobiety przy oknie z papierosem w ręku, Stern korygował wiek, na jaki ją oceniał. O ile od wejścia wyglądała dla niego na czterdziestolatkę, tak teraz, siadając naprzeciwko niej przy stole, dawał jej co najmniej dwadzieścia lat więcej. Botoks i skalpel były ewidentnie jej regularną odpowiedzią na naturalny proces starzenia się. Fakt, który bez problemu można rozpoznać dopiero z bliska. Nienaturalna jędrność twarzy ekstremalnie przeciwstawiała się starczym przebarwieniom skóry na dłoniach. Również obwisła szyja nie pasowała do gładkich policzków. Stern był pewien, że pomimo tych znaków szczególnych nie rozpoznałby tej kobiety podczas policyjnego okazania. Nie bez powodu włożyła srebrnobiałą perukę z fryzurą na pazia, a oczy ukryła za ciemnymi okularami. Wyglądała w nich jak Bzyk Brzęczy Mucha z *Pszczółki Mai*.

– Czy mogę prosić o pana dokument tożsamości?

Stern wyjął portfel, wcale niezaskoczony tym pierwszym pytaniem. Borchert go uprzedził. W niektórych środowiskach pedofilii rezygnacja z wszelkiej anonimowości działa jak najlepsza ochrona. Każdy znał każdego. Jak w mafii pilnowano, żeby zanim ktoś zostanie przyjęty do grupy, najpierw zrobił coś karalnego. Dlatego fotografowano kandydata z jego dowodem tożsamości w jednej ręce i nielegalnym czasopismem pornograficznym w drugiej i zakładano mu teczkę.

Stern odchrząknął i nieproszony położył na obrusie w brązowo-białą kratkę z polaroidu.

– Nie jestem nowy w branży.

Jedyną reakcją kobiety było drgnięcie policzków. Stern nie miał już najmniejszych wątpliwości, o co tu chodzi. Na widok takich zdjęć każdy normalny człowiek zadzwoniłby na policję. Zwłaszcza gdy oczekiwał niewinnych negocjacji handlowych. Ale koścista kobieta zaciągnęła się tylko papierosem, tak samo cienkim jak palce, w których go trzymała. Nawet nie zadała sobie trudu, żeby odpowiednio odwrócić zdjęcia.

– Pomimo to muszę pana poprosić o powstanie.

Stern zrobił, co mu kazała.

– Proszę się rozebrać.

Z tym też się liczył. Mógł przecież być policjantem. Agentem, któremu było obojętne, czy łamie prawo. Albo kimś z perfekcyjnie podrobionymi dokumentami. Długo rozmawiał z Borchertem o tym, co się stanie, jeśli się zorientują, z kim naprawdę się umówili. Poszukiwany adwokat. Ukrywający się z uprowadzonym ze szpitala dzieckiem. Borchert uważał, że to zadziała na jego korzyść. Jako przestępca był jednym z nich. W końcu jednak cała dyskusja okazała się zbędna. Mieli za mało czasu na zdobycie nowych dokumentów, a chcieli rozegrać wszystko zgodnie ze swoim planem.

– Spodenki też.

Kobieta wskazała na biodra Sterna. Kiedy goły obrócił się przed nią, mruknęła z zadowoleniem. Otworzyła torebkę ze sztucznej skóry, którą dotychczas trzymała na kolanach, i wyjęła z niej mały czarny pręt.

– W porządku – powiedziała ledwie słyszalnie po sprawdzeniu go wykrywaczem metalu. To samo zrobiła jeszcze z jego ubraniem, które leżało na stole. Pół godziny wcześniej Robert kupił w przepelnionym centrum handlowym na Schlossstrasse prążkowany garnitur, koszulę i bieliznę. Pewnie kilkanaście kamer sfilmowało go podczas zakupów, ale musiał podjąć to ryzyko. Nie mógłby wiarygodnie odegrać roli ojca, który własnego syna chce sprzedać obcym ludziom do ich zboczonych zabaw seksualnych, jeśli pojawiłby się na spotkaniu w piłkarskim stroju.

– Dobrze – powiedziała, nie zwracając Sternowi jego rzeczy. – Może pan już usiąść.

Wzruszył ramionami. Czuł się jak na wizycie u lekarza. Gołym tyłkiem usiadł na zimnym drewnianym krześle.

– Więc gdzie jest to łóżko? – spytała, patrząc na jego owłosioną klatkę piersiową. Stern brzydził się samego siebie, kiedy jego sutki stwardniały z zimna. Kobieta najpewniej odczytała to jako oznakę erotycznego podniecenia i na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze.

– Stoi na ulicy.

Podążyła za jego wzrokiem. Krótka zasłona rozciągała się na brązowej szybie. Świat za nią połyskiwał przyjemną jesienną czerwienią, którą wywołał zachód słońca w ostatnich bezdeszczowych godzinach dnia. Jakieś małżeństwo spacerowało właśnie z dwoma psami po eleganckim placu. Delektowali się lekkim wietrzykiem, podrywającym do tańca liście spod ich nóg. Stern nie zwrócił uwagi na piękno tego momentu. Plac wydawał mu się ciemny i ponury, kiedy spojrzał na zaparkowany samochód, w którym na tylnym siedzeniu Simon czekał na jego znak.

7

Dwa lata przed pierwszą tomografią Simon znalazł w domu dziecka dwutomowy leksykon. Z chwiejnej półki zdjął pierwszy tom i zabrał go do swojego pokoju. Zafascynowany informacjami o anakondzie, Arktyce i astronomii, tuż przed zaśnięciem postanowił, że codziennie będzie się uczył jednego nowego słowa. Zamierzał przyswajać je w kolejności alfabetycznej. Od A do Z.

Dlatego też następnego ranka, gdy profesor Müller zaprosił do swojego gabinetu najpierw kierowniczkę domu dziecka, a potem jego samego, nie był smutny, zły czy załamany. Był przede wszystkim rozczarowany, że wyjaśniono mu takie słowa jak „złowróźbny” i „nowotwór” dużo wcześniej, niż nadeszła ich kolej.

Dzisiaj też poznał nowe słowo. Pedofil. Stern najpierw nie chciał go powtórzyć. Wymienił je tylko, gdy mu wyjaśniał, co się zaraz stanie.

„Cały czas trzymaj się blisko mnie. Nie odstępuj mnie ani na krok. Bez względu na to, co się stanie, słuchaj tylko mnie, rozumiesz?”

Napomnienia Sterna ciągle jeszcze brzmiały w uszach Simona, kiedy otwierał drzwi samochodu.

„Rób wszystko, co ci każę. I nie rozmawiaj z ludźmi, których za chwilę spotkamy, słyszysz? To są pedofile. Źli ludzie. Może będą się uśmiechać, będą chcieli podać ci rękę albo przytulić. Nie wolno ci na to pozwolić”.

Stern pomachał do niego jeszcze raz z okna i Simon pośpiesznie wysiadł z auta. Stern wyglądał na smutnego. Ponure spojrzenie przypominało tych wszystkich, którzy po raz pierwszy dowiadywali się o chorobie Simona, a on najchętniej powiedziałby mu teraz, żeby się nie martwił. Bo dziś był

właściwie dobry dzień. „Trójka” na skali samopoczucia. Nic go nie bolało, miał lekkie mdłości, a lewa ręka też nie była już taka zdrętwiała. Tylko jak zazwyczaj po atakach padaczki był bardzo zmęczony i dlatego kilka razy zasnął w drodze.

Carina nie chciała najpierw się zgodzić, żeby jechał, i ostro protestowała, kiedy Borchert wrócił do Sophie, by obydwójce zabrać. Gdy zapukał do tylnych drzwi, oglądali właśnie razem z bliźniaczkami jakąś kreskówkę. Później Carina poszła z Andim do drugiego pokoju, skąd dochodziły do Simona tylko strzępki zdań przerywane chichotem dziewczynek i muzyką z filmu.

„...nasza jedyna szansa... nie, będzie musiał się tylko pokazać... Nie martw się... nic mu nie będzie grozić... gwarantuję to swoim życiem...”

W końcu Carina wróciła do salonu i wściekła pomogła mu włożyć sztruksową kurtkę. Po drodze zatrzymali się jeszcze przy jej golfie. Carina i Borchert dotarli do tego pięknego miejsca dwoma oddzielnymi samochodami. Simon cieszył się, że znów zobaczy swojego adwokata, który właśnie dawał mu umówiony znak.

– To na razie, Carina – chciał jeszcze powiedzieć, zanim wysiadł. Ale Stern wyraźnie mu tego zabronił.

„Żadnych spojrzeń na tylne siedzenie. Żadnego słowa pożegnania”.

Simon trzymał się instrukcji i pobiegł w stronę Madison Cafe, patrząc prosto przed siebie. Popchnął drzwi ramieniem i wszedł do mrocznego wnętrza.

W całym lokalu świeciła się tylko jedna żarówka w najdalszym rogu. Stern wyglądał jakoś dziwnie, kiedy wstał z krzesła. Był potargany, krzywo zapiął nowy garnitur, a koszula wystawała mu ze spodni. Jakby przed chwilą się z kimś bił. Na pewno nie mogła to być ta kobieta w okularach, która teraz też się do niego odwróciła. Jej kostium w żadnym miejscu nie był wygnieciony, a każdy włos na głowie błyszczał, jakby go oddzielnie uczesano.

Zanim Simon doszedł do ich stolika, potknął się lekko. Spojrzał pod nogi i zauważył, że rozwiązała mu się sznurówka. Kiedy się schylił, aby ją

zawiązać, zakręciło mu się trochę w głowie. Śmieszny głos kobiety usłyszał jednak głośno i wyraźnie:

– Chodź, pokaż się, chłopczyku.

Musiał podeprzeć się na obu rękach, żeby wstać z klęczek. Kiedy kobieta stanęła przy nim, od razu zapomniał o zmęczeniu i prawie się zaśmiał. Przypominała mu spadochroniarza, którego widział raz w telewizji. Skóra nad jej wystającymi kośćmi policzkowymi wyglądała tak, jakby spłaszczył ją silny wiatr.

– No, ile ty masz lat? – spytała. Jej oddech pachniał zimnym dymem.

– Dziesięć. Niedawno skończyłem. – Simon ugryzł się w język i spojrzał onieśmielony na Sterna.

Przecież zabronił mi się odzywać.

Na szczęście adwokat nie wydawał się na niego zły.

– Dobrze, bardzo dobrze.

W ręku kobiety pojawił się nagle czarny metalowy pręt, ale Stern chwycił ją momentalnie za ramię.

– Nie ma mowy, żeby on się tu...

– Nie, nie. – Uśmiechnęła się chytrze. – Nie będzie musiał się rozbierać. Dopiero gdy dołączy do nas mój mąż. Tę przyjemność zostawimy sobie na później.

Simon nie rozumiał, po co wymachiwała przed nim tym przedmiotem. Nie wiedział też, dlaczego miał włożyć śmieszna opaskę na oczy, przez którą kompletnie nic nie widział. Jednak gdy Stern go poprosił, zrobił, co mu kazano. Nie bał się. Przynajmniej dopóki był przy nim jego adwokat, który wydawał się mieć większe obawy niż on sam.

Ale przed czym? Tak długo, jak są razem, nie może przecież im się stać nic złego.

Mocno złapał go za rękę. Bardziej żeby uspokoić Sterna niż siebie. Kobieta poprowadziła ich przez zaplecze na tylne podwórze. Samochód, do którego wsiedli, przyjemnie pachniał nowością. Gdy silnik zaczął pracować, dłoń Sterna zaczęła drżeć. Simon tłumaczył to delikatnymi wibracjami. Limuzyna ruszyła.

8

Widzisz ich?

– Tak, jestem tuż za nimi. – Borchert wyraźnie usłyszał, jak Carina opada z ulgą na siedzenie w swoim samochodzie. Już dużo wcześniej spodziewał się, że zadzwoni na ten numer. Dał go jej na wszelki wypadek. Karta prepaidowa nie była zarejestrowana na jego nazwisko, dlatego policja raczej nie powinna go namierzyć. W przeciwieństwie do telefonu Cariny. Starał się więc skrócić rozmowę, jak tylko się dało.

– Gdzie jesteś?

– Na Potsdamer Chaussee. Przy stacji benzynowej.

– Mam pojechać za wami? – spytała.

– Nie. – To było absolutnie wykluczone. Ze względów bezpieczeństwa poruszali się dwoma samochodami. Jak się spodziewali, „towar” został wyprowadzony tylnym wyjściem, przed którym czekał Borchert w corolli. Carina we własnym aucie obserwowała główne wejście. Ryzyko, że zostaną odkryci, dramatycznie wzrośnie, jeśli ruszy teraz spod lokalu swoim golfem.

– Powinniśmy zaatakować już w kawiarni i...

– Nie. – Borchert przerwał gwałtownie rozmowę, która trwała już zdecydowanie za długo. Miał zamiar wkroczyć, dopiero gdy pojawi się małżonek. A jeśli kobieta była tylko posłańcem i nie miała żadnych informacji?

Rozłączył się i skoncentrował na tym, żeby nie stracić z oczu amerykańskiej limuzyny z szarymi firankami na tylnej szybie. Tak jak on,

również kobieta przed nim pilnowała się, żeby nie przekroczyć ograniczenia prędkości.

Borchert wymacał broń w kieszeni dresowych spodni. Samo dotknięcie pistoletu zelektryzowało go. Słyszał, jak pulsuje mu w żyłach krew. *Wyjść z siebie, stracić panowanie nad sobą, odlecieć...* Większość ludzi używała tych zwrotów, nie znając ich prawdziwego znaczenia. Nigdy nie czuli tego, co on teraz odczuwał. Borchert wyszczerzył się i lekko przycisnął pedał gazu, żeby zdążyć przejechać na światłach przez skrzyżowanie przy stacji S-Bahn Wannsee. Podczas przyśpieszania mocno wzrósł poziom adrenaliny w jego organizmie. Dopadnie chorych zboczeńców. Może nie będzie później wiedział, skąd się wzięły na jego koszulce plamy krwi i szczątki kości, jak się zazwyczaj działo, gdy przestawiała mu się dźwignia wyłącznika. Być może nie będzie go to już obchodziło, gdy tylko te śmieci przekonają się o jego sile...

Babach.

Mentalne przygotowania Borcherta do walki zostały nagle przerwane. Wcisnął gaz do deski, ale silnik zakrztusił się jeszcze głośniejsz. Dudnienie w uszach minęło i cisza silnika stała się tym wyraźniejsza. Kierowcy jadący za nim trąbili zdenerwowani, by zaraz go wyminąć, kiedy zorientowali się, że samochód Borcherta nie przyśpieszy.

Andi zlany potem przekręcił kluczyk w stacyjce. Raz, drugi. Przed przyczepą gruchot Harry'ego zapalił za trzecim razem, teraz nawet nie zarzęził. Podczas gdy limuzyna oddalała się od niego coraz bardziej, Borchert dotoczył się powoli na środek skrzyżowania, gdzie samochód stanął.

Sięgnął po komórkę. Chciał zadzwonić do Cariny i spytać, czy istnieje jakiś czarodziejski trik, dzięki któremu mógłby uruchomić ten stary rupieć. Szybko jednak zorientował się, że ona nie będzie potrafiła mu pomóc. Samochód należał przecież do Sophie, a jej numeru telefonu nie miał.

I co teraz? Zaczął się pocić jeszcze bardziej. Wysiadł i podszedł do klapy silnika akurat w momencie, żeby jeszcze zobaczyć tylne światła limuzyny

odjeżdżającej z Simonem i Sternem. Trwało to może ze cztery sekundy, później stracił ich z oczu na drodze gdzieś między Wannsee i Poczdamem.

Pięć minut później Borchert ciągle jeszcze nie zlokalizował usterki. Ale też już mu nie zależało. Nie przejmował się korkiem, który spowodował. Wyjeżdżający na niedzielne wycieczki stali we wszystkich kierunkach. Nie zwracał uwagi na komórkę, na którą już trzeci raz próbowała się dodzwonić Carina.

W tej chwili zastanawiał się tylko i wyłącznie nad tym, co powiedzieć policjantowi, który poprosił go właśnie o dokumenty.

9

Zanim limuzyna się zatrzymała, zmieniły się dochodzące do nich odgłosy. Silnik pracował głośniejsze, a jego dźwięk jakby odbijał się od stalowych ścian. Jednocześnie Stern odniósł wrażenie, że założono mu na oczy kolejną opaskę. Próbował liczyć zakręty, ale okazało się to niemożliwe, bo samochód zbyt często zmieniał pasy. Zawiódł również jego wewnętrzny zegar. Kiedy uwolniono go od opaski i zauważył, że stoją w garażu, nie potrafił stwierdzić, czy jechali dłużej niż dziesięć minut.

– Wszystko w porządku? – spytał Simona, starając się, żeby nie zabrzmiało to zbyt przyjacielsko. Bądź co bądź musiał panować nad emocjami. Chłopiec przytaknął, pocierając oczy, które powoli przyzwyczajały się do halogenowego światła.

– Tędy proszę.

Kobieta wyprzedziła ich i otworzyła szare drzwi przeciwpożarowe, za którymi były schody prowadzące do góry. Były one wyłożone błyszczącym marmurem, który przypominał lody waniliowe z karmelową polewą.

– Dokąd idziemy? – spytał Stern, po czym odchrząknął. Przez całą drogę nie zamienili słowa. Zaszło mu w gardle. Ze zdenerwowania. I ze strachu.

– Garaż połączony jest przejściem z domem – wyjaśniła kobieta i poszła pierwsza. Strome schody rzeczywiście prowadziły do zalanego sztucznym światłem wejścia. Stern skonstatował, że szlachetne drewno parkietu przypomina jego własną willę. Tylko że u niego nie było żadnych mebli na garderobę i na pewno żadnych doniczek z amarylisami. Miał nadzieję, że Borchert nie zgubił drogi. Będzie musiał wziąć broń i łom z bagażnika, żeby pokonać ciężkie, pokryte mosiądzem drzwi. Okna willi zabezpieczały

od zewnątrz antywłamaniowe żaluzje. Wszystkie, o ile Robert mógł to stwierdzić. Również w salonie, do którego Stern i Simon zostali wprowadzeni.

– Proszę, siadajcie. Mój mąż zaraz przyjdzie.

Stern pociągnął Simona na białą skórzaną kanapę. Kobieta tymczasem trochę niezdarnie podeszła na samych przodach wysokich szpilek do sekretarzyka z alkoholem i czymś do przegryzienia.

Stern zdziwił się, widząc jej śmieszny krok. Pomyślał, że nie chciała hałasować wysokimi obcasami, ale kiedy mieszała gin z tonikiem, oświeciło go. Nie chodziło o hałas. Ona nie chciała zadrapać obcasami świeżo polakierowanego parkietu! Ten dom nie był zamieszkanym. Znajdowali się w pokazowej willi. W jeszcze niewynajętym, odrestaurowanym z przepychem starym budynku. Urządzonym przytulnie, ale bezosobowo. Stern rozejrzał się dookoła i rozpoznawał teraz dokładnie szczegóły. Bezprzewodowy telefon na biurku. Idealnie równo ustawione książki na w połowie pustym regale. Skórzana kanapa, na której siedziało dotychczas niewiele osób, słuchających pośrednika, pokazującego plan domu. Stern założyłby się o wszystko, że ten sam pośrednik miał w swojej ofercie również kawiarnię na Mexikoplatz.

– Czy mogę wam coś zaproponować?

Pokręcił głową. Jego szare komórki pracowały teraz na najwyższych obrotach. Wszystko urządzone perfekcyjnie. Sposób postępowania tej parki był wręcz genialny. Nie stało tu nic, co ofiara mogłaby sobie później przypomnieć. Nic wartościowego, czego nie można by wymienić, gdyby zostało zabrudzone krwią albo innymi ludzkimi wydzielinami. I nikogo, kto zdziwiłby się gruntownemu zacieraniu śladów czyjejś obecności, zanim dom przejdzie w ręce nowych właścicieli, którzy po wprowadzeniu się oczywiście nie mieliby żadnego pojęcia, do jakich scen dochodziło w pokojach, w których marzą sobie o szczęśliwej przyszłości.

Sternowi zrobiło się niedobrze, gdy zdał sobie sprawę, jak symboliczna dla całej sytuacji, w której tkwił już od kilku dni, jest sztuczność tego domu. Wszystko było tylko przedstawieniem. Niewytłumaczalna wiedza

Simona o morderstwach dokonanych w przeszłości i jego absurdalny zamiar zabicia kogoś w przyszłości. Płyta DVD z „głosem”, który twierdził, że jego syn być może jeszcze żyje. I tajemnicze pedofilskie powiązanie między tymi dwoma spektaklami, w którym wbrew własnej woli grał tragiczną główną rolę.

Stern poczuł ostrą zgagę. Przełknął dwa razy ślinę, obserwując kątem oka Simona, który zupełnie spokojnie siedział obok niego. Niemal zrelaksowany. W przeciwieństwie do niego chłopiec nie wystraszył się, gdy drzwi otworzyły się i do salonu z uśmiechem na twarzy wszedł starszy pan, sprawiający wrażenie bardzo wytwornego. Ten ponadsześćdziesięcioletni mężczyzna przestał już być atrakcyjny w klasycznym znaczeniu tego słowa. Wiek przerzedził jego niegdyś gęste włosy i wyźłobił delikatne zmarszczki wokół ust. Ale właśnie dlatego wyglądał bardzo elegancko, prawie arystokratycznie. Pomimo stroju.

– Tak się cieszę, że już tu jesteście.

Głos miał ciepły i miły. Pasujący do sympatycznej aury, która poprzedzała go niczym tarcza. Zaklaskał dwa razy w dłonie z wyrazem uznania i powoli podszedł bliżej, patrząc wyłącznie na Simona. Szelest jego szlafroka zagłuszył ten delikatny aplauz, który i tak był wręcz niesłyszalny, ponieważ na dłoniach mężczyzna miał już grube lateksowe rękawiczki.

10

Carina rozpuściła koński ogon, zdejmując jednocześnie różową gumkę do włosów. Jej z kolei Borchert polecił przebrać się za joggerkę. Jego zdaniem nie było lepszego kamuflażu, żeby bez wzbudzenia sensacji w miejscu publicznym uciekać przed prześladowcami.

W tej chwili gumka przypominała bardziej metalową obejmę zaciśniętą wokół eksplodującej czaszki.

Co się stało? Dlaczego Borchert nie odbiera telefonu? Gdzie jest Robert?

Z każdym uderzeniem serca potęgował się jej strach o Simona. Oczekwała jeszcze minutę i podjęła decyzję. Nie mogła dłużej siedzieć beczynn timer.

Carina przekręciła kluczyk w stacyjce.

Tylko dokąd powinnam pojechać?

Wrzuciła bieg wsteczny i ostro uderzyła tylnymi kołami o wysoki krawężnik. *Nieważne.*

Spojrzała przed siebie. Chciała szybko wyjechać z parkingu, ale drogę zatarasował jej żółto-czerwony samochód dostawczy.

Co do cholery...

Carina opuściła szybę i wrzasnęła w kierunku mężczyzny, który wysiadał właśnie z dwoma wielkimi kartonami pizzy w rękach.

– Spieprzaj stąd natychmiast!

Młody student wyszczerzył się figlarnie, wyraźnie rozbawiony nerwowymi oznakami gniewu na jej twarzy. Przesłał jej całusa.

– Daj mi minutkę, słodziutka. Zaraz do ciebie wrócę.

Carina czuła, jak panika zaciska jej pętlę wokół szyi. „Wszystko jest dozwolone”, przypomniała sobie instrukcje Borcherta, których udzielił jej, zanim się rozłączyli. „Nie wolno nam tylko zwracać na siebie uwagi”.

To co miała teraz zrobić? Tył furgonu blokował jej wyjazd zaledwie o szerokość opon, ale to wystarczało, żeby nie mogła ruszyć. Wyjazd od tyłu uniemożliwiała ogrodzona sosna.

Cholera jasna...

Carina wcisnęła klakson, a student machnął nonszalancko ręką, nawet się nie odwracając.

No pięknie. Nie zwracać na siebie uwagi.

Pociągnęła mocno w tył dźwignię zmiany biegów i wjechała z hałasem obydwoma kołami na krawężnik. Potem wrzuciła jedynekę, zdjęła nogę z hamulca i wdepnęła gaz do deski.

– Hej, hej, hej, panienko...

Golf uderzył w róg tylnych drzwi samochodu.

– Zwariowałaś?! – usłyszała krzyk studenta, który zamierzał właśnie zadzwonić do drzwi, ale zamiast tego rzucił pizzę na ziemię.

Z przerażeniem patrzył na swój pojazd, który stał teraz krzywo na jezdni. Siła uderzenia rozbiła szybę w tylnych drzwiach.

Tak, zwariowałam, pomyślała Carina i powtórzyła manewr. Już przy drugim uderzeniu w zupełnie roztrzaskany błotnik przesunęła przeszkodę na tyle, że mogła wyjechać.

– Stop! Stój!

Z wyjątkiem silnikiem wystrzeliła w Aleję Argentyńską, nie zwracając uwagi na krzyczącego dostawcę pizzy, który rozglądał się na wszystkie strony, szukając świadków tego niewiarygodnego zdarzenia.

Jej samochód też nie wyszedł z tego bez szwanku. Tak przynajmniej można było sądzić po odgłosach tarcia. Jednak nie powstrzymało jej to przed jeszcze większym przyśpieszeniem.

Co powiedział Borchert?

Carina zbliżała się do czerwonego światła, gorączkowo zastanawiając się, w którą stronę powinna skręcić na skrzyżowaniu.

„Na Potsdamer Chaussee, przy stacji benzynowej”, przypomniała sobie słowa Andiego.

Cholera, Andi. Tu na co drugim rogu jest stacja.

Zignorowała czerwone światło i skręciła w prawo. Kierunek za miasto wydawał jej się bardziej logiczny niż z powrotem do centrum. Jakby okrucieństwa miasta rozgrywały się przed jego bramami, a nie za nimi, co oczywiście było kompletną bzdurą. Musiała podjąć jakąś decyzję. Teraz mogła się już tylko modlić, że los w drodze wyjątku rozdał karty na jej korzyść.

Gdzie jest Borchert?

Stern kierował swoją złość na byłego klienta, który z jakiegoś powodu znów się spóźniał. Pięć minut, mówił. Maksymalnie. Potem wejdzie do domu i obezwładni parkę. Po wstępie w przyczepie Harry’ego dziś w południe nie miał żadnych wątpliwości, że Borchert wyciągnie z nich wszystkie informacje, których potrzebowali. Pod warunkiem że w tych chorych głowach w ogóle znajdzie się coś wartościowego. Zdawali sobie sprawę, że stąpają po cienkim lodzie. Stern obiecał sobie, że to przedsięwzięcie będzie ich ostatnią desperacką próbą sprawdzenia, ile jest prawdy w twierdzeniach Simona.

I odnalezienia Feliksa.

Bez względu na to, co się tu stanie, zadzwoni po wszystkim do Englera i odda ich w jego ręce. Był prawnikiem, a nie bandytą. A już na pewno nie prywatnym detektywem pracującym nad siatką pedofilów, której pełnoprawny członek siedział obok niego na kanapie i głaskał kolano Simona.

– Ile? – spytał starszy pan pogodnie, nie zaszczycając Sterna ani jednym spojrzeniem. Stern za wszelką cenę starał się dostrzec w jego profilu jakiś diaboliczny rys, ale wciąż widział przed sobą tylko miłego starszego pana, któremu bez wahania pomógłby na drodze, gdyby zepsuł mu się samochód.

– Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy, skarbie.

Kobieta ciągle stała przy barku. Rękę, w której trzymała drinka, wskazała na Simona.

– Ale przyjrzyj się dokładnie. Wydaje mi się, że ten chłopak jest chory.

– Naprawdę? Jesteś chory? – Mężczyzna wziął Simona pod brodę. – Lateksowa rękawiczka była jeszcze bledsza niż skóra dziecka. – Przecież mówiliśmy, że interesuje nas czysty towar. Co z nim jest nie tak?

Stern najchętniej złapałby mężczyznę za rękę i złamałby mu palce. Długo nie będzie w stanie panować nad sobą w towarzystwie tej wstrętnej pary. Jeśli Andi zaraz się tu nie pojawi, sam przejmie inicjatywę. Ten dziad ważył jakieś dwadzieścia kilo mniej niż on, był niezgrabny i przez to łatwy do obezwładnienia. Okularnica też nie sprawi kłopotu, jeśli tylko wykorzysta moment zaskoczenia. Przedłużacz i kabel od lampy powinny wystarczyć do związania ich. Pytanie tylko...

Stern zdziwił się trochę, że tamten sam zabrał lateksową dłoń z twarzy Simona, zanim zdecydował się wkroczyć. Usłyszał ciche brzęczenie. Alarm wibracyjny stał się głośniejszy, kiedy pedofil wyjął płaską komórkę z kieszeni szlafroka.

– Tak, dziękuję – powiedział po nieszczerzej wymianie uprzejmości. Puls Sterna przyśpieszył. Nie słyszał, z kim tamten rozmawia, ale wyglądało na to, że obaj rozmówcy bardzo dobrze się rozumieją. Mężczyzna roześmiał się głośno i podziękował jeszcze dwukrotnie, po czym jego uśmiech nagle zgasł. Rzucił Sternowi pełne nieufności spojrzenie. – Wszystko jasne, rozumiem – powiedział i się rozłączył.

Kanapa odetchnęła z ulgą, kiedy starszy pan wstał i wziął Simona za rękę.

– On jest prawnikiem poszukiwanym przez policję i uprowadził dziecko ze szpitala – powiedział, zwracając się do żony.

– Co mają znaczyć te bzdury? – spytał Stern, starając się, żeby zabrzmiało to na luzie i spokojnie. Nie przyszło to łatwo, bo ze strachu niewiarygodnie skoczyło mu ciśnienie. Sytuacja jeszcze się pogorszyła, gdy kobieta wymierzyła w niego pistolet.

– Niech pani to natychmiast schowa! – zażądał bezskutecznie. – O co tu chodzi?

– I my się chętnie tego dowiemy, panie Stern. W co pan gra?

– W nic. Przyjechałem do was, żeby... – Stern zająknął się zdenerwowany, ponieważ mężczyzna pociągnął Simona za sobą.

– My pójdziemy sobie na górę, a wy załatwcie tu interesy, dobrze, kochanie? – wyszczebiotał, przesyłając żonie całusa.

– Robert? – spytał niepewnie Simon, dając się prowadzić mężczyźnie.

Stern chciał wstać, spojrzenie kobiety powstrzymało go od tego. Zamrugął i zamknął na chwilę oczy, żeby zebrać myśli, które kołowały bezsensownie w głowie.

Co mam zrobić? Dlaczego nie ma tu jeszcze Borcherta? Co mam teraz zrobić?

Elegancki z wyglądu potwór z chłopcem za rękę był oddalony zaledwie o kilka kroków od drzwi salonu, a Stern nie miał pojęcia, jak go powstrzymać przed opuszczeniem pokoju.

– Robert? – odezwał się ponownie Simon. Jego głos był miękki, ciepły i przyjazny. Jakby prosił o pozwolenie, czy może dziś przenocować u kolegi ze szkoły. Nadal wierzył, że jego adwokat nigdy nie wpędzi go w tarapaty. Przecież mu obiecał, że wyjaśni tę sprawę i ochroni go przed wszelkimi niebezpieczeństwami. W każdej sytuacji.

Ponadto chłopiec ciągle był niezłomnie przeświadczony, że będzie musiał jutro na moście kogoś zabić. Dziś więc nic nie mogło mu się stać.

Stern wyczuwał, o czym myśli Simon i dlatego wiedział też, co się zaraz stanie, jeśli natychmiast nie zareaguje.

Zostało mu jeszcze z pięć sekund, zanim obleśny dziad, któremu dostarczył chłopaka, opuści salon, żeby zaprowadzić go do jakiegoś zaciemnionego pokoju na wyższym piętrze.

Mylił się. Obaj zniknęli już po czterech sekundach.

12

Na wysokości Waldfriedhof złapał ją fotoradar przy prędkości ponad dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Nawet tego nie zauważyła, ale i tak zdjęła nogę z gazu, bo ruch na ulicy nagle się zagęścił.

Co tam się z przodu dzieje?

Przy Dreilindenstrasse wszystkie samochody przed nią zaczęły zjeżdżać na prawy pas.

Korek? O tej porze?

Jeśli już, to powinien powstać na jezdni z naprzeciwka, którą wracali do miasta wycieczkowicze w okolicznych terenów.

Sama również zjechała na prawy pas, zmniejszyła prędkość i dostrzegła powód zatoru. Samochód policyjny tuż przed światłami na skrzyżowaniu zablokował lewy pas.

Nie, nie, nie. Proszę nie.

Dlaczego akurat teraz musiała wpaść w pułapkę?

Zbliżała się do błyskającego niebieskiego światła, rozglądając się za funkcjonariuszem z lizakiem. Nie było nikogo. I jak na blokadę kolumna samochodów poruszała się nadzwyczaj równym tempem. Większość skręcała w prawo na stację S-Bahn, żeby nie...

O Boże.

Łzy napłynęły jej do oczu. Zdjęła obie ręce z kierownicy i przycisnęła je do ust. Za samochodem policyjnym stała mała srebrna osobówka. Światła awaryjne migają tylko z jednej strony. Nigdzie nie widziała Borcherta, ale i tak nie miała najmniejszych wątpliwości, czyja to corolla.

Andi miał wypadek. Jest uziemiony. O mój Boże...

Dopiero po chwili dotarło do niej, jakie skutki niesie ten wypadek. Przez chwilę jej mózg nie był w stanie zaakceptować prawdy. To nie była blokada. Nie zostanie zatrzymana ani aresztowana. Działo się coś znacznie gorszego. Teraz.

W tym momencie. Z Simonem. W jakimś miejscu, które znał tylko Robert. Robert, oczekujący właśnie ratunku, który nigdy nie nadejdzie.

I co? Co teraz?

Carina miała w głosie tylko chaotyczne strzępki myśli. Szukała wskazówki, która by jej zdradziła, dokąd zabrano Roberta i Simona. Przetoczyła się powoli przez skrzyżowanie obok corolli, wciśnięta między dwa inne auta. Spojrzała w lusterko wsteczne. Dwóch silnych policjantów przymierało się do usunięcia samochodu Sophie z jezdni.

Nagle przyszła jej do głowy myśl. Odwróciła się i wlepiła wzrok w chłodnicę.

To jest to! Samochód. Kierunek jazdy!

Corolla stała na wprost, jakby kierowca jechał wcześniej w stronę Poczdamu. To niedużo, jedynie mikroskopijna przesłanka do dalszych poszukiwań. Ale zawsze coś. Carina przyśpieszyła za skrzyżowaniem, zachęcona myślą, że nie popełniła dotychczas żadnego błędu. Jechała dobrą ulicą, w dobrym kierunku. Irracjonalna nadzieja dodała jej animuszu. Niestety tylko na jakieś dwieście metrów.

A teraz?

Carina minęła zjazd w stronę Wannsee, nie wiedząc, że w ten sposób zgubiła ślad.

13

Uprowadzony ze szpitala? Co właściwie dolega biedakowi?

Cyniczna kobieta udawała zatroskaną ciotkę, cały czas trzymając Sterna w szachu wycelowanym w niego pistoletem.

– Mam nadzieję, że nie jest zarażony?

Robert nie był w stanie odpowiedzieć. Wpatrywał się w pustą futrynę, przez którą wyszedł Simon z tamtym lubieżnym dziadem. Wziął głęboki oddech.

Już na samą myśl, że musi oddychać tym samym powietrzem co kobieta i że być może z każdym wdechem wchłania to, co wyszło z jej ust, robiło mu się niedobrze.

– Zdaje już pan sobie sprawę, że nie zapłacimy za wybrakowany towar, prawda? – Twarz za okularami słonecznymi uśmiechnęła się zimno. Kiedy zapalała kolejnego papierosa, Stern usłyszał kroki na schodach. Skrzypiące skórzane klapki zagłuszały delikatny pisk trampek Simona. Oddalające się odgłosy stawały się coraz cichsze.

– No, no, proszę się nie ruszać. – Kobieta wyciągnęła przed siebie dłoń z pistoletem. – To nie potrwa długo. Za czterdzieści pięć minut mój mąż zrobi pierwszą krótką przerwę i nadejdzie moja kolej.

Pokryte ciemnobrązową szminką usta uformowały się w kształt całusa.

W Sternie wezbrały mdłości i podniósł oczy na sufit. Kroki były teraz słyszalne dokładnie nad ich głowami.

– Zaraz się zacznie. – Usta kobiety rozciągnęły się karykaturalnie. To pewnie miał być uśmiech.

Po tych słowach z pierwszego piętra doszła do nich muzyka poważna. Pedofil musiał być wielbicielem opery. Stern rozpoznał fragmenty z *Traviaty*. I po raz pierwszy w życiu życzył sobie, żeby Verdi nigdy nie skomponował arii Wioletty.

– No dobrze. – Kobieta spojrzała na zegarek. – Wykorzystajmy ten czas na małą pogawędkę. Niech pan gada, czego pan naprawdę od nas chce?

– Czy to nie jest oczywiste? – Stern miał nadzieję, że nie zauważy drżenia jego głosu. Sopranistka nad ich głowami śpiewała coraz dynamiczniej. – Zamówiliście chłopca, a ja go dostarczyłem.

– Bzdura.

Nie była głupia. Nie popełniła błędu i nie zbliżyła się do niego. Z tej odległości mogła wpakować w niego cały magazynek, zanim by pokonał połowę dzielącej ich przestrzeni. Jediną bronią, którą mógł się posłużyć, był głos i rozum. Jednak jak na razie broń ta zawodziła.

Gdzie, do diabła, jest Borchert?

– Nie jest pan szpiclem, bo poszukuje pana policja. Nie jest pan znany w naszych kręgach. Nie zachowuje się pan też jak adwokat. Dlaczego więc odpowiedział pan na nasze ogłoszenie?

– Mogę to wszystko wyjaśnić – skłamał. W rzeczywistości nie miał pojęcia, co mógłby powiedzieć lub zrobić, żeby ograniczyć zagrożenie. Znów usłyszał kroki nad sobą.

– Słucham.

Stern gorączkowo szukał przekonującej odpowiedzi. Zastanawiał się, co może jeszcze zrobić. A Simon miał na górze coraz mniej czasu. Stern starał się zachować spokój na zewnątrz. W środku szykował się do ucieczki. Nie widział jednak żadnych drzwi, przez które mógłby wyrwać się z tej beznadziejnej sytuacji. Jeśli teraz wstanie, zginie.

– No? Co jest? Nagle pan zaniemówił? To przecież bardzo proste pytanie. Dlaczego porwał pan ze szpitala dziecko i przywiózł je do nas?

Robert zauważył, że kroki na górze przybrały określony rytm. Ten czubek tańczył! W takt jego posuwistych kroków przyszła mu do głowy pewna myśl. Najpierw nie potrafił jej sprecyzować, później wszystko stało

się jasne. Było coś, co mógł zrobić. Coś na wskroś odrażającego i zbroczonego, za co sam będzie się później nienawidził. Skinął głową jak ktoś, kto wpadł na jakiś pomysł, i powoli podniósł rękę. Delikatnie i ostrożnie. Żeby nie sprowokować żadnych nagłych reakcji u kobiety.

– Co pan robi?

– Odpowiadam na pytanie. Pokażę pani, czego chcę.

Kobieta uniosła lewą brew do góry tak wysoko, że Stern mógł ją zauważyć nad oprawką okularów. Prawą rękę położył sobie na piersi i zaczął rozpinać guziki koszuli. Jeden, potem drugi.

– I co to ma być?

– Czy mogę zdjąć marynarkę?

– Jeśli pan chce...

Stern pozwolił, żeby marynarka opadła mu z ramion.

Rozpiął wszystkie guziki koszuli i chwilę później siedział do połowy nagi na kanapie.

– I co teraz?

Zamiast odpowiedzieć, Stern przeciągnął językiem po wargach. Przełknął dwa razy ślinę. Miał nadzieję, że wyglądał lubieżnie, chociaż tak naprawdę coraz mocniej walczył ze wzbierającymi wymiotami.

– Niech pan da spokój. – Kobieta podniosła broń, którą opuściła na krótką chwilę. – I ja mam w to uwierzyć?

– Dlaczego nie? Przecież po to tu jestem. – Stern zsunął z nóg czarne skórzane buty i zaczął rozpinać pasek od spodni. – Sama przecież pani powiedziała, że nie jestem gliną. Ani kretem. Jestem tylko napalony. – Wyciągnął pasek ze szlufek spodni i rzucił go do niej. – Niech pani do mnie podejście. Niech się pani przekona.

Stern nie widział jej oczu. Dlatego też nie wiedział, czy jego teoria się sprawdza. Doświadczenie prawnika nauczyło go jednak, że zawsze znajdzie się kawałek mięsa, który można podstawić przeciwnikowi pod nos, żeby ten popędził jak chart w określonym kierunku. Trzeba tylko go znaleźć. U większości ludzi była to żądza, wymuszająca na nich rzeczy, których później żałowali.

– Pan zwariował. – Kobieta zaśmiała się, gasząc papierosa.

– Może. Ale jeśli pani chce, udowodnię, jak bardzo jestem poważny.

Stern zdjął skarpetki. Teraz miał na sobie jedynie cienkie spodnie od garnituru.

– A jak?

– Proszę tu podejść. Proszę mnie dotknąć.

– Nie, nie, nie. – Pozostała na swoim miejscu, z bronią skierowaną w jego genitalia. – To mnie nie kręci. Ale mam lepszy pomysł.

– Jaki?

Stern uśmiechnął się lekko. Tym razem nie udawała. Połknęła haczyk. Jeszcze nie całkiem, ale widział jej przyśpieszony oddech i rozmarzenie w głosie. Dotknął wrażliwej struny. Pytanie tylko, czy odpowiedniej.

– Niech pan wstanie. – Kobieta szła tyłem do drzwi, pilnując odległości między nimi.

Posłuchał. Ruch był dla niego dobry. Kierunek też się zgadzał. Wszystko było lepsze od bezużytecznego siedzenia na kanapie i czekania, aż głos sopranistki zmiesza się z krzykiem Simona. Tak przynajmniej myślał do momentu, aż kobieta powiedziała:

– Zobaczymy, jak bardzo będzie pana kręciło, kiedy poprosimy mojego męża, żeby na nas patrzył.

14

Panika sparaliżowała Carinę.

Co ma teraz zrobić? Jechać dalej prosto Königstrasse? Jak daleko? Do mostu Glienicke? A może skręcić wcześniej w prawo? Równie dobrze mogłaby wybrać którąś z prostopadłych ulic po lewej stronie.

Zadzwoiła komórka leżąca na siedzeniu pasażera. Prawie wyśliznęła się jej z rąk, kiedy otwierała klapkę.

– Borchert?! – krzyknęła o wiele za głośno.

– Zimno. – Strach przeszył ją do szpiku kości, gdy usłyszała zniekształcony głos.

– Kto mówi? Czego pan chce ode mnie?

– Zimno.

W szale trwogi o Simona próbowała zebrać myśli. Po prawej stronie miała Endestrasse. O mało w nią nie skręciła. Nazwa ulica Końcowa idealnie pasowała do jej sytuacji.

– O co chodzi? Czy to jakaś gra? – spytała.

– Ciepło.

Carina bębniła bezwiednie palcami prawej dłoni o kierownicę. Czy to możliwe? Czy stała się właśnie marionetką „głosu”, o którym opowiadał jej Robert? Ale dlaczego?

Koszmarne podejrzenie sprawdziła, zadając jedno proste pytanie:

– Nadal jadę w dobrym kierunku?

– Ciepło.

Rzeczywiście. Ten wariat chce w coś grać. Mam być jego ciuciubabką.

– Okej, mam jechać aż do Poczdamu, tak?

– Zimno.

Więc muszę wcześniej skręcić.

– Tu? W Kyllmannstrasse?

– Zimno.

– No to w lewo?

– Ciepło.

Carina zjechała na zewnętrzny pas ruchu.

– Zaraz dojadę?

– Ciepło.

Obejrzała się, ale za nią i przed nią jechało kilkanaście samochodów i dwa motory. Nie miała szans na zlokalizowanie prześladowcy.

– Grassoweg? Mam skręcić w Grassoweg?

Zniekształcony głos dał jej kolejny pozytywny sygnał. Nie zwracając uwagi na jadące z naprzeciwka samochody, Carina skręciła gwałtownie kierownicą i prawie doprowadziła do czołowego zderzenia z ciężarówką z kwiatami. Kierowca ciężarówki zahamował ostro i wpadł w niebezpieczny poślizg. Wściekły koncert klaksonów zaczął się dopiero wtedy, gdy zagrożenie minęło i Carina pędziła małą uliczką.

– Tu? Na tej ulicy?

– Zimno.

Zdjęła nogę z gazu. Uliczne oświetlenie było tak słabe, że miała kłopoty z odczytaniem znaków przy następnym rozwidleniu.

– Am Kleinen Wannsee? – rozszyfrowała wreszcie.

– Ciepło – pochwalił ją głos i po raz pierwszy podczas tej rozmowy zdradził emocje, pozwalając sobie na śmiech.

Numer domu? Jaki numer domu?

Carina zastanowiła się nad następnym pytaniem, dzięki któremu mogłaby zbliżyć się do celu i uratować Simona.

– Ponad sto?

– Ciepło.

– Sto pięćdziesiąt?

– Zimno.

Potrzebowała jeszcze siedmiu kolejnych prób, zanim zatrzymała się przed czteropiętrową wspaniałą willą z numerem 121.

15

Najważniejszej zasady wygrywania beznadziejnych spraw z bardzo silnymi przeciwnikami Stern nauczył się nie na studiach prawniczych, tylko od swojego ojca.

– Znajdźcie słabość w sile przeciwnika. Wykorzystajcie przeciwko niemu jego największy atut – brzmiała standardowa przemowa jako honorowego trenera młodzieżowej drużyny piłkarskiej z ligi okręgowej.

Stern zastanawiał się, czy ta maksyma może mu pomóc dziś, kiedy nie chodziło o gole, podania i pressing, ale o jego życie. Wychodząc boso i z nagim torsem z salonu przed kobietą, począł analizować w myślach swoją sytuację. Była fatalna. Kobieta miała co najmniej kilka atutów po swojej stronie. Największy to pistolet kaliber 9 mm, który trzymała w dłoni. Oprócz tego willa zdawała się hermetycznie odcięta od świata. Naturalne było, że w pustym domu, gotowym do wynajęcia, wszystkie drzwi i okna zamknięto i zabezpieczono przed włamywaczami. Jeśli więc nawet wykorzystaliby dzielącą ich odległość i pobiegłby korytarzem do tylnego wyjścia, istniało małe prawdopodobieństwo, że natrafi na otwarte drzwi albo niezabezpieczone okno.

Duży dystans, broń, zamknięty jak w kontenerze – gdzie leży słabość w ich sile?

Jak zawsze, kiedy Stern głowił się nad trudnym przypadkiem, jego mięśnie karku były mocno napięte. Przy biurku w kancelarii nieomylnie oznaczały nadchodzącą migrenę.

Ale tu, wiedział to na pewno, czekają go dużo większe bóle.

Świeżo pomalowane dębowe panele zatrzeszczały pod ciężarem Sterna, kiedy wszedł na pierwsze stopnie schodów. Muzyka dochodząca z góry stawała się z każdym krokiem coraz głośniejsza. Ucichły jedynie posuwiste kroki.

Przestał tańczyć.

Stern starał się nie myśleć o tym, co mężczyzna teraz robi. Sam w pokoju. Z Simonem.

– Nie odwracać się – warknęła kobieta, kiedy minimalnie zwolnił i spojrzał za siebie przez ramię. Nic jednak nie dostrzegł. Nie miał pojęcia, jaki dystans ich dzieli. Sądząc po głosie, mogła iść za nim albo zatrzymać się u podnóża schodów. Wszystko, co w tej chwili widział, to jasne promienie światła i rozmyte kontury. Jego wzrok natrafił, niestety, na jedną z halogenowych lamp, które oświetlały nienaturalną bielą całe schody od dołu. Dodatkowo światło odbijało się od gołych kremowych ścian. Stern musiał kilka razy zamrunąć, żeby usunąć cienie, które tańczyły mu przed oczami...

I wtedy nagle zobaczył przed sobą rozwiązanie. Ich słabość.

Znajdował się teraz mniej więcej w połowie kręconych schodów i zbliżał się do bardzo prostego sposobu na odwrócenie karty. Problem polegał na tym, że nie był pewien, czy to zadziała. Mógł mieć jedynie nadzieję.

Musiał zaryzykować, spróbować zrobić coś, co mogło okazać się jego największym i tym samym ostatnim błędem w życiu.

16

Carina wysiadła z samochodu, rozglądając się wokół budynku przed sobą za jakimikolwiek oznakami życia.

– Tu?

Spojrzała w górę. Kopulasty dach rozciągał się niczym peruka angielskiego sędziego nad żółtą, niedawno odrestaurowaną willą z końca XIX wieku. Na żadnym piętrze nie paliło się światło. Wszędzie opuszczone były żaluzje albo zamknięte okiennice.

– Ciepło – odpowiedział głos. Starła się nie stracić równowagi na zdrętwiałych nogach, podchodząc do ogrodowej furtki z kutego żelaza. Zdziwiła się, gdy się okazało, że jest otwarta.

Co teraz?

Otworzyła suwak małej saszetki zamocowanej przy pasie i będącej elementem jej przebrania. Wśród lekarstw Simona, niewielkiej gotówki i różnych przedmiotów, które miała przechować dla Sterna, miała tam też pistolet Röhm RG 70. „Prezent” od Borcherta.

„Na wszelki wypadek – powiedział. – Mały i uroczy. Stworzony dla delikatnej kobiecej dłoni”.

Ogarnęło ją dziwne uczucie nierzeczywistości, gdy zwirową alejką szła w głąb posiadłości. Jeszcze nigdy w życiu nie trzymała w ręce broni. Zwłaszcza z zamiarem użycia jej przeciwko człowiekowi.

– Otwarte? – spytała po dotarciu do zdobionych drzwi.

Po raz pierwszy nie otrzymała odpowiedzi. Ostrożnie popchnęła drewniane drzwi wejściowe. Zamknięte. Zaryglowane.

Carina obróciła się, ale nikogo nie zauważyła na ulicy marnie oświetlonej staroświeckimi latarniami. Żadnego przechodnia. Żadnego prześladowcy. Nic oprócz ulicznego szumu dochodzącego z pobliskiej Königstrasse.

– Jak mam tam wejść? – spytała nieznajomego po drugiej stronie linii. – Tylnym wejściem?

Znów żadnej odpowiedzi. Tylko ciężki oddech.

Spojrzała na wjazd do podziemnego garażu w lewym skrzydle willi i zauważyła świeże ślady opon na mokrych liściach.

Odwrócona plecami do drzwi powiedziała:

– Garaż? To tam? Mam wejść przez garaż?

„Głos” nadal milczał. Nawet oddechu już nie słyszała.

– Cholera – powiedziała do samej siebie. *Nie mam ani sekundy do stracenia. Nie mogę teraz przeszukiwać całej posesji, gdy w środku znęcają się nad Simonem...*

Zacisnęła dłoń na twardej rękojeści pistoletu, jednocześnie zbliżając wskazujący palec lewej ręki do przycisku mosiężnego dzwonka. Nie była detektywem ani wyszkoloną policjantką. Na tym terenie i tak nie miała szans. Mogła jedynie im przeszkodzić...

– Dzwonię do drzwi – powiedziała w słuchawkę i nacisnęła dzwonek.

– Zimno – odpowiedział dźwięczny „głos” bezpośrednio nad jej głową.

Najpierw poczuła między skroniami pulsujący wybuch. A później już kompletnie nic.

17

Każdy stopień był katorgą. Z każdym kolejnym krokiem zbliżał się do możliwego końca swego życia. Ale tu nie chodziło o niego. Jego śmierć bulwarowe gazety odnotowałyby jedynie krótką wzmianką na lokalnych stronach. I słusznie. Bo o wiele bardziej znacząca tragedia rozgrywała się w pokoju kilka metrów dalej, skąd z niesłabnącą siłą rozbrzmiewała włoska opera.

To wyłącznie moja wina, pomyślał Stern.

Zamarkował lekkie zachwianie równowagi i oparł się na moment o ścianę po lewej stronie.

– No? Już pan osłabł? Przecież jeszcze nie zaczęliśmy.

Okej, jest tuż za mną. Zaledwie kilka stopni. Pewnie z obawy, że na górze zniknę z linii strzału, gdy skrucę za róg.

Stern wiedział, że za chwilę wszystko musi się potoczyć bardzo szybko. Będzie się trzymał lewej strony. Z dala od poręczy. Jeszcze tylko pięć stopni.

Korytarz, do którego prowadziły schody, widać było coraz wyraźniej. Również donica ze sztuczną paprocią ustawiona tuż obok poręczy na górze imponowała wielkością, im bardziej się do niej zbliżał.

„Często najprostsze rozwiązania dają najlepszy efekt”, przypomniał sobie kolejną mądrość życiową swojego ojca. Czy jego plan się powiedzie, zależało wyłącznie od czterech prostych kwadratów z plastiku.

Jeszcze dwa stopnie.

Ostrożnie wyciągnął dłoń. Czuł, jak krew dopływa do czubków palców, jakby ktoś zdjął mu mocno zaciśnięty opatrunek. Wolalby złapać prawą

ręką, ale to byłoby zbyt przewidywalne.

Jeszcze jeden stopień.

Ogarnął wzrokiem cały korytarz, w którym oprócz małego stolika z otwartym prospektem o nieruchomościach nie znalazł nic wartościowego. Także żadnego okna. *Na szczęście!*

Ostatni stopień Stern pokonał, jakby wkroczył na kruszącą się taflę lodu. Przewyciężył odruch spojrzenia za siebie, wstrzymał oddech i skoncentrował się wyłącznie na najbliższych sekundach, całkowicie ignorując mamrotanie męskiego głosu, docierające do niego wraz z dźwiękami arii.

Simon nie może być daleko.

– Proszę iść w lewo, trzecie drzwi po prawej stronie. Zresztą przecież pan słyszy...

Kobieta nie dokończyła zdania. Wśród gołych ścian rozległ się nagle przeraźliwy dźwięk.

Stern wykorzystał niespodziewany dźwięk dzwonka, żeby w ostatnim akcie rozpaczliwie odwrócić kartę na swoją korzyść, wciskając po prostu wyłącznik światła, znajdujący się u szczytu schodów na wysokości jego ramion. Tu leżała słabość w ich sile. Zamknęli przed nimi wszelkie drogi ucieczki, ale antywłamaniowe żaluzje odcięły również światło dzienne. Jak tylko halogenowe żarówki zgasną, Stern błyskawicznie się pochylił, a cały korytarz utonie w całkowitej ciemności. W ciemności, która umożliwi mu przyciągnięcie sztucznej paproci i zepchnięcie jej na schody prosto w kobietę.

Tyle teoria.

W praktyce wyglądało to trochę inaczej. Już wciskając pierwszy wyłącznik, Stern zdał sobie sprawę z niepowodzenia. Ciemność wcale nie zapadła. Wręcz przeciwnie. Dodatkowe fale światła rozeszły się niespodziewanie po dotychczas ciemnym korytarzu. Zamiast zgasić światło, zapalił dodatkowe lampy na drugim piętrze. Dlatego zboczona psychopatka idąca za nim nie miała problemów z wycelowaniem i naciśnięciem spustu.

18

W pokoju znajdowało się tyle różnych rzeczy, które zdumiały Simona. Zaczęło się od śmiesznych odgłosów, jakie powstawały, gdy szedł w trampkach po błyszczącej podłodze. Kiedy usiadł na brzegu żelaznego łóżka, zobaczył w przytłumionym czerwonym świetle, że na całym parkiecie rozłożono przezroczystą folię.

Mężczyzna wyjął klucz z drzwi i podszedł do czarnego statywu stojącego w rogu. Obiektów przymocowanej do niego małej kamery cyfrowej skierowany był prosto na łóżko, na którym Simon musiał usiąść. Mężczyzna wcisnął jakiś przycisk i mały czerwony punkt tuż nad soczewką zaczął się świecić. Potem podszedł do jedyne go okna w pokoju, zasłoniętego ciężką gumową kurtyną, i włączył wieżę stereo.

– Lubisz muzykę? – spytał.

– To zależy – wyszeptał Simon, ale mężczyzna już go nie słuchał. Kołysał się w takt melodii, puszczonej z CD. Simon nie był przekonany, czy to mu się podoba. Coś podobnego słyszał już raz w biurze kierowniczk i domu dziecka i wcale nie przypadło mu to wtedy do gustu.

Mężczyzna w szlafroku zamknął oczy. Zdawał się nieobecny duchem. Simon chciał wstać i wyjść. Opowiadano mu o takich typkach. Kiedyś przyszedł nawet policjant do szkoły, żeby pokazać im zdjęcia mężczyzn, których powinni unikać. Ten tu wyglądał jednak jakoś inaczej.

Nagle muzyka stała się znacznie głośniejsza, a Simon się rozkaszał. Zaszumiło mu w głowie. Oparł się o ramę łóżka, aż minęło pierwsze uczucie bezsilności. Zauważył przy tym dużo medycznych narzędzi, które leżały na szklanym stoliku obok łóżka.

Co to jest?

Naraz pojawił się jednak strach, właściwie zupełnie nieuzasadniony. Mężczyzna nie mógł mu nic zrobić. Przecież jutro o szóstej rano spotka kogoś na moście. Jak długo trzymał się tej myśli, nie powinien w zasadzie niczego się bać.

Niepokój Simona wzrósł jednak, gdy zobaczył strzykawki.

Znał je oczywiście ze szpitala, ale nawet tam nie były one tak wielkie. Nie potrafił też domyślić się, do czego służy metalowa taśma leżąca na zielonej filcowej podkładce między skalpelem a małą piłą. Wyglądał jak mały łańcuch do roweru ze spinaczami do bielizny na obu końcach.

– Podejdź tu do mnie.

Minęło kilka minut, podczas których mężczyzna tańczył sam na środku pokoju. Jego głos zabrzmiał przyjaźnie. Simon, który zamknął na chwilę oczy, żeby odpocząć, spojrzawszy zmęczony i natychmiast odwrócił wzrok. Mężczyzna opuścił szlafrok na podłogę i nie miał na sobie nic więcej oprócz lateksowych rękawiczek.

– No chodź.

– Po co? – spytał Simon, myśląc o Robercie.

– Przynieś mi to z łóżka, proszę. Dobrze?

Simon zobaczył, na co wskazywał mężczyzna. Znów zakasłał i poczuł się jeszcze bardziej bezsilny. Mimo to wziął ten przedmiot z poplamionego materaca, na którym nie było ani prześcieradła, ani pościeli.

Wstał i na chwiejnych nogach podszedł do mężczyzny. Z każdym krokiem był coraz słabszy, jak wtedy, gdy założył się z Jonasem, że wygra w biegu. Lewa ręka znów lekko zdrętwiała. Miał nadzieję, że Stern wreszcie go stąd wyciągnie.

– Świetnie! – wysapał mężczyzna, przerywając taniec w pół kroku. Wyciągniętą ręką, w której dotychczas trzymał niewidoczną partnerkę, dotknął delikatnie jego ramienia. Klepnął raz, drugi. Potem roześmiał się, jakby usłyszał dobry dowcip.

– Wiesz, że jesteś śliczny?

Simon pokręcił przecząco głową.

– Tak, tak. Ale mógłbyś wyglądać jeszcze piękniej.

– Nie chcę.

– Chcesz, chcesz, zobaczysz.

Simon poczuł, jak siłą wyrywa mu z ręki foliową torbę. Później nie widział już nic. Chciał zaczerpnąć powietrza, ale nie mógł. Foliowa ścianka torby jak balonik wybrzuszyła się do środka jego ust. Wykorzystał ostatnie rezerwy siły i poderwał ręce do góry, żeby ściągnąć torbę z głowy, ale mężczyzna złapał go za nadgarstki, przytrzymał je i skrępował za jego plecami taśmą przyklepną. Simon chciał krzyczeć, lecz brakowało mu powietrza. Zamiast tlenu chwycił w usta mały kosmyk włosów. Włosy z własnej peruki, która zsunęła mu się z głowy, gdy mężczyzna zaatakował go foliową torbą.

– Tak, teraz wyglądasz pięknie – usłyszał szczebiot nagiego mężczyzny, który brutalnie pociągnął go teraz w stronę miejsca, gdzie Simon niedawno siedział. W stronę łóżka.

– Dużo lepiej.

Simon kopał na oślep we wszystkich kierunkach, natrafiając niekiedy na coś miękkiego, szybko jednak zrozumiał, że w ten sposób sam sobie szkodzi.

Był coraz bardziej zmęczony, coraz bardziej bezsilny, a jego płuca sprawiały wrażenie, jakby miały zaraz pęknąć. Dlatego nie zdziwił się tak bardzo, gdy usłyszał głośny huk, który niespodziewanie wdarł się w dźwięki muzyki.

Wystrzał na korytarzu powstrzymał na chwilę mężczyznę, później jednak uśmiechnął się on szeroko i urwał długi kawałek taśmy, żeby okleić foliową torbę wokół szyi chłopca. Dopiero wtedy będzie miał wolne obie ręce. A potrzebował ich do tego, co właśnie zamierzał zrobić.

19

Kiedy padł strzał, świat wokół niego eksplodował. Ból po huku był nie do wytrzymania, chociaż nie rozchodził się w tej części ciała, gdzie się tego spodziewał. Stern przewrócił się do przodu i walnął głową w donicę z kwiatami. Upadł bardziej na zasadzie odruchu niż z prawdziwej konieczności. Był pewny, że przed śmiercią zobaczy ranę w brzuchu, gdy strzał przeszyje go od tyłu. Zamiast tego ogłuchł, wykasływał płuca i po każdym kolejnym wymuszonym oddechu czuł się, jakby zaraz miał spłonąć od środka. Wieki trwało, zanim zrozumiał, co się stało. Kiedy zaczęło mu się wydawać, że oślepl, wiedział już na pewno.

Gaz łzawiący.

Pistolet nie był załadowany śmiertelną amunicją. Pedofilskie małżeństwo mogło być zboczone, ale niezdolne do morderstwa. A może zabijali w inny sposób? Zwykła kula nie dostarczała im pewnie wystarczających podniet. Gdy kobieta również nagle zaczęła się krztusić, dotarło do Sterna, że wszystkie jego przypuszczenia były błędne.

– Cholera – nawet to jedno słowo, które wypowiedziała, dało się z trudem zrozumieć. Jej błony śluzowe pracowały jak wodospad Niagara.

Stern przekręcił się na brzuch i spojrzał w dół schodów. Oczy mu łzawiły, jakby wtarł w nie środek do czyszczenia toalety, ale udało mu się dostrzec, że kobieta stała zaledwie kilka stopni niżej. Skuliła się i przecierała oczy. Ona też nie miała maski przeciwgazowej.

Czyli że nie miała pojęcia, czym jest naładowana broń, wywnioskował Stern. Obydwoje szaleńcy udawali tylko zawodowców, a faktycznie byli

zupełnie niedoświadczeni. Prawdopodobnie nigdy wcześniej nie sprawdzili broni. Dlatego premiera się nie powiodła.

Stern spróbował wstać. To, co wydarzyło się później, było tak samo niezamierzone jak otaczająca go chmura gazu. Zatoczył się, podłoga zawirowała mu przed oczami i w przekonaniu, że robi krok w stronę korytarza zrobił krok w pustkę i runął ze schodów.

Kłujący ból przeszył jego plecy, kiedy dwa stopnie niżej staranował kobietę niczym torpeda. Zakotłowało się. Nie potrafił odróżnić, czyje części ciała powodują tępy stukot. Drugi raz z rzędu uderzył głową w coś twardego, pewnie w stopień. Z nosa pociekła mu krew. Na brzuchu ześliznął się w dół schodów i nagle lewa noga stała się jednym wielkim bólem. Przy upadku stopa zaklinowała się między szczelami barierki, tak że cały ciężar ciała wisiał teraz utrzymywany przez staw skokowy.

Zerwanie więzadła. Naciągnięcie ścięgna. Pęknięcie torebki stawowej. Ból był tak silny, że pewnie stało się wszystko to naraz. Nie przejmował się tym. Ostrożnie uwolnił stopę i przez zasłonę z łez dostrzegł, że jego przeciwniczka odniosła znacznie gorsze obrażenia. Nie ruszała się. Jej kolano i reszta ciała były w nienaturalny sposób powykręcane.

Stern podciągnął się za poręcz. Kiedy spróbował stanąć na lewej nodze, wzdrygnął się jak pod dotknięciem dentystycznego wiertła. Na jednej nodze pokuśtykał więc na górę. Odniósł wrażenie, że błony śluzowe rozkładają się same z siebie z towarzyszeniem trudnego do wytrzymania pieczenia.

„Trzecie drzwi na prawo”, powiedziała. Wskazówka nie była potrzebna. W tym stanie, w jakim był, i tak mógł korzystać tylko ze słuchu. Dźwięki muzyki operowej ciągle przenikały przez masywne dębowe drzwi, za których klamkę Stern mocno pociągnął. *Zamknięte.*

Robert podjął decyzję w ułamku sekundy. Cofnął się, zignorował brutalny ból, który przy każdym kroku pulsował w lewej nodze. Chwycił donicę, której jednak nie udało mu się od razu unieść. Zamiast ziemi do kwiatów wypełniono ją ciężkimi białymi krzemieniami. Pociągnął ją najpierw kilka metrów za sobą, podniósł powoli tuż przed celem i z całym impetem rzucił obydwoma rękami na drzwi, nie zwracając uwagi na

trzaśnięcie w kręgosłupie. Klamka odłamała się i się obluzował zamek. Nagim ramieniem Stern rzucił się na dębowe drzwi. Raz. Drugi. Aż wreszcie, zataczając się z bólu, wpadł do pokoju. To, co tam zastał, okazało się gorsze niż wszystko, co dotychczas widział w swoim życiu. Wzbierał w nim jeden jedyny krzyk: *Za późno!*

20

Najpierw zobaczył mężczyznę. Nagiego. Zlanego potem i sparaliżowanego strachem. Z wolna opadające podniecenie odebrało mu chyba wszelkie odruchy obronne. Nie uciekał. Schował tylko twarz w obu dłoniach.

Stern odwrócił się w stronę łóżka. Momentalnie zrozumiał, że leżąca tam postać bez twarzy to Simon. Związany, z głową zwiniętą w tanią foliową torbę z supermarketu, leżał nieruchomo na brudnym materacu.

– Ja to wszystko zaraz wyjaśnię... – wyjąkał zboczeniec, podczas gdy Stern zaślepiony łzami, wściekłością i bólem pokuśtykał do kamery, złapał statyw jak kij bejsbolowy i jednym uderzeniem roztrzaskał mu szczękę. Mężczyzna padł do tyłu, zrzucając na podłogę wieżę stereo. Muzyka Verdiego ucichła w momencie, kiedy Stern rzucił się szczupakiem na łóżko, uniósł głowę Simona i rozerwał foliową torbę.

Miał wielką ochotę zacząć krzyczeć. Z bezgranicznej ulgi. Dotychczas wszystko zrobił źle, ale nie przegrał. Przynajmniej nie stracił Simona. Mały zaczął kasłać jak rozbitek, którego dopiero co wyciągnięto z wody, i długą chwilę nie mógł przestać. Gwiżdżące odgłosy oddechu Simona wypełniające tlenem płuca brzmiały dla Sterna piękniej niż najwspanialsza symfonia.

– Tak mi przykro, tak strasznie mi przykro – szeptał, przytulając do siebie chłopca, który usiadł wyprostowany na łóżku. W tym czasie zerwał do końca foliową torbę i przytrzymał w dłoniach głowę Simona jak największy skarb, uważając, żeby nie wtulić go w swoją zakrwawioną pierś.

– Już... – chłopiec chwycił łapczywie powietrze – ...już dobrze – wykrztusił Simon świszczącym głosem i znów zaczął kasłać. Stern odsunął się trochę od niego. Na szczęście chmura gazu łzawiącego zawisła nad schodami i nie rozprzestrzeniła się po całym domu. Obawiał się jednak, że do włosów przykleiło mu się wystarczająco dużo podrażniających cząstek, które dodatkowo mogły utrudnić Simonowi oddychanie.

– Ufff... achchajjj – wyrzęził chłopiec, który najwidoczniej miał dość siły, żeby siedzieć, podczas gdy Stern najchętniej by w tej chwili zasnął. Gdy Simon powtórzył niezrozumiałe sylaby, wreszcie zrozumiał.

Uważaj!

Odwrócił się akurat w odpowiednim momencie, żeby zobaczyć mężczyznę z na wpół zmasakrowaną twarzą próbującego wymknąć się z pokoju.

– Nie ruszaj się! – krzyknął i znów złapał za statyw, z którego kamera już dawno spadła. Tym razem przyłożył mu z boku w piszczele. Mężczyzna padł jak podcięty i rycząc z bólu, leżał tuż przed progiem.

– Ani centymetr dalej. Inaczej zabiję cię, tak jak twoją porąbaną żonkę.

Stern pochylił się nad pedofilem, dławiącym się własnymi wrzaskami bólu. Pokazał mu skalpel, który zabrał ze stolika przy łóżku. Zastanawiał się, co ma teraz zrobić. Najchętniej wbiłby mu w stopę nóżkę od statywu albo złamał ostrze skalpela pod paznokciem. Nie mógł jednak tego zrobić w obecności Simona. Chłopiec widział już wystarczająco dużo przemocy. Gorzej – doświadczył jej na własnej skórze. Przez niego chłopiec będzie teraz wymagał opieki psychologicznej.

– Niech pan posłucha, może dojść do porozumienia – wybełkotał mężczyzna. Leżał przed nim skulony na podłodze, a jego dotychczas sympatyczny wyraz twarzy zmienił się całkowicie nie tylko z powodu przemodelowanej szczęki. – Mam pieniądze. Pana pieniądze. Jak się umawialiśmy.

– Zamknij się! Nie chcę żadnych pieniędzy!

– To jak? Po co pan w takim razie przyjechał?

– Simon, nie patrz teraz, proszę – powiedział Stern, podnosząc znów statyw. Mężczyzna podciągnął kolana aż pod samą brodę, zasłaniając rękami zakrwawioną głowę.

– Nie, proszę, nie – błagał. – Zrobię wszystko, czego pan chce. Proszę.

Stern pozwolił mu jeszcze przez chwilę drżeć w oczekiwaniu na kolejny cios, aż wreszcie spytał:

– Gdzie masz komórkę?

– Co?

– Twoja pieprzona komórka! Gdzie ona jest?

– Tam. – Mężczyzna pokazał na leżący przed łóżkiem szlafrok. Stern cofnął się o krok i go podniósł.

– W prawej kieszeni.

Robert prawie nie rozumiał bełkotu pedofila. W końcu znalazł telefon i wyciągnął go w kierunku mężczyzny.

– Co mam zrobić?

– Zadzwoń do niego.

– Do kogo?

– Twojego kontaktu. Osoby, z którą rozmawiałeś w salonie. Szybko. Chcę z nim mówić.

– Nie, to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo nie mam jego numeru. Nikt nie zna numeru „handlarza”. – Mężczyzna wypowiedział ostatnie słowo, jakby to było nazwisko. Nawet w tak beznadziejnej sytuacji czubek nie potrafił ukryć nabożnego szacunku dla tamtego pociągającego za sznurki osobnika.

– Jak się z nim kontaktujesz?

– Przez e-mail. Piszemy do niego, a on oddzwania. Tak też było w waszym przypadku. Tina... – Zakasłał. – Tina jeszcze w samochodzie wysłała z telefonu pana nazwisko i numer dowodu osobistego. I on do nas zadzwonił.

Tina! Umierający potwór przy schodach miał teraz swoje imię.

– Okej, to dawaj jego e-mail.

– Jest w komórce.

– Gdzie? – Telefon wydawał piszczący odgłos za każdym razem, kiedy Stern nacisnął jakiś przycisk. Znał ten model, sam używał go przez jakiś czas, dlatego dobrze był obeznany w jego funkcjach.

Stern znalazł listę kontaktów, nie spuszczać z oczu mężczyzny leżącego na podłodze.

– Pod „Bambino”. Ale to i tak panu nic nie da.

– Dlaczego? – Stern nie zadawał sobie trudu, by zapamiętać skomplikowany adres: gulliverqyx@23.gzquod.eu. I tak zabierze telefon ze sobą.

– Bo po każdym pytaniu adres się zmienia. Ten już nie jest aktualny.

– A co zrobisz przy następnym razie?

– Tego nie mogę powiedzieć.

– Gadaj!

– Nie mogę. Zabiją mnie za to.

– Jak myślisz, co ja zamierzam zrobić? Mów, w jaki sposób zdobywasz nowy adres e-mailowy, albo cię skatuję i zrzucę po schodach do żony.

– Dobra, dobra... – Mężczyzna wyciągnął rękę do góry. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w statyw, który groźnie unosił się nad jego głową, w każdej chwili gotowy spaść na jego głowę.

– On ma różne adresy. Tysiące. One działają zawsze tylko raz. Później musimy kupić nowy, jeśli chcemy się z nim skontaktować.

– Gdzie? – Stern umyślnie splunął prosto na mężczyznę, powtarzając pytanie: – Gdzie je kupujesz?

Gdy usłyszał odpowiedź, skalpel wypadł mu z ręki, wbijając się w przykryty folią parkiet.

– Co powiedziałaś? – wysapał, nie posiadając się ze zdumienia. Pulsująca głowa, coraz bardziej spuchnięta kostka, nadwerżony kręgosłup i palące płuca zjednoczyły się w ogromną falę bólu. – Powtórz to! – wrzasnął.

– Na moście – powtórzył nagi mężczyzna z zakrwawioną twarzą leżący u jego stóp. Łzy napłynęły mu do oczu, ponieważ zdradził prawdopodobnie

najbardziej strzeżoną tajemnicę w środowisku. – Kupujemy adresy na moście.

21

Wiele przerażających miejsc zbrodni roztacza aurę, która wywołuje sprzeczne uczucia. I to wcale wyraźnie widoczne oznaki brutalnej przemocy są tym, co w równej mierze pociąga, jak i budzi odrazę. To nie plamy krwi ani kawałki mózgu na tapecie nad łóżkiem, ani odrąbane kończyny obok kosza ze świeżo wypraną bielizną. To pewne pośrednie sygnały, emanujące z miejsca zbrodni, budzą wśród osób postronnych morderczą fascynację. Efekt taki wywołuje na przykład odgrodzona przestrzeń na stacji metra, gdzie zazwyczaj jest tłum ludzi, czy nienaturalnie jasno oświetlony plac, na którym widać mnóstwo policyjnych radiowozów.

– Cholera – zaklął Hertzlich i potarł zmęczone oczy, nie zdejmując okularów w złoconych oprawkach. Stojąc w wejściu do lokalu, mało uprzejmym ruchem ręki przywołał do siebie Englera. W ciemności jesiennego wieczoru rozjarzona kawiarnia na Mexikoplatz wyglądała jak jasna żarówka, która nocą przyciąga wszystkie okoliczne ćmy. Liczni przechodnie musieli szerokim łukiem omijać drogę do stacji S-Bahn ze względu na policyjne bariery. Umundurowany funkcjonariusz w regularnych odstępach czasu informował ciekawskich, że naprawdę nie ma tu nic ciekawego do oglądania.

– Jasna cholera – powtórzył Hertzlich głośno jeszcze raz, kiedy komisarz dołączył do niego. Sprawa zdawała się wymykać spod kontroli, dlatego chciał osobiście przekonać się na miejscu o stanie śledztwa. Nie przypuszczał, że wygląda to aż tak katastrofalnie.

– Proszę przedstawić raport – zażądał, przypatrując się z odrazą, jak Engler rozrywa opakowanie aspiryny i bez choćby łyka wody przeżuwa musującą tabletkę. Zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej, gdyby odebrał mu tę sprawę.

– Borchert wpadł przypadkowo, gdy popsuł mu się samochód – raportował Engler. – Przyprowadził nas tu na Mexikoplatz i uparcie twierdzi, że Robert Stern razem z małym Simonem zostali uprowadzeni. I to przez kobietę, którą miał spotkać w tej kawiarni. Numer rejestracyjny, który rzekomo widział Borchert, nie istnieje w rejestrze. Jedyнным namacalnym dowodem, który na razie mamy, jest ten adres e-mailowy... – zmęczony Engler wskazał na szyld w oknie restauracji – ...który należy do małego biura nieruchomości z Berlin-Steglitz. Prowadzi je niejaki Teodor Kling razem z żoną Tiną. Ich sekretarka kończyła właśnie pracę. Ale zdradziła nam, że w tej chwili pan Kling jest na oględzinach domu, i przysłała nam faksem listę nieruchomości czekających na zakup. Właśnie je sprawdzamy.

– Ile ich jest?

– Osiem obiektów w najbliższej okolicy. Zatem niedużo. Problem tylko w tym, że nie możemy wszędzie wejść, żeby... eee, chwileczkę. To może być Brandmann.

Engler otworzył klapkę komórki i zaraz skrzywił się, jakby ugryzł coś kwaśnego.

Hertzlich podniósł pytająco brwi.

– Gdzie pan, do diabła, jest? – usłyszał pytanie komisarza. Zdumienie w jego głosie jednoznacznie świadczyło o tym, że nie rozmawia ze swoim policyjnym kolegą.

22

Karetkę na Am Kleinen Wannsee 121?

Engler powtórzył adres, który z trudem zrozumiał z przekazu Sterna.

Również Hertzlich zanotował tę informację, odszedł na bok i wyjął komórkę, prawdopodobnie żeby wysłać tam ekipę.

– Okej, proszę tam na nas czekać. Niech się pan stamtąd nie rusza – nakazał Engler. Miał wrażenie, że w tle szaleje burza, tak kiepskie było połączenie.

Gdzie, u licha, podziewa się Brandmann, kiedy akurat jest potrzebny?

– Niemożliwe. Nie... czas... na wyjaś... – z eteru dochodził przerywany głos Sterna. – ...kobieta... prawdopodobnie... martwa, mężczyzna żyje. To jego... aresztować.

Engler nic z tego nie rozumiał.

– Jak się czuje Simon? – zadał najistotniejsze pytanie.

– Przecież to z jego powodu dzwonię do pana!

Stern musiał widocznie przejść w miejsce, gdzie był lepszy zasięg, ponieważ nagle wszystko, co mówił, było doskonale zrozumiałe.

– Niech pan posłucha. Tak nie można dalej. Musi się pan wreszcie oddać w nasze ręce – zażądał Engler.

– Tak, zrobię to.

– Kiedy?

– Teraz. To znaczy... Chwileczkę.

Coś trzasnęło w połączeniu. Englerowi wydawało się, że usłyszał w tle Simona. Zatem Stern nie kłamał. Chłopiec żyje!

– Potrzebujemy jakichś czterdziestu minut, później możemy się spotkać.
Ale tylko my dwaj. Nikt inny.

– Zgoda, gdzie?

Na twarzy Englera odmalowało się krańcowe zaskoczenie, kiedy Stern podał mu miejsce spotkania.

23

„Wybrany abonent ma wyłączony telefon lub jest poza zasięgiem. Proszę zostawić wiadomość lub spróbować...”

Cholera. Co się dzieje? Dlaczego Carina nie odbiera telefonu? I co, do diabła, stało się z Borchertem? Dlaczego nas zostawił?

Stern rozłączył się z komputerowym głosem automatycznej sekretarki. Z trudem powstrzymał się od wyrzucenia telefonu przez okno limuzyny na parking, gdzie po szaleńczej jeździe przez miasto wreszcie się zatrzymali. Świadomość tego, że odrażający pedofil jeszcze kilka minut temu przyciskał ten sam aparat do swojego spoconego ucha, brzydziła go dogłębnie. Ale jeszcze będzie potrzebował telefonu. Najpierw wykonał najważniejszą rozmowę i powiadomił Englera. Musiał się stawić na policję. Nawet jeśli się nigdy nie dowie, co naprawdę stało się z Feliksem. Teraz to była drugorzędna sprawa. Ich szaleńcza pogoń za jakimś fantomem musi się wreszcie zakończyć. Simon omal przed chwilą nie zginął. To właśnie jest rzeczywistość, a nie jego urojenia na temat Feliksa i chłopca ze znamieniem.

Stern poczuł dwa małe palce na swoim ramieniu.

– Wszystko w porządku? – zapytał Simon.

Stern czuł, że za chwilę jego oczy znów wypełnią się łzami. Pozwolił właśnie, żeby uśmiechnięty potwór zabrał chłopca ze sobą do piekła, a teraz to Simon pyta, jak on się czuje?

– Tak, tak, okej – skłamał. W rzeczywistości nie bardzo wiedział, jak ma usiąść, żeby wytrzymać ból. To cud, że w ogóle udało mu się wyjść z willi, nie tracąc przytomności. Na szczęście Simon posiadał niesamowitą siłę

samoleczenia i mógł o własnych siłach zejść po schodach, kiedy Stern unieruchomił pedofila taśmą na łóżku.

Tina się nie poruszyła, gdy przestępowali jej ciało leżące u podnóża schodów, ale Sternowi wydawało się, że zauważył jej płytki oddech. I chociaż każdy dodatkowy ruch sprawiał mu ogromne cierpienie, zebrał jeszcze w salonie swoje ubranie. Potem wyjechali z garażu limuzyną. Dziękował Bogu, że samochód ma automatyczną skrzynię biegów. Jego lewa stopa spuchła tak niemiłosiernie, że nie mógł na niej stanąć, nie mówiąc już o wciskaniu sprzęgła.

– Ale na twarzy wyglądasz bardzo źle – powiedział ochrypnięty Simon.

– A ty mówisz jak Kermit – spróbował zażartować Stern. Przejrzał się zaraz potem w lusterko wsteczne i musiał przyznać chłopcu rację. W schowku na rękawiczki znalazł pojemnik z nawilżanymi chusteczkami do wycierania przedniej szyby. Wzruszył ramionami, wyjął jedną i starł nią nieco krwi z twarzy.

– A ty jak się czujesz? – spytał, ostrożnie omijając pulsujący krwawy guz na czole.

– Może być – powiedział Simon, tłumiąc kaszel.

– Tak mi przykro, tak cholernie przykro – powtórzył chyba po raz ósmy, odkąd opuścili willę. – Ale naprawię to, przysięgam.

– Przecież nic się nie stało – odpowiedział zmęczony Simon.

Stern zapalił górne światło w limuzynie, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Powieki chłopca trzepotały lekko, ziewnął. Stern nie miał pojęcia, czy po wydarzeniach dzisiejszego dnia był to dobry, czy zły symptom.

– Potrzebujesz czegoś? Wody? Lekarstw?

– Nie, jestem tylko zmęczony. – Simon znów zakasłał. Jego lewa noga trochę drżała, czego Stern wcześniej nie zauważył podczas jazdy.

– Dojdiesz sam do wejścia?

– Jasne. – Simon otworzył drzwi pasażera, ale zatrzymał się na chwilę. – Chociaż wolałbym zostać z tobą.

Stern pokręcił głową. Nawet tak minimalny ruch sprawiał mu ból.

– Przykro mi.

– Ale może będziesz mnie potrzebował?

– Chodź tu. – Stern przyciągnął do siebie Simona i przytulił mocno, ignorując klucie w plecach. – Tak, potrzebuję cię. Nawet bardzo. I dlatego jest niezwykle ważne, żebyś zrobił dokładnie to, co ci powiedziałem, dobrze? Pójdiesz teraz do szpitala i natychmiast zgłosisz się na swój oddział, rozumiesz?

Simon skinął głową w jego ramionach.

– No dobra. A co ty będziesz teraz robił? – spytał z twarzą wtuloną w koszulę Sterna.

– Wyjaśnię tę sprawę.

Simon cofnął się trochę i spojrzał na niego.

– Naprawdę?

– Naprawdę!

– To znaczy, że nie muszę jutro nikomu robić krzywdy?

– Nie musisz.

– Bo ja wcale tego nie chcę.

– Wiem. – Stern pogłaskał Simona po głowie i uśmiechnął się blado. – Na pewno dojdiesz sam? – zapytał jeszcze raz.

– Tak, nic mi nie jest. Drapie mnie tylko w gardle.

– A drżenie nogi?

– To nic takiego. Poza tym zaraz mi coś na to dadzą.

Simon wysiadł już jedną nogą z auta, kiedy Stern znów położył mu rękę na ramieniu.

– Pamiętasz jeszcze to najpiękniejsze miejsce na świecie? To, o którym opowiedziałeś doktorowi Tiefenseemu, gdy cię spytał w swoim gabinecie?

– Tak. – Simon uśmiechnął się.

– Pojedziemy na tę plażę, kiedy wszystko minie. Ty, Carina i ja. A tam dają największe lody w całym wszechświecie. Okej?

Simon uśmiechnął się szerzej i pomachał mu, zanim odszedł w kierunku szpitala. Miał do przejścia zaledwie kilka metrów, ale Stern jak zahipnotyzowany śledził każdy krok chłopca. Zapalił silnik. Nie po to, żeby odjechać, tylko żeby w razie czego natychmiast się przy nim znaleźć.

Chociaż na terenie kliniki z pewnością nie czaiły się żadne niebezpieczeństwa podobne do tych, które musiał Simon przejść w ostatnich godzinach, Stern przestał się bać dopiero, kiedy Simon zniknął za przeszklonymi drzwiami kliniki.

Spojrzał na zegarek i wrzucił wsteczny bieg. Była osiemnasta czterdzieści sześć. Musiał się pośpieszyć, jeśli nie chciał się spóźnić na festyn.

24

Już tu jest. Co mam zrobić?

W szpitalnej kawiarni brodaty mężczyzna zamieszał piankę w latte macchiato, obserwując, jak chłopiec idzie w kierunku wind.

– Wygląda na to, że Simon zmierza prosto na swój oddział – informował dalej przez komórkę, po tym jak wyjął ze szklanki długą łyżeczkę i ją oblizał. Nagle się ożywił. – Chwila – przerwał głosowi po drugiej stronie linii. – Właśnie go rozpoznali. Jakiś lekarz. Tak, rozmawia z Simonem. Pewnie zaraz się tu zacznie piekło.

Odstawił potężnymi dłońmi szklankę z kawą i wstał, żeby lepiej widzieć grupę pielęgniarzy, sióstr i lekarzy, która powoli tworzyła się wokół Simona. Głosy stawały się coraz głośniejsze. Szpital aż szumiał od narastającego poruszenia.

– Naprawdę? Jest pan pewny?

Podniecone wołania dochodzące z holu przed windami były coraz głośniejsze, tak że mężczyzna miał kłopot ze skupieniem się na instrukcjach przekazywanych przez telefon. Poprosił swego rozmówcę, żeby mówił trochę głośniej. W końcu zrozumiał wszystko i chrząknął potwierdzająco.

– Wszystko jasne. Załatwię to.

Picasso rozłączył się i wyszedł, zostawiając na stoliku kawę, z której nie wypił nawet łyka.

25

Biiii... prrrrooooo...

Sylaby rozmywały się w jej uszach. Nienaturalnie wydłużone, jak odtwarzana w spowolnieniu taśma, składały się w niezrozumiałe słowa.

Gdzie ja jestem? Co się stało?

Carina czuła się, jakby siedziała na szybko wirującej pralce. Twarde siedzenie pod nią szarpało w różne strony. Co rusz niewidoczna siła rzucała ją do przodu, aby chwilę później wcisnąć w twarde oparcie.

Zamrugnęła gorączkowo i momentalnie zrobiło się jej niedobrze. Dopiero teraz poczuła nieprzyjemny zapach wokół siebie, jakby wcześniej zamiast nosem oddychała oczami. Alkohol. Wymiociny.

Z trudem otwierała ciężkie powieki, ale i tak nic nie rozpoznawała. Nic, co mogłoby jej wyjaśnić, gdzie jest i co się z nią stało.

Szczupły brunet z przedziałkiem i wąsikami pochylił się nad nią. Podsunął jej pod nos plastikową kartę, jakby chciał ją wylegitymować.

– Coooo... siiię... ze mną stało? – starała się powiedzieć. Ale jej słowa brzmiały jeszcze bardziej niewyraźnie niż słowa obcego mężczyzny o surowym wyrazie twarzy. Ton jego głosu był nieprzyjemny, powtórzył teraz trochę głośniej, i wreszcie zrozumiała, czego od niej chce. Przynajmniej akustycznie. Właściwe znaczenie jego mrukliwego polecenia pozostało niejasne.

– Bilet proszę.

– Co? Jak?

Carina przekręciła głowę i z trudem rozejrzała się dookoła. Tuż przed nią stał jeszcze jeden rząd siedzeń. Pusty, nie licząc jakiejś emerytki. Ta z

obrzydzeniem spojrzała krótko na Carinę, zanim wróciła do lektury kolorowego magazynu.

– Ja, ja... nie pamiętam...

Carina poczuła, że źródłem okropnego zapachu była ona sama. Tanie czerwone wino. Czerwone plamy rozlały się po prawie całej bluzie.

Jak to możliwe?

Ostatnią rzeczą, którą sobie przypominała, był ten koszmaryny głos, mówiący: „Zimno”.

A później świadomość, że zapadła w długi sen. *Ale teraz?*

Dotknęła tętniących skroni i ze zdziwieniem stwierdziła, że nie jest ranna. Nie miała nawet guza.

– Ma go pani czy wyjdziemy razem?

Sekundy mijały i coraz więcej szczegółów z otoczenia tworzyło osobliwy obraz. Porysowane okna, migająca neonówka nad jej głową, uchwyty. Zdała sobie sprawę, gdzie jest, ale kompletnie nie rozumiała dlaczego. Równie dobrze mogłaby się obudzić na tafli lodu na Antarktydzie. Przedział w wagonie S-Bahnu, w którym tłuła się po Berlinie, był dla niej równie nierealny.

– Myślałam, że nie żyję – powiedziała do kontrolera, co wywołało lekki uśmiech na jego twarzy.

– E tam, tylko tak wyglądasz.

Złapał ją za prawą rękę, której nie cofnęła dostatecznie szybko, i zabrał jej coś z dłoni.

– Oto i on – sprawdził datę na bilecie i był wyraźnie zadowolony. – Czegóż takiego jeszcze nie przeżyłem. Pijana na całego, ale z biletem w ręku.

Zwrócił jej bilet i poradził, żeby w następny weekend trochę przybastowała. Potem poszedł dalej, a pociąg zwolnił, wjeżdżając na słabo oświetloną stację. Odczytała wykonany staroświeckimi literami napis na tablicy: „Berlin-Grunewald”.

Jesteśmy tylko dwie stacje od Wannsee.

Kiedy Carina wstała, inni pasażerowie odsunęli się, jakby siedł ktoś zakaźnie chory. Z trudem wytoczyła się na peron.

W głowie szumiało jej jak w ulu. „Głos” musiał obezwładnić ją paralizatorem, później oblał winem i zostawił w S-Bahnie jak jakąś bezdomną.

Tylko dlaczego?

Na świeżym powietrzu ożywiły się w niej wszystkie zmysły, co doprowadziło tylko do tego, że strach znów stał się większy. Nie chodziło o to, co stało się z nią, tylko raczej, co stało się z Simonem i Robertem.

Zatrzymała się w połowie drogi do schodów, pozwalając, aby wyprzedzili ją inni pasażerowie, którzy wysiedli na tej samej stacji.

I co teraz?

Czuła się tak samo bezradna, jak ponad godzinę temu, kiedy nie wiedziała, dokąd ma jechać, żeby ratować Simona i Roberta. Z tą różnicą, że teraz była w trochę gorszym stanie fizycznym. Pękała jej głowa, czuła mdłości, a w brzuchu tak jej burczało, że odbierała to jak nieustanną wibrację. Chwyciła się za żołądek. Przypadkowo ręka zatrzymała się na saszetce. Teraz wibrowały również jej palce i jednocześnie usłyszała piski.

Dopiero za drugim podejściem zdołała otworzyć suwak. Zdziwiła się, że w środku są wszystkie pieniądze, lekarstwa i nawet pistolet. Wyjęła hałasujący notes elektroniczny, który przechowała dla Roberta.

Zdjęła skórzaną osłonę i spojrzała na migający wpis. Spotkanie. Piszczący dźwięk miał przypomnieć Robertowi o spotkaniu, na które umówił się we czwartek. I to z jej powodu.

Carina wyłączyła alarm. Wiedziała, że to nie mógł być przypadek. Gra, która przed trzema dniami rozpoczęła się na terenie nieczynnej fabryki koło autostrady, trwała dalej.

Przeszedł ją dreszcz. Objęła ciało rękami i pocierała ramiona, jakby w ten sposób mogła pozrywać sznurki, za które pociągał tajemniczy rozgrywający, prowadząc ją przez ten obłąd.

Po chwili ruszyła przed siebie, powłócząc nogami. Jeśli się pośpieszy, powinna zdążyć. Miejsce spotkania nie było daleko.

26

Gdy na parkingu przy Clayallee zakładali mu plastikowe kajdanki, Stern przypomniał sobie zdanie, które przed laty powiedziała do niego jedna z klientek: To jest tak, jakbyś oddawał swoje życie do szatni.

Kobieta co prawda nie została niesprawiedliwie zatrzymana, tak jak teraz on, ale jednak Stern musiał przyznać, że tamta fałszerka pieniędzy idealnie opisała pierwszy moment rozpaczliwej bezradności.

– Dlaczego tu? – Engler spojrział w lusterko wsteczne. Musiał powtórzyć pytanie: – Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać koniecznie przed placem jarmarcznym?

Komisarz siedział sam za kierownicą cywilnego samochodu. Jedyne wtajemniczeni wiedzieli, że szara limuzyna to służbowe auto policji.

– Żebym mógł się przekonać, czy trzyma się pan naszej umowy. – Stern zmuszał się, żeby nie zamknąć oczu. Wymęczony bólem marzył o błogiej nieświadomości, jednak było jeszcze na to za wcześnie. – Musiałem być pewien, że przyjedzie pan sam. – Zwrócił uwagę Englera na diabelski młyn, od którego się powoli oddalali. – Widok z góry jest naprawdę fantastyczny.

Zadzwoił wcześniej do policjanta z jednej z gondoli i poprosił go o włączenie świateł awaryjnych. Po tym, jak go zlokalizował na parkingu, zrobił jeszcze trzy rundy i wreszcie zdecydował się podjąć ryzyko. Rzeczywiście nie rzucili się na niego z ukrycia żadni funkcjonariusze, kiedy wsiadł do samochodu komisarza.

– Rozumiem. – Engler przytaknął i kichnął niespodziewanie. – Pana obawy były jednak całkowicie nieuzasadnione – powiedział, gdy przestało go wiercić w nosie. Był tak przeziębiony, jak podczas ich pierwszego

spotkania. Niewiarygodne, że minęły dopiero trzy dni. – Jesteśmy śledzeni przez GPS – wykaśtał. – Centrala cały czas wie, gdzie jesteśmy. Zresztą uważam pana za skończonego dupka, nie za niebezpiecznego szaleńca. – Wyszczrzył się do lusterka. – Przynajmniej nie tak niebezpiecznego, żebym sam sobie z panem nie poradził.

Stern skinął głową, spoglądając na lewy nadgarstek, na którym ostre kanty kajdanek zostawiły już pierwsze ślady.

– Ale dlaczego chciał się pan spotkać akurat ze mną? Nie jesteśmy specjalnie zaprzyjaźnieni.

– Właśnie dlatego. Mój ojciec zawsze powtarzał, że interesy należy robić tylko z wrogami. Przez nich nie można zostać zdradzonym. No a z Brandmannem jest jak dla mnie coś nie tak. Nie znam go.

– Mądry facet z pana ojca. O jaki interes chodzi?

– Przekażę panu zaraz informacje, dzięki którym będzie mógł pan schwytać co najmniej dwóch przestępców. Handlarza dziećmi i mściciela. To znaczy gościa, który ma na sumieniu tych wszystkich facetów, których zwłoki znaleźliśmy.

Nagle wokół nich zrobiło się jeszcze ciemniej. Domy po obu stronach znikły w strugach deszczu. Oświetlony kawałek Hüttenweg został za nimi, kiedy skierowali się na ulicę łączącą Charlottenburg i Zehlendorf, przecinającą Grunewald.

– Okej, a co chce pan w zamian?

– Bez względu na to, jakie dowody macie przeciwko mnie, musi pan natychmiast zorganizować policyjną ochronę dla dzieci mojej byłej żony.

– Dlaczego?

– Bo jestem szantażowany. Z tym wiąże się drugi warunek. Musi mnie pan wypuścić na czas do jutra do szóstej rano.

– Chyba całkowicie panu odbiło.

– Może i tak. Ale na pewno nie tak bardzo jak tym szaleńcom.

– Co to jest? – Engler spojrzął przelotnie na siedzenie obok siebie. Stern z trudem wyciągnął skrupowanymi dłońmi z kieszeni marynarki małą kasetę wideo i rzucił ją na przednie siedzenie.

– Taśma z pokoju pośrednika nieruchomości. Proszę sobie obejrzeć, co on i jego żona zamierzali zrobić z Simonem. Jeśli starczy panu na to zimnej krwi.

– To on za wszystkim stoi?

– Pośrednik? Nie.

Stern wyjaśnił Englerowi pokrótce, czego dowiedział się w ostatnich godzinach.

– Jutro rano w punkcie spotkań pedofili ma zostać sprzedane niemowlę. Simon miał wizję, że podczas tej transakcji zabije handlarza. Z zemsty.

– I pan w to wierzy?

– Nie. Jeśli już, to jutro na moście pojawi się nie Simon, tylko inny mściciel. Zastrzeli handlarza, jak tylko nadarzy się okazja.

Engler wjechał ostrożnie na skrzyżowanie Hüttenweg i Koenigsalle.

– No dobrze, przyjmijmy, że w pana naciąganej teorii jest trochę prawdy. Skąd w takim razie o wszystkim wie chłopak? – spytał nieufnie komisarz.

Stern upewnił się, czy nikt za nimi nie jedzie. Oprócz motocykla, który oddalał się przed nimi w stronę odcinka autostrady AVUS, stali sami na czerwonym świetle pośrodku lasu.

– Dlaczego pana klient, Simon Sachs, potrafi nagle nie tylko widzieć przeszłość, ale również przepowiadać przyszłość?

– Nie mam pojęcia.

Deszcz wzmagął się. Engler zwiększył częstotliwość pracy wycieraczek.

– „Nie mam pojęcia” to zła odpowiedź, jeśli pan chce, żebym pana wypuścił. Skąd mam wiedzieć, że sam nie macza pan w tym palców?

Ciągle stali na światłach. Stern zdziwił się, słysząc nietypowy odgłos silnika. Brzmiał tak, jakby Engler zatankował benzynę ze zbyt małą liczbą oktanów.

– Właśnie dlatego nie może mnie pan zamknąć. Jutro rano to udowodnię. Na moście.

– Gdzie dokładnie ma to być?

– Najpierw dobijmy targu, później zdradzę panu dokładny adres.

Zaraz! Co tam się dzieje?

Stern pochylił się zaintrygowany do przodu. Pomylił się. Z silnikiem było wszystko w porządku. Odgłos przypominający pracę kosiarki do trawy, który słyszał, dochodził z zewnątrz. I stawał się coraz głośniejszy.

– Ktoś jeszcze wie o naszym spotkaniu? – spytał nagle Engler. Sprawiał wrażenie spiętego, jego nerwowość od razu udzieliła się Sternowi.

– Nie – odpowiedział niepewnie.

– Jaki to był numer?

– Numer?

Robert wymacał telefon w kieszeni. Ciągłe był włączony.

To oznacza, że...

– Z którego pan do mnie zadzwonił. Czyj to telefon?

Engler był coraz bardziej nerwowy, zaczął częściej oglądać się w czasie jazdy do tyłu.

– Tamtego pośrednika nieruchomości, ale co to...

Wycieraczki zebrały grube krople deszczu z przedniej szyby samochodu, które na krótką chwilę podziały jak szkło powiększające, przez które zobaczył, co im grozi.

Motocyklista. Zawrócił. Wyłączył reflektor i bez kasku jechał z wyciągniętą ręką prosto na nich.

Światło zmieniło się na zielone. Engler wrzucił bieg.

Niech to szlag. Przecież Borchert wyraźnie nas ostrzegwał, że byle dzieciak potrafi zlokalizować komórkę, a...

Padł strzał, przerywając myśli Sterna.

27

Trzy wystrzały zabrzmiały całkiem niegroźnie, jak syk mokrej petardy, w której zapaliła się tylko połowa prochu. Jednak ich wyciszony tłumikiem dźwięk był złudny. Kule przebiły się z druzgocącą siłą przez przednią szybę, krusząc wzmocnione szkło.

Stern nie potrafił stwierdzić, która z nich trafiła komisarza, gdy jego głowa opadła na kierownicę. Na sygnalizatorze nadal świeciło się zielone światło. Chwilę później, kiedy zmieniło się na żółte, we wnętrzu samochodu zapaliło się oświetlenie, czego Stern w stanie szoku nawet nie zauważył. W tej chwili jego mózg zbyt intensywnie zajęty był przetwarzaniem wstrząsających obrazów. Kierowca na motocyklu, roztrzaskana szyba, spazmatyczne drżenie ręki komisarza.

Zęby Sterna szczękały o siebie. Wstrząsały nim dreszcze. Z zimna, szoku, bólu, paniki. Nie wiadomo, skąd deszcz padał mu prosto na twarz. Dopiero po chwili uświadomił sobie, dlaczego zapaliła się nagle górna lampka. Ktoś otworzył drzwi z jego strony.

– Nie dotrzymał pan umowy – syknął mężczyzna z ciemności. Stern poczuł zimny metal na skroni. Motocyklista przyłożył wylot lufy bezpośrednio do głowy. – Pozdrowienia od „głosu”. Zaraz się pan przekona, czy reinkarnacja istnieje.

Stern jeszcze mocniej zacisnął zamknięte oczy. Z napięcia wibrowało mu w głowie. W jednej sekundzie przekonał się, że wszystkie opisy ostatnich momentów życia w jego przypadku się nie sprawdziły. Żaden film nie przewinął się przed jego oczami. Żaden obraz. Zamiast tego w ułamku sekundy poczuł wszystkie pojedyncze komórki swego ciała. Słyszał

słumione pulsowanie, które z każdą sekundą wtłaczało w wir krwiobiegu kolejne dawki adrenaliny wytworzonej przez nadnercza. Czuł, jak rozszerzają się oskrzela. Rosnące tempo skurczów serca było jak małe wybuchy w klatce piersiowej. Jednocześnie zmieniła się również jego wrażliwość na warunki zewnętrzne. Wiatr przestał być jedną całością i smagał go teraz strumieniem niezliczonych atomów tlenu, które razem z pojedynczymi kroplami deszczu, każdy z osobna, uderzały o jego skórę.

Stern usłyszał swój krzyk. Bał się, jak jeszcze nigdy w życiu. Równocześnie niezwykle silnie przeżywał też inne emocje. Jakby po raz ostatni coś chciało mu udowodnić, do czego mógłby być zdolny, gdyby dał swemu życiu bodaj jedną szansę. Tuż przed końcem wydawało mu się, że się rozplynął. Widział, jak złożony z atomów i molekuł Robert Stern chce się rozpaść na pojedyncze cząsteczki, żeby ułatwić pociskowi wtargnięcie w jego ciało. I kiedy głęboki smutek okrył go jak płaszcz, od wszystkiego uwolnił go śmiertelny strzał.

Kula trafiła pewnie. W środek skroni, tak jak miało być. Wyrwała dziurę w czaszce wielkości paznokcia, z której sączyła się krew, jak z niedokładnie zamkniętej butelki keczupu.

Stern otworzył oczy, chwycił się za głowę i z niedowierzaniem sprawdził miejsce, do którego jeszcze przed chwilą morderca przystawiał broń. Ciągle czuł zimno stali. Potem spojrzął na dłonie, przekonany, że zobaczy na nich krew. Mylił się.

Wreszcie odważył się spojrzeć do przodu. Usłyszał, jak broń Englera upada na podłogę. Połowa twarzy komisarza zalana była krwią. Dopiero po jakimś czasie Stern zorientował się, że to przez światła sygnalizacji, które znów zmieniły się na czerwone, oświetlając go z boku.

Uratował mi życie! – pomyślał Stern. Udało mu się wyjąć broń i resztką sił odwrócić do tyłu, żeby...

Przez chwilę Stern miał nadzieję, że komisarz nie odniósł poważnych obrażeń. Engler ciągle siedział zwrócony do tyłu, jak ojciec, który

sprawdza, czy wszyscy mają zapięte pasy, i po raz pierwszy w życiu patrzył na niego przyjaźnie. A potem z kącika jego ust wypłynęła strużka krwi. Zdziwiony Engler otworzył usta, zamrugął ostatni raz powiekami i opadł nagle z powrotem skronią na kierownicę. Jego ręka, w której dopiero co trzymał pistolet, zwiotczała podobnie jak reszta ciała.

Wyrwany z transu głośnym klaksonem Stern odzyskał kontrolę nad własnym organizmem. Jednostajny szum w uszach minął, wróciło życie i razem z nim ból. Odpiął pasy i zauważył broń Englera na podłodze. Podniósł ją i wysiadając, wymierzył w leżącego na jezdni zabójcę. Z głowy długowłosego mężczyzny z szeroko otwartymi z niedowierzania oczami sączyła się na asfalt resztką życia. Stern nigdy wcześniej nie widział jego gładko ogolonej twarzy, ale mimo wszystko mężczyzna wydał mu się znajomy.

Engler mnie uratował. Akurat Engler.

Chciał tylko przejść krótki odcinek do ścieżki rowerowej, ale po kilku krokach potknął się i stoczył po nasypie. Upadł na skępowane ręce, twarzą w mokrą ziemię i liście. Potrzebował chwili, żeby się zebrać w sobie i wstać na nogi.

Muszę stąd uciec.

Zachwiał się, obciążony niechcący kontuzjowaną nogę, i musiał się oprzeć o wilgotny pień drzewa. Ale nawet największy ból nie był w stanie stłumić wzmagającego się strachu. Gdzieś nad nim przemknął z szumem jakiś pojazd, ale się nie zatrzymał. Nikt nie wysiadł, żeby mu pomóc. Albo go zaaresztować. Jeszcze nie. Ale policyjne auta z pewnością były już w drodze.

Nie uwierzą mi. Muszę stąd uciec.

Stern krzyknął jeszcze raz, tym razem pod wpływem psychicznego bólu, który był dużo większy niż wszelkie fizyczne cierpienia, jakich dotychczas doświadczył. A potem chwiejnie zagłębił się w las, marząc o tym, by odzyskać swoje zmarnowane życie, którego jeszcze dwa dni temu tak bezwzględnie nienawidził.

28

Dwudziesta siedemnaście. Drań był już spóźniony o siedemnaście minut, a jeśli czegoś nienawidził, to z pewnością braku punktualności. No i oczywiście bycia wystawionym do wiatru. To uważał za jeszcze gorsze. Co ci ludzie sobie myślą? Żaden z nich nie jest nieśmiertelny, ale każdy zachowuje się tak, jakby istniało gdzieś biuro zaginionego czasu, dokąd można by pójść i odzyskać stracony czas życia.

Wściekły wylał zimną kawę do zlewu i to marnotrawstwo zdenerwowało go jeszcze bardziej. Był zły również na siebie. Wiedział przecież, że on znowu się nie pojawi, po co więc w ogóle ją przygotował? Sam był sobie winny.

W pokoju obok łyżeczka zadzwoniła o porcelanową filiżankę.

– Ma pani ochotę na filiżankę herbaty dla odmiany?! – zawołał wątłym głosem, gasząc papierosa bez filtra, który już go parzył w palce. – Właśnie wstawiłem wodę.

– Nie, dziękuję.

W przeciwieństwie do niego niezapowiedziany gość zdawał się nie widzieć problemu w marnotrawieniu beczynnych minut. Może człowiek musi stracić zęby, nabawić się hemoroidów i mieć poźółkłe paznokcie, żeby zacząć się wzbraniać przed czekaniem choćby trzydziestu minut na niepewne spotkanie. Tyle już właśnie czasu siedział jak kłębek nerwów na tapicerowanej sosnowej ławce, ostatnim meblu, który kupował razem z żoną.

Maria zawsze była punktualna. Najczęściej przychodziła nawet sporo za wcześnie. Tę cechę miała wspólną z rakiem, który zaatakował jej płuca.

Cóż za ironia. W przeciwieństwie do niego Maria nigdy nie paliła.

Co jest? Mężczyzna zakręcił kurek z wodą nad wypełnionym do połowy czajnikiem i podszedł do okna. Z pochyloną na bok głową nasłuchiwał, czy powtórzy się odgłos drapania. Możliwe, że nie zamknął dobrze wieka od kontenera na śmieci, co oznaczało, że mimo parszywej pogody będzie musiał jeszcze raz wyjść na zewnątrz. Nie chciał, żeby dziki zryły mu świeżo ułożony trawnik z rolki.

Małe okno, przy którym stał, wychodziło na tyły domu. Wzrok zazwyczaj sięgał z tego miejsca aż do przystani z pontonu na stawie, ale tym razem kontrast pomiędzy jasnym oświetleniem wnętrza kuchni a atramentową ciemnością na dworze był tak duży, że widok urywał się kilka centymetrów za szybą. Tym bardziej się przeraził, kiedy czyjaś pokierszowana twarz przywarła do okna.

Co do...

Stary człowiek cofnął się gwałtownie, omal nie przewracając się o jeden z taboretów. Przerażająca maska zniknęła za warstewką pary, którą pozostawił na szkle ciepły oddech. Jedyne, co staruszek był w stanie rozpoznać, to skrępowane ręce, które w tym momencie zaczęły dobijać się do okna.

Wzdrygnął się ponownie, próbując sobie przypomnieć, gdzie schował harpun, który miał mu służyć w razie konieczności do obrony. Dopiero gdy właściciel twarzy na zewnątrz zaczął wołać, zrozumiał swoją pomyłkę.

– Halo? Jesteś tam?

Nawet jeśli nie mógł uwierzyć, że ten znajomy głos należy do tej zniekształconej facjaty, nie miał wątpliwości. Facet na zewnątrz nie był obcy. Wręcz przeciwnie.

Staruszek, powłócząc nogami, wyszedł z kuchni do tylnego wejścia domku letniskowego.

– Spóźniłeś się – burknął, gdy udało mu się wreszcie otworzyć klinujące się drzwi. – Jak zawsze.

– Przepraszam, tato. – Napuchnięta twarz znalazła się bliżej. Mężczyzna pociągał jedną nogą, utrzymując całe ciało pod dziwnym kątem.

– Co ci się stało? Wpadłeś pod autobus?

– Gorzej.

Robert Stern wyminął ojca i wszedł do salonu. Nie mógł uwierzyć oczom, gdy zobaczył, kto tam na niego czeka.

29

Co ty tu robisz? – zdążył jeszcze spytać, zanim zawirowała przed nim podłoga domku. Ostatnią rzeczą, jaką słyszał, był urwany okrzyk połączony z odgłosem tłuczonej porcelany. Stern zwałił się na ziemię tuż obok kawałków filiżanki, którą kobieta wypuściła przestraszona w chwili, gdy go zobaczyła.

Kiedy odzyskał przytomność, nie wiedział, ani gdzie jest, ani dlaczego Carina z przerażeniem w oczach pochyła się nad nim. Kosmyk jej kręconych włosów zatańczył na czole Sterna, a on nagle zapragnął poczuć go na całym ciele. Zamiast tego nieprzyjemny ból przypomniawszy mu o ostatnich wydarzeniach, gdy napiął mięśnie karku, żeby unieść głowę.

– Simon? – wystękał. – Wiesz, gdzie...

– Bezpieczny – szepnęła zduszonym głosem. Łza stoczyła się po jej bladym policzku. – Rozmawiałam z Picassem. Postawili strażnika przed jego pokojem.

– Dzięki Bogu. – Stern zaczął nagle dygotać na całym ciele.

– Która godzina?

Usłyszał gwizd czajnika dochodzący z kuchni, co było dobrym znakiem. Jeśli ojciec ciągle krzątał się, robiąc herbatę, jego omdlenie nie mogło trwać długo.

– Tuż po wpół do dziewiątej – potwierdziła Carina.

Zobaczył, że grzbietem dłoni wyciera oczy. Chwyciła zaraz potem nóż, który musiała już wcześniej przygotować, i dwoma szybkimi cięciami uwolniła go z kajdanek.

– Dzięki. Masz jakąś wiadomość od Sophie? Wiesz, co się dzieje z bliźniaczkami? – Język sprawiał wrażenie spuchniętego do rozmiarów piłki tenisowej.

– Tak. Wysłała mi SMS. Któryś sąsiad musiał nas dziś widzieć i zawiadomił policję. Właśnie przeszukują jej dom.

Stern odetchnął z ulgą. Przynajmniej dzieci były bezpieczne.

– Nie możemy tu zostać.

Stern zamilkł, gdy szarozielone filcowe pantofle zbliżyły się do jego twarzy i zatrzymały tuż obok. Zaciśnął zęby, oparł się pięściami o zniszczoną wykładzinę i uniósł tułów do góry.

– Nie dość, że się spóźniasz, to jeszcze chcesz zaraz się zmyć? Wszystko jasne. – Gdyby Robert wcisnął monetę między gniewne zmarszczki na czole ojca, na pewno nie upadłaby na podłogę. Georg Stern usłyszał ostatnie słowa swego syna, kiedy wchodził do salonu z dzbankiem herbaty. – Szczerze mówiąc, wcale mnie to nie dziwi. Nic a nic.

– Nic mu nie mówiłaś? – Stern zwrócił się do Cariny, która wyglądała, jakby przeszła co najmniej takie samo piekło jak on. W dodatku zalatywało od niej dworcową knajpą.

– Nie, nic konkretnego. Tylko że mamy kłopoty i że potrzebujemy schronienia.

– Ale skąd wiedziałaś, że...

– Tak, kłopoty – przerwał mu zdenerwowany ojciec. – Znowu, Robert, co? Gdybyś miał powody do świętowania, na pewno bym cię tu nie zobaczył.

– Przepraszam pana, ale...

Sternowi z trudem udało się zająć miejsce na ławce, podczas gdy Carina stanęła w groźnej postawie przed jego ojcem.

– Nie widzi pan, co się stało z pana synem?

– Ależ widzę. I to bardzo dobrze. Jeszcze nie oślepiłem, skarbie. W przeciwieństwie do niego. Chyba nie wie, że przed nim nie stoi żaden głupek.

– Co ma pan na myśli?

– A to, że istnieje coś takiego jak telewizja. Możecie mnie uważać za stetryczalego, ale jeszcze potrafię rozpoznać własne dziecko, kiedy pokazują je w wiadomościach jako zbiegłego przestępcę. No i kilka razy już naprzykrzał mi się komisarz Brandmann. To tylko kwestia czasu, gdy pojawi się i tuaj. Robert ma więc wyjątkowo rację, mówiąc, że nie możecie tu zostać.

– W takim razie tym bardziej nie rozumiem, dlaczego tak okropnie go pan traktuje, skoro pan wie, przez co on teraz przechodzi.

– To bardzo proste, dziecinko. – Ojciec Sterna klasnął w szorstkie dłonie. – Wiem, oczywiście, że siedzi po uszy w gównie. Już od dziesięciu lat. Dziś doszły do tego kolejne problemy. Ale co mam zrobić? Przecież Robert ze mną nie rozmawia. Wpada na chwilę i gędzi o pogodzie, Bundeslidze albo o moich wizytach u lekarzy. Mój syn traktuje mnie jak obcego człowieka. Nie dopuszcza mnie do siebie. Nawet teraz, gdy pilnie potrzebuje mojej pomocy...

Kiedy ojciec odwrócił się w jego stronę, Stern dostrzegł w jego wyblakłych oczach wilgotny blask.

– Już zacząłem cię nawet obrażać. Za każdym razem, gdy rozmawiamy albo się widzimy. A ty jesteś na to głuchy. Nie potrafię do ciebie dotrzeć. A tak bardzo chciałbym...

Odchrząknął, żeby ukryć łamiący się głos, i znów zwrócił się do Cariny, która stała nieporadnie na środku pokoju.

– Ale może tobie się to uda, dziewczyno. Od razu wiedziałem, że masz tupet. Już trzy lata temu, kiedy z nim przyjechałaś, miałaś odwagę nie zgodzić się z głupotami, jakie wygadywałem. I znów to robisz. To dobrze.

Georg Stern otworzył usta, jakby miał jeszcze coś ważnego do powiedzenia, ale tylko klasnął jeszcze raz w dłonie i odwrócił się do nich skrzywionymi plecami.

– Wystarczy już – mruknął do siebie. – Nie czas teraz na sentymenty.

Wyszedł z pokoju, szurając nogami, żeby po chwili wrócić z małą brązową kosmetyczką.

– Proszę.

– Co to jest? – spytała Carina, wyciągając rękę.

– Domowa apteczka Marii. Jej zapas leków. Moja żona pod koniec łykała opiaty jak cukierki. Data przydatności na pewno już dawno minęła, ale może tramadol jeszcze działa. Robert wygląda, jakby mu się przydał dobry łyk znieczulenia. – Uśmiechnął się krzywo. – A to dla was obojga.

Stern złapał klucz, który ojciec rzucił w jego stronę.

– Do czego to?

– Samochodu kempingowego.

– Od kiedy to jeździsz...

– Ja nie. To własność sąsiadów. Eddie wyjechał, a ja miałem przestawić kobyłę, gdyby dostawca oleju opałowego chciał dostać się na jego działkę. Weźcie, zmywajcie się i poszukajcie jakiegoś spokojnego miejsca na noc.

Georg uklęknął i spod ławki, na której siedział Robert, wyciągnął torbę podróżną.

– A tu są czyste ubrania, swetry i coś tam jeszcze, żebyście mieli się w co przebrać.

Stern wstał i nie wiedział, co ma powiedzieć. Najchętniej objąłby teraz ojca. Ale jeszcze nigdy tego nie robił. Odkąd sobie przypominał, na powitanie i pożegnanie zawsze podawali sobie tylko dłonie.

– Jestem niewinny – powiedział zamiast tego.

Ojciec, który szedł już w stronę korytarza, odwrócił się nagle.

– Powiedz, za kogo ty mnie w zasadzie uważasz? – wyrzucił z siebie wściekły. Jego głos znów brzmiał tak samo mocno i gniewnie jak zazwyczaj. – Naprawdę myślisz, że choć przez sekundę w to wątpiłem?

Później, na długo po tym, jak ucichł dźwięk diesla i czerwone światła znikły za wjazdem na teren ogródków działkowych, Georg Stern nadal stał w drzwiach swojego domku i wpatrywał się w deszczową ciemność. Wszedł do środka dopiero, kiedy zmienił się kierunek wiatru i mżawka zaczęła zacinać mu prosto w oczy. W salonie zebrał brudne filiżanki, wytarł na mokro stół i wylał do zlewu resztki zimnej herbaty. Później wyjął

komórkę ze stacji ładującej i wybrał numer, który tamten mężczyzna zostawił mu na wszelki wypadek.

30

Biorąc pod uwagę niewielką ilość czasu, jaka im pozostała, postój dla ciężarówek za motelem przy ruchliwej autostradzie AVUS był najlepszym schronieniem na tę noc. Na bezpłatnym parkingu, przy terenach targowych, o każdej porze roku stało mnóstwo samochodów dostawczych i kempingowych. Jedno auto mniej czy więcej nie będzie się rzucać w oczy.

– To pułapka – powiedziała Carina, kiedy zatrzymali się dwie zatoczki za niewielką furgonetką do przeprowadzek. W trakcie krótkiej jazdy nie zdążyli omówić wszystkich najważniejszych szczegółów.

– Nie możesz jutro pojechać na most. Za żadne skarby.

Z grymasem bólu na twarzy Stern mozolnie przeniósł się z przedniego siedzenia pasażera na tył samochodu. Połknął sporo tabletek z apteczki matki i opiaty powoli zaczynały działać. Wyczerpany położył się z tyłu kampera na zaskakująco wygodnej koi. Carina zaciągnęła hamulec ręczny, zgasiła silnik i dołączyła do niego.

– Nie mam wyjścia. – Stern przemyślał już wszystkie możliwości. – Nie mogę zgłosić się na policję.

– Dlaczego?

– Za późno na to. Powinienem być zostać w samochodzie Englera, zamiast uciekać. Do tego z jego służbową bronią! Ale w szoku myślałem tylko o ucieczce. Myślałem, że mi nie uwierzą, że spotkałem się sam z Englerem i w dodatku że jako jedyny przeżyłem napaść.

– Przecież tak było.

– Poza tym w policji musi być jakiś kret. „Głos” wie o każdym naszym kroku. Jeśli pójdę teraz na policję, zmieni swoje plany. Odwoła spotkanie,

zniknie, a ja nigdy się nie dowiem...

...co się stało z Feliksem, dodał w myślach.

– Może już to zrobił?

Carina usiadła przy nim na łóżku, rozpięła górny guzik jego koszuli i poprosiła, żeby się podniósł.

– Odwołał spotkanie? Możliwe. Na pewno już wie, że żyję. Ale nie wie, że zdobyłem dokładny adres mostu. On koniecznie chce załatwić mściciela. Dopóki źródło z policji nie ostrzeże go, będzie chciał przeprowadzić całą akcję. A jak na razie nie mają żadnych powodów, żeby tak zrobić. Rozmawiałam dotychczas tylko z Englerem, a on nie żyje.

Stern wysliznął się jak wąż z przepoconej bawełnianej koszuli i położył na brzuchu. Usłyszał, jak Carina głośno wciąga powietrze, kiedy zobaczyła ogromne stłuczenia wokół kręgosłupa. Potem poczuł nieprzyjemne zimno powyżej kręgów lędźwiowych i napiął mięśnie.

– Przepraszam. Maść na początku jest zimna, ale zaraz cię rozgrzeje.

– Mam nadzieję.

Nie chciał pokazać, że jest mięczakiem, ale w tej chwili był gotów krzyczeć z bólu, gdyby nawet motyl usiadł mu na plecach.

– Pomówmy lepiej o tobie, Carina. Poszukują cię za uprowadzenie dziecka. Twoje odciski palców są na klamce willi pośrednika, twój samochód stoi pod jego drzwiami. I dopóki nie udowodnię swojej niewinności, uciekasz z mordercą policjanta – wyliczał Robert. – Musimy się zastanowić, w jaki sposób możesz się zgłosić na policję, żeby...

– Ciii... – szepnęła. Nie wiedział, czy chciała go w ten sposób uspokoić, czy uciszyć. – Obróć się.

Zacisnął zęby i przekręcił się na plecy. Ruch nie wywoływał już takiego bólu. Środki przeciwbólowe zaczynały działać.

– ...żeby nie było podstaw do oskarżenia cię o coś, tak jak mnie.

– Nie teraz – powiedziała cicho, odgarniając mu z czoła zabrudzony krwią kosmyk włosów. Stern odetchnął głęboko, delektując się subtelnym masażem jej wprawnych dłoni. Delikatne palce, wykonując okrężne ruchy, wędrowały od szyi, przez ramiona w dół ciała. Przesuwały się po jego

nagiej piersi, zatrzymując się na dłużej nad bijącym gwałtownie sercem, by po chwili powędrować w dół.

– Nie mamy dużo czasu – szepnął. – Wykorzystajmy go sensownie.

– Tak zrobimy – przerwała mu, gasząc światło.

To przecież szaleństwo, pomyślał. Nie był pewien, co go teraz bardziej odurza. Środki przeciwbólowe w krwiobiegu czy jej oddech na skórze. Ból jeszcze raz gniewnie dał o sobie znać, kiedy Stern spróbował się podnieść, żeby ją powstrzymać. A potem niczym nadąsane dziecko schował się w najdalszym kącie jego świadomości, gdzie w towarzystwie przytłaczających obaw i zmartwień zastygł w pozycji wyczekującej.

Stern rozluźnił się niemal wbrew własnej woli. Rozchylił usta, smakował jej ciepły oddech zmieszany z jego łzami, które Carina zebrała językiem z jego powiek. Świst wiatru, smagającego ściany kampera, przeistoczył się w przyjemną melodię. Stern chciał myśleć o Feliksie, o chłopcu ze znamieniem i o planie, który mógłby rozwiązać ich nierzeczywiste problemy, ale nie udało mu się nawet zacząć żałować błędu, który przed laty oddzielił go od Cariny. Na parę godzin wóz kempingowy zmienił się w kokon, całkowicie izolujący ich od zewnętrznego świata, który zatracił jakąkolwiek normalność.

Stan złudnego bezpieczeństwa nie trwał niestety zbyt długo. Kiedy tuż przed piątą rano burzowy grzmot brutalnie przywrócił go do rzeczywistości, Carina ciągle walczyła we śnie z niewidzialnymi przeciwnikami. Uwolnił się z jej niespokojnego objęcia, ubrał się i z wykrzywioną bólem twarzą usiadł za kierownicą. Gdy piętnaście minut później zatrzymał się na parkingu przed kliniką Seehaus, otworzyła oczy, przeciągnęła się, wstała i powoli przeszła do niego na przód.

– Co tu robimy? – spytała. Usiadła na siedzeniu pasażera i gapiła się przez szybę. Jej głos brzmiał zdecydowanie, jakby już dawno całkiem się obudziła, po tym jak ktoś chlusnął jej w twarz szklanką zimnej wody.

– Tu wysiądziesz.

– Nie ma mowy. Jadę z tobą.

– Nie. Nie ma sensu, żebyśmy tam jechali obydwoje.

– A co ja mam tu robić?

Stern przemyślał wszystko dokładnie, z czego wyszedł plan tak śmieszny, że nawet nie zasługiwał na tę dumną nazwę. Wyjaśnił jej wszystko. Protestowała, tak jak się tego spodziewał. Ale w końcu zrozumiała, że nie mają innego wyjścia. Jeśli w ogóle jakieś było.

Stern czuł jej opór, kiedy ostatni raz przyciągnął ją do siebie. Wiedział, że poczuła wstręt nie do pocałunku, tylko do jego znaczenia. Po tym, jak wczoraj odnaleźli się na nowo, kilka godzin później pieczętował właśnie ich rozstanie, które tym razem może potrwać dłużej niż stracone wcześniej trzy lata. Być może nawet całą wieczność.

PRAWDA

Jestem pewien, że byłem tutaj, tak jak jestem teraz, tysiące razy, i mam nadzieję powrócić tu jeszcze tysiące razy.

Johann Wolfgang von Goethe

A jak postanowione ludziom raz umrzeć, a potem sąd (...).

List do Hebrajczyków 9,27

Przebaczenie to sprawa między nimi a Bogiem.

Ja tylko zaaranżuję ich spotkanie.

Denzel Washington w filmie *Człowiek w ogniu*

This could be the end of everything, So why don't we go Somewhere only we know?

Ballada zespołu Keane

1

W ostatnich godzinach Stern wiele widział. Ciało z rozłupaną czaszką, trupy w gabinecie lekarskim i w lodówce. Na jego oczach ludzi bito, wieszano i wykonywano na nich wyrok. Musiał znieść widok dziecka, które rozpaczliwie próbowało złapać oddech przez foliową torbę, i tańczącego przed nim w pokoju nagiego mężczyzny. Znany mu obraz świata został przez to wyrwany z dotychczasowych ram. Bezwzględny jurysta zmienił się w sceptyka, który nie odrzuca już kategorycznie możliwości ponownych narodzin, odkąd Simon prowadzi go od jednego niewyjaśnionego zjawiska do drugiego.

Morderstwo, wymuszenie, pedofilia, ucieczka i niewyobrażalny ból. Stern przeszedł to wszystko, żeby się dowiedzieć, co się stało z jego synem. A mimo to niektóre jego zajęcia tego weekendu nie różniły się od typowych zajęć innych berlińczyków. Był na spacerze w zoo, tańczył w dyskotecie i zrobił kilka kółek na diabelskim młynie. Również ostatni cel jego podróży różne magazyny turystyczne podpowiadały jako dobry pomysł na wypad za miasto. Chociaż polecano zdecydowanie inny dojazd i inną porę dnia.

Droga, którą godzinę przed wschodem słońca wybrał Robert, prowadziła przez gęste deszczowe ciemności berlińskiego Grunewaldu. Zatrzymał kamper na poboczu Heerstrasse i ostatnie metry do jeziora pokonał pieszo. Wachlarze mokrych gałązek jodły uderzały go w twarz, a ostre gałęzie krzaków drapały skórę do krwi. Powoli posuwał się naprzód. Musiał być ostrożny, żeby nie wpaść w jakąś kałużę, nie potknąć się o korzeń lub cokolwiek innego, co jeszcze bardziej obciążałoby jego kontuzjowaną nogę. Jak dotąd ból był do wytrzymania. Tłumaczył to zwiększonym

poziomem adrenaliny, bo nie brał już żadnych leków. Nie chciał spowolnić swojego czasu reakcji, skoro miał być zaraz świadkiem sprzedaży dziecka.

Albo świadkiem morderstwa.

W pewnym momencie pojawiło się kolejne niebezpieczeństwo. Wiatr. Co chwila silny powiew łamał jakąś spróchniałą gałąź i miotał nią o ziemię. Momentami odnosiło się wrażenie, jakby łamały się całe korony drzew i Stern ucieszył się, kiedy słaby promień małej latarki doprowadził go z powrotem do utwardzonej drogi.

Zostało mu jeszcze tylko parę metrów do Havelchaussee i zaraz dotrze nad wodę. A „Most”, o którym niejasno mówił Simon, znajdował się dokładnie przed nim. Bujał się tak mocno, że już od samego patrzenia można było dostać morskiej choroby. Nieregularne porywy wiatru szarpały dwumasztowcem i napinały trzeszczące liny, jakby chciały oderwać restauracyjny statek od brzegu.

„Najświeższa ryba w mieście” widniało na oświetlonym szyldzie przy wejściu.

Od wczoraj Stern znał już dwuznaczność tej reklamy. Dla niewtajemniczonych „Most” był ulubionym lokalem do wypadu za miasto, który szczególnie w cieplejszych miesiącach cieszył się dużą popularnością. Tylko w poniedziałki restauracja była oficjalnie nieczynna i tego właśnie dnia spotykały się tu „zamknięte grupy”.

Zdjęcia, filmy, adresy, numery telefonów, dzieci...

Stern nie chciał nawet myśleć, jak przerażająca giełda odbywała się tu tydzień w tydzień.

Wytarł krople deszczu z twarzy i spojrzął na zegarek. Jeszcze pięć minut.

Schował się na końcu ulicy za pustą przyczepą do przewożenia łódek i czekał na mężczyznę, o którym nie wiedział nic, znał jedynie brzmienie jego głosu. Wyglądało na to, że jeszcze nie dojechał. Nie licząc dwóch małych świateł pozycyjnych, statek był zupełnie nieoświetlony. Również na parkingu dla gości nikogo nie dostrzegł.

O tej porze dnia Havelchaussee była jeszcze zamknięta dla ogólnego ruchu ze względu na ochronę przyrody. Dlatego też pomimo silnego szumu

wiatru już z daleka usłyszał głucho dudnienie ośmiocylindrowego silnika, które powoli zbliżało się od strony Zehlendorfu.

Ciemny samochód terenowy miał włączone tylko światła postojowe i jechał dość szybko. Stern miał prawie nadzieję, że kierowca chce tylko skrócić sobie drogę, przejeżdżając nad wodą, i że zaraz pojedzie dalej. Ale wtedy zgasły przednie reflektory i ogromne auto z chrzęstem szerokich opon skręciło na zjazd w stronę „Mostu”. Zatrzymało się jakieś pięćdziesiąt metrów przed kładką. Wysiadł mężczyzna. Stern w ciemności dostrzegał tylko niewyraźne zarysy sylwetki. Jednak to, co zobaczył, wydało mu się dziwnie znajome. Wysoka, prosta postać, o szerokich ramionach, poruszająca się ciężkim zdecydowanym krokiem. Znał to. Już widział. I to często.

Tylko u kogo?

Mężczyzna postawił kołnierz ciemnego trencza, naciągnął sportową czapkę na czoło i otworzył klapę bagażnika. Wyjął z niego mały kosz, na którym leżał jasny koc.

Wiatr zmienił na chwilę kierunek i wiał teraz w stronę Sterna. Ten nie był pewien, czy napięte zmysły nie płatają mu figla. Wydawało mu się, że przez moment słyszał płacz dziecka.

Odczekał, aż mężczyzna zamknie żeliwną furtkę, zagrządzając wejście na trap. Potem sięgnął do kieszeni spodni. Często słyszał o uspokajającym działaniu broni trzymanej w dłoni. Sam nie mógł tego potwierdzić. Może dlatego, że wiedział, do kogo należał pistolet. Do mężczyzny, który poświęcił dla niego własne życie, a którego spotykał wyłącznie jako wroga.

Jednak jego plan nie przewidywał wymiany ognia z doświadczonym zabójcą. Jeśli Simon z jakiegoś powodu naprawdę przepowiedział przyszłość, za parę sekund powinna pojawić się kolejna osoba. Kupiec! Może był pedofilem. Ale bardziej prawdopodobne, że to „mściciel”. Mężczyzna, który odpowiada za zabójstwa przestępców w ciągu ostatnich piętnastu lat. Tak czy inaczej policja powinna się pośpieszyć, jeśli miało nie dojść tu dziś do katastrofy.

Stern spojrział ostatni raz na zegarek. Tuż przed szóstą. Jeśli Carina trzymała się planu, najpóźniej za dziesięć minut wyludniona szosa zamieni się w tor wyścigowy dla radiowozów, policyjnych transporterów i samochodów operacyjnych różnego typu. Na wypadek gdyby jednak coś poszło nie tak, gdyby w policji faktycznie działał kret, który udaremniłby aresztowanie, Stern chciał się zabezpieczyć i poznać wcześniej tożsamość „głosu”. Tożsamość mężczyzny, który mógł mu powiedzieć, co się stało na oddziale dla noworodków dziesięć lat temu.

I czy jego syn nadal żyje.

Wyszedł z przyczepy. Był gotów. Zaczęło się.

2

Pochylony skradał się w dół brukowanego dojazdu do „Mostu”. Już ten krótki odcinek do samochodu wywołał u niego zadyszkę. Oparł się o zapasowe koło, zamocowane przy tylnej szybie terenówki. Uspokoił nieco oddech i włączył latarkę, żeby odczytać tablicę rejestracyjną. Wskazówka numer jeden.

Krótki szereg cyfr był łatwy do zapamiętania. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że samo sprawdzenie dowodu rejestracyjnego nie wystarczy. Wyprostował się, przyjrzał dokładnie tyłowi auta i nagle jego wzrok przykuła smuga światła na górnym pokładzie „Mostu”. Najwidoczniej handlarz również posługiwał się latarką.

No dobrze.

Stern chciał otworzyć wejście na trap. Musiał podejść tak blisko do „głosu”, jak tylko się dało, aby zobaczyć jego twarz. Serce zaczęło mu mocniej bić. Teraz musiał już działać błyskawicznie. Dopóki nie pojawił się rzekomy kupiec, „głos” nie będzie niczego podejrzewał, jeśli usłyszy jakiś ruch na parkingu.

Stern modlił się, żeby wytrzymać ból podczas krótkiego sprintu do statku. Już miał wybiec, gdy jego spojrzenie zatrzymało się na przednich drzwiach pasażera.

Zdumiał się. *Czy one są...?* Rzeczywiście, otwarte. Nie zatrasnęły się dostatecznie. Uchylił je i zaraz tego pożałował.

Cholera!

Automatycznie włączyło się wewnętrzne oświetlenie, a Stern poczuł się, jakby wystrzelił w niebo racę. Wsiadł szybko do środka, zamknął za sobą

drzwi i patrzył z ciemnego samochodu, czy nieznajomy na „Moście” coś zauważył. Snop światła na pokładzie zniknął. Zapaliła się mała lampka w sterówce. Stern dostrzegł cień. Zatem nie został odkryty przez mężczyznę, którego uważał za „głos”.

Szybko.

Siedział na siedzeniu pasażera i rozglądał się dookoła. PUŁAPKA! – włączyła się ostrzegawcza lampka w głowie Sterna, gdy zauważył, że w stacyjce tkwią klucze. Sięgnął po pistolet, przewyciężył wszelkie odruchy ucieczki, odwrócił się, precyzyjnie przycisnął na tylne siedzenie i ponad zagłówkami zajrzał do obszernego bagażnika. Kiedy się upewnił, że wbrew oczekiwaniom jest jedyną osobą w samochodzie, włączył centralny zamek.

Jednak nie pułapka?

Stern sprawdził w lusterku wstecznym, czy nie nadjeżdża drugie auto. Ale nie dostrzegł najmniejszego ruchu, pomijając drzewa, których gałęzie wyginały się pod wpływem wiatru jak wędziska. Otworzył schowek na rękawiczki, w którym znalazł jedynie plastikowy pojemnik z chusteczkami odświeżającymi. Odsunął osłonę przeciwsłoneczną i sprawdził boczne kieszenie w drzwiach. Nic. Żadnych wskazówek zdradzających tożsamość kierowcy.

Oczy Sterna przyzwyczajają się powoli do mroku. Zauważył, że całe wnętrze jest tak czyste i puste, jakby siedział w samochodzie prosto z salonu. Żadnych płyt CD, starych rachunków za benzynę, map czy innych rupieci, jakie każdy kierowca wozi zazwyczaj ze sobą. Nie znalazł nawet karty parkingowej. Sprawdził jeszcze pod siedzeniami, czy nie ma tam ukrytych schowków. Bez efektu. Oparł się łokciem o przegrodę oddzielającą oba przednie siedzenia. Kiedy postanowił wysiąść, olśniło go.

Przegroda!

Oczywiście. Zdecydowanie za szeroka, jak na zwykłą podpórkę pod łokieć. Pociągnął najpierw za zły koniec, ale w końcu otworzyła się z cichym szcęknięciem. Znajdujący się pod skórzaną pokrywą schowek był tak samo pusty jak całe wnętrze samochodu. Z jednym wyjątkiem. Dwoma palcami Stern wyjął błyszczący srebrny krążek. Marne światło z „Mostu”

wystarczyło, żeby odczytał datę, jaką ktoś napisał na DVD zielonym flamastrem.

Był to ostatni dzień życia jego syna.

3

W tak wielkim szpitalu jak klinika Seehaus odwiedzający rzucali się w oczy tylko wtedy, kiedy sami zwrócili na siebie uwagę. A więc pytali portiera o drogę, kopcili papierosy w poczekalni albo zaklinowali się w obrotowych drzwiach z olbrzymim bukietem kwiatów. Kobieta w szarym dresie do joggingu bez ciężkiego bagażu była natomiast całkowicie niewidoczna, nawet jeśli o tak wczesnej porze pośpiesznie zmierzała w kierunku wind.

Carina wiedziała, że przygotowania do śniadania szły pełną parą i za chwilę nowa zmiana zacznie pracę. Poziom koncentracji lekarzy i pielęgniarek osiągnął najniższy stan. Ostrożnie otworzyła szklane drzwi i weszła na korytarz oddziału neurologicznego. Cały czas chowała twarz pod kapturem sportowej bluzy, którą dostała wczoraj od ojca Roberta. Nie chciała ryzykować rozpoznania przed dotarciem do celu.

Na końcu korytarza wisiał duży okrągły zegar. Jeszcze dwie minuty. Za sto dwadzieścia sekund zamierzała wyrwać ze snu personel szpitala. To była ważna część planu.

„Tuż przed szóstą wejdiesz na oddział i podniesiesz alarm. Chciałbym, żeby możliwie dużo twoich kolegów było świadkami, jak podchodzisz do strażnika przed pokojem Simona” poinstruował ją wcześniej Robert.

Nie mogło być później żadnych wątpliwości, że dobrowolnie się poddała. Musiała mu też obiecać coś jeszcze.

„Jak tylko oddasz się w ich ręce, powiedz im, gdzie jestem. Ale dopiero punktualnie o szóstej. Ani sekundy wcześniej” przypomniała sobie ostatnią rozmowę, idąc w głąb korytarza.

– Dlaczego nie? – spytała go wtedy. – I tak minie co najmniej pięć minut, zanim pojawi się pomoc.

– Tak. To czas, którego potrzebuję, żeby się dowiedzieć, co się stało z moim synem. Jeśli na „Moście” faktycznie dojdzie do sprzedaży niemowlęcia, dalsza zwłoka będzie zbyt niebezpieczna dla dziecka.

– Ale jeśli się spóźnią, zginiesz.

Zmęczony pokręcił tylko głową.

– Nie wierzę, że „głos” chce mnie zabić. Miał na to w ostatnich dniach wystarczająco dużo okazji.

– To czego chce?

Zamiast odpowiedzi po raz ostatni ją pocałował, a potem odjechał.

Zatrzymała się. Mleczne drzwi do pokoju pielęgniarek były zazwyczaj otwarte, teraz wyglądało na to, że żeńska część personelu zrobiła sobie pierwszą zasłużoną przerwę na kawę. Carina usłyszała jasny, nieznany śmiech za drzwiami. Przypuszczała, że to pewnie jakaś praktykantka z innego oddziału, ściągnięta na jej miejsce.

Tyk.

Wskazówka na zegarze połknęła kolejną minutę ich planu. Podniosła rękę, żeby zapukać – i znieruchomiała.

Nie, to niemożliwe... przeszło jej przez myśl. Kiedy wchodziła na korytarz, nie zaryzykowała spojrzenia w stronę pokoju numer 217. Policjant przed drzwiami powinien ją zobaczyć dopiero, kiedy ona o tym zdecyduje. Nie odwrotnie. Mimo to kątem oka zauważyła coś, co się jej nie spodobało.

Pustka!

Odwróciła się powoli i obrzuciła spojrzeniem długi aseptyczny korytarz. Nie było tam nikogo. Żadnego mężczyzny, żadnej kobiety, żadnego policjanta. Nikogo.

Może gliniarz zrobił sobie przerwę na papierosa?

Carina powoli ruszyła korytarzem.

Dobrze. Może poszedł do toalety. Albo zajrzał do pokoju chłopca. Ale czy przed drzwiami nie stałoby wtedy krzesło?

Pokój 203, 205, 207. Szła coraz szybciej.

A może faktycznie zrezygnowali z ochroniarza? Ale po tym, jak Simon został porwany? Akurat dziś?

Pokój 209 minęła biegiem.

– Hej, Carina? – usłyszała za sobą niepewne wołanie.

Prawdopodobnie praktykantka. W przeciwieństwie do wcześniejszego śmiechu, głos wydał jej się teraz znajomy, ale i tak się nie obróciła. To mogło i musiało poczekać.

Szarpnęła drzwi do pokoju 217 i miała ochotę zacząć krzyczeć, bo zobaczyła dokładnie to, czego się obawiała: nic. Ani śladu dziecka. Ani śladu Simona. Jedynie świeżo zasłane pojedyncze łóżko, czekające na nowego pacjenta.

– Carina Freitag? – znów odezwała się dziewczyna. Tym razem tuż za nią.

Odwróciła się. Rzeczywiście nowa. Znała ją. Rudowłosa dziewczyna siedziała kiedyś obok niej w bufecie. Marianne, Magdalena, Martina... albo jakoś tak. Nieważne, jak się nazywała. Dla Cariny liczyło się teraz tylko jedno imię, a ten, który je nosił, zniknął.

– Simon, gdzie on jest?

– Przenieśli go, ale ja...

– Przenieśli? Dokąd?

– Do kliniki Kennedy'ego.

– Co? Kiedy?

– Nie mam pojęcia. Taki był wpis w księdze. Dopiero zaczęłam zmianę. Posłuchaj, nie chcę mieć kłopotów. Dostałam polecenie, żeby natychmiast sprowadzić ordynatora, jak tylko się pojawi.

– To zrób to. I najlepiej zadzwoń od razu na policję.

– Dlaczego? – Pielęgniarka opuściła dłoń, w której trzymała słuchawkę telefonu.

– Bo Simon został uprowadzony. W JFK nie ma neurologii. To prywatna klinika, zajmuje się medycyną ogólną!

– Och...

– Kto wyraził zgodę? Kto miał przed tobą dyżur?

Rudowłosa była zupełnie zdezorientowana. Wymieniła kilka nazwisk, aż Carina poprosiła ją, żeby powtórzyła jedno z nich. Niemal potknęła się o własne nogi, kiedy pędem wyleciała z pokoju, mijając pielęgniarkę.

Picasso? Od kiedy znów bierze nocne zmiany?

4

Stern przekręcił kluczyk w stacyjce terenówki, włączając dopływ prądu do nowoczesnego odtwarzacza, który z sykiem łąpczywie połknął płytę. Nie zwracał już uwagi na ruch na „Moście”. Patrzył wyłącznie na ekran, czując się jak student, który nie może znaleźć swojego nazwiska na liście osób z pozytywnym wynikiem egzaminu. Tyle że tym razem chodziło o życie jego syna albo, co było bardziej prawdopodobne, o jego śmierć.

Kiedy pojawił się obraz, Robert pomyślał najpierw, że to kopia filmu, który już raz widział. Zaczynał się tak samo, zielonkawym wieczornym obrazem oddziału dla noworodków. Znów Felix leżał w łóżeczku, znów wyciągał prawą rączkę i rozstawiał drobne paluszki. Stern miał ochotę się odwrócić i zamknąć oczy, ale wiedział, jak bezsensowne by to było, zważywszy, że kolejne ujęcia wypaliły na zawsze znamię w jego oczach już wtedy, gdy na starym telewizorze w swojej willi oglądał je po raz pierwszy: nieruchome ciało Feliksa, sine usta i oczy pozbawione życia, które po latach ciągle oskarżały ojca, dlaczego nie powstrzymał śmierci. Stern złożył dłonie w geście modlitwy, ugryzł się w język z życzeniem wybudzenia się z tego koszmaru. Nie przyszedł tu po to, żeby ponownie obserwować śmierć syna.

Ale w takim razie po co? Naprawdę jesteś takim idiotą i myślałeś, że istnieje inne wyjaśnienie?

– Tak! – zaczął mówić do siebie. – Felix żyje. Nie chcę, żeby jego serce przestało bić. Proszę, nie pozwól mu umrzeć. Nie drugi raz.

To były bardziej błagania niż modlitwa. I chociaż nie wymienił adresata swoich rozpaczliwych prośb, wyglądało na to, że jego słowa odniosły jakiś

skutek.

Co się dzieje?

Kolejne ujęcia różniły się znacznie od tych z pierwszego filmu. Nagle nad łóżeczkiem pojawił się cień. Kamera zrobiła zbliżenie, a obraz stał się bardziej rozmyty. I stało się coś niepojętego. Przez kadr prześliznęły się szorstkie męskie dłonie. Najpierw jedna, potem druga. Wyciągnęły się po Feliksa i jedna zatrzymała się przy jego główce. Stern nie wiedział, co robić, obawiał się, że kolejne sceny będą jeszcze bardziej przerażające niż wszystko, co dotychczas przeszedł. Spróbował poruszyć palcami, chciał wyłączyć odtwarzacz, ale kiedy serce pragnęło jednym przyciskiem przerwać cierpienia, mózg sprzeciwiał się temu. W końcu poddał się nieuchronnemu. Czekał, aż w ciemności parkingu przed jeziorem zakończą się wreszcie jego poszukiwania odpowiedzi. Płyta kręciła się dalej. Przyglądał się rękom mężczyzny, wyciągającym się po niemowlę. Po Feliksa! Jedna podsunęła się pod główkę, druga pod plecy. Napięły się mięśnie silnych przedramion i nieznamy...

Dobry Boże, pomóż mi...

...podniósł Feliksa i...

To niemożliwe. To jest...

...wyjął go z łóżeczka.

To jest niemożliwe!

Zaledwie kilka sekund później mały materac znów był zajęty. Znów przez niemowlę. Taki sam śpiworek, zbliżona wielkość i wygląd. Była tylko jedna jedyna różnica: to nie był Felix.

A może jednak?

Nowe niemowlę było tak bardzo podobne do jego synka, chociaż coś się zmieniło w jego spojrzeniu.

Nos? Jego uszy?

Jakość nagrania była za słaba. Stern nie potrafił tego rozpoznać. Przetarł oczy i obydwoma rękami oparł się o deskę rozdzielczą. Potem zbliżył się do małego ekranu. Bez skutku. Kontury dziecka zamazały się przez to jeszcze bardziej. Z pewnością rozpoznał jedynie, że niemowlę żyło. W

dziwny sposób jego ruchy wydały mu się nawet bardziej znajome niż chłopczyka, który przed chwilą leżał na jego miejscu.

Ale to by oznaczało...

Robert spojrział na pokazującą się datę i przestał już cokolwiek rozumieć.

Jak chory na autyzm skoncentrował wszystkie swoje zmysły wyłącznie na tym, żeby zrozumieć obrazy, które widział.

Ale i tak mu się nie udało.

Podmieniony? To niemożliwe. Felix był jedynym chłopcem na oddziale. I przecież widział jego śmierć. Który z tych filmów jest prawdziwy?

Stern oddychał gwałtownie, oglądając zakończenie filmu. Kadr obejmował teraz wyłącznie główkę dziecka. Oraz owłosione męskie dłonie, które włożyły na prawą rączkę chłopca opaskę identyfikacyjną.

Po tym obraz się urwał. Nagranie dobiegło końca. Ekran pociemniał, a Stern spojrział na komórkę, która od jakiegoś czasu wibrowała w jego dłoni.

5

Dzień dobry, panie Stern.

Od jakiegoś czasu Stern wierzył, że dotarł do granicy rozpacz. Gdy usłyszał zniekształcony głos, musiał zmienić zdanie. W pomieszczeniu barowym statku wyłączono i włączono światło. Jakiś cień podszedł do dużego okna wychodzącego na parking.

– Co pan zrobił z moim synem? – wyrzucił z siebie Stern.

Chociaż niczego bardziej nie pragnął, nie mógł uwierzyć w odpowiedź.

– Zamieniliśmy go.

– To niemożliwe.

– Dlaczego? Przecież sam pan przed chwilą widział.

– Tak. A trzy dni temu przysłał mi pan film, na którym on umiera! – krzyczał Robert. – Czego pan chce ode mnie? Które nagranie jest prawdziwe?

– Oba – odpowiedział spokojnie głos.

– Kłamstwo!

– Nie. Jedno dziecko zmarło. Drugie żyje. Felix ma teraz dziesięć lat i mieszka u rodziny zastępczej.

– Gdzie?

„Głos” zrobił dłuższą przerwę, jak mówca, który sięga po szklankę z wodą. Jego brzmienie pozostało metaliczne, chociaż nie tak bardzo zniekształcone, jak przy pierwszym kontakcie.

– Na pewno chce pan to wiedzieć?

– Tak.

– W takim razie proszę otworzyć schowek na rękawiczki.

Zareagował natychmiast, jakby był zdalnie sterowany.

– Co dalej?

– Niech pan wyciągnie pudełko i je otworzy.

Drżącymi palcami Stern chwycił opakowanie z odświeżającymi chusteczkami. Kiedy odchylił plastikowe wieczko, wydobył się spod niego gwałtowny świst powietrza.

– Już.

– Dobrze. Proszę wyjąć jedną chusteczkę i przycisnąć ją do nosa i ust.

– Nie – odpowiedział instynktownie. Nie potrzebował nalepki z trupa czaszką, żeby się zorientować, jak trująca jest substancja, której opary wypełniły już wnętrze samochodu.

– Myślałem, że chce pan znów zobaczyć swojego syna?

– Tak, ale nie chcę umrzeć.

– Kto powiedział, że pan umrze? Proszę tylko przyłożyć chusteczkę do twarzy.

– A co się stanie, jeśli tego nie zrobię?

– Nic.

– Nic?

– Tak. Może pan wysiąść i pójść do domu.

I nigdy się nie dowiedzieć, gdzie jest mój syn.

– Ale to byłby błąd. Teraz, kiedy zaszedł pan tak daleko.

– Pan kłamie. Te nagrania są fałszywe.

– Nieprawda. – „Głos” odetchnął ciężko.

– To niech mi pan wyjaśni, w jaki sposób to zrobiliście. Powiedział pan, że było dwoje dzieci. – Stern ochryplł i mówił coraz głośniej. – Dlaczego nikt tego nie zauważył? Czyje było to drugie dziecko? Dlaczego je podmieniliście?

I jakim cudem przez te wszystkie lata nikt go nie szukał po tym, jak umarł w ramionach Sophie?

– Dobrze, wyjaśnię to panu. Ale później będzie znowu pana kolej.

Stern zamknął pudełko i pokręcił głową.

– Żeby wszystko było jasne, musi pan wiedzieć, w jaki sposób zarabiam pieniądze.

– Handluje pan dziećmi.

– Między innymi. Prowadzimy interesy na wielu obszarach. Handel noworodkami należy do najbardziej lukratywnych.

Stern przełknął ślinę i spojrział w lusterko wsteczne. Dwie minuty po szóstej. „Mściciel” ciągle jeszcze się nie pojawił.

– Mój biznes bazuje na wspaniałym wynalazku. Oknie życia. Na pewno zna pan te pojemniki w szpitalach, do których matka może włożyć niechciane dziecko, zamiast porzucić je gdzieś albo wręcz zabić.

– Tak.

Co to ma wspólnego z Feliksem?

– Kiedy słyszał pan ostatni raz, że zostawiono tam dziecko? Podobno dzieje się to bardzo, bardzo rzadko. Najwyżej dwa razy w roku. Ale to kłamstwo. Naprawdę zdarza się to ciągle.

„Głos” zamlaskał językiem.

– Jak tylko jakaś matka pozostawi dziecko, w klinice uruchamia się cichy alarm. Pojawia się ktoś z personelu i zajmuje się porzuconym noworodkiem. A na dwa z trzech przypadków jest to pielęgniarz, którego ja opłacam.

– Nie! – wychrypiał Stern.

– Tak, tak. To dobra strona cichego alarmu. Nikt go nie słyszy. Aby zapewnić anonimowość, nie instaluje się przy okienkach żadnych kamer. Kierownictwo szpitala nie ma więc pojęcia, ile dzieci faktycznie zostaje oddanych. Kiedy pojawia się matka, chcąc dobrowolnie pozbyć się własnego dziecka, muszę je tylko odebrać. Genialnie, że są to najczęściej niemieckie niemowlęta. A bezdzietne pary gotowe są zapłacić za nie ogromne pieniądze. Byłby to bardzo prosty interes, gdyby tylko ktoś nie zabijał ciągle moich ludzi.

Mdłości wzbierały w Sternie. To było przestępstwo idealne. Sprzedawcy dzieci nie musieli nawet ryzykować uprowadzeń. „Dobrowolnie” oddawano

im noworodki, a później nie pojawiali się żadni rodzice, którzy desperacko poszukiwali swego zaginionego maluszka.

– Nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego z Feliksem. – Stern był już u kresu sił. Wiatr z niezmienną siłą napierał na samochód.

„Głos” zrobił krótką przerwę, a Stern wstrzymał oddech. Później tama się przerwała.

– Felix pojawił się w odpowiednim momencie w nieodpowiednim szpitalu. Dzień przed jego narodzinami w okienku kliniki leżało inne, bardzo śliczne dziecko. Poinformowałem niecierpliwych klientów o szczęśliwym trafie. Ale niestety podczas badań, które przeprowadzał jeden z moich lekarzy, okazało się, że dziecko cierpi na śmiertelną wadę serca.

Stern czuł, jak wokół piersi zaciska mu się niewidzialny pas.

– Od początku było skazane na śmierć. Operacja nie miała najmniejszych szans powodzenia i nie wchodziła w ogóle w rachubę. Nikt nie mógł przecież dowiedzieć się o istnieniu tego dziecka.

Pas zacisnął się jeszcze mocniej.

– Proszę zrozumieć, w jak trudnej znalazłem się sytuacji: to była jedna z moich pierwszych transakcji. Nie chciałem i nie mogłem jej cofnąć. Z drugiej strony nie chciałem też dostarczyć wybrakowanego towaru.

– Dlatego podmienił pan niemowlęta?

– Właśnie. Tuż po rozwiązaniu. Na szczęście noworodek z okienka wyglądał jak Felix. Choć nawet gdyby był większy, grubszy i brzydszy, nigdy byście się nie zorientowali w zamianie. Nawet małe znamię zauważył pan dopiero przy drugim spotkaniu z synem. A wtedy był już podmieniony.

Stern skinął głową wbrew sobie. Głos miał rację. W stanie euforii bezpośrednio po ciężkim porodzie podano Sophie mokre i wybrudzone krwią dziecko zawinięte w kocyk. A ponieważ Felix był jedynym chłopcem na oddziale, nie mieli żadnych powodów do obaw, kiedy wyniesiono go z sali, żeby wykonać niezbędne zabiegi pielęgnacyjne. Dlaczego ktoś chciałby zrobić im coś tak okropnego?

– Rozumie już pan? Z wyjątkiem pierwszych sekund po porodzie zawsze głaskał pan i pieścił podmienione dziecko.

Ruchome obrazy oddziału dla noworodków przemknęły jeszcze raz przed oczami Sterna.

– I to drugie dziecko...?

– ...zmarło, jak się spodziewaliśmy, dwa dni po zamianie. Sam pan widział nagrania ze szpitalnej kamery.

– Chwileczkę, to nie były przecież nagrania z...

– ...z zamocowanej na stałe kamery? – spytał „głos” rozbawiony.

– Dlaczego nie? Z powodu cięć? Migającego obrazu, zbliżeń i innych cyfrowych efektów? Nawet pan nie wie, co można dziś osiągnąć za pomocą nowoczesnych programów do obróbki filmów. Można na przykład na ramię dziesięcioletniego chłopca komputerowo wkleić znamię w kształcie zarysu Włoch. Czy to nie ironia losu, że musiałem pana okłamywać, żeby uwierzył pan w prawdę?

Stern wrzasnął:

– A co, jeśli teraz znów pan kłamie!?

– Niech się pan sam o tym przekona. Więcej nie chcę i nie mogę teraz powiedzieć. Proszę podjąć decyzję. Niech pan wyciągnie chusteczkę z pudełka, jeśli chce pan zobaczyć syna.

Stern wlepił wzrok w plastikowe pudełko w swoich rękach.

– Albo do widzenia.

Na „Moście” zgasły wszystkie światła i cały plac przed falującym jeziorem utonął w ciemności. Stern jeszcze mocniej przycisnął komórkę do piekącego ucha. Ale połączenie zostało już przerwane. „Głos” się rozłączył.

Co mam zrobić?

Spojrzał na kluczyk w stacyjce. Mógłby odpalić samochód i stąd odjechać. *Ale dokąd?* Z powrotem do życia, którego pustkę od tej chwili wypełniałyby męczące wątpliwości? Podejrzywał, że wszystko, co usłyszał, jest dobrze przemyślanym kłamstwem. Ale to nie miało już znaczenia. Ważne było jedynie, jak bardzo chciał uwierzyć w te kłamstwa.

Stern otworzył pudełko, wahał się jeszcze przez moment i w końcu wyjął wilgotną chusteczkę. Leżała ciężko w jego dłoni, nasączona substancją, która może go nie zabije, lecz na pewno zbliży do śmierci. Gdy zakrył nią

twarz, mimowolnie pomyślał o całunie. Wstrzymał oddech. Przed oczami miał Feliksa. Kiedy już nie mógł dłużej wytrzymać, odetchnął głęboko przez nos i usta jednocześnie. Nabrał powietrza trzykrotnie, potem wokół niego zapadła nieskończona cisza.

6

W pomieszczeniu śmierdziało potem i wymiocinami. Carina obawiała się najgorszego, wchodząc do pokoju, w którym personel szpitala korzystał z przerw na krótkie drzemki, kiedy zdarzały się trzydziestosześciodzinne dyżury.

– Ostatni raz widziałam go, jak tu wchodził – szepnęła rudowłosa pielęgniarka, zatrzymując się na korytarzu przed drzwiami. Carina nie próbowała nawet zapalić światła w pomieszczeniu wielkości pakamery. Halogenowe lampy przy suficie nie działały, ale nikt nie poinformował o tym administracji. Kto tu wchodził, nie potrzebował żadnego światła. Dlatego też rolety w oknach na stałe były opuszczone.

Jednak w skromnej poświacie wpadającej z korytarza ukazało się wystarczająco wiele, żeby wstrząsnąć Cariną.

Picasso!

Leżał w kałuży przed wąską sofą. Albo z niej spadł, albo w ogóle do niej nie dotarł.

– Co tu się... O mój Boże! – Rudowłosa pielęgniarka przyłożyła drżącą dłoń do ust.

– Natychmiast sprowadź lekarza i policję – wyszeptała Carina, pochylając się nad swoim niedającym znaków życia kolegą.

Rudowłosa wydawała się jej nie rozumieć. Stała jak wryta i nie potrafiła powstrzymać drżenia dolnej wargi.

– Czy on... czy on...? – pytała, nie mając odwagi dokończyć zadania.

Nie żyje?

Carina uklękła obok pielęgniarza. Smród wzmógł się jeszcze bardziej. Złapała go mocno za muskularne ramiona i obróciła na plecy. Mdłości w niej wzrosły, aż zorientowała się, że to dobry znak. Wyczuwała urynę, pot, wymiociny. Ale żadnej krwi!

Westchnęła, gdy potwierdziły się jej podejrzenia.

– Lekarza! Sprowadź tu natychmiast lekarza! – krzyknęła teraz na tyle głośno, aby wyrwać rudowłosą z odrętwienia.

Powieki Picassa zadrżały. Otworzył oczy. Mimo marnego światła Carina stwierdziła, że wyglądały na bardziej przytomne, niż oczekiwała po wyraźnych oznakach zatrucia.

– Słyszysz mnie?

Zamrugął.

Dzięki Bogu.

Chciała go uspokoić, biorąc za rękę. Ale najpierw wyczuła jakieś kartki, wokół których zacisnęły się jego palce.

– Co to jest? – spytała głośno, jakby Picasso był w stanie odpowiedzieć. Rozluźnił nieco uchwyt i Carina mogła wyjąć papiery.

Był to prosty wydruk komputerowy. W słabym świetle Carina rozpoznała szpitalną tabelę danych. Picasso wydrukował plan łóżek na oddziale intensywnej terapii.

Po co mu to?

Zauważyła dwa podkreślone na czerwono nazwiska i przycisnęła dłoń do ust.

To niemożliwe!

Sprawdziła jeszcze raz datę planu. Kilka tygodni temu.

Nie było wątpliwości.

Nagle poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Podskoczyła, jakby to włamywacz zaskoczył ją w ciemności od tyłu.

– Hej, hej. Spokojnie. Lepiej niech pani teraz ze mną pójdzie, aż...

Carina wywinęła się ordynatorowi i odepchnęła go na bok. Razem z nim pojawiła się kolejna pielęgniarka. Carina błyskawicznie odsunęła suwak szaszki i wydobyla pistolet.

– Został otruty – powiedziała, spoglądając na Picassa, który właśnie próbował sam wczłgać się na kanapę. Cokolwiek dosypano mu do kawy, aby nie przeszkodził w uprowadzeniu Simona, wybrano za słabą dawkę. – Nawet nie próbujcie za mną iść. Zaczekajcie tu na policję i powiedzcie im, żeby natychmiast wysłali wszystkie możliwe siły na Havelchaussee. Na wysokości Schildhornweg.

– Carina! – wołał za nią bez przekonania lekarz. Również pielęgniarki nie odważyły się zareagować, widząc broń w jej ręce.

Co dalej?

Pistolet na nic więcej jej się nie przyda. Nie mogła czekać na policję. Musiała natychmiast pośpieszyć na pomoc Sternowi.

Ale jak? Swoją samochód zostawiła pod willą.

– Nie uda się pani stąd uciec! – zawołał ordynator.

Zgadza się. Chyba że...

Carina weszła do pokoju pielęgniarek i zabrała skórzaną kurtkę Picassa. W drodze do windy zatrzymała się przed jednym z pomieszczeń naprzeciw palarni. Otworzyła drzwi, żeby się upewnić. Pusto. Jej najgorsze obawy potwierdzały się.

Jeszcze na schodach prowadzących do głównego wyjścia sprawdziła kieszenie kurtki.

Bingo!

Portfel, gumy do żucia, pęk kluczy.

Przez otwarte szklane drzwi wybiegła na zewnątrz, mijając gorączkowo mówiącego coś przez telefon portiera. Wiedziała, gdzie Picasso parkuje swój niski sportowy samochód.

„Wyciąga dwieście osiemdziesiąt” chwalił się, kiedy próbował ją namówić na krótką przejażdżkę. Carina wątpiła, by to wystarczyło, aby zapobiec katastrofie.

7

Stern ocknął się. Całun na jego twarzy wydawał się teraz inny. Był gęstszy i grubszy, nieprzyjemnie drapał skórę. Jak zimowy sweter z taniej wełny. Z trudem panował nad nudnościami, które wywoływał nie tylko chloroform ciągle obecny w jego organizmie, ale także przedmiot w ustach. Gąbka smakowała jednocześnie słodko i słono, jakby spocone dłonie ścisnęły ją i wepchnęły mu pod język. Zaczął się dławić. Nawet tak minimalny skurcz mięśni spowodował falę bólu, która rozeszła się od karku do czoła. Jeszcze nigdy w życiu nie bolała go tak głowa. I nigdy wcześniej nie czuł takiego strachu.

Otworzył oczy, a otaczająca ciemność zamiast zniknąć, wydała się jeszcze głębsza. Kiedy miał zamknięte powieki, tańczyły pod nimi przynajmniej smugi światełek. Ale teraz nawet one znikły. Jego serce przestało bić. Na sekundę. Potem następną.

„Jestem sparaliżowany, przeszło mu przez myśl. Od szyi w dół. Nie mogę nawet poruszyć ustami”.

Spróbował otworzyć usta. Nie był w stanie. Z ulgą zauważył, że mięśnie szczęki ciągle są sprawne. Aż w końcu z odrazą uprzytomnił sobie, dlaczego może oddychać tylko przez nos.

Zakneblowali mnie i założyli na głowę jakiś worek.

– Gdzie jestem? – wyrzęził, na tyle wyraźnie i głośno, na ile pozwalała plastikowa taśma, którą zakleiono mu usta. Ślepa panika jak kleszcz wpiła się w jego system nerwowy. Miał wrażenie, że zaraz się udusi.

Wtedy nagle zapaliło się nad nimi małe światełko i Stern pomyślał, że dobrze by było, gdyby zawiązali mu również oczy.

Mylił się, nie założyli mu na głowę worka. Kiedy źrenice przyzwyczyły się do delikatnego światła i błyski na siatkówce powoli ustąpiły, potrzebował jeszcze chwili, zanim rozpoznał, czyje pełne strachu oczy gapią się w niego z otworów w kominiarce. Jego własne!

Spojrzał jeszcze dwukrotnie we wsteczne lusterko, potem obrócił głowę. Ostrożnie. Jak w zwolnionym tempie. Żadnych gwałtownych ruchów, które spowodowałyby, że musiałby zwymiotować z kneblem w ustach.

Czy to naprawdę...? Tak. Nie było wątpliwości. Siedział w pustym samochodzie. Na przednim siedzeniu pasażera. I wiedział, do kogo należy ten mercedes. Do niego.

Co ja tu robię?

Czarnoszare plamy za przednią szybą nabierały powoli kształtu. Chwiejące się słupy wziął najpierw za złudzenie optyczne. Kolejny skutek uboczny środka odurzającego. Okazało się, że to oddalone o jakieś sześćdziesiąt metrów, miotane wiatrem drzewa. Między mercedesem a skrajem lasu rozciągała się pusta przestrzeń wielkości parkingu.

Stern pochylił się ostrożnie do przodu, żeby odciążyć skrupowane nadgarstki. Zmrużył oczy. Zastanawiał się, skąd zna to opuszczone miejsce. Akurat kiedy coś zaczęło mu świtać, jego uwagę odwrócił szmer na tylnym siedzeniu. Chwilę później ktoś głucho zakasłał w chusteczkę.

– Świetnie, zatem już się pan obudził. Prawie pół godziny przed czasem.

Stern rozpoznał głos. Bez technicznego zniekształcenia brzmiał zdecydowanie bardziej ludzko.

Zimne powietrze wtargnęło do samochodu, gdy mężczyzna otworzył drzwi i wysiadł. Robert skulił się z bólu. Kremowe światło lampki do czytania na ułamek sekundy oświetliło charakterystyczny profil zabójcy. To wystarczyło, żeby mógł go rozpoznać. Jego widok zmniejszył zdolność myślenia Sterna do zera, bo to, co zobaczył, było po prostu niemożliwe.

– I co, teraz już pan wierzy w reinkarnację? – Engler zaśmiał się, otwierając drzwi od strony pasażera i wyciągając Sterna jak worek ziemniaków.

Stern stracił równowagę, nie mogąc podeprzeć się skutymi z tyłu rękami, i walnął głową w ubitą glinianą ziemię. Warstwa liści i mokrej ziemi trochę zamortyzowała mocne uderzenie, czego Stern od razu pożałował, bo dużo bardziej pragnął stracić świadomość.

Engler? Szef wydziału zabójstw? Jak to możliwe?

Dwie silne dłonie poderwały go do góry. Momentalnie też dwie rzeczy stały się dla niego jasne: rozpoznał parking i wiedział, dlaczego tu jest.

– Nie powinien pan wierzyć we wszystko, co pan widzi – powiedział komisarz, stawiając Sterna z powrotem na nogi. – Halo, doktorze Tiefensee? Jest pan tu? – Rozbawiony naśladował przedstawienie, jakie odegrał w gabinecie psychiatry. Potem przyłożył kawałek plastiku do ust i zniekształconym głosem mówił dalej. – Widzi pan nożyczki do opatrunków? Wbije mu pan nożyczki prosto w jego serce.

Engler cofnął się o krok i zatrzasnął drzwi. Hałas przypomniał Sternowi trzaśnięcie drzwiami w gabinecie doktora Tiefenseego. Dopiero teraz wpadł na to, że oba głosy nigdy się na siebie nie nakładały. Kiedy Engler mówił sztucznym głosem, wchodził do jednego z pokoi. Naturalnym głosem mówił tylko na korytarzu.

– Cóż, naprawdę nieźle się bawiłem, wyciągając mojego współnika od doktora Tiefenseego, gdzie go pan zaskoczył – śmiał się Engler. – Prawie tak samo, jak przy inscenizowanym wypadku. A niech to. Wszystko szło zgodnie z planem, a pan nagle postanawia się poddać? Musiałem temu zapobiec. Na szczęście jest pan niewiarygodnie łatwowierny. Trzy strzały, roztrzaskana przednia szyba i trochę sztucznej krwi w ustach. Tyle dla pana wystarczy. No dobrze, może jeszcze płyta DVD.

Chichotał już prawie histerycznie. Splunął w końcu na ziemię i trochę się uspokoił.

– Jak się panu podobało przedstawienie z motocyklistą? Chciał tylko pięćset euro za to, żeby przestrzelić przednią szybę w samochodzie i przystawić panu broń do głowy. Proszę się nie martwić. Nie powinien go pan żałować. Ten facet lubił dzieci. No i miał na sumieniu doktora

Tiefenseego. Pamięta pan? To ten długowłosey gość, za którym pan wybiegł z gabinetu.

Stern zrobił krok do przodu i oparł się o bagażnik swojego mercedesa. Czuł, że za chwilę znów upadnie. Tu, na środku parkingu, na opustoszałym kąpielisku nad Wannsee.

– Ach, no tak. – Engler udał, że przypomina sobie o czymś bardzo ważnym. – O „Moście” wiedziało już zbyt dużo osób. Dlatego z mężczyzną, który chce mnie zabić, ustaliłem inne miejsce spotkania i przesunąłem termin o trzy kwadransy. Myślę, że nie będziemy się nudzić, czekając tu, żeby zobaczyć, kto się pojawi.

8

Nic. Żadnych świateł, żadnych samochodów. Żadnych oznak życia. Brak czegoś może być niekiedy tak samo dojmująco odczuwalny, jak obecność rozwrzeszczanego tłumu. Carina stała na parkingu przed „Mostem” i czuła duszącą samotność.

Gdzie oni są? Gdzie jest Robert? Gdzie Simon?

Oprócz auta, którym tu przyjechała, żaden inny samochód nie stał zaparkowany na podjeździe do restauracji. Szum drzew, skrzywienie takielunku i nerwowe uderzanie fal mogły zagłuszać inne odgłosy, jednak instynkt nieomylnie podpowiadał jej, że poza nią nikogo tu nie ma. Czeka tu sama.

Carina sięgnęła po komórkę, żeby jeszcze raz zadzwonić na policję. Jeden telefon wykonała już w drodze. Do Roberta nawet już nie próbowała. Jego telefon był wyłączony albo znajdował się poza zasięgiem sieci.

Z małym pistoletem w dłoni podeszła jeszcze raz do zamkniętej furtki na trap. Zastanawiała się, czy wdrapać się na nią i sprawdzić dokładnie „Most”. U szczytu wysokiej, zakończonej łukowato furtki sterczały owinięte drutem kolczastym groty i zapraszały do rozprucia sobie o nie brzucha.

Przypomniały się jej filmy, w których główni bohaterowie w takich sytuacjach po linie wspinali się na statek. Niestety wyczerpane ramiona wysyłały jednoznaczny sygnał: nie ma szans.

We wściekłe odgłosy jesiennej wichury wmieszał się nagle klakson przejeżdżającego szybko za nią samochodu. Po omacku włączyła w komórce opcję automatycznego wyboru telefonu alarmowego. Oparła się

plecami o chybotliwą furtkę i... poczuła to. Dokładnie w tym samym momencie, kiedy zamknęła oczy.

Ze strachu upuściła telefon, który roztrzaskał się o kładkę. Najpierw wypadł akumulator, a potem cała reszta spadła z kładki do ciemnej, spienionej wody. Carina obróciła się powoli, zbyt skoncentrowana na swoim podejrzeniu, aby żałować utraty jedynej możliwości komunikacji.

Rzeczywiście. Był tu przez cały czas. Duży szyld z laminowanego kartonu wisiał dumnie na zamkniętej bramie, wbijając się teraz w jej plecy. Wcześniej nie zwróciła na niego uwagi, właśnie dlatego, że był tak ostentacyjny. Myślała, że właściciele restauracji wywiesili tu tylko informację o godzinach otwarcia albo ostrzeżenie o wejściu na własną odpowiedzialność.

Jednak jak na stałą informację wywieszka wyglądała zbyt nieprofesjonalnie. Napisana na komputerze i prowizorycznie przymocowana czterema drutami do metalowych prętów.

Ponadto zaintrygowała ją teraz wielka uśmiechnięta buźka po ostatnim słowie. Jedyne, co w ogóle mogła odszyfrować w bladym świetle księżyca.

Z saszetki wyjęła zapalniczkę. Gdy żółty płomień oświetlił cały tekst, spłonęła w niej ostatnia nadzieja.

Do wszystkich spóźnialskich!

Dzisiejszy poranny bieg odbędzie się wyjątkowo z kąpieliska Wannsee.

Prosimy stawić się punktualnie o szóstej czterdzieści pięć.

Robert przygotował małą niespodziankę.

:-)

9

Choć nic nie miało już sensu, miał wrażenie, że cała sprawa powoli staje się zrozumiała. Tu i teraz, w powoli nastającym porannym brzasku.

Płyta DVD, inscenizacja zabójstwa Englera przez motocyklistę, jego mercedes, przed którym właśnie omal nie traci przytomności – wszystko to mogło oznaczać tylko jedno: sadystyczny plan Englera z pewnością nie przewidywał wyjawienia mu prawdy o Feliksie. Wręcz przeciwnie. Komisarz będzie czerpał przyjemność, wysyłając go w nieświadomości w objęcia śmierci. Stern pokiwał bezsilnie głową, jak ktoś, kto wreszcie zrozumiał swój wielki błąd. Wszystko po kolei łączyło się stopniowo w jeden obraz, na którym na koniec będzie widać jego zwłoki.

– Niech pan nie będzie taki zaskoczony. – Engler zaśmiał się, zamaszystym krokiem obchodząc samochód. Miał na sobie obcisły dres i bokserskie buty. Wyglądał w nich absurdalnie elegancko, jakby ubrał się w sieci Dressmann. – Sam jest pan sobie winny.

Z tylnego siedzenia komisarz zabrał torbę z żaglowego płótna i rzucił ją na ziemię pod nogi Sterna.

– Najpierw Harald Zucker. Potem Samuel Probtjeszki. Nie mógł pan po prostu zostawić tych trupów w spokoju?

Wiatr owiewał nogawki Sterna. Pragnął, żeby porywy zmieniły się w prawdziwy orkan i porwały go stąd. Jak najdalej od tego koszmaru.

– Ciała moich wcześniejszych współników odkryłem już wiele lat wcześniej. Jeśli zależałoby to ode mnie, do dziś gniłyby tam, gdzie je ukryto.

– Dlaczego? – wychrypiął bezradnie Stern. Sprawiało to wrażenie, jakby próbował imitować dźwięki wydawane przez postrzelone zwierzę. Mimo knebla Engler dobrze go rozumiał i spojrzął na niego, jakby Stern zadał bezdennie głupie pytanie.

– Bo nie chciałem prowadzić dochodzenia przeciwko sobie samemu!

O Boże!

W głowie Sterna pękła tama. Rzeka zrozumienia wlała się w niego: wszyscy zamordowani byli współnikami Englera. Jak długo uważano ich za zaginionych, nikt ich nie szukał. Każdy się cieszył, że wyrzutki społeczeństwa zniknęły. Do czasu, aż pojawił się Simon i znalazł ciała. Teraz wszyscy szukali mordercy i motywu jego działania. Engler pierwszy musiał znaleźć „mściciela”. Zanim ktoś się zorientuje, że również jego nazwisko znajduje się na liście do odstrzału.

Stern trząsł się na całym ciele. Wreszcie dotarło do niego, jaką ma zagrać rolę w ostatnim akcie tego dramatu.

Policjant spojrzął na zegarek i skinął głową zadowolony. Cokolwiek zamierzał, wyglądało na to, że wszystko idzie zgodnie z planem.

– Mamy jeszcze piętnaście minut. Chcę wykorzystać ten czas, żeby podziękować panu za ostrzeżenie. Co prawda nie potrafię zrozumieć, skąd Simon wiedział o dzisiejszym umówionym spotkaniu na „Moście”, ale to i tak nie ma już znaczenia. Kiedy przekazał mi pan tę wskazówkę, stało się jasne, że kupiec zamówił dziecko tylko dla zmylenia mnie. Bardzo udanie, muszę przyznać. Zatem osoba, którą za parę sekund zobaczymy, będzie naszym „mścicielem”.

I chcesz się przed nim zasłonić mną. Mam zostać twoim kozłem ofiarnym.

Stern szarpnął się, chciał krzyknąć, kiedy zrozumiał, że w ostatnich godzinach nie robił nic innego, jak tylko coraz głębiej wbijał sobie nóż w brzuch. Dobrowolnie poszedł na rzeź. Zostanie tu zamordowany, podczas transakcji między handlarzami dziećmi. Wcześniej zrobił wszystko, żeby go uznali za pedofila, któremu można przypisać tak niegodziwe czyny.

Przełknął ślinę, w której wyczuł posmak krwi. Engler nie cackał się z nim, gdy go kneblował.

Jak mogłem być tak głupi?

Przez cały czas myślał, że ściga „głos”. A tymczasem cały czas szedł tylko po śladach, które dla niego przygotowano. I które zwabiły go w tę pułapkę. Najpierw rzucił na siebie podejrzenie, odnajdując zwłoki i tłumacząc się bredniami o reinkarnacji. Potem uprowadził ze szpitala chłopca, zostawił swoje odciski u doktora Tiefenseego i w willi pedofili. A na koniec wręczył Englerowi kasetę wideo, na której widać, jak półnagi wpada do pokoju, gdzie torturowane jest dziecko.

Również odciski Cariny znajdowały się na kłamce willi, a jej samochód stał tuż przed wejściem do niej. Engler nie będzie miał problemów ze zrobieniem z nich zбочzonej parki. Jedyne odciążający ich świadek był w przeszłości producentem filmów porno i stawał już przed sądem za gwałt. Diabelski plan. W ten sposób Engler skutecznie obarczył go winą za wszystkie swoje zbrodnie. A nawet gorzej: to on sam sprawił, że wszyscy będą go tą winą obarczać.

– Niech już pan się tak nie złości na siebie – mruknął Engler. Po krótkim ataku kaszlu pociągnął nosem i wypluł flegmę obok torby. – Nie wszystko zrobił pan źle. Najpierw faktycznie chciałem, żeby dostarczył mi pan nazwisko „mściciela”. Miał pan przecież dostęp do źródła. Do Simona. Boże, ale mnie pan skołował przy pierwszym przesłuchaniu. Przez lata reprezentował pan jednego śmiecia za drugim. Aż nagle przychodzi do pana klient, który mógłby mi pomóc, a pan go odprawia z kwitkiem. Nie mogłem na to pozwolić, więc następnego dnia zorganizowałem środek przymusu.

Płyta DVD.

– Tak na marginesie, to był jedyny przypadek w całej tej grze. Mówię o tym, że akurat pan, adwokat, którego dziecko dziesięć lat temu podmienili moi ludzie, mógł zostać kluczem do rozwiązania mojego największego problemu.

Robert spojrział w niebo. Ciemność nocy ustępowała powoli miejsca szarości poranka. Przypomniało mu to kolor pokoju przesłuchań.

Engler, „głos”, znów się roześmiał i schylił do torby. Kiedy rozsuwał suwak, Stern poczuł nieznośne klucie w boku.

– Szkoda, że nie wziął pan ze sobą Cariny. Mogłaby dotrzymać panu teraz towarzystwa. Niech zgadnę: uzgodnił pan z nią godzinę, o której ma zawiadomić policję, prawda? Chce pan może wiedzieć, dlaczego jest mi to obojętne?

Engler wyjął z torby szarą, wypełnioną po brzegi siatkę. Wyglądało na to, że w środku jest jakiś duży, ale lekki przedmiot. Może poduszka.

– Bo policja już tu jest. Trzy jednostki.

Stern rozejrzał się dookoła, na próżno wypatrując czegoś w mroku.

– Około dwudziestu ludzi. Wszyscy poza zasięgiem wzroku, żeby nie zakłócić obserwacji. – Stuknął w walkie-talkie przy pasie. – Dojazd do kąpieliska to ślepa uliczka. Dopiero kiedy zasygnalizuję przyjazd kupca, dojazd zostanie zablokowany i zacznie się akcja.

Komisarz zaniósł plastikową siatkę do bagażnika.

– Co, nie wierzy pan? Oficjalnie zgłosiłem tę tajną operację, kiedy upewniłem się, że spotka się pan tu dziś z jakimś pedofilem. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Nie jestem tu dla własnej przyjemności. Przyjechałem, żeby pana aresztować. Obawiam się jednak, że się spóźnię i nie będę mógł zapobiec tragedii, która za chwilę się rozegra...

Po tych słowach Engler otworzył bagażnik mercedesa. Stern aż się zakrztusił, gdy zobaczył, co jest w środku. Knebel w jego ustach zdawał się rosnąć do niewyobrażalnych rozmiarów, czuł, że zaraz rozsadzi mu szczękę i czaszkę. Jednym ruchem Engler zdjął zielony szpitalny kitel, który leżał na ciele nieprzytomnego chłopca. W bladym świetle lampki w bagażniku Simon wyglądał na martwego.

10

Stern nie mógł oderwać wzroku od chłopca, który leżał zwinięty w bagażniku, jak zapasowe koło.

– Nie ruszaj się!

Engler stanął za nim i wykręcił mu skrępowane ręce. Stern poczuł ból, bał się, że policjant chce go unieszkodliwić, łamiąc mu nadgarstki, ale w końcu usłyszał ciche dźwięki i jego dłonie były wolne. Engler przeciął plastikowe kajdanki.

– Żadnych nierozważnych ruchów – szepnął mu do ucha. Przez grubą narciarską kominiarkę Stern wyczuł wilgotny oddech. – Odsuń się na bok!

Zakręciło mu się w głowie. Mnóstwo sił kosztowało go wykonanie polecenia komisarza, przez co stracił z oczu Simona. Kiedy Engler znów za nim stanął, w lewej ręce trzymał pistolet z laserowym celownikiem i halogenową latarką. Drugą ręką przytulał do siebie niemowlę.

Źrenice Sterna rozszerzyły się. Dopiero po chwili zorientował się, że główka wystająca z białego koca jest sztuczna. Engler trzymał naturalnej wielkości lalkę.

– Nawet potrafi mówić. – Zaśmiał się cynicznie i nacisnął jej brzuch.

A więc jednak. Stern przypomniał sobie płacz, który usłyszał przed „Mostem”.

Engler zatrzasnął bagażnik. Żadnego jęku. Żadnego ruchu. Nic. Simon jak dotąd nie poruszył się ani razu.

– Przekażę panu teraz ostatnie instrukcje. Później usiądę na tylnym siedzeniu pańskiego samochodu i będę pana obserwował. Jeśli z jakiegoś powodu przyjdzie panu do głowy, żeby nie wykonać moich poleceń,

wysiądę, otworzę bagażnik i uduszę pana małego przyjaciela. Rozumiemy się?

Stern przytaknął.

– Jeśli będę zadowolony z tego, co pan zrobi, nieprzytomnego Simona znajdą obok pana zwłok. Ponieważ jest uśpiony, nic nie będzie pamiętał. Tym razem nie blefuję. Mogę zostawić go przy życiu. Czy pan wierzy, czy nie, w przeciwieństwie do Probtjeszkiego bardzo niechętnie zabijam dzieci. Żaden dobry biznesmen nie niszczy sam swojego towaru. Ale teraz zależy to tylko i wyłącznie od pana.

Pot pod kominiarką wżerał się jak kwas w czoło Sterna. Miał wrażenie, że znajduje się w wełnianym imadle, które ściska go coraz bardziej. Kiedy powtórzył wszystkie polecenia Englera, ten wręczył mu lalkę w małym koszyku z trzciny i wsunął do tylnej kieszeni spodni jakąś kopertę.

„Co to jest?” – Engler odczytał pytanie z rozbieganych oczu Sterna.

– Ja dotrzymuję obietnic – wyjaśnił komisarz z ironicznym uśmiechem.
– Zapisalem tam adres Feliksa. Kto wie, może przyda się panu w innym życiu.

Śmiech Englera oddalał się, aż wreszcie ucichł całkowicie, gdy zatrzasnęły się ciężkie drzwi mercedesa.

Stern musiał się mocno wysilić, żeby ze strachu całkiem nie stracić oddechu. Zmrużył oczy, aby szybciej przyzwyczaić wzrok do ciągle panującego mroku, ale pomiędzy drzewami wciąż nie było widać zbliżających się reflektorów.

Jednak wkrótce miało się to zmienić. Śmierć już nadciągała i za kilka minut tu dotrze. Całe ciało Sterna napięło się w oczekiwaniu na ból, który niedługo miał go przeszyć, a potem z ociąganiem ruszył przed siebie.

11

To cud, ile sił za każdym razem dodaje Bóg człowiekowi, który walczy ze złem, pomyślał mężczyzna. Odchrząknął, a chwilę potem kaszlnął. Błyskawicznie zdjął nogę z gazu, gdy się zorientował, że przez moment nieuwagi przekroczył dozwoloną prędkość. Pot spływał po zoranym zmarszczkami czole i zatrzymywał się na krzaczastych brwiach.

Jego ciało w zasadzie nie było przygotowane na wysiłek, jaki go dziś czekał. Za bardzo nadweręzał się w ostatnich latach. Dekadach zemsty. Wszystko zaczęło się od krótkiego artykułu o seksualnym wykorzystaniu dziecka. Napisał go dla niskonakładowego tygodnika, ponieważ redaktorka naczelna się rozchorowała, a on był jedynym, który mógł ją zastąpić.

Dziś traktował to jak znak. Nie mogło być przypadku w tym, że akurat on miał opisać tę wstrząsającą zbrodnię, on, którego rodzony brat zaginął w wieku ośmiu lat. Zwłoki odnaleziono pół roku później w tak przerażającym stanie, że rodzicom odradzano ich obejrzenie.

Pierwszy artykuł zapoczątkował serię, z serii powstał maszynopis książki, która nigdy nie trafiła do wydawcy. Przestał dostrzegać sens w publikowaniu mrocznych opisów. Żadnemu dziecku nie pomogą zapomnieć przeżytych cierpień. I żaden zbrodniarz nie zmieni przez nie swoich planów. Również brat nigdy już do niego nie wróci. Wszystko będzie się działo jak dotychczas. Kiedy pewnej niedzieli ta gorzka prawda dotarła do niego z taką samą siłą i jasnością, jak obrazy, przez które nie przespał nawet jednej całej nocy, postanowił działać.

Dokonanie dwóch pierwszych morderstw było najtrudniejsze. Z następnymi poszło znacznie szybciej. Nie tak jak z Zuckerem, którego

wcale nie planował zabić siekierą. Ten mężczyzna był bardzo silny, bronił się do ostatniego tchu, nawet wytracił mu pistolet. Na szczęście Bóg zesłał mu ten toporek. Kolejny znak. Chociaż fabryka już wówczas była ruiną, wisiał na ścianie obok zwęglonej gaśnicy. Od tamtego dnia przestał jeść orzechy. Nie potrafił znieść trzasku rozłupywanej skorupy.

Stary człowiek otarł pot z czoła i wyciągnął rękę, żeby włączyć radio. Jednak zrezygnował. Lubił słuchać muzyki, ale ostatni akt wolał zapoczątkować w ciszy.

Samochodem, który towarzyszył mu przez te wszystkie lata na ścieżkach ciemności, minął zjazd na Hüttenweg. Jeszcze tylko parę kilometrów. *Zaraz dojedziemy.*

Jak zawsze przed akcją odczuwał lekkie parcie na mocz. Z nerwów. Zapomni o kluciu w pęcherzu, jak tylko spojrzy w twarz zła. Miesiącami przygotowywał się do dzisiejszego zadania. Tak jak już robił to wiele razy wcześniej, musiał wyprzeć się samego siebie i przybrać najbardziej odrażającą tożsamość, jaka istniała. Pedofila. Minęło sporo czasu, odkąd zlikwidował ostatniego śmiecia. Dwa i pół roku. Wiele z jego starych kontaktów było nieaktualnych, inni stali się nieufni, kiedy nagle znów pojawił się w środowisku. W końcu udało mu się nawiązać kontakt z mężczyzną, którego wszyscy nazywali „handlarzem”. Przez Internet. Dziś ma go spotkać. Oczywiście nie mógł być całkowicie pewien, że właśnie teraz nadarza się okazja zniszczenia zła u samego źródła. Nie wiedział również, co ma sądzić o kolejnej zmianie miejsca i o przesunięciu o czterdzieści pięć minut terminu spotkania w ostatniej chwili. Wiedział jedynie, że Bóg pokieruje jego losem. Miał już swoje lata. I w przeciwieństwie do dzieci nic do stracenia.

Skręcił w zjazd na Spanische Allee i pogłaskał rewolwer, który leżał na siedzeniu obok. Często się zastanawiał, czy dobrze robi. Co niedziela rozmawiał z Panem. Prosił o znak. O małą radę, czy nadal powinien podążać tą drogą. Kiedy pewnego dnia opowiedzieli mu o Simonie, myślał, że oto otrzymał wskazówkę od Boga.

Ale się mylił.

I szukał dalej. Aż do dziś.

Wjechawszy na leśną drogę, stary człowiek włączył długie światła. Ślepa uliczka, prowadząca do kąpieliska nad Wannsee.

12

Jeszcze czterdzieści metrów.

Stern posuwał się krok za krokiem. Najpierw stawiał zdrową nogę, potem kontuzjowaną. Szedł prosto w stronę światła, zgodnie z poleceniami Englera.

Czekanie w deszczowym zimnie wydawało mu się wypełnioną strachem wiecznością, chociaż samochód jadący na długich światłach pojawił się na parkingu zaledwie kilka minut po tym, jak Engler zostawił go samego. Stern po raz ostatni rozpamiętywał, czy istnieje jakakolwiek możliwość opóźnienia nieuniknionego końca. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Posuwał się więc dalej krok za krokiem w stronę powoli wytracającego prędkość samochodu, zupełnie jak zwierzę dobrowolnie idące na rzeź.

Jego tętno przyśpieszyło jeszcze bardziej, gdy samochód, będący starszym modelem średniej klasy, zatrzymał się.

Wiatr przyniósł metaliczne skrzypnięcie zaciąganego hamulca ręcznego. Niemal równocześnie otworzyły się drzwi kierowcy i jakaś postać wygramoliła się niezdarnie zza kierownicy.

Kto to jest?

Co drugi krok błyskawica bólu przeszywała jego kręgosłup tak silnie, że oczekiwał wręcz, że rozświecą one mętny widok zalewanego deszczem parkingu. Próbował rozpoznać mężczyznę, który powolnie stanął między reflektorami swego samochodu. Bez skutku. Chociaż nie był do końca pewny. Wszystko było tak nierealne, że czuł się jak konający z pragnienia na pustyni zmierzający w stronę fatamorgany. Im bardziej zbliżał się do

światła, tym bardziej zarys sylwetki mężczyzny rozmywał się coraz mocniej. Jedno nie ulegało wątpliwości. Mężczyzna nie był młody. Być może był nawet w podeszłym wieku. Spowolnione ruchy, krótki krok, lekko pochylona postać. Starał się jeszcze więcej wyczytać z cienia, który zastygł teraz bez ruchu dokładnie między światłami reflektorów. Białe światło wschodzącego słońca z trudem przebijało się przez grubą warstwę chmur, otaczając nieznanego niesamowitą aurą. *Jak anioł śmierci z aureolą*, przeszło przez myśl Sternowi. Zdecydowanym mrugnięciem strzepnął z powieki kroplę deszczu.

Jeszcze trzydzieści metrów.

Zwolnił jeszcze bardziej. Tylko tyle mógł zrobić. Jedynie w ten sposób nie łamał śmiercionośnych zasad Englera.

„Idź prosto przed siebie, powiedział mu. Ani w prawo, ani w lewo. Nie uciekaj”.

Znał konsekwencje. I rozumiał perfidię planu, który wypełniał. Każdym krokiem nie tylko skracał odległość, ale także własne życie.

Przycisnął do piersi koszyk z lalką. Engler przezornie wyjął z niej baterie. Nic nie mogło wystraszyć „mściciela”. Nic nie mogło go ostrzec, że za chwilę stanie przed nim fałszywy handlarz. Engler wymyślił pojedynek, w którym Stern nie będzie miał broni. Jeśli obcy mężczyzna faktycznie był „mścicielem”, będzie chciał wypełnić zadanie i zastrzeli „handlarza”. Przy pierwszej okazji. Za parę sekund.

Jeszcze dwadzieścia metrów.

Już był w zasięgu głosu, ale pęczniejący knebel w ustach uniemożliwiał jakikolwiek kontakt. Sterna ogarnęło uczucie nieskończonej bezradności, jaką ostatni raz odczuwał podczas pogrzebu Feliksa.

A może obcego dziecka?

Stracił już wszelką nadzieję. Nie widział szans ratunku. Wszystko, co mógłby zrobić, zagrażało Simonowi. Jeśli nic nie zrobi, sam zginie.

Jeszcze piętnaście metrów.

Stern zrozumiał, jak bardzo mało prawdopodobne jest, że Engler po tej sprowokowanej egzekucji zostawi kogokolwiek przy życiu. Jak tylko

dostanie kulę w głowę, Engler unieszkodliwi „mściciela” i zastrzeli Simona. Będzie potrzebował jeszcze minuty, żeby ułożyć ciała, zanim da sygnał do rozpoczęcia akcji. Stern już sobie wyobrażał treść raportu.

Handlarz dziećmi (Robert Stern) chce przekazać dziecko (Simon Sachs) pedofilowi (?). Transakcja się nie udaje. Dochodzi do wymiany ognia, wskutek której wszystkie trzy osoby odnoszą śmiertelne rany. Prowadzący obserwację (komisarz Martin Engler) nie był w stanie zapobiec eskalacji zdarzeń, nie ryzykując przy tym własnego życia.

Jeszcze dziesięć metrów.

Ale kto wie? Iskra irracjonalnej nadziei rozpałała się ponownie w Sternie. *Simon jest nieprzytomny, więc nie będzie niebezpiecznym świadkiem. Im więcej ciał, tym większe ryzyko.* Może Engler nie zabije nikogo więcej, niż to konieczne? Może zostawi Simona przy życiu?

Cień nabierał konkretniejszych kształtów, na których widok w Sternie narastało mgliste wrażenie, że już kiedyś spotkał tego człowieka.

Jeszcze siedem metrów.

Zatrzymał się. Zgodnie z instrukcjami kucnął i najostrożniej, jak tylko potrafił, postawił kosz na rozmięklej ziemi. Później miał się podnieść i w geście zwycięstwa utworzyć palcem wskazującym i środkowym lewej ręki literę V.

– Tym samym przypieczętuje pan interes – powiedział Engler.

Tym samym stanę się tarczą strzelniczą. Stern zastygł nad lalką przez ułamek sekundy dłużej, niż było to konieczne.

I ta chwila zmieniła wszystko. Może światło z reflektorów łamało się inaczej z tego kąta. Może bliska odległość albo coraz wyżej wschodzące słońce. W końcu nie było ważne, w jaki sposób rozpoznał osobę, która stała przed nim z rozwianymi włosami. Chociaż widział tego mężczyznę jeden jedyny raz w życiu.

Wyrwał się z odrętwienia i powoli podniósł.

Co mam teraz zrobić?

Pot zbierał się pod gryzącą kominiarką.

Jak mam mu dać jakiś znak? Nie wzbudzając podejrzeń Englera.

Stern podniósł rękę, która była jak z ołowiu.

Muszę coś zrobić. Cokolwiek!

Chciał zerwać z głowy kominiarkę i odkleić taśmę. Ale ten ruch z pewnością przyniósłby śmierć Simonowi.

Ręka mężczyzny była już prawie na wysokości bioder. Stern bardziej się domyślał, niż widział, że nieznajomy wyjął coś z kieszeni.

Pistolet? Rewolwer? Bez różnicy. Jeszcze dwie sekundy i będzie po mnie. Mdlilo go. Chociaż nie widział dłoni „mściciela”, był pewny, że celuje prosto w jego głowę.

Gardłowy dźwięk, tak cichy, że tylko on go słyszał, wydobył się z wysuszonej krtani Sterna. I to usunęło blokadę w jego głowie.

Tak jest! To jest to!

Pomysł był idiotyczny, banalny i najprawdopodobniej skazany na niepowodzenie. Ale przynajmniej coś zrobi i nie odda się bezczynnie w objęcia śmierci.

Klik.

Siedem metrów przed nim mężczyzna odciągnął kurek. Stern mimo to uniósł rękę, zamknął oczy i zaczął nucić. Sześć tonów najprostszej melodii, jaką znał. Jedynej, która miała tutaj sens i którą był w stanie w ogóle zaintonować.

Money, money, money.

Miał nadzieję, że stary wielbiciel ABBY ją rozpozna. Modlił się, żeby ten sygnał zanegował znak zwycięstwa, w który ułożone były palce jego lewej dłoni. Żeby to wystarczyło do powstrzymania mężczyzny, o którego wózek inwalidzki potknął się raptem przedwczoraj w szpitalu.

Money, money, money.

Zanucił refren ostatni raz i czekał w napięciu, aż jego czaszka eksploduje.

Gdy po dwóch sekundach nadal nic się nie stało, zamrugł nieśmiało. Zyskał trochę nadziei, czuł, jak przyśpiesza mu puls, i uradowany

możliwością, że być może sygnał został zrozumiany, otworzył szeroko oczy. Dokładnie w tej samej chwili padł pierwszy strzał.

13

Engler widział, jak Sterna odrzuciło do tyłu, jak się zachwiało i upadając, uderzył mocno głową w asfalt. Jeszcze zanim Stern znalazł się na ziemi, komisarz wyskoczył z samochodu i od tyłu rzucił się na strzelającego. Siłą uderzenia złamał żebro starcowi i przetrącił dwa kręgi lędźwiowe. Natychmiast poderwał się z ziemi i kopniakiem wytrącił wyjącej z bólu ofierze broń. Obrócił starca na plecy, usiadł na nim, przygniatając kolanami ręce, i przystawił mu pistolet do głowy.

– Kim ty, do diabła, jesteś?! – wrzasnął.

Światło małej latarki przymocowanej do lufy pistoletu padło na pomarszczoną twarz, której nigdy wcześniej w życiu nie widział.

– Losensky. Nazywam się Frederik Losensky – wysapał starzec i plunął krwią w twarz komisarza. Ten wytarł się rękawem i palcami rozwarł mu szczęki. Powstrzymał się na chwilę przed wpakowaniem mu do ust lufy pistoletu.

– Do czego należysz? Dla kogo pracujesz?

– Dla Niego.

– Jak on się nazywa? Kto jest twoim szefem?

– Ten sam, co i pana. Bóg.

– Nie wierzę. – Engler wcisnął mu broń pod brodę. – Przez te wszystkie lata pogrywał sobie z nami nawiedzony emeryt.

Śmiech Englera przeszedł w kaszel oskrzelowy.

– Okej, w takim razie mam dla ciebie dobrą informację – syknął. – Twój szef, kochany Bóg, zaprosił cię dziś na ważną naradę. A ja mam cię do niego zaprowadzić. Trochę mi się śpieszy, więc...

– Ręce do góry!

Engler zmarszczył brwi, podniósł głowę i spojrzał w lewo w stronę trzech świerków, zza których wyszła kobieta.

– Serdecznie witamy na imprezie – roześmiał się, kiedy rozpoznał Carinę. – Najwyższy czas.

Podeszła dwa kroki i zatrzymała się mniej więcej w odległości dziesięciu metrów przed nim.

– Proszę zostawić w spokoju tego człowieka i rzucić pistolet na ziemię!

– A co, jeśli tego nie zrobię?

Mimo dzielącej ich małej odległości Engler musiał przekrzykiwać wiatr, który wzmógł się jeszcze bardziej.

– Zastrzełę pana.

– Tym czymś, co pani ma w ręku?

– Tak.

Engler zaśmiał się.

– Czy to nie jest przypadkiem pistolet z saszetki, którą miała pani wczoraj na sobie?

– A co to ma za znaczenie?

– No to niech pani strzela.

– Słucham?

Carina, która dotychczas trzymała pistolet jedną ręką, przyłożyła do rękojeści drugą dłoń. Wyglądało to tak, jakby składała ręce do modlitwy.

– Tak tylko mówię! – krzyknął komisarz. Starzec pod nim oddychał ciężko. – Nie musi pani od razu celować we mnie. Proszę po prostu strzelić raz w powietrze.

– Ale po co?

Ramię Cariny zaczęło lekko drżeć, jakby broń w jej rękach z sekundy na sekundę stawała się coraz cięższa.

– Żeby się mogła pani przekonać, że pistolet nie jest naładowany. Czy może pani naprawdę wierzy, że zostawiłem pani broń, nie opróżniając magazynka?

– A kto panu powiedział, że go ponownie nie naładowałam?

– Pani przerażone oczy, pani Freitag. – Engler zabrał pistolet z twarzy Losensky’ego i wycelował w Carinę. – *Bye, bye* – powiedział.

Klik, usłyszała, naciskając spust. Klik, klik. Czwarta nieudana próba rozmyła się w śmiechu Englera. Bezużyteczny pistolet wyśliznął się z jej rąk i upadł na ziemię.

– Taka szkoda.

Komisarz odciągnął kurek swojej broni i skierował laserowy celownik prosto w czoło Cariny.

Kiedy odgłos wystrzału rozniósł się po wzburzonym Wannsee, wydawało się, że wichura wstrzymała na chwilę swój wściekły oddech. Zaraz jednak kolejny jej poryw pochłonął śmiertelny odgłos.

POCZĄTEK

Nie jest bardziej zaskakujące narodzić się dwa razy niż raz.

Voltaire

Przeżywaj każde swe życie tak, jakby było ostatnie.

Viktor Larenz

Kula zawsze mówi prawdę.

Christophen Walken w filmie *Człowiek w ogniu*

Ludzie będą o mnie mówić, że nie żyję. Nie wierz im! Oni kłamią! Ja nigdy nie umrę.

Klaus Kinski

1

Głosy miały syczący blaszany dźwięk, jakby wydobywały się ze słuchawek zdecydowanie za głośno nastawionego odtwarzacza mp3. Z każdym szarpnięciem pojazdu stawały się głośniejsze, aż wreszcie tak bardzo podrażniały jego zmysły, że Simon nie mógł już dłużej spać. Otworzył na moment oczy i zobaczył prześwietloną migawkę. Wystarczyło, żeby się zorientować, że w kabinie karetki jadą razem z nim dwaj mężczyźni.

– Kryptomnezje? – usłyszał zachrypnięty głos, który natychmiast rozpoznał.

Borchert!

– Tak – odpowiedział profesor Müller. – W dziedzinie badań nad reinkarnacją wszystko jest oczywiście kontrowersyjne, ale na dzień dzisiejszy to jest najbardziej przekonujące założenie, pozwalające w sposób logiczny i naukowy wyjaśnić pozorne doświadczenie ponownych narodzin.

Simon spróbował się podnieść. Chciało mu się pić i lewe kolano szczypało pod cienką piżamą. Zazwyczaj gdy się budził, był sam. Potrzebował trochę czasu, żeby „odzyskać jasność umysłu”, jak to nazywała Carina. Kiedy tak mówiła, zawsze przypominał sobie takie kule, w których padał śnieg. Szklane kule wypełnione wodą, którymi się potrząsało, żeby zobaczyć, jak powoli opadają drobiny styropianu. Po przebudzeniu myślał czasem, że w jego głowie dzieje się coś podobnego. Pierwsze minuty dnia wolał przeczekać, aby obrazy, głosy i wizje znalazły się z powrotem na swoich miejscach. Postanowił jeszcze przez chwilę

udawać, że śpi, i potajemnie przysłuchiwać się cichej rozmowie obu mężczyzn.

– Da się to też zrozumieć bez matury? – pytał właśnie Borchert.

– Wydaje mi się, że tak. To w zasadzie jest bardzo proste. Do niedawna nauka zakładała, że nasz mózg ma coś w rodzaju filtra. Musi pan wiedzieć, że pana mózg jest w stanie w ciągu jednej sekundy przetworzyć miliardy informacji. Oczywiście nie wszystkie są istotne. Teraz na przykład koncentruje się pan na słuchaniu mnie, rozumieniu moich wywodów i utrzymaniu równowagi, kiedy karetka wchodzi w zakręt. Jednocześnie nie zwraca pan wcale uwagi na numer seryjny tej apteczki ani na to, czy noszę buty ze sznurówkami, czy bez.

– No, bez.

– Zgadza. Pana oczy przez cały czas je widziały, ale filtr w pana mózgu odsiał tę informację jako nieistotną do momentu, aż zwróciłem na to pana uwagę. I tak powinno być. Niech pan sobie wyobrazi, co by było, gdyby podczas spaceru w lesie liczył pan wszystkie liście na każdym drzewie, albo siedząc w kawiarni, słyszał nagle wszystkie rozmowy przy sąsiednich stolikach.

– Pewnie bym narobił w gacie.

– Śmieje się pan, ale ma pan całkowitą rację. Bez filtra pana mózg byłby tak bardzo zajęty przetwarzaniem niewyobrażalnego zalewu informacji, że prawdopodobnie straciłby kontrolę nad najprostszymi czynnościami fizjologicznymi.

– No ale przecież sam pan powiedział przed chwilą, że ta teoria o filtrze też jest już przestarzała.

Simon poczuł, jak jakaś niewidoczna siła ciągnie jego głowę do przodu. Musiał więc leżeć głową w kierunku jazdy, a karetka pewnie właśnie się zatrzymała.

– Nie do końca – odpowiedział profesor Müller. – Chociaż istnieje nowa bardzo rozsądna teoria związana z badaniami nad sawantami.

– A co to takiego?

– Pewnie pan wie, co to autyzm.

– *Rain Man*?

– Tak, na przykład. Pozwoli pan, że się przez chwilę zastanowię, w jaki sposób najłatwiej to wyjaśnić laikowi.

Mimo zamkniętych oczu chłopak wyraźnie widział ściągnięte kącki ust zadumanego ordynatora i z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem.

– Dobrze, niech pan zapomni o filtrze i wyobrazi sobie zawór.

– Okej.

– Dzięki niemal nieograniczonej pojemności ludzkiego mózgu wiele przemawia za tym, że najpierw wszystko zapamiętujemy. Tyle że na poziomie podświadomości. Biochemiczny zawór w ludzkim mózgu zapobiega przeciążeniu pamięci długotrwałej i udostępnia tylko te dane, których naprawdę potrzebujemy.

– Zatem wszystko zostaje najpierw włożone do segregatora, ale potem mamy problemy, żeby go otworzyć?

– Można to i tak określić.

– A co to ma wszystko wspólnego z reinkarnacją Simona?

– To proste. Zasnął pan kiedyś przed telewizorem?

– Ciągle mi się to zdarza. Ostatni raz przy nudnym filmie dokumentalnym o paleniu czarownic na stosach.

– Dobrze. Więc pan spał, lecz pana mózg cały czas był aktywny. Wsysał wszystkie informacje, wydobywające się z telewizora.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– No właśnie. Zapamiętał pan cały film, lecz zawór nie pozwala, żeby pan sobie o tym aktywnie przypomniawsł. Jednak w stanie hipnozy specjalnie wyszkolony terapeuta mógłby pobudzić pana podświadomość.

– I otworzyć segregator.

– Zgadza się.

Simon usłyszał kliknięcie i zaraz potem ciche, nierówne szuranie niedaleko prawego ucha. Domyślił się, że ordynator rysuje coś długopisem, żeby jaśniej wytłumaczyć Borchertowi swoje wywody.

– Podczas większości regresji hipnotycznych, kiedy pacjenta wprowadza się w stan hipnozy lub transu, dokładnie tak właśnie się dzieje. Ludzie wierzą, że wchodzą w swe wcześniejsze życie. A tak naprawdę przypominają sobie tylko coś, co zupełnie niechcący zostało zapisane na jednym z najgłębszych poziomów świadomości w ich mózgu. Gdyby na przykład poddano pana takiej regresji, panie Borchert, możliwe, że przypomniałby pan sobie ten film o średniowieczu i uznałby się pan za czarownicę, która została spalona na stosie. Byłby pan w stanie nawet podać dokładne daty i miejsca, o których mówił spiker w telewizji.

– Ale przecież nic wtedy nie widziałem.

– Widział pan. Obrazy wytworzone przez pana wyobraźnię, które nierzadko są bardziej sugestywne niż rzeczywiste wrażenia. Jak podczas czytania książki. Pewnie pan to zna?

– Hm, tak. Ostatnio czytałem dość dawno temu... I to nazywa się właśnie kryptom... coś tam?

Simon poczuł, że karetka coraz bardziej przyśpiesza. Ostatni raz jechał tak szybko z Cariną do fabryki, gdzie po raz pierwszy spotkał się ze swoim adwokatem.

Robert i Carina. Gdzie oni teraz są?

– Kryptomnezje. To fachowe określenie na pewien rodzaj zafałszowania pamięci. Nieświadome, błędne umiejscawianie w czasie wspomnień, traktowanych wyłącznie jako składnik terażniejszości. Nadaża pan jeszcze?

– Jako tako. Ale Simon raczej nie usnął przed telewizorem.

Simon zamrugał kilka razy i z powrotem zamknął oczy. Im mocniej zaciskał powieki, tym wyraźniejszy stawał się obraz, który przed chwilą mu się śnił.

Drzwi z numerem 17.

– Nie, chyba nie – odpowiedział Müller. – Wie pan, że ponad miesiąc temu przerwaliśmy u niego serię naświetleń?

– Tak.

– Z powodu skutków ubocznych. Simon wylądował na intensywnej terapii z ponad czterdziestoma stopniami gorączki i zapaleniem płuc. W

tym samym czasie przywieziono innego pacjenta.

– Frederika Losensky’ego.

– Zgadza się. Siedemdziesiąt pięć lat, dziennikarz, z objawami lekkiego zawału serca. Oprócz bólów w piersi nie budził żadnych większych podejrzeń, zachowywał pełną świadomość i najpierw przewieziono go na obserwację na oddział intensywnej terapii.

– Niech zgadnę. Leżał obok Simona?

– Tak. Jak dowiedział się pan już z prasy, Losensky był seryjnym mordercą pedofilów.

– „Mściciel”.

– I do tego bardzo pobożny człowiek. Już wtedy utrzymywał kontakt z szefem siatki handlującej dziećmi. Myślę, że to nie przypadek, że dostał zawału krótko po tym, jak otrzymał potwierdzenie, że „handlarz” chce się z nim spotkać.

– I tej nocy na oddziale Losensky rozmawiał z Simonem?

– Nie. Simon nie był w stanie rozmawiać. Miał tak wysoką gorączkę, że wszyscy liczyliśmy się z rychłym zgonem. Mimo to, a może właśnie dlatego, Losensky mówił do Simona.

– Jak telewizor?

– Skoro tak panu wygodnie to nazwać, to proszę bardzo. Podejrzewamy, że Losensky odebrał to jako znak od Boga, że leży obok młodego, śmiertelnie chorego sieroty. Przecież w imieniu takich dzieci właśnie walczył. Wykorzystał tę noc i się wyświadczył. Opowiedział Simonowi po kolei o dokonanych mordach. Losensky był pisarzem, potrafił bardzo obrazowo i szczegółowo opisać swoje czyny.

– Szaleństwo.

Borchert zakasłał, a Simon najchętniej zrobiłby to samo, ale nie chciał jeszcze zwracać na siebie uwagi. Przynajmniej dopóki się nie dowie, co wspólnego ma rozmowa dorosłych z hotelowym pokojem ze snu, z którego właśnie został wyrwany.

– Tak, to prawdziwe szaleństwo. Ale może też stracilibyśmy rozum, gdybyśmy zobaczyli to, czego Losensky przez całe swoje życie dowiedział

się o przemocy wobec dzieci. Tak czy inaczej, Simon wbrew oczekiwaniom doszedł do siebie i historia zaczęła się toczyć swoim torem. Kiedy w dniu dziesiątych urodzin podczas regresji hipnotycznej został wprowadzony w hipnozę, stało się tak, jakby doktor Tiefensee wkłuł się chirurgiczną igłą w określony region jego podświadomości. Bańka pamięci pękła i Simon przypomniał sobie coś, co miesiąc wcześniej w mgłę gorączki przedostało się do jego mózgu.

– Spowiedź Losensky’ego.

– Oczywiście nie miał najmniejszego pojęcia, w jaki sposób pojawiły się te wspomnienia. Rozumie pan, co mam na myśli?

Borchert zaśmiał się krótko.

– Wydaje mi się, że to jest coś takiego jak znalezienie w starych spodniach dwudziestu euro, kiedy nie można sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek miało się na sobie ten paskudny łań.

– Dobry przykład. Znajduje pan pieniądze i je wydaje, ponieważ wychodzi pan z założenia, że należą do pana. Simon odnalazł w swej głowie wspomnienia o przerażających morderstwach i był święcie przekonany, że to on sam ich dokonał. Dlatego zdał test na wykrywaczu kłamstw.

– A skąd wiedział o przyszłości?

– Swoją spowiedź Losensky zakończył prośbą skierowaną do Simona. Tu... – Simon usłyszał cichy szelest gazety. – Znajdzie to pan w każdej dzisiejszej gazecie. W szpitalnej szafce znaleźli pamiętnik Losensky’ego.

Müller zaczął czytać:

– „Opowiedziałem Simonowi o moim ostatnim wielkim planie. Powiedziałem mu, że znów to zrobię. Pierwszego listopada o szóstej rano na »Moście«. Simon, powiedziałem, zastrzelę zło, jak tylko przekaże mi niemowlę. Ale nie jestem jeszcze do końca przekonany, czy podążam dobrym tropem. Dlatego proszę cię o ostatnią przysługę. Jeśli wkrótce...”

– „...staniesz przed obliczem naszego Stwórcy, powiedz mu, że zrobiłem to wszystko ze szczerego serca. – Simon otworzył oczy i ku wielkiemu zdziwieniu Müllera i Borcherta dokończył ostatnie zdania spowiedzi

Losensky'ego. – Spytaj go, czy postępuję źle. Jeśli tak, niech przyśle mi jakiś znak. Wtedy natychmiast się wycofam”.

– O, już się obudziłeś?

– Tak, jakiś czas temu – przyznał się Simon. Chrząknął i rzucił ordynatorowi skruszone spojrzenie.

– Więc wszystko się zgadza? – Borchert pochylił się do niego.

– Nie wszystko zrozumiałem, o czym mówiliście. Ale przypominam sobie znów ten głos. Był jakiś taki... czuły.

Karetka zwolniła. Simon z ociąganiem spróbował się podnieść.

– To znaczy, że nie zrobiłem nic złego?

– Nie, w ogóle. – Borchert i lekarz odpowiedzieli jednocześnie.

– I nikogo nie zabiłem?

– Nie.

– A gdzie są Robert i Carina?

– Wiesz... – Długie palce profesora objęły ciepło jego czoło. – Minęły trzy dni. Przez większość czasu spałeś.

– I w tym czasie, no wiesz... coś się stało... – uzupełnił Borchert.

– A co takiego? – zaciekawiał się Simon. Obaj dorośli mówili jakoś dziwnie, jakby chcieli coś przed nim ukryć. – Zrobiłem coś nie tak? Już mnie nie lubią? – Patrzył teraz na Borcherta.

– No coś ty. Nawet tak nie myśl.

– No to nie rozumiem.

– Niczego sobie nie przypominasz? – spytał Andi. Simon pokręcił głową. Podczas ostatnich nocy ciągle się budził. Tylko na moment. I zawsze był sam.

– Nie. Co się stało?

Nagle za mlecznymi szybami karetki jakby zaszło słońce, a zmieniony odgłos pracy diesla przypomniał Simonowi nieprzyjemny moment, kiedy w samochodzie tej okropnej kobiety wjechali do garażu w willi.

– Jesteśmy na miejscu! – krzyknął ktoś z przodu i wysiadł.

– Co się stało z Robertem i Cariną? – spytał Simon powtórnie.

Tylne drzwi karetki otworzyły się.

– Hm, wydaje mi się, że lepiej będzie, jak dowiesz się o tym od kogoś innego – powiedział profesor Müller i ostrożnie wziął Simona za rękę.

2

Jakość czarno-białego filmu bez dźwięku była bardzo zła. Ponieważ reflektory samochodu oślepiły kamerę, nagranie wyglądało jak prześwietlone zdjęcia z ultrasonografu.

– To chłopiec czy dziewczynka? – zażartował Stern, kiedy pierwszy raz pokazali mu film. Tak naprawdę Brandmann i tym razem potrzebował trochę czasu, zanim zdołał rozróżnić obu mężczyzn stojących przed samochodem.

– Widzimy tu, jak Losensky wyciąga broń. – Odchrząknął i kantem jednorazowej zapalniczki wskazał odpowiednie miejsce na ekranie.

– Zasłania pan.

– Och, przepraszam. – Brandmann wyszedł ze stożka światła rzucanego przez wideoprojektor. – Tu. Uważajcie. Losensky wygląda jeszcze, jakby się wahał. Ale teraz, patrzcie, Losensky unosi trochę wyżej broń. I wtedy bang!

Wylot lufy rozświetlił się na szaro, pozostawiając na ekranie jak echo jasny stożek eksplozji. Stern runął do tyłu, jakby został trafiony przez kulę do burzenia murów, tyłem głowy uderzył w ziemię na parkingu kąpieliska i znieruchomiał.

– Engler sam to filmował. Jego kamera leżała na tylnej półce samochodu, w którym się ukrył.

Komisarz po prawie każdym zdaniu odchrząkiwał. Powstrzymał się od poproszenia o papierosa i zatrzymał na chwilę nagranie.

– Byłby to idealny materiał dowodowy. Nieudana sprzedaż dziecka. Przestępcy, którzy wykańczają się wzajemnie. Engler miał bzika na punkcie

filmów wideo. Uważamy, że nie wyłączył kamery, żeby móc później sprzedać kasetę. Albo zostawić sobie na użytek domowy. Kto wie. Oczywiście dalszego ciągu nagrania nie mieliśmy nigdy zobaczyć.

3

Dokąd mnie prowadzicie?

Podnózek wózka inwalidzkiego zostawił czarny ślad na wytapetowanej ścianie klatki schodowej. Simon obrócił się na siedzeniu w stronę Borcherta, który zlany potem ciągnął wózek za rączki po schodach.

– Musisz iść na rehabilitację – wysapał.

Również oddech kierowcy karetki, który popychał wózek od dołu, na ostatnich metrach trochę przyśpieszył.

– Jaką znowu rehabilitację?

– Specjalna terapia dla szczególnie ciężkich... – Borchert stęknął przy tym słowie z wyraźną przesadą – ...przypadków, jak ty.

– A gdzie teraz jesteśmy?

Pokonali ostatni stopień i Simon spojrzał z góry na profesora Müllera, który czekał jeszcze na dole schodów.

– W prywatnej klinice. – Uśmiechnął się i dołączył do nich.

– A co to za klinika bez windy?

– Najlepiej obejrzyj ją sobie sam. Juuuuuuu...

Simon zachichotał. Poczł się jak w wesołym miasteczku, kiedy Borchert pchnął wózek do przodu, potem do tyłu i zakręcił nim wokół własnej osi jak bakiem.

– Przestań, proszę. – Śmiał się, a Borchert zakręcił nim jeszcze dwa razy, zanim popchnął go energicznie z klatki schodowej pustym korytarzem.

– Niedobrze mi się zrobiło – jęknął Simon. Wózek wreszcie przestał się kręcić. W przeciwieństwie do obrazów przed jego oczami. Twarze Borcherta, Müllera i kierowcy karetki powoli wracały na swoje miejsce.

– Co... co to jest?

Simon sprawdził, czy ma na głowie perukę. Kiedy spał, zawsze leżała obok niego na stoliku. Ale teraz czuł ją bardzo wyraźnie pod niespokojnymi palcami. To nie mógł więc być sen, chociaż wszystko na to wskazywało.

– No i co powiesz?

Nieme zdziwienie Simona było wystarczającą odpowiedzią. Spowolnionymi ruchami, jakby dopiero co wziął lekarstwa, złożył niezgrabnie biały szpitalny koc, który miał na kolanach, i przewiesił go przez poręcz.

Sam nie wiedział, dlaczego to zrobił. Pewnie tylko dlatego, żeby zająć czymś drżące dłonie, zanim powódź wspaniałych wrażeń sparaliżuje go całkowicie. Uśmiechnął się. Wraz ze zmianą wyrazu twarzy zrzucił wreszcie z siebie ołowiany pancerz.

Rozejrzał się dookoła. Zwlekał. Spojrzał pytająco na towarzyszących mu mężczyzn, którzy uśmiechali się do niego zachęcająco.

Najbardziej szczerzył się Borchert, którego oczy niemal ginęły w spoconej twarzy. Odważył się. Wstał, zrobił dwa kroki w stronę niesamowicie wielkiego pomieszczenia. Chociaż było jeszcze tyle wspaniałych rzeczy, nie mógł odwrócić wzroku od palm przy wejściu. Zamknął oczy. Bał się, że fatamorgana zniknie, kiedy tylko znów je otworzy. Ale sekundę później wszystko nadal było na swoim miejscu. Brązowa bambusowa chata, wszechobecny szum morza i trochę dalej uśmiechnięta kobieta z wieńcem kwiatów na włosach.

– Serdecznie witamy – powiedziała Carina i ruszyła powoli w jego stronę.

Błoga fala gorąca uderzyła z pomieszczenia w pierś Simona.

– Czy mogę? – spytał nieśmiało i sam zdziwił się, słysząc dziwne brzmienie swojego głosu. Potem, gdy mężczyźni z uśmiechem zaczęli klaskać, niezdarnie jak młody pies postawił bosą stopę na kremowym piasku.

4

Brandmann wcisnął „play” i zatrzymany obraz ruszył. Na ekranie Engler obezwładniał Losensky’ego.

– To jest moment, w którym pojawia się pani Freitag – wyjaśnił Brandmann powód obrócenia nagle głowy przez Englera. – Przez cały czas jest poza kadrem. Niestety miała nienaładowaną broń.

– Albo na szczęście.

– Tak, albo na szczęście.

Film pokazywał, jak Engler unosi rękę. Celuje w Carinę, odciąga kurek. Wtedy rozbłysnął strzał. Za jego plecami. Engler został trafiony prosto w tył głowy.

– Tak właśnie było. – Robert Stern potwierdził prawdziwość scen z odtwarzanego filmu. Wyjął mały palec z dziury wypalonej w zniszczonej kanapie i podniósł się z trudem. Potem zaczął nucić.

– ABBA. – Brandmann uśmiechnął się. – Myślę, że Losensky usłyszawszy: *Money, money, money*, faktycznie odebrał to jako znak od Boga i oddał najpierw ostrzegawczy strzał w powietrze.

– Liczyłem na coś w tym rodzaju. Przewróciłem się jedynie ze strachu. Nie przez kulę. Kiedy upadając, zorientowałem się, że nie zostałem trafiony, wiedziałem, że nie mogę się podeprzeć przed upadkiem. Inaczej Engler myślałby, że nadal żyję. Właściwie pokonałem go jego metodą. Mnie też się udał trik z udawaniem śmierci. No ale niestety kosztował mnie to.

Stern wskazał najpierw na cielistego koloru kołnierz ortopedyczny wokół szyi, a potem na opatrunek na głowie. Mimo wstrząsu mózgu przeczołgał

się do przodu. Centymetr po centymetrze w stronę broni, którą Engler wytrącił wcześniej kopniakiem z ręki Losensky'ego. Jednak bez ostatnich sekund, które zyskał dzięki pojawieniu się Cariny, nie udałooby mu się na czas podnieść rewolweru, wycelować i strzelić.

Stern, utykając, podszedł do komisarza.

– Przez cały czas myślałem, że pana zadaniem jest mnie rozpracować. Dlatego nie zwróciłem się do pana, tylko właśnie do pana partnera.

– Rozumiem. – Brandmann odchrząknął chyba po raz dwudziesty i nerwowo potarł grubym kciukiem zębate kółko zapalniczki. – Z tym, że Engler nie był moim partnerem. Oficjalnie jestem psychologiem doradcą w Federalnym Urzędzie Kryminalnym. Ale to tylko przykrywka. Naprawdę pracuję w wydziale wewnętrznym. Już od dłuższego czasu podejrzewaliśmy, że Engler jest wpłątany w jakieś brudne interesy. Istniały poszlaki wskazujące na posiadłości na Majorce oraz inne inwestycje, na które nie byłoby stać policjanta z normalną pensją. Nikt jednak nie przewidział takiego rozmachu jego działań. Najmniej ja.

– Nie prowadził więc pan dochodzenia przeciwko mnie?

Brandmann pokręcił przecząco wielką głową.

– Nie od początku, nie. Nie wiedzieliśmy, że skorumpowanie Englera i odkrywanie zwłok przez Simona mają ze sobą coś wspólnego. – Odchrząknął i zwilżył wyschnięte usta. – Nasza strategia polegała na wyprowadzeniu Englera z równowagi, dlatego musiałem notorycznie i prostacko ingerować w jego pracę. Mieliśmy nadzieję, że stanie się wtedy mniej ostrożny, napisze jakiś niezasyfrowany e-mail albo użyje niezabezpieczonego telefonu. Jednym słowem zrobi coś, co nas doprowadzi do jego źródła dochodów. A kiedy sprawa Simona coraz bardziej się komplikowała, komendant doszedł do wniosku, że nie zaszkodzi mieć kogoś z moim doświadczeniem w ekipie. Trochę im więc pomogłem, zadbałem o poddanie Simona testowi na wykrywaczu kłamstw, zebrałem zeznania świadków i pomagałem Englerowi w miejscach, gdzie znajdowano kolejne ciała.

– I po to zostawił pan Picassowi swój numer telefonu?

– Tak. Tak samo zresztą, jak pana ojcu. Obaj mieli do mnie zadzwonić, jeśli tylko coś zwróci ich uwagę. Niestety pielęgniarz został wyeliminowany, zanim zauważył wycofanie szpitalnego strażnika sprzed sali Simona. Tak na marginesie: już wiemy, kto dodał rohypnol do kawy Picassa.

Stern uniósł brwi.

– Sam szpitalny strażnik. Był człowiekiem Englera. Zeznał, że został obezwładniony przez pana. Szkoda, że podczas przesłuchania nie wiedział nic o śmierci Englera. – Brandmann uśmiechnął się. – Wszystko było perfekcyjnie zorganizowane. Myślę, że w czasie tych wszystkich lat podwójnego życia Engler zaczął uważać się za nietykalnego. Jego plan był genialny, ale naznaczony manią wielkości. Zwabił pana, Carinę, Simona, a nawet własnego mordercę w pułapkę na parkingu kąpieliska. I to na oczach policji.

– A gdzie pan był przez ten cały czas? – pytanie Sterna zabrzmiało nieuprzejmie, chociaż nie miał takiego zamiaru. – Skoro miał pan pilnować Englera, dlaczego nie zorientował się pan w jego ostatniej wielkiej akcji?

Brandmann odchrząknął i przepaszającym gestem uniósł dłonie.

– Komendant Hertzlich kazał mi się wycofać, kiedy sytuacja się zaostrzyła. Jak mówiłem, byłem tu tylko po to, żeby wyjaśnić machlojki finansowe. Moje zadanie miało od tego momentu zejść na dalszy plan, żeby nie zablokować prowadzonego dochodzenia. W zasadzie byłem już gotowy spakować walizki.

– A teraz? Co się stanie teraz? Co ze współnikami Englera? Przecież ktoś musiał mu w tym wszystkim pomagać?

Po każdym pytaniu Sterna Brandmann chrząkał potwierdzająco, a jego jabłko Adama poruszało się jak tłok cylindra na fałdzistej szyi.

– Tak, niestety. „Mściciel” przetrzebił ich w ostatnich latach, ale Engler umiał szybko znaleźć nowych psychopatycznych pomagierów. Jako śledczy w wydziale zabójstw miał dostęp do samego źródła. Na szczęście zdobyliśmy wystarczająco dużo materiału, który pomoże nam w rozbiciu resztek bandy. Komputery, taśmy, płyty DVD, nie zapominając o

samochodzie Englera, którego bagażnik załadowany był najnowocześniejszym sprzętem wideo...

Podczas tej wyliczanki Stern przypomniał sobie, jak Engler filmował się z Brandmannem na cmentarzu. Myślał wówczas, że obraz leci na żywo, a było to odtworzenie. Tania sztuczka. Tak samo jak przedstawienie w gabinecie doktora Tiefenseego.

– Jedyną przyjemną rzeczą, na jaką natknęliśmy się w domu Englera, był jego pies. Labrador aż do odwołania będzie mieszkał u mnie. – Brandmann się uśmiechnął.

– Nic więcej nie znaleźliście? – spytał niepewnie Stern.

– Nic z tego, co pan ma na myśli. Szczerze mówiąc, nie chcę robić panu w tej materii zbyt dużych nadziei.

Puls Sterna przyśpieszył. Jednocześnie jego lewa część ciała zdrętwiała, jakby ktoś go zamroził. Co prawda liczył się z tym, ale potwierdzone złe przypuszczenia zawsze są większym ciosem.

– Jesteśmy dopiero w połowie dochodzenia, ale dotychczas nie znaleźliśmy w materiale dowodowym żadnych wskazówek prowadzących do pana syna. Żadnych dokumentów, zdjęć albo filmów. Ani jako noworodka, ani w późniejszym wieku. Również teoria z oknem życia... – Odchrząknął. Można było odnieść wrażenie, że głos coraz bardziej więźnie mu w gardle. – Oczywiście podążymy śladem wskazówek i sprawdzimy wszystkie szpitale w kraju, czy coś takiego w ogóle jest możliwe. Ale na razie nie znaleźliśmy nic, co mogłoby potwierdzić pana zeznanie.

Oczywiście.

Stern przeniósł cały ciężar ciała na prawą kulę, zapierając się nią o betonową podłogę piwnicy najmocniej, jak tylko mógł. Ręką szukał w tylnej kieszeni spodni pogniecionej kartki. Engler dał mu na pożegnanie zdjęcie dziesięcioletniego chłopca zdmuchującego urodzinowe świece. Odczytał duży drukowany napis zakrywający częściowo tort: „Prima aprilis”.

A więc i pod tym względem go oszukał. Stern zamrugał, jakby wpadło mu coś do oka. Być może kiedyś uda się ustalić, w jaki sposób Engler

zdobył nagrania ze szpitalnej kamery. Być może uda się nawet odnaleźć jubilata, którego rysy twarzy upodobniono za pomocą jakiegoś supernowoczesnego programu do obróbki zdjęć do jego twarzy. Możliwe nawet, że cała postać została sztucznie stworzona na komputerze.

Stern przestał wściekle napierać na kulę, gdy usłyszał szum krwi w uszach. Wszystkie jego wątpliwości nie zmieniają faktu, że film z dziesięcioletnim chłopcem okazał się wyłącznie tanią przynętą. Felix był martwy, od zawsze. Cieszył się, że nigdy nie podzielił się swoimi irracjonalnymi nadziejami z Sophie.

– Sprawdzimy wszystkie poszlaki i dowiemy się, czy pana syn wtedy...

– Komisarz przerwał w połowie zdania i spojrzał zdziwiony w sufit. Z górnych pięter dotarło do nich stłumione dudnienie muzyki reggae.

– Co tam się dzieje? – spytał zdziwiony.

– To? Wzywają nas.

Stern pokuśtykał w stronę drzwi.

– Dziękuję panu bardzo, że pokazał mi pan nagranie, które uwalnia mnie od podejrzeń. Ale obawiam się, że będzie pan musiał teraz zdjąć buty.

– Słucham? A po co, na Boga? – Brandmann wyglądał, jakby Stern chlusnął mu w twarz szklanką lodowatej wody.

Robert otworzył drzwi i karaibskie dźwięki przybrały na sile.

– Ponieważ skończyliśmy oficjalną część i teraz chcę dotrzymać obietnicy.

5

Nareszcie jesteś!

Roześmiany Simon, brodząc w piasku sztucznej plaży, podszedł do Sterna. Dziesiątki pracowników agencji eventowej przez całą noc rozsypywało piasek na całym parterze willi. Później w pośpiechu przyklejono na ścianach i oknach morskie motywy i rozstawiono na wydmach mnóstwo sztucznych palm, liści bananowca i pochodni. Nawet wypełniony drewnem kominek wyglądał jak ognisko z powieści o Robinsonie Crusoe.

Perfekcyjną scenerię uzupełniał stojący na środku niegdysiejszego salonu barek, zbudowany z prawdziwego bambusa, za którym Borchert przygotowywał właśnie koktajle bezalkoholowe.

Stern poczuł nagle potrzebę ucieczki. W stronę, w którą pchały go mroczne myśli. Dokądkolwiek, byle dalej od tego miejsca, którego nie rozpoznawał już jako swojego domu. Nie ze względu na ciepły piasek ani palmy, tylko wypełniające pomieszczenia dźwięki, którym przez lata bronił tutaj dostępu. Śmiech. Muzyka. Radość. Widział Simona, Carinę, Borcherta, Brandmanna, profesora Müllera i nawet własnego ojca. Wszystkie znane twarze, ludzie, których sam zaprosił, a mimo to byli mu obcy.

Kiedy Simon podchodził coraz bliżej, a jego chęć ucieczki stała się wręcz nie do odparcia, do jego myśli z wolna zaczęła zakradać się jakaś zmiana. Zupełnie jakby chłopiec niósł niewidzialną pochodnię. Wszystko dokoła niego zaczęło się rozjaśniać. Dopiero teraz Stern zauważył, jak bardzo tęsknił za tym chłopcem.

Gdy Simon stanął w końcu tuż przed nim i uśmiechnął się z taką szczerością, do jakiej większość dorosłych nigdy nie jest już zdolna, Stern zrozumiał po raz pierwszy, dlaczego Carina kazała mu przyjechać wtedy do fabryki. To nie chłopiec potrzebował pomocy. Było dokładnie na odwrót.

– Dziękuję! – powiedział z radosnym uśmiechem Simon i na sekundę Stern zapomniał o dręczących go pytaniach. – Jest super, dzięki!

Kiedy dotknął delikatnej dłoni Simona, w jego głowie pojawiło się nieśmiałe przypuszczenie, że wszystkie odpowiedzi, których szukał w ostatnich dniach, być może wcale nie są najistotniejsze. Prowadzony przez chłopca w stronę barku zobaczył wreszcie coś, co jego oczy dotychczas ignorowały: Simon, Carina, bliźniaczki, on sam. Wszyscy przeżyli. Prowadzącego go za rękę chłopca nie dręczą już niewyjaśnione mordercze fantazje, może się więc śmiać, jeść lody, tańczyć lambadę i cieszyć się chwilą, chociaż w jego głowie szaleje coś znacznie bardziej niszczycielskiego niż mroczne myśli.

Skoro on to potrafi, może i mnie się uda, miał nadzieję Stern. Nie na zawsze. Nie na długo. Choćby tylko na dziś. Na teraz. Na tę chwilę.

Oparł się o bar, skinął najpierw głową Borchertowi i Carinie i ucieszył się, że przyjaciele zrozumieli go bez słów i wręczyli mu lody, które kiedyś obiecał Simonowi.

Świętowanie trwało ponad dwie godziny. Rozpalili ognisko, zrobili zaimprovizowanego grilla i tańczyli. Kiedy opadły już największe emocje, Stern przyłączył się do Cariny i Simona, którzy natychmiast przerwali rozmowę.

– No, kogo tam obgadujecie? – spytał.

– Nikogo – odpowiedział Simon i uśmiechnął się szelmowsko. – Nie mogę tylko uwierzyć, że to naprawdę jest twój dom.

– Tak, tym razem Carina wyjątkowo mówi prawdę.

– I tu mieszkasz?

– Kiedy akurat nie muszę spać w samochodach kempingowych, to tak.

Stern przesłał Carinie uśmiech, który odwzajemniła.

– A gdzie są twoje wszystkie meble?

– Ach, nie zwracaj sobie tym głowy – wtrąciła się Carina. Dobrze wiedziała, że willa Roberta nigdy jeszcze nie była bardziej po domowemu urządzona niż dziś. Wstała, żeby przynieść sobie coś do picia. Stern patrzył na delikatne ślady stóp, które zostawiała w piasku.

– Posłuchaj – zwrócił się po chwili do Simona, który leżał odprężony na piasku i gapił się w sufit. W miejscu, gdzie powinien wisieć żyrandol, dyndała sieć pełna prawdziwych kokosów. – Profesor Müller powiedział mi przed chwilą, że być może jednak spróbują jeszcze jakiejś terapii. Wiesz, czasem takie zdjęcia mózgu z tomografu nie do końca są takie jak trzeba. Sprawdzi jutro, jak bardzo ten twój guz naprawdę rozrósł się na drugą połowę mózgu, i może... – Stern zaciął się. – Simon?

– Tak?

– Co ci jest?

– Nie... nie wiem.

Chłopiec wyprostował plecy i tak samo jak Stern z niepokojem spojrzał na lewą stopę.

– Carina?! – zawołał Stern, wstając. – Nie martw się, to tylko atak epileptyczny – uspokajał bardziej siebie niż Simona. Drżenie rozeszło się ze stopy na prawie całą nogę. Ale wyglądało inaczej niż odruchy, które już raz widział. Nie opanowały całego ciała, mimo to sprawiały wrażenie groźniejszych.

– Zrób miejsce! – krzyknęła Carina, która zdążyła już podbiec razem z ordynatorem. W ręku miała już krople lorazepamu. – Już dobrze, wszystko będzie dobrze.

Peruka zsunęła się z głowy Simona, kiedy odgarnęła mu włosy z czoła.

– Musimy go natychmiast zabrać z powrotem do szpitala – powiedział cicho profesor Müller.

Stern przytaknął i wstał. Czuł się, jakby przed chwilą uderzył samochodem w mur. Dopiero co wszyscy się śmiali, a teraz musiał patrzeć, jak Borchert wynosi na rękach chore dziecko.

– Podjedźcie karetką. Szybko – usłyszał Carinę. Ciepły piasek pod jego stopami zmienił się w bagno, które oblepiało jego kostki, żeby nie mógł wystarczająco szybko biec. Wieki trwało, zanim wyszedł z domu, przebiegł przez ogród i uklęknął w karetce obok noszy Simona.

– Posłuchaj – powiedział cicho, ze strachu, że w przeciwnym razie chłopiec usłyszy niepokój w jego głosie. – Niczym się nie przejmuj, okej? Wszystko będzie dobrze.

– No, może.

– Nie, nie, posłuchaj mnie. Jak tylko profesor Müller opanuje to wszystko, pojedziemy na prawdziwą plażę, zgoda?

Złapał Simona za dłoń, ale nie poczuł, żeby chłopiec odwzajemnił uścisk.

– Nie bądź smutny – powiedział chłopiec.

– Nie jestem – odparł z płaczem Stern.

– Było bardzo fajnie. Świetnie się bawiliśmy. – Głos Simona był coraz bardziej zmęczony. – Jeszcze nigdy czegoś takiego nie przeżyłem. Dyskoteka, zoo, film u bliźniaczek i później to superprzyjęcie...

– Nie mówmy o przeszłości, dobrze?

– Ale kiedy ja chcę o tym rozmawiać.

Stern pociągnął nosem.

– W jakim sensie?

– Musimy już jechać! – krzyknął kierowca z przodu. Dłoń Cariny opadła na ramię Sterna i pociągnęła go delikatnie do tyłu. Strząsnął ją.

– O czym chcesz rozmawiać, Simon?

Powieki chłopca opadały powoli jak więdnące liście.

– O lampie w piwnicy.

– Słucham? – Silnik zaskoczył i jednocześnie coś zamarło w Sternie.

Trach.

– Znów migotała. Teraz, jak tak długo spałem.

Nie, nie, nie, krzyczał wzmagający się ból w głowie Sterna.

Trach. Trach.

– Tym razem było jeszcze ciemniej. Przerażająco ciemno. Nie mogłem prawie nic zobaczyć.

Nie, proszę, nie. Niech ten koszmar nie zaczyna się od początku, pomyślał Stern i poczuł, jak lodowata trucizna rozlewa się w jego żyłach, gdy chłopiec podał mu ostatni adres. Potem Simon stracił przytomność.

Dziesięć dni później

Park Inn.

Prosimy zapoznać się z naszą weekendową ofertą

Wieki temu ktoś umieścił na korkowej tablicy nad recepcją wyblakłe litery, nie licząc najwyraźniej na to, że ktokolwiek o tej porze roku się tu pojawi. Recepcja taniego motelu była tak samo opustoszała jak ulice miejscowości, przez którą przejeżdżali w drodze do niego.

– Halo?! – krzyknął Stern i rozejrzał się za dzwonkiem, którym w hotelach zazwyczaj przywołuje się obsługę. Ale na ladzie stały tylko dwie pleksiglasowe podpórki z broszurami reklamowymi. – I co dalej? Mam tym zacząć rzucać?

Wzruszając ramionami, odwrócił się do Cariny, która z braku innej możliwości usiadła na swojej torbie podróżnej.

– Halo, przyjechali goście! – zawołał tak głośno, jak tylko potrafił. W odpowiedzi usłyszał gdzieś niedaleko szum spuszczonej wody w toalecie.

– Jednak ktoś tu jest – mruknęła Carina. Chwilę później przez rozsuwane drzwi w głębi recepcji przecisnęła się kobieta o kwadratowej posturze.

– Po co te nerwy? – spytała, płytko oddychając.

– Nazywam się Stern. – Robert zignorował nieprzyjemne powitanie i położył na ladzie swój dowód. – Mamy u państwa rezerwację.

– Tak, tak. Wcale nie musieliście tego robić. Wszystko wolne. – Pulchne palce kobiety wskazały na zapełnioną kluczami tablicę po prawej. – Mogę zaproponować państwu atrakcyjną cenę za najlepszy apartament.

Stern już sobie wyobraził jego wygląd. Od pozostałych baraków różnił się pewnie tylko tym, że jest w nim telewizor.

– Nie, dziękuję. Chcę właśnie ten pokój. Przecież wyjaśniałem to już pani przez telefon.

– Naprawdę? Siedemnastkę? Hm. Jest pan pewien? To nie jest nasz najładniejszy pokój...

– Nic nie szkodzi – powiedział Stern zgodnie z prawdą. I tak nie spędzą tu ani jednej nocy.

– Siedemnastkę i nic innego.

– Jak pan sobie życzy.

Stern niechcący dotknął palcami suchej jak papier skóry kobiety, kiedy brał od niej klucz. Wzdrygnął się, jakby weszła mu drzazga.

– Podróż poślubna? – spytała, uśmiechając się lubieżnie do Cariny.

– Tak – odpowiedział Stern, bo taka była najkrótsza odpowiedź, jaka przyszła mu do głowy.

– Tymi drzwiami i dalej, jak pokazują tablice. Ostatni pawilon po prawej stronie! – zawołała jeszcze za nimi.

Po kilku deszczowych dniach przestało wreszcie padać. Wysoko ponad ich głowami wiatr gnał ciemne chmury. Było dopiero południe, ale mieli wrażenie, że jest znacznie później. Jedna z chmur zakryła akurat słońce, zaciemniając betonową ścieżkę. Numer 17 nosił jedyny wolno stojący pawilon motelu. Zamek w drzwiach raczej się nie ucieszył, kiedy Stern włożył klucz i zaczął nim kręcić. Dopiero za trzecim podejściem zasuwa puściła.

– Mam zostać na zewnątrz? – spytała Carina.

– Nie, ale proszę, nie dotykaj niczego.

Na ścianie wymacał przełącznik i zwykła żarówka oświetliła zaskakująco czyste wnętrze. Carina wciągnęła głośno powietrze przez nos, również Stern zdziwił się, że nie czuje żadnego kurzu ani zapachu pleśni, tak jak się tego spodziewał.

– Wiedziała, że przyjedziemy – mruknął i od razu wziął się do pracy.

Najpierw zajął się szafami. Zagarnął nieliczne wieszaki i rzucił je na łóżko obok Cariny i jej podróżnej torby. Potem opukał sklejkę, sprawdzając, czy nie ma pustych przestrzeni. Nic nie znalazł.

Poszedł do łazienki. Rozczarował się, kiedy zobaczył, że jest tam tylko prysznic. Liczył na to, że znajdzie coś w szczelinach pod wanną. Ale tu nie było nawet kabiny prysznicowej. Woda spływała po prostu do małego odpływu w wyłożonej kafelkami podłodze.

– I co? – spytała Carina, kiedy po pięciu minutach wrócił do pokoju po przeszukaniu pod kątem ewentualnych wskazówek wszystkiego, łącznie ze spłuczką i odpływem wody.

– Nic – odpowiedział, podwijając mokre rękawy koszuli. – Jeszcze nic.

Położył się na podłodze i zajął się łóżkiem. Poprosił Carinę, żeby wstała. Podczas gdy on przebijał nożem materac w różnych miejscach, ona sprawdzała wyłożoną płytkami podłogę, szukając jakichś nierówności. Czegoś, za czym mogłyby się znajdować ukryte drzwi albo tajemne przejście. Niestety nie wyczuła najmniejszej rysy.

Stern wyjął z torby podróżnej żółtą puszkę sprayu, którym normalnie nawilża się rośliny doniczkowe i rozproszył po podłodze bezbarwną mgiełkę płynu.

– Nie przestrasz się – powiedział, gdy skończył. Zaraz potem zgasił światło i w pokoju zapanowała całkowita ciemność.

– Czego szukamy? – zapytała Carina, kiedy upiorne światło z ultrafioletowej latarki w dłoni Roberta oświetliło ich twarze.

– Zaraz zobaczysz.

Stern obrócił się dookoła własnej osi.

– Albo i nie – powiedział po chwili. W jednym miejscu któryś z gości dostał pewnie krwotoku z nosa, ale ultrafiolet nie wykazał większych plam krwi, które kiedyś zostały zmyte.

– I co teraz?

Ciężko oddychając, Stern położył się na podziurawionym materacu i gapił się znów w sufit.

– Chyba muszę do niego zadzwonić.

Z kieszeni dzinsów wyjął komórkę i wybrał numer, który odczytał z małej karteczki.

– Robert Stern – powiedział na przywitanie.

– Za późno pan dzwoni. Rozmowy telefoniczne dozwolone są wyłącznie do godziny trzynastej.

– Teraz jest dwunasta czterdzieści siedem, więc proszę mi go dać.

Mrukliwy głos po drugiej stronie ustąpił miejsca komuś, kto brzmiał znacznie bardziej uprzejmie i kulturalnie. Chociaż w przeciwieństwie do kierownika więziennego szpitala pozbawił przecież sporo osób życia.

– Losensky?

– Przy telefonie.

– Wie pan, po co dzwonię?

– Tak, chodzi o pokój numer siedemnaście.

– Co może mi pan o nim powiedzieć?

– Nic.

– Nie wspomniał pan chłopcu o tym adresie?

– Nie, w ogóle nie znam tego przybytku. Nigdy nie opowiadałem o tym Simonowi i nie mam pojęcia, dlaczego tam pana wysłał.

Stern usłyszał nerwowy kaszel Losensky'ego.

– Po co miałbym kłamać? Dopiero co złożyłem przed policją obszernie zeznania, wskazałem im kolejne miejsca, o których Simon jeszcze nic nie powiedział. Siedem trupów w ciągu piętnastu lat. Więcej ich nie było. Po co miałbym przemilczeć jedną ofiarę?

Nie wiem.

– Leżę w więziennym szpitalu, w którym z pewnością umrę. Młody człowieku, co ja mogę mieć do stracenia?

Nic, przyznał mu rację Stern. Podziękował krótko i rozłączył się.

– Mogę wziąć prysznic, zanim wyjdziemy i zapłacimy za zniszczenia? – spytała Carina.

Stern skinął głową bez słowa. Kiedy usłyszał szum wody, podniósł się z łóżka i odsłonił zasłonę. Potem, na tyle na ile się dało, rozsunął klinujące się szklane drzwi. Świeże, czyste powietrze wypełniło mały pokój.

Wyszedł przed pawilon i wpatrzył się w dal. Plaża, nad którą znajdował się motel, ciągnęła się kilometrami w obie strony. Fale, mocno zalewające brzeg w momencie ich przybycia, uspokoiły się nieco. Stern zamknął oczy, a wiatr owijał mu się miękko wokół szyi jak szal. Na skórze poczuł błogie ciepło. Gdy otworzył oczy, oślepiły go pierwsze skromne promienie słońca, przebijające się przez podziurawioną warstwę chmur. Nagle ich brudna zasłona rozerwała się i słońce zaświeciło Sternowi prosto w twarz, jakby dziś był któryś z pierwszych wiosennych dni.

Chciał właśnie zawołać Carinę, kiedy coś delikatnie dotknęło jego nogi.

Spojrzał w dół i zobaczył gumową piłkę wielkości kuli do kręgli. Słońce świeciło coraz mocniej i musiał przyłożyć obie ręce do czoła, żeby osłonić oczy, kiedy zwrócił się w kierunku, z którego przytoczyła się piłka.

– Czy może mi ją pan podać? – usłyszał jasny, bardzo młody głos. Stern podszedł dwa kroki do dziecka. I nagle poczuł wypełniające jego wnętrze ciepło, które wydawało się wprost nie do zniesienia. Chłopiec stał przed nim na wyciągnięcie ręki i właśnie odgryzał małą kawałek cytrynowego lodu. W tym momencie Stern wiedział już, po co tu przyjechał, chociaż poza tym niczego już nie pojmował.

Znał to dziecko. Jego pogniecione zdjęcie cały czas nosił w tylnej kieszeni spodni.

A kiedy dziesięciolatek uśmiechnął się do niego, Robert Stern poczuł się tak, jakby patrzył prosto w lustro.

Podziękowania

No, gdzie Cię przyłapałem? W fotelu, na kanapie, w metrze, w łóżku? A może stoisz w księgarni i zastanawiasz się, czy naprawdę powinieneś zaryzykować i zainwestować pieniądze w niemieckiego autora thrillerów, i to jeszcze o tak dziwnym nazwisku? Tak czy inaczej, dziękuję. Trzymasz w rękach moją książkę i czytasz – może tylko dlatego, że na chwilę zerknąłeś na koniec, żeby się przekonać, czy ktoś, kto tworzy takie historie, ma w ogóle jakichś przyjaciół, którym mógłby podziękować. Może nie uwierzysz, ale ma.

Chciałbym zacząć od tych, którzy najbardziej by się wkurzyli, gdybym o nich zapomniał, bo spotykam ich niemal codziennie:

Manuela – uprawiaj proszę nadal tak dużo sportu i tak samo zdrowo się odżywiaj, bo jeśli kiedyś musiałabyś pójść na zwolnienie i przestałabyś organizować moje życie, to już po mnie.

Gerlinde – dziękuję za pomoc, wsparcie i miłość, która przejawiała się między innymi tym, że zawsze podrzucałaś mi na biurko coś do jedzenia, kiedy przechodziłem fazę intensywnego pisania. Inaczej umarłbym z głodu.

Clemens & Sabine – z pewnością powoli zaczynacie marzyć o tym, żebym kiedyś napisał coś, gdzie żadne choroby ani psychozy nie będą grały pierwszoplanowych ról. Ale obawiam się, że będziecie musieli jeszcze trochę wytrzymać jako moi medyczni doradcy. Jesteście po prostu za dobrzy.

Patty – dziękuję za wspaniałe przedstawienie regresji hipnotycznej, którą sama przeszłaś, i za pozwolenie, abym wykorzystał w tej książce Twoje

doświadczenia.

Zsolt Bács – polubiłem Cię, jeszcze zanim nauczyłem się poprawnie wymawiać Twoje nazwisko. Nie znam lepszego partnera do burzy mózgów.

Ender – dziękuję, że ciągle poznajesz mnie z osobliwymi ludźmi, którzy są inspiracją dla postaci w moich książkach (Borchert!). Tylko proszę, powiedz mu, że jestem spoko gość i że nie musi mi łamać kciuków.

Sabrina Rabow, Thomas Koschwitz, Arno Müller – dziękuję za przyjacielskie i jednocześnie profesjonalne wsparcie podczas tych wszystkich lat, mimo że zawsze wciskam Wam maszynopisy moich książek w okropnych skoroszytach.

Peter Prange – wyrównałeś walcem drogę, którą teraz mogę podążać. Już za samo to zasłużyłeś na honorowe miejsce w każdym moich podziękowaniach. A poza tym zawsze dobrze jest móc się pochwalić przyjacielem, który jest autorem bestsellerów.

Roman Hocke – nie wiem, jak Ty to wszystko robisz, ale jesteś najlepszy. Bez Twojego wsparcia jako agenta moje książki nie zostałyby wydane w tylu krajach, nie doszłoby do ich ekranizacji. Pewnie nadal pisałbym tylko dla siebie i moich psów. Masz przy sobie świetny zespół z Claudią von Hornstein, Christine Ziel i doktorem Uwe Neumahrem, którym również chciałbym podziękować.

A propos agentów(tek): Tanja Howarth – wystarczy tylko dwa słowa: Anglia & Ameryka. Dziękuję za wszystko!

Podziękowania dla następujących osób jako reprezentatywnych przedstawicieli wspaniałej ekipy wydawnictwa Droemer & Knauer:

Doktor Hans-Peter Übleis – za to, że tak mocno Pan we mnie wierzy i mnie wspiera.

Doktor Andrea Müller – znów musiałem nieźle się napocić nad Pani szczegółowymi uwagami. Dzięki bezustannej pracy wydobyła Pani ze mnie wszystko, co najlepsze. Tysiąckrotnie za to dziękuję, jak i za położenie kamienia węgielnego pod moją karierę jako autora.

Carolin Graehl – niewiarygodnie konstruktywny finisz sprawił mi mnóstwo radości. Cieszę się już teraz na następny redakcyjny maraton!

Beate Kuckertz – za Pani absolutne wyczucie, który z moich mętnych pomysłów ma zadatki na prawdziwy thriller.

Klaus Kluge – za to, że całą swoją marketingową wiedzę trwonisz na promowanie mnie i moich książek. Niesamowicie dużo przyjemności daje praca z zawodowcem takim, jak Ty. To samo dotyczy Andrei Fischer.

Andrea Ludorf – goni mnie Pani raz po raz przez cały kraj. I dobrze! Proszę, niech Pani nadal tak perfekcyjnie organizuje moje wieczory autorskie i spotkania z Czytelnikami.

Susanne Klein, Monika Neudeck, Patricia Kessler – za to, że wspólnie skupiacie zainteresowanie prasy na moich książkach.

Dominik Huber – chociaż jesteś mistrzem wirtualnego świata, cieszę się, że mogłem Cię poznać w realu.

W dalszej kolejności dziękuję wszystkim księgarzom i przedstawicielom handlowym, którzy dostarczają moje książki tam, gdzie ich miejsce. Podziękowania, na które zasłużyła cała armia bezimiennych, chciałbym tym razem złożyć szczególnie na ręce szefowej dystrybucji w wydawnictwie Droemer: Iris Haas, a także Heide Bogner, Roswithy Kurth, Andrei Thiele, Christiane Thöming i Kariny Englberger. Ach tak, no i oczywiście Georgowi Regisowi. To żadna sztuka wyczytać z moich dłoni powodzenie w przyszłości, kiedy ktoś taki jak Ty niezmordowanie się o to stara.

Kogo tu jeszcze brakuje? Tysięcy, na przykład mojego ojca Freimuta Fitzka, po którym odziedziczyłem nie tylko miłość do literatury. Simona Jägera, Dirka Stillera, Michaela Treutlera, Toma Hankela, Matthiasa Koppa, Andrei Kammann, Sabine Hoffmann, Daniela Biestera, Corduli Jungbluth – wszyscy wiecie za co. Jeśli nie, winni mi jesteście przysługę.

Poza tym niezmiennie cieszę się z każdej wizyty na mojej stronie: www.sebastianfitzek.de. Możecie też pisać bezpośrednio do mnie na adres: fitzek@sebastianfitzek.de, czy i na ile spodobała Wam się ta książka. Obiecuję, że odpowiem jeszcze w tym życiu.

Sebastian Fitzek, Berlin, wrzesień 2007

PS Naturalnie dziękuję również Tobie, Simonie Sachs. Gdziekolwiek teraz jesteś...

Przypisy

[1] Aluzja do nazwiska Hertzlich, które brzmieniowo jest identyczne z przymiotnikiem *herzlich* – serdeczny, przyjazny (przyp. tłum.).